

DZIEWCZYNA OBDARZONA „SZÓSTYM ZMYŚLEM” TROPI SERYJNEGO ZABÓJCE...

# 18 SEKUND

GEORGE D. SHUMAN





GEORGE D. SHUMAN

Po dwudziestu latach pracy w waszyngtońskiej policji, George D. Shuman zamienił mundur na pióro i napisał błyskotliwy thriller *18 sekund*. Stephen King nazwał książkę „wymienitą”. Recenzenci dosłownie prześcigali się w pochwałach, pisząc o fascynującej postaci niewidomej bohaterki, wykreowanej przez autora (spotkamy ją zresztą w następnych powieściach Shumana), o brutalnej, trzymającej w nieustającym napięciu akcji, o zakończeniu, jakie na długo pozostanie w pamięci czytelnika.

Niewidoma, zjawiskowo piękna Sherry Moore posiada dar, który jest jednocześnie jej przekleństwem. Dotykając ciała zmarłego potrafi odczytać zawartość jego pamięci krótkotrwałej – utrwalony w korze mózgowej denata zapis osiemnastu ostatnich sekund życia. Sherry wykorzystuje swoje umiejętności, by pomagać osobom prywatnym; pracuje też jako policyjna konsultantka. Kiedy z rąk mordercy ginie kierowniczka luksusowego sklepu, detektyw John Payne z filadelfijskiej policji wciąga Sherry do śledztwa. Na jaw wychodzą nowe fakty: analiza balistyczna kuli znalezionej na miejscu zbrodni wskazuje, że tej samej broni użyto przed trzydziestoma laty w innej, nierozwiązanej sprawie – zaginięcia młodej dziewczyny. Sprawcą obu zbrodni jest Earl Sykes. Psychopata, gwałcień, wielokrotny morderca, skazany za spowodowanie śmiertelnego wypadku i po latach warunkowo wypuszczony z więzienia. Sykes powrócił do dawnego procederu – w nadmorskiej miejscowości Wildwood zaczął znowu porwać młode kobiety. Czy Sherry będzie w stanie odtworzyć wygląd zbrodniarza, utrwalony w pamięci zmarłych, zanim i ona stanie się jego ofiarą?

ISBN 978-83-7359-664-1



9 788373 596641



# 18 SEKUND

**GEORGE D. SHUMAN**

Z angielskiego przełożył

RAFAŁ LISOWSKI

WARSZAWA 2008

Tytuł oryginału:  
18 SECONDS

Copyright © George D. Shuman 2006 All rights reserved  
First published by Simon & Schuster Inc., New York

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz  
2008

Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski 2008

Redakcja: Dorota Stańczak

Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-664-1

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Książkę dedykuję Susan,  
której wyjątkowym darem dla świata  
jest miłość do wszystkiego, co istnieje,  
oraz  
przyjaciołom ze służb ochrony porządku  
publicznego, braciom i siostram, którzy zapłacili  
najwyższą cenę.

# 1

## **Poranek wielkanocny, 27 marca Pittsburgh w stanie Pensylwania**

Sherry wysiadła z wózka przy elektronicznym punkcie informacyjnym na poziomie komunikacji międzynarodowego portu lotniczego. Kierowca postawił jej torbę na ziemi, zawrócił z hałasem i odjechał.

Zebrała się w sobie, słysząc tupot wielu malutkich stóp, pędzących w jej kierunku. Na moment, niczym w zaaranżowanej naprędce grze w „głupiego Jasia”, otoczyły ją rozkrzyczane dzieci, by po chwili włączyć się w szemrzący tłum. Z czyichś słuchawek dobiegał blaszany głos Eltona Johna, jakaś para sprzeczała się o to, kto powinien teraz robić zdjęcia, a policyjna krótkofalówka donosiła o wypadku na parkingu godzinowym.

Hałaśliwa syrena oznajmiła uruchomienie taśmociągu bagażowego i w jednej chwili tłum rzucił się w jego kierunku. Ktoś potracił Sherry, zatoczyła się, lecz mocne dłonie chwyciły ją i przytrzymały.

— Wybacz, moje dziecko — zaśmiała się zakonnica. — Bóg z tobą!

Od otwierających i zamykających się drzwi wejściowych ciągnął chłód. Sherry miała na sobie czarne spodnie, czerwony wełniany żakiet i praktyczne obuwie.

Z przeciwległej strony punktu informacyjnego przyglądał się jej

rozczochny mężczyzna w długim, czarnym płaszczu. Stał z rękami w kieszeniach, usiłując skupić się na twarzach ludzi stłoczonych wokół taśmociągu, jednak jego wzrok zbaczał wciąż ku Sherri. Przepiękna, myślał, wprost przepiękna. Powrót do obserwacji tłumu wymagał nie lada wysiłku.

Przy taśmociągu dostrzegł kilka potencjalnych kandydatek, z których jedna wyjątkowo dobrze pasowała do postaci, jaką sobie wyobrażał. Miała na sobie kostium w stylu safari, na nogach pionierki, a długie rude włosy spłótła w gruby warkocz. Jedną z dwóch kolejnych kandydatek była platynową blondynką ubraną w czarny kombinezon i szpilki, druga natomiast miała fioletowy dres, buty do biegania oraz popielate włosy związane w kucyk.

Mężczyźnie przyszło do głowy, że młody pan Torlino mógł przecież poszukać czegoś na temat tej kobiety w Internecie, może nawet znaleźć jakieś zdjęcie. Jednak zarówno on sam, jak i Torlino z ostatnich czterdziestu godzin przespali najwyżej cztery, nic więc dziwnego, że nie mieli czasu na surfowanie po sieci.

Tłum wciąż kłębił się wokół taśmociągu, ludzie przepychali się, z trudem wyciągając bagaże. Mężczyzna w czarnym płaszczu rzucił kolejne ukradkowe spojrzenie na ciemnowłosą piękność przy punkcie informacyjnym. Podchodziły do niej różne osoby — w większości mężczyźni proponujący pomoc — jednak ona odprawiała wszystkich z olśniewającym uśmiechem. Ze wstydem stwierdził, że chciałby podejść i powiedzieć coś banalnego, tylko po to, by uśmiechnęła się właśnie do niego.

Ludzie zaczęli się rozchodzić parami i trójkami. Do kobiety w kostiumie safari podszedł brodacze w czapce w panterkę i odeszli razem, niosąc dwie plecione torby. Ta w szpilkach przywołała bagażowego z monstrialną walizą, w której mężczyzna w czarnym płaszczu zmieściłby całą swoją garderobę. Fioletowy dres opuścił zaś lotnisko w towarzystwie męża i trójki dzieci uczepionych jej



nogawek. Mężczyzna rozejrzał się po sali w poszukiwaniu samotnych kobiet. Na taśmociągu jeździły wciąż dwie walizki, w okolicy nie było jednak żadnej nowej kandydatki.

Coś okrągłego otarło się o jego stopę. Opuściwszy wzrok, ujrzał kędzierzawą główkę dziecka. Pulchną rączką sięgało po gumową piłkę, twarzą niemalże dotykając mankietów jego spodni. Przemknęło mu przez myśl, czy mały poczuł zapach śmierci na jego butach.

Przestąpił z nogi na nogę, z zażenowaniem wycierając buty w wykładzinę. Sięgnął do kieszeni, wycisnął z tubki kolejną miętówkę i włożył ją do ust.

Z ruchomych schodów korpulentna kobieta machała gorączkowo w jego kierunku. Miała tapirowane blond włosy i mocny makijaż. Z jej jednego ramienia zwisała torba na zakupy, w drugiej ręce wiercił się natomiast mały biały piesek.

— Hej, heeej! — zapiszczała, a on zamknął oczy, zastanawiając się, czy jego pomysł nie był zbyt rozpaczliwy.

Po chwili minął go flejtuchowaty człowiek w słomkowym kapeluszu, pędzący, by przywitać się z jejmością. Mężczyzna odechnął z ulgą i ponownie zwrócił wzrok w stronę punktu informacji.

Czy coś ją zatrzymało, gdy wysiadała z samolotu? Może źle się poczuła i poszła do toalety? A może czekała na niego w innej części lotniska? Domyślał się, że jest tu więcej elektronicznych punktów informacyjnych, ale przecież wskazał konkretnie ten na poziomie komunikacji.

Tutaj była zaś tylko ta piękna kobieta w czerwieni, cierpliwie czekająca na kogoś, kto miał ją odebrać.

Elektroniczny głos oznajmił, że samochody pozostawione bez nadzoru zostaną odholowane, a bagaże — usunięte. Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym ruszył w stronę kobiety. Na jego twarzy malowała się mieszanka niepewności i zawstydzenia. Ona stała wyprostowana, z wysoko podniesioną głową i opuszczonymi

rękoma. Był w niej spokój, przy którym cały ruch wokół zdawał się zamierać

Zobaczył, jak obraca głowę. Z jej twarzy odczytał, że odnotowała jego obecność.

— Bardzo panią przepraszam — zaczął, natychmiast się rumieniając. — Pani Moore?

— Sherry — odparła, wyciągając ku niemu wolną dłoń. W drugiej ścisnęła długą białoczerwoną laskę. — Kapitan Karpovich?

Zrobił krok w tył, przykrywając usta dłonią.

Jej grube kasztanowe loki z wdziękiem opadały na ramiona. Ciemnoczerwone łuki ust doskonale współgrały z barwą jej żakietu. Miała pełne, krągłe piersi, była wysoka — i oszałamiająco zmysłowa.

Ręką trzymającą białoczerwoną laskę odgarnęła kosmyk włosów. Gdy ją opuściła, laska ponownie dotknęła ziemi. Mężczyzna pośpiesznie ucisnął wyciągniętą dłoń i poczuł jej ciepło.

— Proszę mi mówić Edward — rzekł. Jej uroda i kalectwo kłóciły się ze sobą, tworząc mieszankę, która rozdzierała serce. Nieświadomie przykrył dłoń kobiety swoją własną, głaszcząc ją delikatnie. Przypuszczał, że Sherry może mieć trzydzieści kilka lat.

— Proszę mi wybaczyć. Nie spodziewałem się, że pani... no... podjedzie meleksem.

— Nic nie szkodzi, Edwardzie — odrzekła pogodnie. — Ktoredy teraz?

Chwycił lekką torbę i wziął Sherry pod rękę, na jedną chwilę całkiem zapominając o swej misji. Z dumą poprowadził ją ku rozsuwanym drzwiom.

— Nasz samochód jest tuż przy wyjściu.

— Strasznie zimno — poskarżyła się.

— W górach — odrzekł, gładząc ją po ramieniu — często wieje i pada.

— Paskudnie — uśmiechnęła się, a on pogłaskał ją mocniej.

Gdy drzwi się rozwarły, w twarz uderzył ich przenikliwy chłód.

Przy krawężniku stał czarny sedan z włączonym silnikiem. Miał rządowe oznaczenia oraz imponujący zestaw anten. Nad bagażnikiem unosiła się biała smużka spalin. Edward położył torbę na tylnym siedzeniu, pomagając Sherry usadowić się obok.

Wewnątrz samochodu było ciepło. Kobieta poczuła zapach wody kolońskiej kierowcy.

— Mike Torlino — powiedział głos. Wyczuła rękę wyciągniętą w jej kierunku.

— Sherry Moore — odrzekła z uśmiechem, ściskając jego dłoń.

Starszy z mężczyzn usiadł na siedzeniu pasażera. Torlino cofnął dłoń i potrząsnął nią, jakby właśnie się oparzył.

— G-O-R-A-C-A L-A-S-K-A — powiedział do Edwarda, bezgłośnie poruszając ustami, w odpowiedzi napotkał jednak lodowate spojrzenie.

— Fatalnie się ubrałam na tę pogodę — stwierdziła Sherry. — W Filadelfii było piętnaście stopni.

— Chłód ciągnie znad jeziora Erie. — Torlino pochylił głowę, by spojrzeć w boczne lustro, i włączył się do ruchu. — Przez ostatnią godzinę ochłodziło się o pięć stopni. Zostaje pani w Pittsburghu na noc?

Wsteczne lustro ustawił tak, by widzieć jej twarz.

— Planowałam na wieczór wrócić do domu, jeśli tylko skończymy na czas — odparła.

— Odwieziemy panią w porę. — Karpovich spojrział gniewnie na partnera. Przełożył ramię przez oparcie i obrócił się ku niej. — Będzie pani miała masę czasu.

Ruszyli na południe drogą numer 90, zjeżdżając z autostrady na wschód do Donegal, w rejon pól uprawnych. Sherry oparła czoło o zimną szybę. Wsłuchana w deszcz i rytmiczny odgłos pracujących wycieraczek, rozmyślała o swych koszmarach. Wszystkie zaczynały się niewinnie i wszystkie kończyły straszliwie. Twarz pojawiająca

się w przedniej szybie trwała w jej pamięci, wyraźna, choć zamazana, znajoma, choć nieznaną.

W koszmarach siedziała w samochodzie, podczas gdy ktoś naciągał jej na głowę czerwony rybacki sweter, o kilka rozmiarów za duży, cuchnący potem i benzyną. Nagle rozlegał się krzyk i tuż przed nią o szybę uderzała z impetem twarz kobiety. Sherry patrzyła w jej zielone, przerażone oczy i widziała, jak z rozciętej wargi cieknie krew, rozmazując się szkarłatem po bladym policzku.

Zaraz potem pęd odrywał twarz od szyby, a zimny deszcz zmywał ślady krwi.

Tej zimy koszmary były gorsze — częstsze i gwałtowniejsze. Mówiono jej, że cierpi na wszelkie możliwe dolegliwości, od parosomnii po nerwicę pourazową, zawsze zastrzegając przy tym, że nikt tak naprawdę nie jest w stanie przewidzieć skutków ubocznych jej pracy.

Torlino skręcił delikatnie, by ominąć coś na drodze. Jej głowa przesunęła się po zimnym szkle, budząc ją z zadumy. Musiała przyznać, że dobrze było wyrwać się dziś z domu, dobrze było myśleć o czymś innym niż koszmarne sny.

— Jak jest na dworze? — spytała, w zamyśleniu skubiąc płatek ucha.

— Deszcz zmienia się w śnieg — odrzekł Karpovich.

Gdy przycisnęła czoło do szyby, słyszała stukot drobinek lodu.

Karpovich mówił jednak dalej. Głosem kojącym i cierpliwym opisywał pola niczym wytrawny gawędziarz. Wyczuwała, że jest zmęczony, a jednak nie oszczędzał jej żadnego szczegółu. Przypominał jej tym pana Brighamą, sąsiada, który przez tyle samotnych nocy odczytywał jej listy. Zastanawiała się, czy z talentu Edwarda korzysta jakaś nieszczęsna, przykuta do łóżka istota.

Wzgórza były kamieniste, a gospodarstwa — ubogie. Krowy i owce brodziły po kolana w błocie. Sznury zeszłorocznych lampek

bożonarodzeniowych wieńczyły okna i werandy starych domostw. Sherry próbowała sobie wyobrazić te gospodarstwa. Zapach płonących kominków, nieposłane łóżka, naczynia z resztkami jajecznicy i masła jabłkowego, kurtki na drzwiach pachnące potem i smarem maszyn, buty uwalane w oborniku.

Po jakimś czasie teren się wyrównał, falując łagodnie u stóp góry Laurel. Gospodarstwa rolne ustąpiły miejsca bujnym pastwiskom, otoczonym eleganckimi płotami wiejskich posiadłości. Piękne konie w zielonych i błękitnych kapach spokojnie skubały trawę.

Do jednej z takich posiadłości zajechali, skręcając ostro pomiędzy dwa kamienne słupy z wyrzeźbioną nazwą Oak View. Wóz wspinał się krętą drogą w kierunku parterowego domu z widokiem na pofałdowany płaskowyż. Na podjeździe stał oznakowany radiowóz, a na trawniku — biała furgonetka.

Torlino zaparkował auto obok radiowozu. Karpovich odwrócił się w kierunku tylnego siedzenia.

— Czy dać pani coś do zastąpienia nosa?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Poradzę sobie.

Stojący w drzwiach policjant przyglądał się im z zaciekawieniem, gdy wchodzili do środka.

— Przejdziemy przez strefę dzienną, a potem po kilku schodkach zejdziemy do kuchni — powiedział łagodnie Karpovich. — Dam pani znać, gdy będziemy na miejscu. Gotowa?

— Tak — odparła. — Chodźmy.

Dom przesycony był zapachem stęchlizny. W powietrzu unosił się charakterystyczny odór śmierci.

— Znalezione ich ponad miesiąc po śmierci — powiedział Karpovich. — Ciało żony leżało w sypialni, tam z tyłu.

— Czy ma pan przy sobie list?

— Mam — odrzekł. — Przeczytać go pani?

— Poproszę, Edwardzie.

Podobało mu się, że mówi do niego po imieniu.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, by wyjąć z niej kartkę wielkości pocztówki z tekstem przepisany od ręcznie z oryginału. Włożył na nos okulary i zaczął czytać.

Niedługo marzec. Maggie lubiła marzec, lubiła zapraszać sąsiadów tuż po pierwszych wiosennych porządkach. Ale to było wiele lat temu. Przestaliśmy spotykać się z ludźmi. A może to oni przestali się spotykać z nami?

Oczywiście wiecie, że cierpiała na depresję. Przez lata błagała mnie, żebym odebrał jej życie. Byłem zbyt wielkim egoistą, by pozwolić jej odejść przede mną. Zmusiłem ją, żeby czekała, aż nadejdzie mój czas.

Chcę jednak wyznać wam coś jeszcze. Nazywała się Karen Koontz. W swoich archiwach znajdziecie informację, że zaginęła na początku lat siedemdziesiątych. Zmarła, tu na farmie. Szukała jej siostra, przyprowadziła policję. Musiałem kłamać. Nie chciałem narobić sobie kłopotów ze stażem.

Kochała farmę i zwierzęta. Proszę, urządźcie jej godny pochówek i postawcie nagrobek. Po tych wszystkich latach w polu zasługuje na ładny nagrobek. Siedząc w fotelu, często patrzyłem w tamtą stronę i rozmyślałem nad tym, żeby zrobić to samemu, ale Maggie nic o niej nie wiedziała. Nie mogła się o niczym dowiedzieć. Bardzo by ją to zmartwiło.

Facetów od medycyny sądowej zainteresuje, że zmarła wskutek uduszenia. Opaskę uciskową wciąż będzie miała na szyi. Eksperymentowaliśmy z seksem i narkotykami, sprawy wymknęły się spod kontroli. Zdaje się, że można by to nazwać wypadkiem z braku umiaru. Życie jest niewiarygodnie kruche, nieprawdaż?

Mój testament pokrywa wszystkie wydatki. Jeśli chodzi o mnie i Maggie, mamy miejsca na cmentarzu w Easthampton

w Massachusetts. O szczegóły pytajcie mojego adwokata. Jeśli to tylko możliwe, proszę, żebyście zadbali o wspólny pogrzeb.

Jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie, przykro mi, że wszystko tak się skończyło.

dr med. Donald S. Donovan

Karpovich zdjął okulary i schował je do kieszeni.

— Od próby o godny pochówek dla dziewczyny przechodzi gwałtownie do ustaleń w sprawie żony i siebie samego. Nie pisze, gdzie zakopał zwłoki. Wygląda na to, że przed śmiercią urwał mu się wątek.

— Wyobrażam sobie, że przeżywał ogromny stres.

— W rzeczy samej — odparł Karpovich. — Na pewno przeżywał. Proszę pani, to pole ma sześćdziesiąt hektarów.

— Próbowaliście podczzerwieni?

— Ciało zbyt długo leży w ziemi — odpowiedział.

— Zidentyfikowaliście ją?

— Karen Koontz zaginęła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, dwa lata po tym, jak Donovan kupił tę farmę. Według jej siostry spotykali się od kilku miesięcy. Ona była kelnerką na lotnisku Westmoreland, a on uczył się pilotażu, więc prawdopodobnie właśnie tam się poznali. Pewnego dnia do siostry zadzwonił ktoś z restauracji. Powiedział, że Karen przestała przychodzić do pracy. Nie odebrała nawet wypłaty. Siostra próbowała dodzwonić się do doktora, ale on nigdy nie podnosił słuchawki. Kiedy nabrała podejrzeń, opowiedziała o wszystkim policji. Uznali Karen za zaginioną, co w owych czasach oznaczało, że cała sprawa niewiele ich interesuje. Nie mieli powodu, by przeszukać farmę, więc minęły tygodnie, zanim poprosili doktora, by pozwolił im się rozejrzeć.

— I nikt jej już nigdy nie widział?

— Nikt. Władzom było na rękę, że sprawa ucichła. Może sobie

pani wyobrazić, jak trudno byłoby uzasadnić przekopanie całego pola na podstawie tak wątych poszlak. Siostra dziewczyny zmarła wiele lat temu. Była ostatnią żyjącą krewną. Ponieważ doktor też już nie żyje, nawet gdybyśmy ją teraz znaleźli, nie byłoby komu postawić zarzutów. Innymi słowy, Pensylwania ma w głębokim poważaniu, czy ona tutaj zostanie.

— Jednak pana to martwi, Edwardzie — powiedziała łagodnie Sherry.

Mężczyzna zakasłał i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— Przez ostatnie trzydzieści lat niejedna osoba była mi winna przysługę. Żeby tu panią dziś sprowadzić, musiałem skorzystać z większości z nich. Rodzina czy nie rodzina, dziewczyna nie zasługuje na to, by zostawić ją w polu.

— Dobrze — odrzekła, nabierając sympatii do starszego mężczyzny. — Czy on ma odkryte dłonie?

— Prawa zwisa przez oparcie fotela. To ta, z której wypadł pistolet.

— Postawi pan obok niego krzesło?

— Proszę pani, jego ciało jest w stanie rozkładu.

— Tak — odparła. — Wyobrażam sobie.

— Skoro tak...

— W porządku — stwierdziła. — Zatem możemy wziąć się do roboty.

Otworzył drzwi. Z wnętrza buchnął odór. Sherry słyszała stuk okiennic, jednak chłodne powietrze z dworu nie łagodziło potwornego smrodu.

— Jeszcze dziesięć kroków — powiedział Karpovich. Sięgnął po krzesło, postawił je obok ciała i pomógł jej usiąść. — Będę przy drzwiach. W razie potrzeby proszę mnie zawołać.

Obserwował ją przez uchylone drzwi, niepewny, czego się spodziewać. Po kilku minutach Sherry przechyliła głowę, a mężczyźni zdało się, że z jej ust dobiegł cichutki jęk.

Ściany pomalowane były na kolor czerwonobrunatny. Ciężkie meble z ciemnego drewna i spękanej skóry pokrywała gruba



warstwa kurzu. Karpovich wiedział, że tego widoku nie zapomni aż do dnia swej śmierci: piękna niewidoma trzymająca za rękę gnijącego trupa. To było nierealne.

■ ■ ■

Umyła ręce w kuchennym zlewie, wycierając je w papierowe ręczniki.

— Jeśli to możliwe, chciałabym pójść na pole.

— Oczywiście — odparł Karpovich zachrypniętym głosem. Poprowadził ją do wyjścia, mijając Torlino i policjanta.

Zanim zamknął drzwi, podniósł dłoń z pięcioma wyciągniętymi palcami. Torlino kiwnął głową.

— Pani jest zmarznięta — powiedział, chwytając jej dłonie i wkładając w nie swoje rękawiczki.

— Dziękuję, kapitanie, ale co z panem? — spytała.

Pogładził ją po ramieniu.

— Pole zaczyna się tu za domem i ciągnie się aż do stóp góry. Nie widać stąd nawet najbliższych sąsiadów.

Kichnął i sięgnął po chusteczkę, by wydmuchać w nią nos.

— Trzydzieści metrów stąd rośnie kępa drzew. W połowie drogi stoi betonowe koryto na wodę dla bydła. Od lat nie ma tu zwierząt, ale na polu wciąż widać ślady ich ścieżek.

Sherry spojrzała przed siebie.

— Niech pan zaprowadzi mnie do drzew, Edwardzie.

— Proszę pani, trawa jest bardzo wysoka. Przemoczy pani nogi.

— Nie szkodzi — zrobiła krok naprzód, a on jednym susem dogonił ją, chwytając za ramię, z obawy że kobieta wywróci się na nierównym podłożu. Szli dość niezdarnie, czubek jej laski zrywał kępki darni, a do butów kleiły się trawa i siano.

— W jakim stanie jest teraz dom? — spytała. — Mówił pan, że od dawna nikt o niego nie dba.

— Sprawia wrażenie, jakby jego mieszkańcy nie żyli od pięciu lat. Mniej więcej wtedy Donovan odszedł ze szpitala i sprzedał zwierzęta. Zdaniem sąsiadów stali się samotnikami.

Nawet listonosz nie widywał ich całymi miesiącami. W każdym pokoju pełno jest kurzu i śmieci. Brakuje wielu dachówek, przez dziury hula wiatr. Patio i basen całe są popękane, w szczelinach rośnie trawa.

Ostry podmuch sypnął im w twarz lodowymi igiełkami. Sherry przystanęła, odwracając się od wiatru. Po chwili znów ruszyła ku zagajnikowi, wdzięczna za rękawiczki ogrzewające jej dłonie.

— Wejdźmy w zagajnik — poprosiła. — Jeśli pan pozwoli, chciałabym tu przez moment zostać sama.

■ ■ ■

— Ładniutka — stwierdził Torlino. Przeszedł przez bramę, by dołączyć do partnera.

— Rzekłbym, że piękna — odparł Karpovich. Stał oparty o furtkę, dysząc ciężko po marszu pod górę. Zmarznięte dłonie schował w kieszeniach.

— Taka sztuka... Aż przykro patrzeć. Nie wiesz, co jej się stało?

Karpovich spojrział mu w twarz.

— Nie pytałem.

Widzieli, jak bada ziemię wokół siebie, tupiąc i ostukując otoczenie laską. W końcu przywarła plecami do drzewa i zdawała się patrzeć w ich kierunku. Nagle zaczęła się osuwać. Karpovich rzucił się ku niej, zbyt późno dostrzegając, że jedynie przykucnęła, wciąż oparta o pień.

Zmieszany spojrział na młodszego partnera, który udał, że niczego nie zauważył.

— Co tam się stało? — spytał Torlino.

— Trzymała go za rękę — odrzekł Karpovich matowym głosem.

Torlino podniósł wzrok.

— Żartujesz.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

— I tyle? Nic nie powiedziała?

— Jeszcze nie.

Torlino spojrział na kobietę i wskazał palcem w jej kierunku.

— Co ona teraz robi?

— Chciała pozostać sama pod drzewami — powiedział Karpovich. Zachodni wiatr wciąż niósł śnieg ze stoków góry Laurel. Białe płatki spadały im na włosy i ramiona, by w chwilę później stopnieć. — Przynieś nam parasole, Mike.

Torlino przewrócił oczami i ruszył w stronę samochodu.

■ ■ ■

Sherry przykucnęła. Słyszała bicie swego serca. Czowała oddech skraplający się na twarzy. Zapamiętana woń gnijącego ciała mężczyzny drażniła zatoki, na języku miała jej smak. Zdjąwszy rękawiczkę, namacała korzenie dębu za swoimi plecami. To właśnie było najgorsze w jej pracy: interpretowanie obrazów, które ujrzała.

Karpovich mówił, że koryta przeznaczone było dla krów, nie dla owiec. Jednak gdy trzymała doktora za rękę, widziała u swych stóp owce i wyraźnie czuła ich zapach. Dlaczego były tak ważne w ostatnich sekundach jego życia?

Chwyciła się pnia i wstała.

W nodze poczuła skurcz, a palce odkrytej dłoni były przemarznięte. Zaczęła je zginać i rozginać, a gdy usłyszała ciężki oddech Karpovicha, naciągnęła rękawiczkę.

— Proszę, pomogę pani — powiedział, biorąc ją pod rękę. Nad głową wyczuła parasol. Przytuliła się do starszego mężczyzny, by ogrzać się jego ciepłem.

— Czy moglibyśmy podejść do koryta? — spytała.

Zaprowadził ją tam. Pochyliła się nad zbiornikiem, opierając uda o zimny, szorstki beton.

— Jest dość wysokie — powiedziała. — Za wysokie, by mogły z niego pić owce, prawda?

— Tak. — Karpovich spojrział na nią zdziwiony. — Chyba za wysokie.

Stała tam, wpatrzona przed siebie, w stronę Gór Błękitnych, jak gdyby naprawdę mogła je dostrzec.

— Wiem, gdzie jest dziewczyna — powiedziała w końcu.

■ ■ ■

Jak na marzec, na lotnisku panował tłok. Wszystkie stoliki w niewielkiej filii restauracji T.G.I. Friday's w pobliżu ruchomego chodnika w skrzydle C były zajęte. Torlino pił jasne piwo, a Karpovich — imbirowe. Sherry wodziła palcem po oproszonej solą krawędzi szklanki z margaritą.

— Naprawdę nie musicie ze mną czekać — powiedziała. — Bramka jest zaraz po drugiej stronie korytarza.

— Nie ruszyłbym się stąd za żadne skarby, proszę pani — odparł Karpovich. — Chcę pani jeszcze raz podziękować za wszystko, co pani dla nas zrobiła.

— Proszę nie przypisywać mi żadnych zasług — ostrzegła. — Za wcześnie na to. Nie zawsze jest tak, jak sobie wyobrażam. Być może nie znajdziecie jej, choć będziecie tam kopać cały tydzień.

Karpovich się uśmiechnął.

— I tak cała przyjemność po mojej stronie — powiedział serdecznie.

— Czytałem o pani roli w sprawie Norwich — odezwał się Torlino.

Karpovich, który przez lata uczestniczył w tysiącach przesłuchań, wychwycił ledwo dostrzegalny tik w kąciu jej ust. Ten temat ją kępował.

— Czy może nam pani powiedzieć, jak pani to robi? — spytał Torlino.

Starszy z mężczyzn chciał mu przerwać, ale pochyliła się ku Mike'owi, jakby zmiana tematu była jej na rękę.

— Powiem panu, co wiem od lekarzy — splotła dłonie na stole. — W dzieciństwie doznałam urazu głowy, który spowodował ślepotę korową. To znaczy, że nerwy wzrokowe nie są uszkodzone, ale coś w korze mózgowej zakłóca ich działanie.

Doznałam też amnezji wstecznej, czyli nie pamiętam wypadku ani niczego, co go poprzedzało. Mam w mózgu nadmierne wyładowania neuronów, ale nie mam ataków padaczki.

Jej uśmiech jest rozbrajający, pomyślał Karpovich. Nie było w niej ani grama tej specyficznej martwoty zwykle spotykanej u niewidomych. Jej oczy zachowywały wrażliwość na światło i spod przyciemnionych szkieł wyglądały dość zwyczajnie. Kierowała twarz w stronę rozmówcy i dużo gestykulowała.

— Pewnego dnia, gdy byłam mała, w domu pogrzebowym dotknęłam dłoni zmarłej dziewczynki i zobaczyłam obce obrazy. Kiedy sytuacja powtórzyła się wiele lat później, tym, co ujrzałam, było morderstwo. W sprawę włączyła się policja i z grubsza potwierdziła moją wersję. Wieść się rozeszła i wkrótce zaczęli się do mnie zgłaszać ludzie z prośbami o pomoc. Jak mi powiedziano, z naukowego punktu widzenia można stwierdzić, że podłączam się do pamięci krótkotrwałej zmarłego.

— Mhm... — wymamrotał Torlino, wpychając do ust precla.

— Pamięć krótkotrwała mieści się w przednim płacie mózgu. Za każdym razem, gdy w sklepie spożywczym porównuje pan pudełka z płatkami śniadaniowymi, czerpie pan informacje z zasobów pamięci, przenosząc je do pamięci krótkotrwałej, żeby ułatwić panu podjęcie decyzji. W pamięci krótkotrwałej znajduje się wyłącznie to, o czym myśli pan w danym momencie — około osiemnastu sekund informacji. Jeśli więc przyglądając się opakowaniom płatków, miałby pan zawał, w pamięci krótkotrwałej zachowałby pan zapewne strzępki napisów z pudełek, a także twarze ludzi biegnących w pana kierunku i próbujących panu pomóc. Być może znalazłby się tam również obraz kogoś bliskiego albo na przykład lekarza rodzinnego. Jeśli natomiast zostałby pan zastrzelony, zapewne skupiłby się na twarzy mordercy. Każdy obraz przywołany w ciągu tych osiemnastu sekund — dajmy na to twarz ukochanej osoby — wypiera z niej coś innego.

Pociągnęła łyk ze szklanki i otarła usta serwetką.

— No dobrze — powiedział Torlino. — Czyli to coś w stylu pamięci RAM w komputerze.

Sherry skinęła głową.

— Owszem, coś w tym stylu.

— Ale jak to możliwe, że pani do niej dociera?

— Można powiedzieć, że domykam obwód elektryczny — rzekła, poruszając palcami. — Podobnie jak pan mam w sobie ładunek elektryczny. Ciało każdego z nas od stóp do głów pokrywa sieć milionów receptorów. Jeśli się tylko o coś otrzemy, receptory przekażą sygnał neuronom, które z kolei wyślą go do mózgu, gdzie zostanie zinterpretowany. To mózg mówi nam, że coś jest ciepłe, zimne, tępe, ostre... Wszystko, czego dotykamy, zupełnie jak alfabet Braille'a, z którego korzystam, zostaje zinterpretowane przez różne części mózgu i umieszczone w pamięci krótkotrwałej, czyli roboczej, by w czasie rzeczywistym umożliwić ocenę sytuacji.

Nabrała powietrza.

— Kiedy moje receptory skórne dotykają receptorów martwej osoby, mój żywy układ elektryczny, czyli ośrodkowy układ nerwowy, łączy się z obwodami ośrodkowego układu nerwowego zmarłego i w ten sposób podpinam się pod jego mózg.

Kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku obróciła się w ich kierunku.

Torlino zniżył głos i pochylił się ku Sherry.

— Jak wygląda cudza pamięć?

Wzruszyła ramionami i przekrzywiła głowę.

— Jest jak amatorski film wideo, ale w przypadku każdego człowieka całkiem inny. Pewnego razu zobaczyłam tylko słowa na kartkach książki. Ta osoba ostatnie osiemnaście sekund swojego życia spędziła całkowicie pogrążona w lekturze. Za zwyczaj gdy ludzie są pod wpływem stresu, niespodziewanie przeskakują od myśli do myśli. Jednak zwykle łatwo stwierdzić, które z nich dotyczą teraźniejszości, a które nie. Ale czasem jakieś wspomnienie z przeszłości może być tak silne, że ta rzecz

lub osoba, o której myślał zmarły, zdaje się stać tuż przede mną. Wtedy cała sztuka polega na odróżnieniu aktualnych wydarzeń od wspomnień umierającego człowieka. Położyła dłonie na blacie stołu.

— W każdym razie obrazy przemykają, tu sekunda, tam dwie, aż do wyczerpania całych osiemnastu. Osiemnaście sekund to bardzo dużo czasu — kciukiem wskazała na korytarz za nimi. — Niech się pan zastanowi, o czym pan myślał przez ostatnie osiemnaście sekund i jak by to wyglądało na filmie. Bez wątpienia myślał pan o tym, co mówię, w pana pamięci znalazłaby się zapewne moja twarz. Ale co jeszcze zaprzętało panu umysł? — Uśmiechnęła się. — Być może myślał pan o tej stewardesie, która właśnie nas minęła, więc w pana pamięci pozostałaby jej twarz albo inna część ciała.

Torlino uśmiechnął się i przewrócił oczami.

— Jeśli uciekł pan myślami do jutrzejszej wizyty u dentysty, być może wyobraził pan sobie jego twarz albo fotel w gabinecie. A może myślał pan o wczorajszej randce? Zapewniam pana, że nie wszystko, co widzę, nadaje się dla dzieci. Czy wyobraża pan sobie próbę interpretacji tych wszystkich obrazów bez żadnego kontekstu? Powiedzmy, że strzelono panu w plecy. Zobaczyłabym kobiety, o których właśnie wspomniałam, ale nie miałabym dostępu do pana wiedzy o tym, kim one są. Nie wiedziałabym, czy któraś z nich jest pana żoną, siostrą czy może pana zabójczynią, chyba że zobaczyłabym, jak pana zabija. I to są te łatwe przypadki. Gdy śmierć przychodzi powoli, w ostatnich sekundach życia w umyśle człowieka pojawia się mnóstwo obrazów, których znaczenie trudno oszacować. Umierający często zapomina o chwili obecnej, wspominając w zamian dawnych przyjaciół, rodzinę, utraconą miłość. Wszystko to pojawia się w jego pamięci. Często są to rzeczy, o których nie wiedział nikt poza nim.

— Mówi pani o obrazach. Nie czyta pani myśli, po prostu tylko widzi obrazy?

Z uśmiechem skinęła głową.

— Ironia losu, nieprawdaż? Niewidoma kobieta widząca obrazy.

Torlino uśmiechnął się i spojrział w sufit. Następnie energicznie potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli.

— Nie — odparł. — Raczej niewiarygodne.

Sherry podniosła szklankę, przycisnęła doń palec i pokazała rozmówcom.

— Kto by dwieście lat temu pomyślał, że można będzie rozpoznać człowieka po odcisku jego palca na ścianie szklanki? Kto by pięćdziesiąt lat temu pomyślał, że zapis całego naszego bytu znajduje się w tłuszczu, z którego powstał ten odcisk?

Odstawiła szklankę i złożyła dłonie.

— Jeśli mózg jest urządzeniem bardziej złożonym niż każdy komputer, jaki kiedykolwiek będzie nam dane skonstruować, a sądzę, że nie korzystamy nawet z dziesięciu procent jego mocy, to czy przy odpowiednich warunkach nie mógłby się on podłączyć do systemu innej osoby i odczytać z niego danych? Przecież dla komputera jest to dość proste zadanie.

— Chce pani powiedzieć, że pani mózg działa jak EEG albo coś w tym stylu, tyle że zamiast fal elektrycznych odczytuje pani obrazy?

— Nie wiem nawet, czy jest to aż tak skomplikowane. Ale owszem — skinęła głową — można tak powiedzieć.

Stuknęła palcem w stół.

— Wierzę, że w chwili śmierci suma wszystkich naszych przeżyć zostaje wyryta w mózgu. Proszę sobie wyobrazić, że ludzki mózg jest nasycony danymi jak twardy dysk, który wyrzucamy, gdy okazuje się zbyt mały do naszych potrzeb. Fakt, że potrafimy odczytać ostatnie kilkanaście sekund tych informacji, w ogóle mnie nie zaskakuje.

— Więc dlaczego nie widzi pani takich obrazów zawsze, gdy podaje pani komuś rękę? — spytał Torlino.

— Niech się pan nad tym zastanowi — odparła, kręcąc głową.

— Jeśli do żywego układu nerwowego dotarłyby bodźce zewnętrzne, byłby zmuszony je odrzucić. Kieruje nim instynkt samozachowawczy,



a to oznacza dążenie do utrzymania zamkniętego obiegu. Innymi słowy, nie dopuściłaby do tego sama natura — pokiwała palcem. — Ale jeśli wyłączy się zasilanie, układ stanie otworem.

— Czy pani dar ma jakieś skutki uboczne? To znaczy, jak kończą się te wizje? — zapytał Torlino.

Sherry zacisnęła dłoń w pięść. Uśmiechnęła się. Skrzyżowała łydki, by zaraz ponownie je wyprostować.

Kolejne niewygodne pytanie, pomyślał Karpovich.

— Skutki uboczne? — powtórzyła. Oparła łokcie na stole i splotła dłonie, zdając się rozmyślać nad pytaniem Mike'a.

Jak one się kończą? To w istocie bardzo dobre pytanie. Jak mogłabyś zapomnieć odgłos ziemi osypującej się na twoją trumnę, gdy zakopywano cię żywcem? Jak mogłabyś zapomnieć smak plastikowej rury w ustach, błysk u wylotu lufy wycelowanej prosto w ciebie albo moment, gdy samolot uderza w ziemię? Czy mogłabyś zapomnieć, jak to jest popełnić błąd za cenę życia?

— Szczerze mówiąc, nie ma żadnych skutków ubocznych — powiedziała.

Nawet teraz łamała polecenia lekarza. „I co, Sherry? Zaczynasz płacić za te swoje horrorki, nieprawdaż?”. Nigdy nie pochwalał jej zajęcia. Uważał, że wyrządza sobie szkodę, jakiej nikt nie potrafił sobie wyobrazić. Mówił, że jej praca jest sprzeczna z naturą, a to, że już jest ślepa, nie oznacza, by nie mogło jej się przytrafić coś jeszcze gorszego.

Wiedziała, co miał na myśli — ten jej nerwowy tik w kąciku ust, koszmary i obsesje. „Zrozum, Sherry. Nerwica pourazowa może prowadzić do wielu odmian psychozy. Nie możesz ignorować skutków ubocznych”.

Ale przecież ze złożonymi uczuciami muszą sobie na co dzień radzić tysiące osób. Gliniarze, ratownicy, żołnierze — oni wszyscy zmagają się z potwornymi wspomnieniami. Cóż z tego, że ona widzi je oczyma ofiar. To tylko wspomnienia, a od wspomnień nikt jeszcze nie umarł.

Co więcej, myśl o porzuceniu tego zajęcia przerażała ją jeszcze bardziej.

W dzieciństwie, kiedy mieszkała w sierocińcu, marzyła o tym, by zostać kimś ważnym, jakąś niezwykłą kobietą, którą wszyscy by szanowali, kimś takim jak lekarze, politycy czy astronauty z jej podręczników. Chciała iść na studia i odkrywać nowe teorie. Chciała zrobić dla świata coś wyjątkowego, coś znaczącego.

Ale to było tylko marzenie. W rzeczywistości była sierotą bez grosza przy duszy. Co gorsza, była ślepą sierotą bez przeszłości. Patrząc, jak inne dzieci przychodziły do sierocińca i odchodziły zeń, szybko zrozumiała, że niewidomej sieroty bez wspomnień nikt nie adoptuje. Wiedziała, że bez wsparcia finansowego, jakie dać jej mogli tylko rodzice, nigdy nie zrealizuje swoich marzeń.

Ironia losu, że dopiero teraz, gdy Sherry stała się w miarę sławną i miała dość pieniędzy, by pozwolić sobie na studia, uniwersytety prześcigały się w propozycjach, a lekarze i naukowcy ustawiali się w kolejce, żeby ją badać, kształcić, a nawet ratować przed samą sobą.

Nie. Bez niczyjej pomocy zaszła już tak daleko. Na własną rękę spełniła swoje marzenie i nie miała zamiaru teraz się cofać, nie miała zamiaru żyć w ciemności ani iść przez życie w strachu. Zmierzy się z życiem z podniesionym czołem, nawet kosztem własnej poczytalności.

Torlino wciąż kiwał głową, najwyraźniej pod wrażeniem wyrazu jej twarzy.

— Żadnych snów? — spytał Karpovich. Powiedział to tak cicho, tak delikatnie, że ledwie usłyszała, jak zadaje pytanie.

Odwróciła od nich uśmiechniętą twarz.

— Wszyscy mamy jakieś sny, Edwardzie. Panu śni się to, co widzi w pracy, a mnie to, co ja widzę. Nawet nasze ofiary mają sny. Doktor Donovan w ostatnich chwilach życia myślał o tamtym betonowym korycie, ponieważ myślał o nim niemal każdego dnia przez ostatnie trzydzieści lat. O nim i o owcach.

Wiem, mówił pan, że na farmie było bydło. Ale ja widziałam u swych stóp owce.

— Owce? — powtórzył Torlino.

Dopiła drinka.

— A jeśli bydło było tam tylko po to, by uzasadnić obecność koryta? A koryto tylko po to, by przykryć grób? Z inwentarza wynika, że Donovan miał na farmie odpowiednie maszyny, by same-mu postawić ten zbiornik.

— Ale po co miałyby sobie zadawać tyle trudu? — zapytał Torlino. — Dlaczego po prostu nie pochował tej dziewczyny pod lasem?

Karpovich położył dłoń na ramieniu towarzysza. Było mu głupio, że sam na to nie wpadł.

— Bo nie wiedział, kiedy pojawi się policja, i nie miał ochoty, żeby odkryła rozkopaną ziemię.

— Nie inaczej — powiedziała Sherry. — Zbiornik nie wzbudzał podejrzeń, ponieważ zwierzęta rozchlapwały wodę i rozdeptywały ziemię. Wyobraźcie sobie, jak ci policjanci rozglądają się po polach i zabudowaniach, a tuż przed ich nosem, piętnaście metrów od domu, wokół koryta kłębi się stado bydła, po kostki w błocie, zupełnie jakby było tam od lat. Któż mógłby pomyśleć, że jest inaczej?

— Więc o co chodzi z owcami? — spytał Torlino.

— Domyślam się — odparła Sherry — że zanim Donovan zamordował dziewczynę, na polach pasły się owce. Pewnie w chwili śmierci wspominał moment tuż po zabójstwie, gdy stał pośród owiec i zastanawiał się, co zrobić z ciałem. Wreszcie postanowił przykryć grób betonowym korytem, tak dużym i ciężkim, że bez użycia maszyn nie można go było ruszyć. Owce były zbyt małe, by z niego pić, więc sprzedał je i kupił bydło.

## 2

### **Niedziela, 10 kwietnia Texhoma Panhandle w stanie Oklahoma**

Tumany kurzu tańczyły w morzu traw, a poszarpane błyskawice co chwila przecinały grafitowe niebo. Nad horyzontem Oklahomy rozciągał się front burzowy, ciemne chmury kłębiły się i zlewały. Zdawały się brać siłę z niewyczerpanego źródła — rosły i ciemniały z każdą minutą.

Rozległ się dzwon kościelny — była to bowiem niedziela — i wszystkich, którzy zapragnęli uczestniczyć w nabożeństwie, poprowadzono z cel do kaplic różnych wyznań. Earl Oberlein Sykes, który nie odczuwał takiej potrzeby, przez zakratowane okno obserwował nadciągającą burzę.

Gdzieś w trzewiach budynku rozległ się brzęczyk, automatyczne drzwi się otworzyły i po chwili zamknęły, słychać było okrzyki, a następnie odgłos miarowych kroków.

Kwietniowy wiatr świszczwał w bastionach, łopotał we flagach. Szarpał haczykami na metalowych linkach, które uderzały o maszty. Stal monotonicznie pobrzękiwała o stal. Dźwięk przypominał Sykesowi takielunki na łodziach w porcie, w którym spędził młodość.

Budynek więzienny — czteropiętrowa forteca z czerwonej cegły o murach grubych na dwa metry — zwieńczony był zwojami drutu kolczastego oraz żarnikami tak gorącymi, że bez trudu stopiłyby klanrę od paska. Budowlę otaczały dwa rzędy sześciometrowego

plotu pod wysokim napięciem. W ogrodzenie, nad którym przecięgnięto trzy warstwy drutu kolczastego, wbudowany był system alarmowy reagujący na nacisk. Po wieżyczkach krążyli strażnicy uzbrojeni w karabiny snajperskie Sig Sauer. Wrażliwe na ciepło czujniki podczerwieni omiały każdy skrawek kompleksu więziennego. Wszystkie działały niezależnie i wszystkie niosły pewną śmierć.

Za murami rozciągały się tysiące kilometrów kwadratowych jałowych równin — ziemia niczyja bez znaków, dróg, światel, punktów orientacyjnych i bez nadziei na umknięcie helikopterowi w ciemności.

Sykes nie myślał już o murach ani o tym, co znajdowało się poza nimi. Oklahoma nie zaprzętała już jego umysłu.

Cofnął się i usiadł na łóżku. Jego bokserki — podobnie jak całe ciało — były mokre od potu. Skórę, na skutek braku słońca, miał ziemistą i wiotką. Na ramionach znajdowały się wyblakłe zielone tatuaże; na jednym widniał karzełek o złośliwym wyrazie twarzy, a na drugim — naga kobieta. Litery na kłykciach jednej ręki układały się w napis LOVE, a drugiej — HATE. Pod gadzimi powiekami kryły się zmętniałe brązowe oczy. Szyję przecinała wypukła, poszarpana blizna, która przywodziła na myśl glistę — ślad po tym, jak współwięzień próbował poderżnąć mu gardło wieczkiem od puszki po zupie. Za uchem dojrzywał brązowy, kalafiorowaty guz. Drugi, podobny, rósł w pachwinie. Na karku mężczyzna miał płat martwej skóry wielkości ćwierćdolarówki, który wciąż rozdrapywał do krwi.

Sykes otarł ręcznikiem pachy i twarz. Pot wciąż kapał mu ze skroni, czoła i brzucha. Duchota była nie do zniesienia.

Deszcz ochlapał okno celi i nagle ustał. Mężczyzna przycisnął ręcznik do brzucha i wyszczerzył zęby. Stoczył się z pryczy i w pośpiechu ruszył w kierunku klozetu. W jelitach poczuł obrzydliwy ruch, po którym natychmiast nastąpiło wypróżnienie.

Znów cały ranek rozmyślał o Susan Markey. Tak jak zwykle —

co teraz robi, gdzie mieszka i z kim. Kiedy ostatnio o nim myślała, czy w ogóle o nim myśli i co by o nim pomyślała teraz. Gdyby tylko wiedziała.

Oczywiście wyobraźni widział ją w swojej starej furgonetce, ubraną w hipisowską spódnicę, z ustami umalowanymi czerwoną szminką. Ze skrzyżowanymi nogami zajadała z koszyka truskawki, które kupiła — a raczej ukradła — ze straganów pod Pine Barrens. W jej zielonych oczach zawsze drzemało szaleństwo, a także nabożne pragnienie, by Sykes w końcu powiedział jej, dokąd teraz pojadą i co będą robić. Oczekiwanie doprowadzało ją do szału.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Mężczyzna uruchomił splotkę i chwiejnie wstał z sedesu, po czym wrócił na łóżko. Znow wytarł usta ręcznikiem.

Nagle przestał się pocić, dostał gęziej skórki na rękach i nogach, zaczął się trząść. Gorąco i zimno, zimno i gorąco. I tak już od tygodnia.

Od strony schodów coś szcęknęło. Kolejna brama otworzyła się i zamknęła. Spojrzał na stalowe kraty, następnie na stalowe ściany, na sufit, podłogę, lustro, zlew, klozet, łóżko — wszystko ze stali. Znienawidził dźwięk metalu jak nic innego na świecie. Był małą w klatce, orientującą się w upływie czasu po tym, jak jej pan otwiera i zamyka drzwi. Czas pobudki, czas karmienia, czas gimnastyki... Każdy poprzedzony innym metalicznym dźwiękiem.

Dreszcze przybierały na sile. Wiedział, że to z nerwów. Ostrzegali go. Mówili, że tak to się będzie objawiać. Przechodzą przez to nawet najtwardsi więźniowie — ale Sykes nigdy nie przypuszczał, że spotka to również jego.

Gdy Susan zaczęła się zadawać z Sykesem, znajomi ochrzcili ją „Psyko Sue”. Pseudonim się przyjął i wkrótce mężczyzna wymalowywał to przezwisko na estakadach, kładkach, murach i deptakach Wildwood.

Dziewczyna była do wszystkiego nastawiona na „nie”, więc spodobał jej się taki przydomek. Uważała się za anarchistkę i

szczerze gardziła wszelkiego rodzaju władzą. Gdyby zamieszkała w większym mieście, wstąpiłaby pewnie do Weathermenów albo Symbionese Liberation Army. W małomiasteczkowym Wildwood wybrała najlepszą z dostępnych możliwości: dołączyła do Sykesa.

Lubiła seks. Jezu, jak ona lubiła seks. W jej przypadku nie chodziło jednak wyłącznie o współżycie ani też o to, że nie miała zahamowań. Susan chciała wymazać przeszłość. Chciała uciec przed pogrzebanymi snami o idealnym niegdyś dzieciństwie — o brutalnym, pobożnym ojcu, byłym kapitanie policji, który trafił do więzienia za wymuszanie okupu, oraz o ślicznej matce, która wolała utopić się w oceanie, niż żyć w upokorzeniu.

Susan chciała kogoś skrzywdzić. Kogokolwiek, nawet siebie samą. Chciała zadawać ból innym ludziom. Nic dziwnego, że w sielankowym nadmorskim kurorcie, pełnym hipisów z pokolenia dzieci-kwiatów, natychmiast zwróciła uwagę na Sykesa, który wręcz promieniował specyficznym urokiem wichrzyciela.

Był inny niż wszyscy, zajęci koralikami i paplaniem o miłości. Stanowił uosobienie czystej, nieskażonej destrukcji i przyciągał ją tym jak płomień ćmę.

Wiedział, że cieszyły ją reakcje znajomych ze szkoły, kiedy go ze sobą przyprowadzała. Najbardziej lubiła szokować ojca oraz jego kolegów z komisariatu, którzy odwiedzali Markeyów, by spędzić wolny czas przy grillu. Jeszcze zanim zrobiło się głośno o oskarżeniu.

Ale Sue Markey chodziło o coś więcej niż popisywanie się. Miała niezaspokojony apetyt na ryzyko. Z wyjątkiem morderstwa nie istniało nic, czego nie byłaby gotowa zrobić. Wiedziała przy tym, że Sykes miał jeszcze mniej ograniczeń. Była wtedy w autobusie. Wiedziała, co się stało z tamtymi kobietami.

Rzucił brudny ręcznik w kąt celi i zerknął na timeksa indiglo, którego nosił na przegubie dłoni tarczą do dołu. Deszcz znów zaczął bębnić o szybę i tym razem nie ustawał. Mężczyzna podrapał się w martwy naskórek na potylicy i poczuł coś mokrego pod palcami.

„Nawet jeśli rak cię nie zabije, to lekarstwo — na pewno”. Odchrząknął i splunął do zlewu.

W młodości Sykes nigdy nie miał pieniędzy, nawet tych kojarzonych z klasą średnią, do jakich przywykła Susan Markey. Widział jednak nader dobrze, jak one wyglądają, jak pachną. Z zapuszczonego kempingu w Pine Barrens, gdzie mieszkał, jeździł autobusem do liceum Central High w Wildwood. Widział, jak matki z Northside odbierają córki nowiutkimi, błyszczącymi kabrioletami, obwieszone złotem, pachnące dobrymi perfumami. Jakże on ich pragnął. Jakże pragnął być kimś takim jak one.

— Chcesz się przejechać?

Bianca Ashley była jedną z nich: długie włosy aż po rąbek minispódniczki, nowiutki mustang kabriolet na szesnaste urodziny... Przyłapała Sykesa, jak po lekcjach gapił się na jej samochód. Czarny lakier robił wrażenie tak płynnego, że można by w nim zanurzyć rękę.

Minęła Sykesa, prawie się o niego ocierając. Rzuciła książki na tylne siedzenie.

— Powiedz „proszę”.

Do tej pory nigdy ze sobą nie rozmawiali. Bianca ignorowała go przez wszystkie siedem lat wspólnej nauki.

— No, dalej, chłopcze. Poproś grzecznie, to cię przewiozę.

Sykes gapił się na nią w milczeniu, nie wiedząc, czy dziewczyna mówi poważnie. Gdy wskoczyła za kierownicę, spod podwiniętej spódniczki wychynęły różowe majteczki. Zbyt szybko się śpieszyła, by je ukryć. Wzrok chłopaka zatrzymał się na jej długich, odkrytych nogach.

— No, fajnie — usłyszał własne słowa. — Mogę się przejechać? Proszę.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, a gdy Sykes zrobił krok w stronę drzwiczek, wcisnęła gaz. Błoto spod kół obryzgało mu dzinsy, a ona z piskiem opon ruszyła z parkingu.

— Jasne, psycholu, i co jeszcze? — śmiała się przez ramię.

Właśnie wtedy Sykes zrozumiał, że wszystko, czego w życiu



zapragnie, będzie musiał wziąć sobie sam. Nikt nigdy nie da mu niczego za darmo. Wiedział też, że pewnego dnia znów spotka Bianca Ashley, a wówczas to ona pozna, co to ból.

Ale to wszystko było wiele lat temu. Teraz liczyła się chwila obecna. To na niej Sykes powinien się skoncentrować. Na tym, co mu pozostało.

Małomiasteczkowi gliniarze nigdy nie skojarzyli Sykesa i Markey z ich zbrodniami. Zbyt byli zajęci tysiącami hipisów, którzy kłębili się po nadmorskich miejscowościach. Zajścia z udziałem ludzi ich przytłaczały, ponieważ większość funkcjonariuszy wcześniej zajmowała się wyłącznie wypisywaniem mandatów za złe parkowanie. Do pomocy w trudniejszych przypadkach wzywano policję stanową, ale miejscowi byli zazdrośni, toteż między tymi dwoma wydziałami narosło tyle wrogości, że niewiele spraw w ogóle udawało się załatwić.

W tym czasie Sykes i Markey bezkarnie porywali, rabowali i dokonywali włamań.

Związek tej pary był czymś więcej niż tylko dziełem przypadku. Ich spotkanie było wydarzeniem o katastrofalnych konsekwencjach. Każde z nich z osobna stanowiło zagrożenie dla społeczeństwa i oboju pisane było życie w konflikcie z prawem. Razem tworzyli jednak przerażający duet. Drapieżcę z dwoma umysłami i jedną wolą. Markey pragnęła unicestwienia społeczeństwa. Sykes chciał odebrać to, czego pozbawiono go z racji pochodzenia. W pewien wynaturzony sposób uzupełniali się — intelekt i siła, inne pochodzenie, inne pobudki, ale taka sama nieobliczalność, takie samo zdeprawowanie. Gdyby Sykes nie spanikował i nie zepchnął tego autobusu z drogi, być może gliny nigdy nie trafiłyby na ich ślad — a przynajmniej nie udałoby się to im jeszcze przez wiele lat. Nie w tamtych czasach. Nie w chaosie lat siedemdziesiątych.

Sam wypadek mężczyzna wciąż wspominał jak przez mgłę. Była wtedy zima. Razem z Susan, naćpani speedballami, od kilku dni obrabiali luksusowe domy w North Beach, puste o tej porze roku. Korzystali z zestawu kluczy, który Sykes odkupił od właściciela

firmy sprzątającej. Byli na ostrym haju, gdy przy drodze wyjazdowej zabrali zmarznątą autostopowiczkę z małym dzieckiem. Markey zajęła się bachorem, podczas gdy Sykes zgwałcił kobietę i pozbył się jej zwłok na bagnach Blackswamp. Gdy wrócił, furgonetki już tam nie było. Dziecka też. Susan Markey zabrała i jedno, i drugie.

Dotarł pieszo do domu, pożyczył samochód od sąsiada i przejechał Atlantic Avenue wzdłuż morza. Nie znalazł dziewczyny w żadnym z miejsc, w których bywali. Furgonetki także nikt nie widział.

Kiedy się nad tym później zastanawiał, musiał przyznać, że już od wakacji z Sue działo się coś dziwnego. Miała huśtawki nastrojów i pamiętał, że ostatniego dnia o coś się kłócili. Ale o co? Przy tych wszystkich prochach — Bóg jeden wie.

Tamtego popołudnia Sykes po raz drugi jechał do swej przyczepy nad morze, kiedy zbliżył się do niego wóz policyjny. Przycisnął gaz i zaczął uciekać, gdyż wciąż miał na sobie te same spodnie co w chwili zabójstwa. Właśnie zostawił za sobą radiowóz, jakieś dwa kilometry od Atlantic Avenue, gdy zza zakrętu wyjechał wprost na szkolny autobus.

Nigdy już nie zobaczył Susan Markey. Nie pokazała się na żadnej z rozpraw. Nigdy też nie znalazł w gazetach choćby wzmianki o tamtym dzieciaku ani o szóstce kobiet, które w owym czasie zaginęły w Wildwood.

Wiele lat później do więzienia przyszedł list od Susan. Pisała, że cieszy się z tego, co się stało. Że odnalazła Boga i modliła się, by i Sykes doznał tej łaski. Markey, która niegdyś uważała, że świat jest bożym chlewem, a On jego zboczonym panem — odnalazła Boga. Ona, która twierdziła, że nikt nie zasługuje na dobre samopoczucie. Która wygłaszała tyrady o tym, że ludzie na świecie umierają z głodu, podczas gdy bogacze oszukują przy podatkach, obżerają się, chłają, pieprzą się na prawo i lewo i posyłają dzieci do szkół, żeby nauczyły się być takimi jak oni. Mówiła mu, że oni wszyscy zasługują na to, żeby ich przejechać. Jechać ich wszystkich. Jeśli traf chciał, że Sykes i ona pojawili się i zjebali

komuś życie — ten ktoś dostawał dokładnie to, na co zasługiwał.

Sykes wiedział, że go nie zakapowała. W przeciwnym razie przewieźliby go z powrotem do New Jersey i skazali za morderstwo. Gdyby ktoś odkrył na złomowisku wszystkie te ciała, byłoby o tym głośno w wiadomościach w całym kraju. Ale nikt nie znalazł zwłok, a to oznaczało, że Markey nie zamierzała przyznać się do swych zbrodni nikomu poza jakimś księdzem w konfesjonale. Najwyraźniej i ona, i Bóg radzi byli nie ruszać tej sprawy tak długo, jak długo Sykes był za kratkami.

Od tamtej pory minęło dwadzieścia dziewięć, prawie trzydzieści lat. Mężczyzna spędził większość życia w więzieniu — i to wszystko za jakiś pieprzony wypadek. Czyż to nie ironia losu?

Dużo czasu minęło, zanim dotarło do niego, że dostał dożywocie. Adwokat z urzędu kazał mu się przyznać do nieumyślnego spowodowania śmierci, za co otrzymałby dwa lata i nadzór kuratorski. W latach siedemdziesiątych sędzono w ten sposób wszystkie wypadki śmiertelne spowodowane po pijanemu.

Ale komendant policji z Wildwood, Jim Lynch, domagał się czegoś więcej. Przedstawił dowody umożliwiające oskarżenie Sykesa o morderstwo drugiego stopnia. Zdobył poparcie mieszkańców, a ponieważ był to rok wyborów, sędzia wykazywał wyjątkową wrażliwość na głos ludu. Morderstwo drugiego stopnia definiowano wówczas jako „spowodowanie śmierci w trakcie popełniania czynu przestępczego”. Premedytacja nie była tu konieczna. Komendant Lynch argumentował, że kiedy Sykes zabił siedemnaście osób, prowadził pojazd pod wpływem nielegalnych środków odurzających. Był zatem winien nie nieumyślnego spowodowania śmierci, ale morderstwa.

Sykesa postawiono w stan oskarżenia, osądzono i skazano na podwójne dożywocie. W celu szybkiego wymierzenia sprawiedliwości pozostałe piętnaście procesów umorzono. Sykes dostał już wyrok, a dalsze postępowanie sądowe opóźniałoby tylko powrót do

normalności, której miasteczko tak bardzo potrzebowało. Jedyne łasce skądinąd liberalnego sędziego Sykes zawdzięczał to, że oba wyroki mógł odsiadywać równocześnie.

Jak każdy seryjny morderca i gwałcieciel, Sykes przez lata wiele rozmyślał o swych czynach. Różnica między nim a większością skazanych polegała jednak na tym, że jego zbrodnie przeszły niezauważone. Szał morderstw oraz łatwość, z jaką porywał ofiary i pozbywał się ich ciał, pozostawiły mu w pamięci istny kalejdoskop obrazów: ręce, nogi, brzuchy, włosy, szalone oczy i usta błagające o litość. Wspominał też piękne ciało Susan i ich wspólne szalone erotyczne gierki. Przez pierwsze lata odsiadki prawie nie myślał o czymkolwiek innym. Jego wspomnienia były wszystkim, co miał.

Teraz te wspomnienia odżywały. Susan znów stała się problemem. Susan, która wiedziała coś, czego nie wiedział nikt inny — gdzie znajdują się ciała.

Sykes wciągnął na siebie spodnie w kolorze khaki i założył ciężkie buty. Wyjął marlboro z paczki, która leżała na nierdzewnym stoliku, i postukał papierosem o tarczę zegarka. Przypalił, przyglądając się falującym piersiom kobiety na swym bicepsie. Tak samo falowały, kiedy miał siedemnaście lat. Wstał, po czym wrzucił zapałkę do blaszanego zlewu. Odchrząknął i splunął do sedesu czymś żółtym.

Wydmuchnął kłęb dymu, który uniósł się ku sufitowi. Pozwolił, by papieros zwiśł z jego dolnej wargi. Oparł but o zlew i zawiązał sznurowadło, zastanawiając się, jakie to będzie uczucie.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Usłyszał zbliżające się kroki. Palcami przecesał resztki matowych, siwych włosów, podrapał narośl na karku i podszedł do krat.

Nadszedł czas.

Kiedy strażnicy prowadzili go przez dziedziniec rekreacyjny, z nieba spadały kawałki lodu, głośno uderzając o ziemię. Choć był

ranek, niebo pociemniało, a reflektory świeciły silnym światłem. Sykes miał na sobie pomarańczowy kombinezon. Kajdanki na nadgarstkach przykuto do łańcucha przewiązanego w pasie, a ten — do łańcuchów wokół kostek.

Szare chmury przemykały nisko nad murami więzienia, lśniąc w snopach światła nad wieżami. Pioruny przecinały ciemność, ukazując samotną sylwetkę w oknie na czwartym piętrze. To więzienna pani psychiatra. Wśród błysków Sykes rozpoznawał jej smukłe ramiona. Spojrzał w jej kierunku i się uśmiechnął.

Światelko nad ogrodzeniem zmieniło kolor z czerwonego na zielony. Ciężkie stalowe skrzydła bramy otwierały się bezgłośnie na teflonowych zawiasach. Sykes spojrział w stronę mężczyzn spacerujących po pomostach, na ich gotowe do strzału karabiny, na drut kolczasty połyskujący w świetle reflektorów. Szedł drucianym rękawem pomiędzy strażnikami w stronę niewielkiego budynku, który przylegał do wyjścia. Brama znów się zamknęła, a światelko zmieniło się na czerwone.

Burza w jednej chwili natarła z pełną siłą, tworząc wiry na dziedzińcu rekreacyjnym, trzęsąc płotami, gwiżdżąc w ceglanych wieżyczkach, bombardując gradem i bębniąc w stalowe dachy z precyzją karabinu maszynowego — tak silnie, że hałas stawał się nie do wytrzymania.

Strażnicy wraz z Sykesem rzucili się biegiem do wnętrza i zatrzasnęli za sobą drzwi. Następnie skierowali więźnia do odrapanego stalowego biurka, przy którym zostawił odcisk kciuka oraz podpis. Potem mężczyzna został wprowadzony do niewielkiego pokoju z ławką przymocowaną łańcuchem do ściany. Strażnicy zdjęli mu kajdany i kombinezon, wrzucili je do płóciennego pojemnika, a w zamian dali mu pasek i dzinsową koszulę, czek na osiemnaście tysięcy dolarów oraz banknot pięćdziesięciodolarowy. Następnie poprowadzili mężczyznę do drzwi w przeciwległej ścianie pomieszczenia. Jeden ze strażników wcisnął przycisk zwalniający wielką mechaniczną zasuwę. Otworzył drzwi i wypuścił Sykesa na dwór, prosto w burzę. Po drugiej stronie ogrodzenia na wolnym biegu czekała biała furgonetka. Tylne lampy świeciły

czerwienią, a podwójne drzwi były szeroko otwarte.

Grad padał gęsto niczym deszcz, zacinął falami i Sykes podniósł twarz ku niebu, z radością witając lód smagający mu czoło, szyję, wypełniający otwarte usta. Na wardze pojawiła się świeża krew, gdy przeciął ją któryś z zamrożonych odłamków.

W chwili kiedy mężczyzna oparł nogę o tylny zderzak, kolejna błyskawica oświetliła jego twarz. Z oczami oszalałymi z emocji wstępował w ciemność, zlizując krew z warg i myśląc o tym, jak słodko smakuje wolność.

# 3

## **Niedziela, 1 maja Wildwood w stanie New Jersey**

Porucznik Kelly Lynch-O'Shaughnessy zostawiła radiowóz na publicznym parkingu przy Cresse Avenue, wspięła się po rampie na drewniany deptak i spojrzała na północ, w stronę wesołego miasteczka na molo Strayer's Pier. Molo wcinało się w ciemne wody oceanu aż po miejsce, gdzie rozbijały się pierwsze fale. O tej porze roku okolica przedstawiała ponury widok. Drewniane rusztowania i konstrukcje stały uśpione, czekając na Dzień Pamięci, kiedy to do miasta zaczynali zwykle zjeżdżać turyści.

Przebiegła deptak i zesła schodkami na plażę. Wokół krążył tłum policjantów w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych — nowicjuszy o różowych policzkach, którzy systematycznie przeczesywali plażę.

Dzień był szary i nadzwyczajnie chłodny jak na tę porę roku. Czują, że piasek wsypuje jej się do butów, więc schyliła się, by je zdjąć. Wiedziała, że rajstopy tego nie wytrzymają, ale w szpilkach po plaży zwyczajnie nie dało się iść.

Miała na sobie granatowe ponczo z plastiku z napisem „Porucznik” na plecach. Narzuciła je na ubranie, w którym była w kościele — jedwabną bluzkę i zieloną wełnianą spódnicę. Dziewczynki musiała zostawić ze znajomymi w ławce obok.

Pod pachą trzymała długą metalową latarką. W pasie, tuż za

pistoletem, przypięta była krótkofalówka. Policjantka słyszała niewyraźne rozmowy, które technicy z laboratorium kryminalistycznego pracujący pod deptakiem prowadzili z policjantami na parkingu, gdzie znaleziono samochód ofiary. Przystępując w zimnym piasku z nogi na nogę, czekała, aż mężczyźni wynurzą się z ciemności. Patrzyła, jak z aparatami fotograficznymi przewieszonymi przez ramię przemierzają rurę kanalizacyjną, która wychodziła spod deptaka. Rura unosiła się dobry metr nad ziemią i pokonanie jej w spodniach było już wystarczająco trudne. O'Shaughnessy zastanawiała się, jak ma sobie z tym poradzić w spódnicy.

— Wszystko w porządku, poruczniku — powiedział pierwszy z nich.

Skinęła głową.

— Czego mam tam szukać?

— Wygląda na to, że kobieta doszła mniej więcej do połowy tunelu i próbowała schować się za rurą — odrzekł technik, pokazując ręką w stronę deptaka. — Ślady krwi kończą się właśnie tam. Znajdzie je pani bez trudu. Na wierzchu rury są ślady ciągnięcia oraz wiele odcisków rąk, zapewne jej. No i dużo włosów. Długich włosów — pokazał rękoma odcinek około trzydziestu centymetrów. — Cała masa.

— Dziękuję — odrzekła, szukając w kieszeniach paczki nicorette. Znalazła ją po chwili, włożyła jedną z pastylek do ust, po czym ruszyła wzdłuż rury, wkrótce znikając w cieniu tunelu.

■ ■ ■

— Gówno nie stopień porucznika. — Russel Dillon z niesmakiem kręcił łusą głową. — Zdaję ten egzamin od dziewięćdziesiątego pierwszego i nikt mi nie wmówi, że jakaś baba może go zaliczyć bezbłędnie dwa razy z rzędu bez pomocy z góry.

Doug „Mac” McGuire westchnął i zanotował coś w zeszycie.

— Baba zrobiła sobie sieć towarzyską. Burmistrz opiekuje się



nią przez wzgląd na jej starego. Myślisz, że urodziłem się wczoraj?  
— Dillon zapalił papierosa i beknął.

McGuire zerknął na niego znad notatek.

— Napisała test lepiej od nas. Nie możesz jej winić za to, że jest mądra.

— Mądra? No, może tobie się tak wydaje. Nie wszyscy są tacy naiwni.

— To nie naiwność, Dillon. Znam ją. Pracuję z nią.

— Nie, Mac. Pracujesz dla niej. To duża różnica. Sprzątnęła ci robotę sprzed nosa, a ty nawet nie masz jaj, żeby walczyć.

— Walczyć o co? Miała więcej punktów. Koniec, kropka.

Dillon podniósł wzrok na McGuire'a.

— Co? Ty też się w niej zakochałeś? — Pokręcił głową i zrobił krok w tył. — Jezu Chryste! — zaśmiał się. — Wystarczy, że w budynku pojawi się para cycków i od razu wszyscy tak głupieją, że nie potrafiliby sobie nawet tyłka podtrzeć. No cóż, może tylko na mnie jednego to tak nie działa. Komendant rozdaje awanse, jak mu się żywnie podoba. Nic na to nie poradzimy. Murzyni i kobiety zawsze będą sobie radzić lepiej niż my — stwierdził, zakładając czapkę. — Powiedz jej, że jak ktoś jej robi dobrze, to ona jemu też powinna. Może będzie zainteresowana.

— Sam jej to powiedz — odciął się McGuire.

— A może i jej powiem. Na razie... sierżancie — odparł Dillon, akcentując ostatnie słowo z szyderczym uśmiechem. Taka mina miała oznaczać, że Dillon wie coś, o czym reszta świata nie ma jeszcze pojęcia.

■ ■ ■

O'Shaughnessy drżała w ciemności tunelu. Czowała zapach starych desek, do których przywarły skorupiaki i wodorosty. Poświeciła sobie nad głową, potem wzdłuż rury i wreszcie wokół stóp. Ze szczeliny między deskami kapała woda, brzęcząc głucho w przepastnej przestrzeni.

Jakże inne było to miejsce, pomyślała, niż kościół, w którym

siedziała raptem godzinę temu. Ostatnio coraz częściej zdarzały się przypadki, że w jednej chwili była z dziewczynkami, a już w następnej musiała jechać na wezwanie, nieraz w środku nocy. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że przyjmując awans, zgodziła się na taki układ. Zdobywała przez to szacunek podwładnych, którzy pracowali w terenie dniem i nocą, siedem dni w tygodniu. O taki szacunek wcale nie jest łatwo — ale kiedy dziewczynki dorosną, pewnie i tak nie będą o tym pamiętać.

Rurę pokrywało graffiti — głównie podpisy, daty i wulgaryzmy. Cieknąca ze szczeliny woda wyżyłobiła w piasku rynnę. Z boku, przy rozmazanym odcisku dłoni, znajdowała się smolista, ciemna plama. Mac mówił, że to miejsce znalazł czyjś pies. To na pewno tu. To tu ofiara próbowała ukryć się przed napastnikiem.

O'Shaughnessy przykucnęła przy zaschniętych odciskach rąk i usiłowała sobie wyobrazić, co tutaj zaszło. Ustawiła stopy w miejscu, gdzie musiały być wcześniej stopy dziewczyny, i pochyliła się, żeby czołem dotknąć rury. Duży, rozmazany ślad, który znajdował się powyżej, sugerował, że ofiara oparła tam rękę, cały czas krwawiąc.

Po drugiej stronie rury walały się zgniecione puszki po piwie, kapsle od butelek i kawałki tłuczonego szkła.

Skierowała snop światła na spękane deski, by następnie raz jeszcze oświetlić wierzch rury. Znalazła kolejne plamy krwi, niektóre jakby rozmazane ubraniem. To tutaj napastnik przeciągnął dziewczynę na swoją stronę.

O'Shaughnessy ponownie skierowała światło pod nogi. Schyliła się i podniosła czerwoną, plastikową spinkę do włosów. Zapięcie nosiło ślady rdzy, więc policjantka odrzuciła ją na bok. Nieco dalej leżała sterta popękanych cegieł, połamanych desek, a także porzucone wsporniki oraz setki cynkowanych gwoździ.

Obejrzała się w tył, w kierunku plaży i smugi bladego światła, które wpadało przez wlot tunelu. Żółta peleryna McGuire'a, wciąż

przykucniętego przy wejściu, odcinała się ostro od szarego poranka. O'Shaughnessy patrzyła, jak mężczyzna podnosi do ust krótkofalówkę. Z jego ust unosiły się obłoki pary.

Pod deptakiem wszystkie dźwięki były wyolbrzymione — kapanie wody, odgłosy kroków nad głową... Pani porucznik słyszała nawet, jak jej bose stopy kruszą mokry piasek.

Skórę i ubranie miała wilgotne od porannej mgły. Pończochy porwała, ocierając się o stare deski. Głębiej pod rurą w świetle latarki coś mignęło. Pochyliła się, by sięgnąć po przedmiot — zakopany w piasku złoty damski zegarek. Nie było na nim rdzy. Co więcej, wyglądał na nowy i drogi. Ktoś zostawił go tutaj celowo. Może po to, żeby ktoś inny mógł go znaleźć?

Wyłączyła latarkę i podciągnęła spódnicę do pasa. Przełożyła przez rurę najpierw jedną, potem drugą nogę, a gdy stanęła już po drugiej stronie, na powrót obciągnęła ubranie i ponownie włączyła światło.

W miarę jak przesuwała się w stronę ulicy, piasku pod stopami przybywało. Wkrótce sufit był tak nisko, że musiała się pochylić.

Przy pasku wciąż bczyła krótkofalówka, ale policjantka już jej nie słuchała. Zafascynowana była wymalowanym nad nią grafitti. LCMR High — Mistrzowie '94, Allison kocha Christy'ego, Surferzy Rządzą — ale ktoś przerobił Rz na Bł, tak że teraz napisane było Bładzą. Beatles, Talbert, Wishbone, EP kocha FS, Jebać Geralda i Bay Side jest do dupy. Kocham Paula, Pat kocha Rocky'ego, SSM 96, BH to pizda, Green Day Dookie, Merchant Marines, Psyko Sue, Kurt Cocaine, Curly i Moe.

Kto spędzał tu tyle czasu? — zastanawiała się. Narkomani? Czy ofiara przyszła tutaj z własnej woli?

Nigdy wcześniej nie myślała o tym, co kryje się pod deptakiem. To miejsce dla niej nie istniało. Wychowała się w Wildwood i często bywała na plażowych imprezach. Chodziła nawet z dziewczynami na Strayer's Pier, ale jeśli pod deskami toczyło się życie, jakoś tego nie zauważała. Przez te wszystkie lata nigdy nie wpadło

jej do głowy, że tuż pod nią mogli się gromadzić ludzie.

Próbowała sobie wyobrazić, jak siedzą w ciemności, przy ich twarzach unoszą się rozżarzone punkciki papierosów, a oni piją piwo i syczącym sprejem wypisują na deskach, co im leży na sercu.

Posuwała się dalej w kierunku parkingu, aż wreszcie wyszła spod deptaka. Mokry asfalt błyszczał w promieniach przyćmionego słońca. Umundurowani policjanci tłoczyli się wokół lawety, do której przypinano właśnie ciemnozielonego forda explora.

Na ziemi, obok prawego przedniego koła leżał lewarek. W środku, na siedzeniu pasażera znajdował się damski zakiet. O'Shaughnessy wiedziała, co jest w kieszeniach — rozpakowana prezerwatywa oraz szminka.

Policjantka stała tam jeszcze przez chwilę, patrząc to na explora, to na ciemny tunel, z którego właśnie wyszła. Potem spojrzała w stronę Atlantic Avenue. Jeśli w chwili, gdy napastnik zajechał na parking, ta kobieta była przy samochodzie, to dlaczego uciekła do ciemnego tunelu pod deptakiem, a nie na oświetloną ulicę? O'Shaughnessy chwyciła krótkofalówkę i wcisnęła przycisk.

— Tu trójka.

— Trójka, słucham cię.

— Mamy już coś od Randalla?

— Tak, poruczniku. Nie ma jej w żadnym ze szpitali. Z władzami stanowymi wciąż sprawdzamy raporty dobowe. Odbiór.

— Przyjęłam.

■ ■ ■

Godzinę później przekraczała próg komendy na Pacific Avenue ze styropianowym kubkiem kawy w dłoni. Była głodna, ale odkąd rzuciła palenie, cały czas walczyła z nadwagą.

Zajrzała do gabinetu sierżanta, w którym siedział McGuire, przytrzymując ramieniem słuchawkę telefonu. Po wyrazie jego twarzy poznała, że ktoś po drugiej stronie kazał mu czekać.

— Coś nowego? — szepnęła.

— Komendant—odpowiedział, bezgłośnie poruszając ustami, i wskazał głową w stronę jej gabinetu. Machnęła dłonią w podziękowaniu i zaczęła się przeciskać pomiędzy biurkami detektywów w kierunku oszklonego boksu z napisem „Porucznik”.

Loudon siedział na kanapie, przeglądając stary numer „New Yorkera”.

— Dzień dobry, komendancie. — Postawiła kawę na blacie, jednocześnie chowając torebkę pod biurko. Ściągnęła pelerynę i powiesiła ją na kołku.

Loudon podniósł wzrok i założył nogę na nogę.

— Słyszałem przez radio, że wracasz. Pozwoliłem sobie się rozgościć.

Kobieta miała brudne ręce i porwane pończochy. Na jej czole rozmazane było coś czarnego.

— Wszystko w porządku? — spytał, patrząc znad gazety.

Skinąwszy głową, opadła na fotel i zdjęła wieczko ze styropianowego kubka.

— Po prostu znów się źle ubrałam.

Kichnęła.

— Na zdrowie — powiedział Loudon, odkładając „New Yorkera”.

— Napije się pan? — podniosła kubek.

Pokręcił głową.

— Ale dzięki za troskę.

Na biurku leżała koperta ze zdjęciami — świeżymi odbitkami fotografii zrobionych dziś rano na miejscu przestępstwa. Szef laboratorium przysłał je najszybciej, jak mógł.

O’Shaughnessy zdjęła pod biurkiem buty i zaczęła masować stopę o stopę. Napiła się kawy, wyjęła z torebki notes i otworzyła go.

— Ślady są świeże — powiedziała. — Sześć do dziesięciu godzin,

nie więcej. Brak ciała. — Podniosła wzrok na komendanta. — Na razie sklasyfikowałam to jako porwanie. Jakaś kobieta biegała z psem po plaży i ten pies wbiegł pod deptak. Kiedy wrócił, miał pysk umazany krwią. Najpierw myślała, że się skaleczył, ale przyjrzała mu się i nie znalazła żadnej rany. W sali ogólnej zadzwonił telefon. Komendant wstał i zamknął drzwi gabinetu.

— Kobieta zadzwoniła na policję. Wysłaliśmy do niej patrol. Skinieniem wskazała kopertę.

London zerwał pieczęć i wytrząsnął zdjęcia na biurko. Błyski flesza ukazywały krwawe odciski dłoni na słupach, czerwone plamy na rurze kanalizacyjnej, kałuże krwi na piasku.

— Funkcjonariusze, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, znaleźli na parkingu forda explorera. Drzwi nie były zamknięte, w stacyjce tkwiły kluczyki. — O'Shaughnessy wskazała na fotografię, którą komendant trzymał w ręku. — Opona po stronie kierowcy została przebita. Dziura znajduje się z boku, co najmniej pięć centymetrów od bieżnika. Na siedzeniu pasażera leżał damski żakiet. W kieszeniach nie było dowodu osobistego, ale za osłoną przeciwsłoneczną znaleźliśmy dowód rejestracyjny odpowiadający tablicom. Samochód zarejestrowany jest na niejakiego Jasona Carlino, mieszkającego w North Beach przy Faring Way 10. Wysłaliśmy patrol, ale nikogo nie było w domu. Sąsiad mówi, że Carlino często wyjeżdża w interesach. Jeździ służbowym lincolnem, którego nie ma teraz na podjeździe.

Upiła łyk kawy.

— Jego żona ma mniej więcej czterdzieści lat, na imię ma Elizabeth. Jest właścicielką Guppies, ośrodka opieki dziennej na New York Avenue. Jest jeszcze córka, Anne — O'Shaughnessy przeglądała swój notes — lat siedemnaście. Zostawiliśmy kartkę w drzwiach i dzwoniemy tam co godzinę. Na razie nie ma po nich śladu. Być może wyjechali na urlop, ale skąd w takim razie ten explorer na parkingu?

Komendant się skrzywił.

O'Shaughnessy ponownie spojrzała na notatki.

— Carlino jest dyrektorem generalnym Echo Enterprises, firmy konsultingowej, która specjalizuje się w telekomunikacji. Mamy numer do pracy, dostaliśmy go od agencji monitorującej jego dom. Zostawiliśmy mu wiadomość na poczcie głosowej. Oby ją często sprawdzał.

Przewróciła kartkę i upiła kolejny łyk kawy.

— Funkcjonariusze przeczesali parking i plażę. Niczego nie znaleźli. O tej porze roku nocą na Atlantic Avenue otwarte są tylko dwa sklepy — Texaco i Seven Eleven. Obudziliśmy obu sprzedawców, ale żaden nie pamięta niczego niezwykłego. Wie pan, jak tam jest w maju. Wymarłe miasto.

Za drzwiami gabinetu pojawił się sierżant McGuire. Przyłożył do szyby kartkę z napisem: „Dziewczynki są w domu z Timem. Zgubił się gdzieś kot”.

O’Shaughnessy z westchnieniem kiwnęła głową, unosząc dłoń w geście podziękowania. Następnie wróciła do notatek.

— Ekipa oczyszczania miasta przyjeżdża codziennie o czwartej. Mac wysłał już kogoś na wysypisko, żeby przeszukał wczorajsze śmiecie.

Loudon wykrzywił usta.

— Co jeszcze?

— Pod deptakiem, o, tutaj. — Pochyliła się, by wziąć zdjęcie. Przerzuciła je, aż znalazła to, którego szukała. — Ta rura przecina parking i biegnie pod deptakiem. To tam weszła ofiara, świadczą o tym ślady krwi. W połowie tunelu przeszła na drugą stronę rury. Próbowwała się za nią schować.

Policjantka wskazała na ciemną, rozmazaną plamę.

— W tym miejscu napastnik przeciągnął ją na swoją stronę. — Przesunęła palcem ku dolnej krawędzi zdjęcia. — A tu znalazłam damski zegarek. Myślę, że zostawiła go tam celowo.

Wzrok Loudona skrzyżował się z jej wzrokiem.

— Zeszłej nocy mocno padało, więc parking jest czysty. Z kolei piasek jest zbyt głęboki, żeby zachowały się czytelne ślady stóp. Może laboratorium będzie miało więcej szczęścia z rzeczami znalezionymi w samochodzie.

— Każ zbadać tę krew — powiedział Loudon. — Może nie jest ludzka — dodał, przeglądając zdjęcia. Na niektórych widoczne były jasne, wypalone plamy w miejscach, gdzie flesz odbił się od białej farby graffiti. — Mieliśmy tu już różne dziwne numery.

O'Shaughnessy kiwnęła głową.

— O tym też już pomyślałam. Meyers od razu zawiózł próbki do szpitala. Grupa A Rh plus, bez wątpienia ludzka.

— No tak, oczywiście — wyszeptał Loudon, jakby nadzieja na dobre wieści była z jego strony głupstwem.

— Sprawdziłam oddziały pomocy doraźnej w obu szpitalach. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie przyjęli żadnych niezidentyfikowanych kobiet.

— Czy możemy wejść do domu Carlinów?

— McGuire dzwonił już do Hamiltona. Pracuje z sędzią Merrellem nad pisemnym oświadczeniem.

— Dobra robota, Kelly. Daj mi znać, jeśli coś się zmieni.

— Dziennikarze — powiedziała szybko. — Co mam im powiedzieć?

— Nic. Póki nie skontaktujesz się z rodziną, masz milczeć. Zanim podniesiemy fałszywy alarm, musimy wiedzieć, kogo brakuje. Skinęła głową.

— Ale jeśli dotrzemy do rodziny i dowiemy się, że któraś z kobiet zaginęła, jej zdjęcie ma być w wiadomościach o jedynastej. Poza tym rób, co uważasz za stosowne. Potrzebujesz ode mnie czegoś jeszcze?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

Złożył dłonie w piramidkę i przytknął je ust.

— Słyszłaś o Elmwood?

Przytaknęła.

— Gdy skończyliśmy, wysłałam tam McGuire'a. Jak tylko stąd wyjdę, sama też się wybiorę.

— Daj sobie spokój. — Loudon pokręcił głową. — Byłem tam. Ciało w kostnicy, budynek zamknięty. Aż do jutra nic nie działasz.



O'Shaughnessy uniosła brwi, zdziwiona zainteresowaniem komendanta tym, że jakiś staruszek z domu opieki potknął się i zabił.

— Podejrzewamy morderstwo?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie znaleźliśmy niczego, co nie zgadzałoby się z teorią wypadku. Ale nie podoba mi się, kiedy ludzie spadają po ciemku ze schodów. To zawsze zbyt porządnie wygląda. Nawet jeśli chodzi o starców w domach opieki.

— Może oszukiwał w grze w kierki?

— Albo podrywał jakąś prababcie i jej kochaś się o tym dowiedział — uśmiechnął się Loudon.

— McGuire poradziłby sobie do mojego przyjazdu — stwierdziła O'Shaughnessy. Pytanie wisiało w powietrzu.

— Znałem go — powiedział wreszcie Loudon. — Nazywał się Andrew Markey. Kiedy przyszedłem do policji, on był kapitanem.

— Co pan powie.

— Kiepsko się to dla niego skończyło — pokręcił głową. — Wplątał się w zorganizowaną przestępczość w Atlantic City. Zarobił parę lat w Poughkeepsie.

— Więc ten upadek ze schodów naprawdę pana niepokoi?

— Nie. To stare dzieje. Z pewnością rzeczywiście po prostu się potknął. Chyba zwyczajnie byłem ciekaw.

— Chce pan, żebym zrobiła w tej sprawie coś szczególnego?

Pokręcił głową.

— Sekcja zwłok powinna dostarczyć wystarczająco dużo informacji. Będziesz miała masę roboty z tym deptakiem, więc teraz lepiej załóż na siebie coś suchego i idź szukać tego swojego kota. Na razie wszystkim może się zająć Mac. Da sobie radę.

■ ■ ■

Do godziny ósmej O'Shaughnessy zmyła naczynia, nałożyła Chesterowi zimnej jagnięciny do miski, a gdy położyła córeczki

spać, przebrała się w strój gimnastyczny. Tim został z dziewczynkami aż do jej powrotu. Z perspektywy czasu musiała przyznać, że próbował nawiązać z nią rozmowę, lecz ona nie reagowała na jego starania. Być może winne były wszystkie wydarzenia tego dnia — a może po prostu nie chciała mu ułatwiać zadania.

Do odsłuchiwania nagrania z linii alarmowej zabrała się dopiero wtedy, gdy siedziała na rowerku w sypialni, pogryzając łydę selera, a wolną ręką próbując włączyć walkmana.

— Godzina piąta pięćdziesiąt cztery i dwadzieścia sekund — oznajmił głos. Nastąpiła cisza, potem szum, następnie głośny trzask, po którym zabrzmiał głos dyspozytorki:

— Pogotowie policji w Wildwood. Proszę opisać zdarzenie.

— Nazywam się Cathy Rush — w głosie kobiety słychać było silny południowy akcent. — Odwiedzam tu kuzynkę, no i biegłam po plaży, i pies mi wbiegł pod deptak, i wrócił z zakrwawionym pyskiem. Dobrze mu się przyjrzałam, no i oczyściłam go z krwi, ale tam coś jest. No więc zawołałam, ale nikt się nie odzywa. Tam jest ciemno i nie chcę tam sama wchodzić...

Dyspozytorka przerwała jej opanowanym głosem:

— Mówi pani, że to pod deptakiem?

— No, blisko tego wielkiego moła z tym wesołym miasteczkiem.

— Przy ulicy Rio Grande?

— No, nie wiem, jaka to ulica, ale jest... na rogu sklep jest, wpadłam tylko na weekend, T-Tops, ten sklep nazywa się T-Tops, a wesołe miasteczko jest naprzeciwko mnie.

— Proszę spojrzeć na szczyt rampy. Powinna tam być metalowa tabliczka z nazwą ulicy. Czy widzi ją pani?

— Zaraz — powiedziała kobieta. Po chwili wróciła. — No, Rio Grande, jak pani mówiła.

— Rozumiem. Czyli jest pani przy Strayer's Pier. Czy może tam pani zostać? Będzie trzeba pokazać policjantom, gdzie wszedł pies. Czy poczeka pani do przyjazdu radiowozu?

— Dobra, poczekam.

— W porządku, patrol jest już w pół drogi. Proszę jeszcze chwilę poczekać, dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała.

Taśma się skończyła, jednak O'Shaughnessy pedałowiała dalej, myśląc o tym, że lada chwila powinien zadzwonić jej własny telefon. Do tej pory McGuire na pewno dotarł już do kogoś z rodziny Carlino.

Przypomniała sobie, jak nieswojo czuła się tego ranka pod deptakiem. Wszystko tam było upiorne. Na dole był inny świat. W pamięci miała graffiti, puszki po piwie, niedopałki papierosów. Myślała o tym, jak ludzie chodzą tam i z powrotem po deptaku, nie mając pojęcia, że pod spodem siedzi ktoś skulony. Molo przestało się jej kojarzyć z pozytywnymi wrażeniami.

Latem wszystkie nastolatki spędzały czas na Strayer's Pier. Policja z Wildwood wiedziała, że tutejsza młodzież nie stroni od narkotyków. Tłumy były tam nawet zimą, jeśli tylko sprzyjała pogoda. Czy Anne pojechała kupić działkę, a kiedy wróciła do samochodu, zobaczyła pękniętą dętkę?

O'Shaughnessy przestała pedałować. Zanotowała coś w zeszycie, który trzymała obok rowerka. „Sprawdzić stacje obsługi, dowiedzieć się o naprawę opon z parkingu”. Może to był napad rabunkowy, który przyjął niespodziewany obrót? Nikt nie zgłosił na policję, że ukradziono mu narkotyki — ale przebitą oponę musi przecież zreperować.

Zeskoczyła z rowerka, rozczarowana, że McGuire ciągle nie dzwoni. Minęło już prawie dwadzieścia godzin, a oni wciąż nie znali nazwiska ofiary.

Wzięła gorący prysznic, potem wsunęła się pod kołdrę i próbowała czytać.

McGuire zadzwonił o jedenastej. Wyjaśnił, że sędzia musiał wydać nakaz rewizji, żeby policja mogła wkroczyć do rezydencji rodziny Carlino i sprawdzić, czy wszyscy są cali i zdrowi. McGuire skorzystał z kluczy, które dostał od firmy ochroniarskiej, przeszedł dom i odsłuchiwał wiadomości z automatycznej sekretarki.

Młoda kobieta prosiła Anne, żeby natychmiast zadzwoniła. Z kolei jakiś młody mężczyzna powiedział tylko: „Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła”.

W kalendarzu na lodówce zaznaczone były szkolne imprezy, wizyty u dentysty oraz termin wymiany oleju w explorerze. Dzisiejsza data była przekreślona, a ktoś ołówkiem napisał przy niej: „Dallas”. McGuire zabrał z biurka w jadalni książkę adresową. Zostawił kartkę z prośbą, by po powrocie rodzina się z nim skontaktowała.

O’Shaughnessy usłyszała w tle dzwonek telefonu.

— Poczekaj chwilę — powiedział McGuire. — To mogą być oni.

Wrócił po pięciu minutach.

— Dzwonił Carlino. Są z żoną na lotnisku Hyatt w Dallas. Ich córka Anne została tutaj. Powiedziałem, że znaleźliśmy jego samochód. Potwierdził, że musiała nim jeździć Anne. Podobno nocuje u koleżanki w Wildwood. Zadzwoń tam, jak tylko dostał od nas wiadomość, ale numer był zajęty i nie mógł się połączyć. Obiecałem, że zaraz tam pojadę i do niego oddzwonię. Koleżanka dziewczyny nazywa się Jennie Woo. Nie muszę dodawać, że ojciec jest zdenerwowany. Właśnie kupują bilety powrotne. Będziesz jutro w Trenton?

— Tak, ale zadzwoń, kiedy dojedziesz do państwa Woo. Prześpię się w drodze na konferencję.

Zadzwoń o pierwszej w nocy.

— Według Jennie Woo Anne skłamała, że będzie u nich nocować. Kiedy rodzice wyjeżdżają z miasta, nocuje z chłopakiem w domu Carlinów. Robią tak już od jakiegoś czasu.

O’Shaughnessy zerknęła na pudełko gum nicorette na toalecie i zmusiła się do pozostania w łóżku.

— Anne miała się spotkać z chłopakiem po dziesiątej przy Strayer's Pier.

— Nie bała się, że rodzice zadzwonią do domu Jennie?

— Jennie mówi, że mieli opracowany system. Pani Carlino zawsze dzwoniła rano, więc Anne spędzała noc w domu z chłopakiem,

a z samego rana biegła do koleżanki, żeby zdążyć na telefon od matki. Podobno robili tak już ze dwa czy trzy razy. Jej rodzice nie rozmawiają z państwem Carlino, więc ryzyko, że wszystko się wyda, było niewielkie.

— Kim jest chłopak?

— Nazywa się Larry Wilder. Jennie już do niego dzwoniła.

O'Shaughnessy jęknęła i zwlekła się z łóżka. Podeszła do toaletki i sięgnęła po swoje nicorette.

— Jeden z synów Buda?

— Najstarszy. Mówi, że kiedy przyjechała Anne, rozmawiał właśnie z inną dziewczyną, więc wywiązała się kłótnia. Zostawił ją tam i poszedł pić z kolegami. Larry ma dwadzieścia dwa lata, a Anne siedemnaście. Podobno myślał, że wróciła prosto do domu. Po rozmowie z Jennie od razu zadzwonił do Carlinów.

— Jedź do niego i sprawdź, czy pozwoli ci przeszukać swój samochód. Jeśli nie, zabezpiecz wóz do czasu nakazu. Ktoś ją musiał przecież stamtąd odwieźć. Ten, kto to zrobił, będzie miał krew na siedzeniu auta.

— Już jadę.

— Jeszcze jedno. Sprawdź lot rodziców do Dallas. Upewnij się, że wszystko zgadza się z wersją Jasona Carlino.

— Każę to potwierdzić Randallowi.

— Dobrze. Jak tylko wrócą, w wiadomościach ma się pojawić zdjęcie Anne. Wybierz jakieś dobre. Przygotuję komunikat prasowy i przefaksuję ci go, kiedy dojadę do Trenton.

— To wszystko?

— Wszystko.

Opadła na poduszkę i przez chwilę żuła nicorette. Potem wyjęła gumę i położyła na gazecie, żeby dokończyć rano.

Pół godziny później obudziła ją Reagan, zaspana ośmiolatka ubrana we flanelową piżamkę. Wdrapała się do łóżka i przytuliła do matki, ale dla O'Shaughnessy ta noc była już bezsenna.

# 4

## Środa, 4 maja Filadelfia w stanie Pensylwania

Sherry siedziała w fotelu ogrodowym owinięta w sweter, z twarzą zwróconą w stronę rzeki Delaware. Słyszała pomruk silnika holownika płynącego w górę rzeki oraz miarowe uderzenia fal rozbijających się o grodz. Wieczne słońce grzało ją w twarz. Gdzieś na brzegu ktoś słuchał muzyki, po wodzie niesły się śmiechy. Szczęśliwi ludzie. Życzliwi ludzie. Ludzie, do których sama chciałaby należeć.

Dla Sherry życie rozpoczęło się, gdy miała prawie pięć lat. Dozorca znalazł ją nieprzytomną na schodkach prowadzących do jednego z filadelfijskich szpitali. Był wczesny ranek, padający od wielu godzin lodowaty deszcz zamarzał cienką warstwą na ulicach. Podczas późniejszego śledztwa spekulowano, że dziewczynka weszła na samą górę, poślizgnęła się, upadła w tył i uderzyła głową o betonowy podest. Twarz przymarzła jej do ziemi tak mocno, że starając się jak najszybciej wnieść ją do wnętrza, naderwano jej policzki. Przed hipotermią uratował ją tylko czerwony rybacki sweter, którym ktoś ją owinął. Doznała jednak obustronnego uszkodzenia płatu potylicznego, w wyniku czego całkowicie utraciła wzrok oraz pamięć.

W Filadelfii przez jakiś czas było o niej głośno. Dobroczynicy z całego kraju przesyłali pieniądze, które w większości przeznaczone zostały na pokrycie kosztów leczenia. Policja za pośrednictwem

mediów próbowała odnaleźć jej rodziców, lekarze zaś miesiącami starali się sforsować ochronne bariery psychosomatyczne, które stworzył mózg dziewczynki. Jedno i drugie okazało się bezowocne.

W końcu małej nadano imię Sherry, na cześć zmarłej córki dozorca, który ją znalazł, i umieszczono ją w miejskim sierocińcu. To właśnie tam w wieku jedenastu lat Sherry dowiedziała się, jak to jest stracić kogoś znajomego.

Była wiosna — czas otwartych okien i zielonych pączków na drzewach. Jedna z dziewczynek zachorowała i została zabrana z sierocińca.

Cztery dni później dzieci zapakowano do autobusu i zawieziono do domu pogrzebowego. Ustawiono je w rzędzie i każdemu dano po goździku, który miały zanieść do trumny. Jednak Sherry — której kazano trzymać rękę na ramieniu dziecka przed nią — chciała wsunąć kwiatek w dłoń zmarłej dziewczynki. W chwili gdy ujęła rękę zmarłej, ośladnęły nią wizje, których nie poznawała: szara szafka, szklana butelka, podłoga w czarno-białe płytki. Dziewczynka wymiotuje. Oczy na wysokości podłogi, wpatrzone w zieloną, półprzezroczystą butelkę, toczącą się tuż przed twarzą. Jest na niej napis: „Coca-cola”.

Gdy Sherry odzyskała świadomość, klęczała na schodku przed trumną. Schodek był mokry. Ktoś przytrzymał ją za ramiona. Na sukience miała własne wymiociny.

Jakiś czas później opowiedziała o tym, co zobaczyła, któremuś z dzieci. Gdy usłyszeli to opiekunowie, Sherry została wysłana do dyrektora, który zmusił ją, by przyznała się do kłamstwa. Przecież nie mogła wiedzieć, jak wygląda kolor zielony, tak samo jak nie potrafiła czytać po chińsku. Ani po angielsku, szczerze mówiąc.

Wiele lat później detektyw z filadelfijskiej policji odszukał akta dotyczące zgonu dziewczynki z sierocińca. Odkrył, że dozorca trzymali w butelkach po napojach strychninę używaną jako trutkę na szczury. Chowali ją w niezamkniętych szafkach na piętrze, gdzie mieszkały dzieci. Z akt wynikało, że koroner uznał śmierć

dziecka za wypadek. Dyrektor sierocińca został tylko upomniany

Po raz drugi Sherry zetknęła się ze śmiercią, gdy miała dwadzieścia trzy lata. I to właśnie ten przypadek miał zwrócić na jej niezwykle zdolności uwagę władz, a wkrótce — świata.

Zdarzyło się to pod koniec listopada, kiedy w całym mieście na kołach samochodów podzwaniały już wesoło łańcuchy śniegowe. Sherry wysiadła właśnie z autobusu na rogu Passyunk i Washington. Stała na chodniku, delektując się płatkami śniegu i rozmyślając o chłopaku, którego poznała w pracy. Nagle usłyszała krzyk jakiejś kobiety i poczuła, że przygniata ją coś ciężkiego, jakaś silna dłoń chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła w dół. Dziewczyna słyszała wołanie innych osób, a po chwili otoczyły ją odgłosy kroków wielu stóp. Choć była oszołomiona, dosłyszała słowo „karetka”.

Obróciła się w stronę człowieka, który złapał ją za rękę. Dłoń mężczyzny wciąż kurczowo ścisnęła jej nadgarstek. Sherry jedną stronę twarzy całą miała oklejoną śniegiem, który przylgnął do jej brwi i włosów.

— Nie oddycha! — usłyszała czyjś krzyk. — On nie oddycha!

Ktoś inny chwycił ją za ramiona.

— Wszystko w porządku? Karetka zaraz tu będzie.

Sherry słyszała kroki innych ludzi, potem sygnał karetki i odgłosy gromadzącego się wokół niej tłumu. Nagle mężczyzna zwolnił uścisk. W chwili gdy jego zimne palce się rozluźniły, Sherry ujrzała kobietę, potem mężczyznę za biurkiem, ciężarówkę, beczkę pełną dziur, z jednej z nich wysuwał się palec, poruszył się, beczka spadła, uderzyła w taflę wody pod mostem, unosiła się przez chwilę, by po chwili zacząć tonąć.

Sherry odniosła jedynie niewielkie obrażenia. Do Nazareth Hospital ją i mężczyznę z zawałem zawiozły oddzielne karetki. Na miejscu policjant poinformował ją, że tamten człowiek zmarł już na ulicy.

Sherry chciała mu opowiedzieć o osobie w beczce. Jednak nie



jest wcale łatwo powiedzieć komuś o tym, co się widziało, jeśli ten ktoś wie o naszej ślepcie. Milczała więc, wciąż pomna tego, jak potraktowali ją pracownicy sierocińca Halley House.

Jednak gdy tamtego wieczoru siedziała sama w mieszkaniu, nie opuszczało jej uczucie, że zataja coś ważnego. A jeśli policja szuka tamtego mężczyzny? Jeśli dla policjantów jej opowieść nie będzie obca?

Zadzwoiła więc na komisariat i zdołała przekonać operatorkę, by połączyła ją z jakimś detektywem. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się młody funkcjonariusz nazwiskiem John Payne. Zgodził się przyjechać i porozmawiać.

Kiedy zapukał do drzwi, Sherry wciąż nie miała pewności, czy podjęła właściwą decyzję. Payne usiadł na wytartej kanapie i cierpliwie słuchał opowieści dziewczyny. Okazywał jej zrozumienie, a przynajmniej starał się być uprzejmy. Pytał ją o dzieciństwo, o wydarzenia sprzed upadku. Chciał wiedzieć, jak silne było uderzenie w głowę — ale któż mógłby go winić? Gdy opowiadała o podziurawionej beczce, pytał, czy pamięta, z czego wykonana była ta beczka, czy były na niej jakiegokolwiek oznaczenia lub napisy oraz czy w pobliżu rzeki widziała cokolwiek, co pomogłoby zidentyfikować to miejsce. Sherry przypominała sobie, że na betonowym wsporniku pod mostem widziała migające czerwone światło. Może nawigacyjne?

Detektyw obiecał, że sprawdzi raporty o osobach zaginionych i powiadomi ją, jeśli znajdzie coś podejrzanego. Była pewna, że oprócz tego zadzwonił do szpitala, by wypytać o jej wypadek. Nigdy nie dowiedziała się, czyjego kolejną wizytę zawdzięczała swej historii, czy też artykułowi, który następnego ranka ukazał się w „Inquirerze”. W każdym razie następnego popołudnia detektyw Payne pojawił się u niej z gazetą w dłoni.

Jak jej powiedział, nagłówek brzmiał: „Zaginął prezes związku zawodowego kierowców ciężarówek”. Tekst dotyczył Josepha Pazlowskiego — niedawno postawionego w stan oskarżenia przez

federalną wielką ławę przysięgłych za oszustwa związane z funduszem emerytalnym pracowników. Prawdopodobnie niedawno rozpoczął współpracę z prokuraturą i niedługo później zaginął w tajemniczych okolicznościach. Ostatnio widziano go w pobliżu kościoła Jezusa Chrystusa na Market Street.

Mężczyzną z zawałem, który złapał Sherry za rękę, był Frank Lisky, na nabrzeżu lepiej znany jako Mały Franky. Lisky notowany był za porwania transportów oraz zabójstwa.

Payne'a najbardziej interesowała złota spinka w kształcie ciężarówki, znaleziona w szpitalu na krawacie Lisky'ego. Sherry nie mogła wiedzieć, że ją na sobie miał. Była przecież ociemniała. Ale Pazlowski, zaginiony związkowiec, był właścicielem takiej właśnie spinki. Tak się składało, że została ona dla niego wykonana na zlecenie firmy Peterbilt. Nosił ją codziennie — również w dniu, w którym zaginął.

Policja wysłała nad rzekę ekipy poszukiwawcze, zlecając sprawdzenie wszystkich mostów. Reszty dokonali nurkowie. Gdy wreszcie znaleziono ciało Pazlowskiego w podziurawionej półcalowymi otworami beczce po oliwie, wystraszoną Sherry Moore przywieziono na przesłuchanie do biura prokuratora przy sądzie okręgowym w Filadelfii.

Prokuratorzy oraz policjanci z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną dręczyli ją godzinami, aż wreszcie mieli pewność, że nigdy wcześniej nie słyszała o Pazlowskim i Liskym, a jej spotkanie z Liskym na ulicy było czystym przypadkiem. Nie ważyli się dociekać, skąd wiedziała to, co wiedziała. Co więcej, jej zeznania usunięto z akt sprawy, wskazanie ciała przypisując anonimowej osobie.

Nikt nie chciał, by jakiś adwokat podważył oskarżenie, gdyby prokuratura miała dość szczęścia, żeby aresztować zleceniodawców zabójstwa.

Niestety — albo na szczęście, w zależności od punktu widzenia — któryś urzędnik w prokuraturze sprzedał historię prasie i w jednej chwili Sherry obskoczyły media.

Pierwsza strona „The Philadelphia Inquirer” donosiła: „Niewidoma kobieta widzi zmarłych w Filadelfii”. Detektyw Payne zaczął do niej regularnie zaglądać w obawie, że jacyś przygłupi gangsterzy zapragną pozbyć się jej, zanim zobaczy ich w pamięci któregoś z ich ofiar.

Od czasu do czasu dostawała bełkotliwe listy od domorosłych naukowców, zdarzały się też dziwne i obsceniczne telefony, które wkrótce zmusiły ją do zmiany numeru. Z czasem zamieszanie uciхло, jednak kilka miesięcy później od pewnej kobiety z Minnesoty otrzymała list, który miał na zawsze zmienić jej życie. Owa kobieta prosiła Sherry o pomoc w odnalezieniu ciała męża. Jak się później okazało, zaginiony był dyrektorem ogólnokrajowej sieci wypożyczalni samochodów. Pewnego dnia wybrał się ze swym najlepszym przyjacielem do Kanady na polowanie. Po obu mężczyznach na długie tygodnie zaginął słuch, aż wreszcie wody Jeziora Deszczowego w Ontario wyrzuciło ciało przyjaciela na brzeg w pewnej indiańskiej wiosce.

Pierwszą przyjaciółką Sherry po opuszczeniu sierocińca była Jolet Sampson — sąsiadka, która odczytywała jej pocztę i rachunki. Siedziała w mieszkaniu dziewczyny i zaśmiewała się z listu — aż do momentu, gdy dotarła do fragmentu o honorarium. Wtedy zamilkła.

— Co ona pisze? No, co ona pisze? — ponaglała ją Sherry.

Jolet wróciła do czytania, jednak z jej głosu zniknęła gdzieś cała melodyjność:

— Chce ci zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedziała cicho, bardziej do siebie samej niż do Sherry.

— Dobra, fajnie, a teraz powiedz, co naprawdę pisze.

— Sherry, ja nie żartuję. Ta kobieta chce ci zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Sherry roześmiała się i kazała przyjaciółce wyrzucić list. Jednak nastrój Jolet zmienił się diametralnie.

— Nie wiem, jak ty sobie wyobrażasz życie na tym świecie ze swoją białą laską i państwowym wykształceniem. Dziewczyno, czy

ty w ogóle wiesz, jak wygląda to miejsce? — Zatoczyła ręką koło. — Myślisz, że to jakiś, kurwa, Ritz? Mieszkasz w norze pełnej karaluchów, idiotko jedna. Bierz telefon i natychmiast dzwoń do tej kobiety. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz skończoną kretynką. Tacy jak my nie dostają w życiu drugiej szansy. Jeżeli do niej nie zadzwonisz, więcej mnie tu nie zobaczysz. Jolet Sampson nie będzie się zadawać z idiotkami. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Sherry nie mogła się zmusić, żeby zadzwonić do tej kobiety. Nawet pomimo to, że Jolet nie zajrzała do niej nazajutrz, a potem kolejnego dnia. Przecież ona nie miała nawet pewności, czy umiałaby powtórzyć to, co zrobiła na rogu Passyunk i Washington. Nie mogła wziąć pieniędzy za coś, czego na dobrą sprawę nie potrafi zrobić.

W równym stopniu martwiło ją to, że nigdy w życiu nie była dalej niż dziesięć przecznic od miejsca, gdzie ją znaleziono i gdzie się wychowała. Dla ociemniałej dwudziestopięcioletki perspektywa wyruszenia w świat na własną rękę była przytłaczająca. Może i nie mieszkała w Ritzu, ale przynajmniej radziła sobie tutaj sama, a to był w jej odczuciu spory krok naprzód w stosunku do pobytu w sierocińcu.

Zrobiła więc jedyną sensowną — w swym mniemaniu — rzecz. Wyrzuciła list i czekała, aż Jolet się opamięta.

Jednak w następną sobotę do drzwi jej mieszkania zapukał jakiś mężczyzna. Sherry słyszała, jak na całym piętrze brzęczą łańcuchy przy drzwiach — wszyscy sąsiedzi wyglądali z mieszkań, żeby zobaczyć jej gościa. Jolet powiedziała jej, że mężczyzna wysiadł z „wielkiej bryki”, która zatrzymała się przed ich kamienicą.

Przedstawił się jako pan Abernathy, prawnik reprezentujący kobietę, która pisała w sprawie zaginionego męża. Powiedział, że jest upoważniony do wręczenia Sherry czeku na dziesięć tysięcy dolarów, jeśli tylko poświęci mu dziesięć minut swego czasu. Dziewczyna — która i tak nie potrafiłaby mu odmówić — wpuściła mężczyznę do środka.

Godzinę zajęło mu wyjaśnianie, że jego klientka ma w Filadelfii „przyjaciół”, którzy docenili wkład, jaki Sherry miała w sprawę szefa związku kierowców ciężarówek. Przekonali ją, że dziewczyna jest w stanie pomóc policji w ustaleniu, co się stało z jej mężem. Powiedział, że kobieta skłonna jest wypłacić kolejne pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli Sherry poświęci jej czterdzieści osiem godzin. Po upływie tego czasu Sherry będzie mogła bez jakichkolwiek zobowiązań zatrzymać całą kwotę, Abernathy zaś zadba o to, by bezpiecznie wróciła do domu.

Sherry próbowała protestować, mówiąc, że sama nie wierzy, by była w stanie pomóc, jednak prawnik nie przyjmował odmowy do wiadomości. Zapewnił dziewczynę, że pieniądze jej klientki i tak trafią w czyjeś ręce, przy czym kolejna osoba, do której się zwróci, może nie mieć tylu skrupułów.

Charles Goldstone pojechał polować ze swym najlepszym przyjacielem, Berniem Lennoksem. Rozbili obóz na granicy z Kanadą i ruszyli w las, jak wcześniej czynili wielokrotnie.

Nie dawali znaku życia przez trzy tygodnie, aż wreszcie szczątki Berniego wyrzuciła rzeka przebiegająca przez indiański rezerwat. Pani Goldstone pragnęła się tylko dowiedzieć, gdzie zginął jej mąż. Nie miała nadziei znaleźć go żywego, jednak nie potrafiła się pogodzić z myślą, że na zawsze został gdzieś w dzikim lesie.

Sherry nie wiedziała nawet, co ma na siebie włożyć. Miała raptem trzy zestawy ubrań — ciemne spodniemy z poliestru, w których chodziła do pracy. Teraz po raz pierwszy w życiu miała lecieć samolotem, jechać limuzyną i nocować w hotelu.

Następnego dnia czteroosobową awionetką przewieziono ją z Rochester w Minnesocie do granicy z Ontario, skąd samochód zabrał ją do niewielkiego szpitala w Fort Francis. Abernathy ostrzegł, by w poprzedzający wieczór nie jadła niczego egzotycznego. Nie bardzo wiedziała, co mężczyzna ma myśli, jednak gdy zaczęło do niej docierać, co ją czeka, szybko to zrozumiała. „Egzotyczne” było wszystko, czym mogłaby wymiotować.

Miała stawić czoło czemuś dużo gorszemu niż facet, który dostał na ulicy zawału. Tym razem chodziło o niekompletne szczątki człowieka wyłowionego z rzeki. Bóg jeden wie, co ogryzało go przez tyle tygodni.

Jaki będzie miał zapach? Jaka będzie w dotyku jego skóra? Sherry bardzo niewiele wiedziała o tym, co dzieje się po śmierci z ludzkim ciałem. Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę z tego, że gnije — ale jakiego czasu wymagał ten proces? Tygodni, miesięcy, lat? Może nie będzie w stanie skupić się na tyle długo, by cokolwiek wyczuć. Może nie da się niczego wyczuć, jeśli ktoś nie żyje już od tak dawna.

Z lotniska odebrał ją bardzo młody i grzeczny policjant. Podczas lądowania wiatr mocno rzucił awionetką i Sherry była naprawdę szczęśliwa, że tego dnia nie zjadła śniadania.

Gdy przed szpitalem zeszli z zaśnieżonego chodnika, pod stopami poczuła śliskie kafelki, kiedy zaś przekraczali drzwi wejściowe, zaskoczyło ją uderzenie ciepłego powietrza z góry. Przy recepcji powitała ich lekarka. Razem weszli do windy i zjechali do piwnicy. Sherry nie mogła powiedzieć, by ktoś w Fort Francis był dla niej niemiły — jednocześnie jednak nikt nie był serdeczny. Na pewno wszyscy podchodzili do całej sprawy równie sceptycznie jak ona i czuli się głupio, spełniając zachcianki jakiejś bogatej kobiety. W kostnicy lekarka zaprowadziła dziewczynę do pomieszczenia pełnego chemikaliów i posadziła ją na sztywnym, plastikowym krześle.

— Przywiozę ciało — powiedziała. Mówiła ze specyficznym akcentem, nie przypominającym żadnego z języków, z jakimi Sherry miała do tej pory kontakt. — Zostało oczyszczone, ale niecałkowicie — poinformowała — i z wyjątkiem ramienia całe owinięte jest plastikową folią.

Czyżby on miał tylko jedno ramię? — zastanawiała się Sherry.

— Proszę dotykać skóry bardzo delikatnie, inaczej odpadnie. Jeśli pani chce, mogę pani dać maskę.

Powstrzymanie odruchu wymiotnego wymagało od Sherry ogromnego wysiłku. Dłoń mężczyzny przypominała w dotyku gumową rękawicę wypełnioną lodowatą wodą. Dziewczyna nigdy wcześniej nie doświadczyła woni tak silnej i odrażającej jak odór tego ciała. Jednak gdy tylko chwyciła denata za rękę, pod stopami ujrzała śnieg, a w głowie jak błyski flesza zaczęły się jej pojawiać kolejne obrazy.

Coś błyszczy... rzeka... krew na rękach... woda pędzi... ostatni z rzędu kamieni... ręka w pomarańczowej kurtce spod śniegu... wielki głaz z otworami jak oczy, ciemną szczeliną jak usta, gałęziami unoszącymi się na wodzie wokół jego podstawy niczym futrzany kołnierz... skoczył... pod wodą...

Wszystko to trwało kilka sekund. Sherry puściła dłoń mężczyzny i wraz z krzesłem odsunęła się od ciała. Słyszając otwierające się drzwi, powiedziała:

— Mogę już iść.

Nawet jeśli lekarka spodziewała się jakiegoś wyjaśnienia, nie poprosiła o nie, Sherry zaś nic więcej nie powiedziała. Uważała, że to prywatna sprawa między nią a kobietą, która jej płaciła. Podziękowała i ruszyła wraz z młodym policjantem do wyjścia, zatrzymując się w toalecie, żeby obmyć ręce. Następnie pozwoliła mężczyźnie zaprowadzić się do samochodu.

— Czy ja śmierdzę? — spytała go w drodze na lotnisko.

Zaśmiał się.

— Co pani ma na myśli?

— Czy śmierdzę?

— Od tego ciała?

Skinęła głową.

— Ten zapach jest tylko w pani głowie — powiedział. — I to dosłownie. Wdziera się w zatoki i kubki smakowe i nie można się go pozbyć przez wiele dni.

— Więc nie śmierdzę.

— Nie — zaśmiał się. — Nie śmierdzi pani.

Sherry oparła głowę o zagłówek, targana sprzecznymi emocjami. Z jednej strony pamiętała męki, przez które przeszedł tamten

człowiek, zimno, samotność — i dramat przegranej walki z żywiołem,

Jednocześnie czuła nieodpartą radość, gdyż osiągnęła to, po co tam pojechała. Udało się jej! Świadomie sięgnęła do umysłu drugiej osoby i odczytała tkwiące w nim tajemnice. Jakież to niewiarygodne, myślała. Jakie niesamowite. Właściwe tylko jej!

Abernathy czekał na nią na lotnisku w Rochester.

— Pani Goldstone pragnie poznać panią osobiście. Mieszka godzinę drogi stąd. Pozwoliłem sobie zarezerwować pani nocleg na kolejną noc, na wypadek gdyby zgodziła się pani zostać.

— Chętnie spędziłabym tu jeszcze jedną noc — odparła szczerze. — Chętniej, niż pan może przypuszczać. Ale rano muszę być w pracy, inaczej mnie wyleją.

— W Wydziale Ruchu Drogowego? — spytał oschle.

— Tak.

Sherry pomyślała o swoich bagażach. Nie zabrała nawet zmiany bielizny, nic mówiąc już o ubraniach na kolejny dzień. Wiedziała, że nie może ryzykować utraty pracy, choćby nawet bardzo chciała przedłużyć tę przygodę. Nie mogła też przyjąć pieniędzy pani Goldstone. Nie za coś tak prostego jak opowiedzenie o myślach drugiego człowieka. Poza tym cała ta wyprawa była dla niej jedną wielką lekcją — przerażającą i upajającą, ale jakże wspaniałą — i to samo w sobie stanowiło wystarczającą zapłatę.

Nie, nie chciała wracać do swego żałosnego mieszkanka, do korytarzy śmierdzących spalonym tłuszczem i płynem na karaluchy. Pragnęła wylegiwać się w luksusowym łóżku w Hiltonie, jeść faszzerowane ziemniaki i delektować się mlecznymi czekoladkami, zostawianymi co rano na pachnącej świeżością pościeli.

Abernathy wyczuł jej rozterkę.

— Z chęcią przekażę wiadomość pani Goldstone, skoro pani nie może tego zrobić sama. Co by pani jednak powiedziała, gdybym załatwił pani jeszcze jeden dzień urlopu? Czy wtedy zmieniłaby pani zdanie?



Twarz jej się rozjaśniła.

— Ale to nie jest możliwe, prawda?

— Wszystko jest możliwe, moja droga — odparł serdecznie.

— W takim razie zgadzam się, ale czy mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

— Oczywiście — odrzekł.

— Czy ja śmierdzę?

■ ■ ■

Sherry spędziła z panią Goldstone dwie godziny. Choć pozbawiona zmysłu wzroku, potrafiła określić wielkość pomieszczeń, w których się znajdowała. Pomyślała, że jeśli pokoje powinny wyglądać tak jak ten, to przez całe swoje dotychczasowe życie mieszkała w szafach.

— Trufle, skarbie?

— Niestety nie wiem, co to takiego.

— Spróbuj — powiedziała kobieta, wkładając jej w dłoń serwetkę. — Nie znam nikogo, komu by nie smakowały.

Przy staruszcze Sherry zdołała się odprężyć. Kobieta zapewniła ją, że już od dawna przygotowana była na wieść o śmierci męża. Tak jak powiedział Abernathy, chciała go jedynie odnaleźć i pochować.

Dziewczyna opowiedziała o tym, co zobaczyła: o przyjacielu męża na skraju rzeki, o tym, jak próbował przejść po kamieniach i upadł. Pomimo smutnych wieści pani Goldstone była wdzięczna i spokojna. Siedząc przy kominku, snuła wspomnienia o swym małżonku.

Przez niemal godzinę Sherry słuchała jak urzeczona. Odnosiła wrażenie, że starsza kobieta rzadko miała okazję podzielić się z kimś swymi myślami o Charlesie. Że bogactwo w jakiś sposób odizolowało ją od ludzi. Pani Goldstone straciła nie tylko męża, ale także najlepszego przyjaciela.

Oto — pomyślała Sherry — związek, do którego tęskniła przez te wszystkie lata. Oto miłość, jakiej pragnęła: małżeństwo przyjaciół i kochanków.

— Byliśmy wszyscy takimi dobrymi przyjaciółmi... Bardzo mi ich brakuje — westchnęła pani Goldstone. — Ale obawiam się, że cały wieczór cię zanudzam. Dokończenie spraw Charlesa pochłonięło całą moją uwagę, a potem przyszły do mnie dzieci oraz zarząd. Od wypadku cały czas jestem zajęta. Aż do teraz nie miałam nawet czasu powspominać. Polecę Danowi, żeby jutro przelał ci pieniądze i przypilnował, żebyś bezpiecznie wróciła do domu. Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić, drogie dziecko?

Sherry kiwnęła głową.

— Ja nie mogę wziąć pani pieniędzy. Ta kwota jest zbyt duża, a poza tym dzięki pani przeżyłam coś niepowtarzalnego.

— Nonsens — powiedziała starszka. — Ja zawsze robię to, co mówię, i tobie radzę to samo. Pieniądze zostaną przelane zgodnie z naszą umową. Pamiętaj, Sherry: masz dar, rzadki dar. Czuję, że przed tobą jeszcze wiele podróży.

Sherry uśmiechnęła się i podziękowała, przekonana, że pani Goldstone bardzo się myli.

— Pani Moore.

Abernathy wyrósł jak spod ziemi. Na zadaszonym podjeździe czekał jego samochód.

Sherry odwróciła się szybko.

— Proszę pani, jeśli pani pozwoli, miałabym jeszcze jedną prośbę — wyglądała na szalenie zawstydzoną.

— Cóż takiego, dziecko?

— Czy mogę wziąć jeszcze jedną trufkę?

■ ■ ■

Indiańscy przewodnicy znali głąz w kształcie twarzy, o którym mówiła Sherry. Zaczynając od przeciwległego brzegu, odtworzyli drogę, jaką pokonał Bernie, i zaledwie kilkaset metrów dalej znaleźli zwłoki Charlesa Goldstone'a. Zabił go fragment lodospadu, oderwany od skalnego nawisu, pod którym przechodzili. Bernie, ciężko ranny, ruszył po pomoc, jednak przeprawa przez rzekę okazała się ponad jego siły.

Ludzie z Fort Francis rozpowiedzieli o wizji Sherry i wkrótce stała się sławna. „Entertainment Tonight”, magazyny „People”, „Popular Science”, „Newsweek”... Dziewczyną, która potrafi rozmawiać ze zmarłymi, interesowali się wszyscy. Cztery wielkie sieci telewizyjne chciały robić z nią wywiady, dzwonili do niej producenci programów typu talk-show, a szkoły dla niewidomych zapraszały ją do wygłaszania wykładów.

Pani Goldstone nie tylko dotrzymała słowa, ale w dniu, w którym znaleziono ciało Charlesa, przelała na konto dziewczyny dodatkowe dwadzieścia tysięcy dolarów. Przesłała także paczkę trufli i od tej pory robiła to w każdą rocznicę ich spotkania.

Do Sherry przychodziły setki listów.

Korespondencja nabrała dla niej całkiem nowego znaczenia. Nie pracowała już w Wydziale Ruchu Drogowego — utrzymywała się z odsetek od zarobionych pieniędzy. Przyjęła kilka projektów „konsultacyjnych”, a w końcu została zaakceptowana przez co bardziej liberalne kręgi w policji.

Po jakimś czasie wyprowadziła się ze swego małego mieszkania i kupiła dom nad rzeką Delaware.

Dar przyniósł jej pieniądze, te zaś zapewniły jej bezpieczeństwo, jednak największą nagrodą było dla Sherry to, że nagle wszyscy zaczęli jej potrzebować. Dzięki temu miała przed sobą jakiś cel, który nadawał sens jej życiu. To było spełnienie jej marzeń.

Przeprowadziła się prawie dziewięć lat temu. Detektyw Payne pomógł jej w przeniesieniu niewielkiego dobytku. Od niego dostała też swój pierwszy w życiu prezent na osiedliny — złotego kotka, któremu dała na imię Trufel.

Niedługo później poznała swego sąsiada, pana Brighamą. Wdowiec, dobrze po siedemdziesiątce, jednak pełen chłopięcej werwy. Był zapalonym majsterkowiczem — w szopie, za kosiarką, wciąż chował jakieś przydatne znaleziska. Natychmiast zainteresował się dziewczyną i od tej pory wspólnie spędzali wieczory nad jej pocztą lub też po prostu rozmawiając przy lampce jego ukochanego portu.

Życie okazało się dla niej lepsze, niżby to sobie mogła kiedykolwiek wyobrazić. Była za to wdzięczna losowi, jednak nigdy nie zapomniała głosu pani Goldstone, snującej opowieści o swym mężu. Mieć taką miłość, to mieć wszystko na świecie. Wszyscy ludzie żyją właśnie dla niej — i tak niewielu ją osiąga. Dla Sherry to była ta jedna jedyna rzecz poza jej zasięgiem.

Choć nawiązywała przyjaźnie z ludźmi na całym kontynencie, jej świat wciąż był mały. Nie miała kręgu znajomych i odwiedzała jedynie imprezy, na które zaciągali ją detektyw Payne albo pan Brigham — zwykle spotkania bożonarodzeniowe oraz przyjęcia z okazji przejścia na emeryturę, na których dominowały pary.

W ciągu ostatnich dziewięciu lat w jej życiu było jednak trzech mężczyzn. Pierwszym z nich — wyswatany przez Brighama — był profesor politologii, pracujący jako cywil w Ministerstwie Obrony. Jako zapalony kibic futbolu na pierwszą randkę, ku radości Sherry, zabrał ją na mecz Eagles. Była pod wrażeniem, ponieważ ktoś wreszcie potrafił zrozumieć, że osoba niewidoma może się emocjonować obecnością na stadionie pośród tłumu ludzi. Większość osób w ogóle nie dostrzegała w dziewczynie zwykłego człowieka — ich uwagę zaprzętało to, co robi, a nie to, kim jest. Zastanawiali się, o czym myśli, gdy wita się z nimi uściskiem dłoni, i czy potrafi czytać im w myślach. Reszta traktowała ją z kolei jak inwalidkę.

Drugi raz poszła z nim na koncert orkiestry symfonicznej, trzeci — i ostatni — na kolację. Otrzymał niespodziewaną ofertę pracy na Bliskim Wschodzie. Szczegóły były wystarczająco niejasne, żeby Brigham podejrzewał, że chodzi o CIA — ale kto by to wiedział na pewno? Brigham powiedział jej później, że mężczyzna sprzedał dom i słuch po nim zaginął.

Później, w 1995 roku, przy okazji sprawy w Fort Worth, poznała kapitana policji z Dallas. Do końca roku 1996 spotykali się co miesiąc i ta częstotliwość zdawała się obojgu odpowiadać.

Jeśli Sherry miała być szczerą z samą sobą, ta znajomość oparta była wyłącznie na seksie.

Ostatni raz związała się natomiast z lekarzem z Denver — i to właśnie rozstanie z nim było najcięższe.

Poznali się, kiedy pracowała w Pueblo przy prywatnym projekcie — wykopalisku archeologicznym prowadzonym przez światowej sławy poszukiwacza skarbów, Gavina McKeewana. Pracowała dla niego już wcześniej i mówiło się, że przyniosła mu miliony dolarów zysku. Projekt rozpoczął się od znalezienia w skalnej wnęce starej kopalni miedzi z mumifikowanego ciała Indianina. Jednak McKeewan szukał nie miedzi, ale złota, Indianin zaś miał przy sobie prymitywne narzędzia, a w kieszeni — kilka bryłek czystego kruszcu. Sherry nie udało się odczytać jego pamięci, ale tak to już bywało. Jeśli chodzi o zmarłych, nic nie było nigdy oczywiste.

Ponieważ była wówczas zima, dziewczyna uznała wyjazd za miły odpoczynek od ponurego domu. Pomimo że niewidoma, Sherry była typem „letniej” dziewczyny. Chłód źle działał na jej psychikę.

W wieczór poprzedzający jej wyjazd poszukiwacze skarbów zgromadzili się w knajpie u stóp góry Cheyenne. Lubili to miejsce z racji pożywnych potrawek, jednak tak naprawdę przyciągało ich tam miejscowe piwo.

Do ich stolika przysiadł się na chwilę pewien lekarz, znajomy jednego z członków ekipy. Skończyło się jednak na tym, że postawił wszystkim kolejkę i został na cały wieczór. Gdy poszukiwacze postanowili opuścić lokal, była już późna noc — a oni mieli w perspektywie jeszcze godzinę jazdy do Pueblo. Jednak lekarz nigdzie się nie wybierał, Sherry zaś, zakwaterowana w pobliskim Broadmoor, również nie miała powodu, by wracać do siebie.

O północy Pszczoła — bo tak nazywano ów bar — była zatłoczona i gwarna. We dwoje pili piwo z litrowych kufli, a kelnerka rzucała im firmowe pszczółki, które przyczepiały się do ubrań. Minęła pierwsza w nocy, w rozmowie zaczęły dotykać się ramionami,

coraz głośniejszymi głosami i coraz głośniejszymi śmiechami. Nie licząc wycieczek do toalety, Sherry chyba nigdy w życiu tak dobrze się bawiła.

Następnego rana lekarz zadzwonił do niej na komórkę, a potem jeszcze raz wieczorem, gdy już wróciła do Filadelfii. Wysłał jej śnieżną pigułę opakowaną w suchy lód i karteczkę z napisem: „Berek!”. Kiedy Brigham otworzył paczkę i włożył śnieżkę w dłonie Sherry, wiedziała, że jej serce zostało w Kolorado.

Cały tydzień spędzili na rozmowach przez telefon. W sobotę lekarz przyleciał do Filadelfii i zabrał Sherry na kolację. Zamiast w jej pokoju gościnnym wołał się zatrzymać w Radissonie. W niedzielę wyruszyli otwartym autobusem na zwiedzanie centrum miasta. Mężczyzna był dowcipny i interesujący. Wydawało się, że zawsze wie, kiedy coś zrobić, a kiedy nie robić nic. Nie krępowało go to, że dziewczyna jest niewidoma, więc nie nadrabiał konsternacji nadopiekuńczością. Czuła, że dobierając słowa, kieruje się uczuciem, a nie wyrachowaniem. I wszystko, co mówił, zapadało jej głęboko w serce.

W kolejny weekend wróciła do Broadmoor. Wśród śnieżycy czekał na nią z koniem, saniami i woźnicą. Sherry nigdy nie zapomni podzwaniań lejców, miękkiego kłaskania końskich kopyt, delikatnego kolebania sań oraz starej, skrzypiącej ławki, na której doktor obejmował ją i czule do siebie przytulał.

U stóp góry Cheyenne spędziła cały tamten tydzień oraz połowę następnego, rok 2000 zaś był najszczęśliwszym w jej życiu.

Wspominała tamten okres ze smutkiem. Z biegiem czasu wiele się zmieniło. Nie zawsze mogli się odwiedzać. On pracował na dłuższych dyżurach, miał też inne zobowiązania. Ona zaś często wyjeżdżała. Dzwonił coraz rzadziej i w końcu Sherry musiała się pogodzić z faktem, że dla niego ich drogi się rozchodzą.

Włączyła się automatyczna sekretarka i kobieta usłyszała głos detektywa Payne'a:

— Sherry, jesteś tam?

Przeogoniła kota i się podniosła. Ruszyła w kierunku stolika z kutego żelaza, żeby namacać telefon.

— John? Nie słyszałam, jak dzwoniłeś.

Payne był jedyną osobą w jej życiu, przed którą mogła się otworzyć. To właśnie na niego zrzucała swe troski, kiedy — z rzadka — postanawiała o nich opowiedzieć.

Był pierwszą osobą, która potraktowała ją poważnie, i ten właśnie fakt legł u podstaw ich przyjaźni. Od popularności, jaką zdobyła dzięki sprawie kierowców ciężarówek, po brzegi Lake Francis, od Arkansas po Kolorado — Payne zawsze był przy niej wówczas, gdy tego najbardziej potrzebowała.

Musiała przyznać, że na początku była nim dosyć zaintrygowana — po kobiecemu ciekawa. Bądź co bądź pracował jako detektyw, co dla dwudziestopięcioletki samo w sobie było wystarczająco ekscytujące. Pamiętała swój zawód, gdy dowiedziała się, że jest żonaty. Tłumaczyła sobie później, jaka była głupia — który detektyw chciałby paradować ze ślepą dziewczyną?

Szczerze mówiąc, doktor, którego poznała w Denver, przypominał jej właśnie Johna Payne'a. Obaj nigdy nie ulegali panice, obaj byli uosobieniem spokoju i ładu. Wydawało się, że nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiliby naprawić, żadnego problemu, którego nie umieliby rozwiązać. Obaj byli nadzwyczaj zdolni, a jednocześnie skromni i cisi. Miała wrażenie, że od słów wolą działanie.

Wkrótce po zejściu z ciężarówkami Payne poznał Sherry ze swoją żoną, Angie. Spotkali się we trójkę kilkakrotnie, jednak po jakimś czasie Angie przestała się pojawiać. Payne tłumaczył, że woli spędzać czas w domu. Sherry przyjęła to wyjaśnienie, jednak instynkt podpowiadał jej, że istniał też jakiś inny powód.

Dziewięć lat później Payne wciąż był jej najlepszym przyjacielem. Wiedziała, że czuje do niej więcej, niż przynajmniej przed samym sobą. W jego podejściu do niej zawsze było coś jeszcze, coś, co w sobie powstrzymywał, ona zaś nie starała się tego odkryć.

Uznała, że jest to pewien wzajemny pociąg, seksualne napięcie, nie tak znowu rzadkie między dwojgiem ludzi, którzy lubią spędzać razem czas. Gdyby tylko przed laty pojawiła się szansa, by zostać panią Payne, Sherry nie wahałaby się ani chwili. Ale tak się nie stało i nigdy nie stanie. Payne'owi nie zdarzyło się narzekać na swoje małżeństwo, Sherry zaś nigdy nie należała, by dzielić się z nią życiem rodzinnym. A co do napięcia seksualnego... cóż, przecież nie każde uczucie musi znaleźć swoje spełnienie.

Poza tym Sherry dobrze wiedziała, co to znaczy kogoś stracić. Straciła przecież całą swoją przeszłość i wszystkich, którzy byli jej częścią. Nigdy nie chciałyby ingerować w czyjś związek. Nikomu nie życzyła samotności, jaka była jej udziałem. Dlatego też do perfekcji doprowadziła sztukę ukrywania przed Payne'em swych uczuć.

— Masz ochotę na chińszczyznę?

— Masz ochotę na szkocką?

— Tylko jeśli ty masz ochotę na chińszczyznę.

— W takim razie zamawiam krewetki w sosie z homara.

— Będę za pół godziny.

Odłożył słuchawkę.

■ ■ ■

Payne przyrządził koktajle w kuchni, po czym zaniósł je do ogródka wraz z butelką, jedzeniem i pałeczkami. Udało mu się nawet donieść to wszystko do stolika i nie rozlać drinków.

— Głodna? — spytał. Położył torbę na blacie i podał kobiecie szklanekę z whisky.

— Nie — westchnęła. — Może za parę minut. — Wypiła łyk szkockiej, słuchając, jak dziób jakiejś łódki uderza o brzeg. — Usiądź i postaraj się odprężyć.

Przyglądał się jej twarzy w słabnym świetle dnia.

— W tym roku powinnaś wreszcie pojechać na wakacje — powiedział. — Wykup rejs. Zwiedź Europę. Idź na plażę.

Uśmiechnęła się.



— Ty znowu swoje. — Słyszała brzęk kostek lodu, gdy podnosiła szklankę do ust. Czuła, że Payne się jej przygląda. — John, już prawie wiosna. Znów robi się ciepło. Dobrze mi tutaj, nad rzeką. Czy słyszysz szum wody?

— Daj spokój, Sherry. Chowasz się tutaj od czasu Norwich.

— Ostatnio byłam w Pittsburghu — odparła. — Mówiłeś, że jesteś ze mnie dumny.

— Byłbym z ciebie dumny, nawet gdybyś zafundowała sobie leczenie kanałowe u dentysty, jeśli tylko dzięki temu wyszłabyś z domu.

Sherry skinęła głową. Payne wiedział, jak trudna była dla niej sprawa Norwich. Jak wiele czasu minęło, zanim wygnała z myśli tamte obrazy. Na pewno wiedział też — choć nie dawał tego po sobie poznać — że Sherry co kilka tygodni dzwoniła do policji stanowej Connecticut, by się dowiedzieć, czy zidentyfikowano podejrzanego. Nie zidentyfikowano.

Gdyby wiedział, jak często miewała ostatnio koszmary i migreny, nalegałby, żeby poszła do lekarza. Jednak pewne rzeczy nie były przeznaczone nawet dla uszu Payne'a. Pewne rzeczy najlepiej było zachować dla siebie.

— A wy? Kiedy ty ostatnio wybrałaś się gdzieś z Angie? Odkąd cię znam, nigdy nie słyszałam od ciebie choćby jednej historii z wakacji. A nie, czekaj: dwa lata temu pomalowaliście sypialnię — prychnęła.

Payne uniósł dłonie w geście obrony.

— Sherry, mówimy o dwóch całkiem innych sprawach. Poza tym ja i Angie nie musimy co wieczór siedzieć sami w domu. Zresztą kiedy trzeba wybrać, dokąd jechać, my nigdy nie potrafimy podjąć zgodnej decyzji. Ja lubię odpoczynek, a ona — zwiedzanie i chodzenie po sklepach. Zwykle kończy się na tym, że ona wyjeżdża z przyjaciółkami, a ja zostaję i objam się w domu.

Sherry chciała coś powiedzieć, lecz zrezygnowała. Zamiast tego wzniosła szklankę w geście toastu.

— Za rzekę — powiedziała.

— Za rzekę.

Siedzieli tak w milczeniu, aż wreszcie zaszło słońce i zaczęło się robić chłodno.

— Trzeba będzie odgrzać żarcie w mikrofalówce — powiedziała, podkulając nogi, by ochronić się przed zimnem.

— Całkiem o tym zapomniałem. Co powiesz na jeszcze jedną szkocką, zanim wejdziemy do domu?

— To ty jesteś detektywem — odparła z uśmiechem, poprawiając się w fotelu i próbując wsunąć stopy pod pupę.

# 5

## Środa, 4 maja Wildwood w stanie New Jersey

Sykes wrócił do Wildwood bez pompy, jaka towarzyszyła mu, gdy opuszczał to miejsce. Nie było nawet najdrobniejszej wzmianki w „Patriocie” — mimo że jesienią 1976 nie przestawano pisać o nim na pierwszej stronie przez bite pięć tygodni.

Niewielu ludzi pamiętało jego nazwisko, a jeszcze mniej rozpoznałoby jego twarz. Zupełnie nie przypominał dzikiego młodzieńca, którym był jako dwudziestopięciolatek. Oblicze miał teraz pełne blizn, sprawiał wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości, miał rzadkie siwe włosy, na jego szyi rósł zaś rakowaty guz. Ludzie zwykle unikali kontaktu wzrokowego. Gdy się pojawiał, odwracali się lub patrzyli w ziemię. Tak jak jedna z pensjonariuszek w domu opieki w Elmwood, która zobaczyła, jak mężczyzna myje podłogę z zielonego linoleum w korytarzu Andrew Markeya.

Jednak Andrew Markey na pewno by go rozpoznał. Tylko to się liczyło. Może po tylu latach nie pamiętałby jego twarzy, ale Susan zadbała o to, by nazwisko Sykes zapadło mu głęboko w pamięć. Chciała, żeby ojciec wiedział, z kim się związała, kiedy poszedł do więzienia. Chciała, by wyobrażał sobie, jak jego córka pieprzy się ze śmieciem z baraków, dokładnie takim, przed jakimi całe życie próbował ją chronić. Hipokrytka!

Po znalezieniu ciała jego córki ludzie zwracaliby się do Markeya z pytaniami. Sykes nie mógł pozwolić, żeby mężczyzna był w stanie na nie odpowiadać.

■ ■ ■

Jedynym warunkiem zwolnienia Sykesa było znalezienie zatrudnienia. Nie musiał przechodzić testów alkoholowych ani narkotykowych, więc zameldował się u zabieganego kuratora z Trenton, który ułatwiał sobie życie i zamiast wizyt osobistych przyjmował zgłoszenia telefoniczne.

Ponieważ prawo stanu Oklahoma wymagało, by praca więźniów była opłacana, Sykes przez trzydzieści lat robót zarabiał czterdzieści sześć centów za godzinę. Za zdobyte w ten sposób fundusze kupił używaną przyczepę mieszkalną w Raju oraz jeepa.

Wyjrzał przez okno na zrytą koleinami drogę oraz na czubki martwych drzew nad zniszczonym barakiem sąsiadki. Dookoła wały się wraki samochodów, stare opony, zepsute urządzenia elektryczne, zużyte materace i sprężyny. Kruki rozdziobywały torby ze śmieciami, a bezpańskie psy roznosiły odpadki między drzewami.

Szafirowa przyczepa Sykesa stała na stosie szarych cegieł. Z dachu, poprzez zwały rdzewiejących puszek po konserwach, przebijały trzy anteny telewizyjne. Od niewielkiego strumyka na tyłach baraku biła woń ścieków. Zimą dało się to wytrzymać, jednak w sierpniu smród był nie do zniesienia.

Wiatr wpadający przez rozbite okno, załatane kawałkiem tektury, targał poszarpaną firanką. Sykes wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i wyłuskał z niej papierosa. Po raz kolejny rozdrapał krwawiącą ranę na karku, po czym cisnął paczkę na blat, rozganiając karaluchy.

Wychował się zaledwie kilkaset metrów stąd. Ojciec, Oberlein, przywiózł jego matkę do Pine Barrens tuż po drugiej wojnie światowej, gdy młodzi mężczyźni powracający z Francji uciekali z miast na przedmieścia. Jednakże Oberlein nie był jednym z tych

żołnierzy. Opuścił właśnie więzienie w Newark i przypuszczał, że na obrzeżach miasta nie będzie miał na głowie tyłu policjantów.

Jednak życie w tym miejscu nie okazało się dla niego dużo łaskawsze niż życie w mieście. Zbyt często kusił los, aż wreszcie zginął, zastrzelony podczas próby napadu na stację benzynową pod Avalonem.

Na stole w kuchni leżała otwarta książka telefoniczna. Nazwisko J. Lynch zakreślone było czarnym flamastrem. Dawny komendant policji miał na imię Jim. Jednak kiedy Sykes pojechał sprawdzić mieszkanie przy Atlantic Avenue 26, na skrzynce zamiast Lynch widniało nazwisko O'Shaughnessy.

W książce również nie było żadnych Markeyów. Oznaczało to, że Sue umarła, wyszła za mąż, zastrzegła numer albo wyjechała. W odnalezieniu zarówno dawnego szefa policji, jak i swej byłej dziewczyny Sykes potrzebował zatem pomocy.

Zapalił papierosa i rozsunął wyblakłe zasłony. Przyczepa sąsiadki stała zaledwie trzydzieści metrów dalej. Widział zdjęcia z gazet, którymi okleiła ściany sypialni. Gwiazdy rocka z lat osiemdziesiątych, kierowcy wyścigowi, rozkładówki z „Playgirl”.

Ponownie zasunął zasłony i wyłożył na blat zawartość torby z zakupami. Piwo, musztardę, chleb i kiełbasę schował do lodówki. Kupony loterii oraz batoniki wsunął do kieszeni.

Zakup mebli, podobnie jak i jeeпа, okazał się prosty. Żadnych poręczycieli, żadnego dodatkowego zabezpieczenia. Ba! Mógł zacząć płacić dopiero za rok. Rok — w duchu wyśmiał sprzedawczynię. Cały, kurwa, rok! Gdyby tylko wiedzieli...

Ostatnio dużo rozmyślał o Jenson Reed. Wspominał spotkanie z psychiatrą owego pierwszego dnia. Podczas gdy odsiadywał wyrok w Lewisburgu w stanie Pensylwania, rząd rozpoczął program resocjalizacyjny finansowany z funduszy federalnych, w ramach którego dzierżawił prywatne więzienia. Jako więzień odsiadujący wyrok dożywocia za przestępstwo nie mające cech aktu przemocy Sykes spełniał wymogi resocjalizacyjne. Do Jenson Reed w Texhomie

przeniesiono go razem z siedmiuset pięćdziesięcioma innymi więźniami.

Prywatne więzienia w niczym nie przypominały tych, z jakimi Sykes zetknął się do tej pory. Obrazy w korytarzach administracji, dywany w świetlicach... W stołówkach z głośników płynęła muzyka, a pomieszczenia rekreacyjne wyglądały jak centrum odnowy biologicznej i klub fitness w jednym.

— Cieszę się, że jest pan z nami — powiedziała pani doktor, podając mu drobną, szorstką dłoń. — Sądzę, że uzna nas pan za bardziej gościnnych od naszych kolegów w Lewisburgu.

Spod jej modnie przystrzyżonych, krótkich blond włosów błyszczały kolczyki — długie, czerwone łezki, które przywodziły Sykesowi na myśl krople krwi. Pochyliła się ku niemu, a gdy krzyżowała nogi, słyszał szelest nylonu. Czuł zapach drogiego pudru do ciała. Zapach przyjemny, zdradzający wysoką jakość, zupełnie nie przypominający świństwa, którym jego matka obficie okładała swą zwiotczałą szyję, jakby ktoś rąbnął ją workiem mąki.

— Napije się pan? — zagadnęła, lejąc do szklanki wodę z nierdzewnego dzbanka. Kostki lodu wysypywały się, podzwaniając melodyjnie.

Brzegi kuloodpornych szyb zdobił szron, za oknem tańczyły zaś kruche płatki śniegu. Sykes utkwiał wzrok w płaskim, białym brzuchu kobiety, który widać było w rozchyleniu bluzki.

— Podoba się panu? — spytała po chwili.

Spojrzał jej w twarz, ale nie odpowiedział. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział.

— Chciałabym, żeby korzystał pan z każdej okazji do wyrażenia swej opinii. W Jenson Reed obowiązuje wiele zasad, ale żadna z nich nie krępuje swobody wypowiedzi.

Mówiła powoli, dawkowała słowa jak te kostki lodu, które wpadały pojedynczo do jego szklanki. Otwartą dłonią z długimi, krwistoczerwonymi paznokciami wskazała okno.

— Chciałby pan tam wrócić?

Tylko na nią spojrzał.

— Proszą pomyśleć o swych doświadczeniach z młodości. Nie miał pan szansy na dobre życie. Nie istniał żaden mechanizm, który mógłby pana uratować. Rodzina, szkoła i policja kształtowały pana zgodnie z własnym przekonaniem o pańskim przeznaczeniu, a pan ich nie zawiódł.

Rozkrzyżowała nogi.

— Musi się pan nauczyć panować nad emocjami. Znaleźć wentyl bezpieczeństwa dla całej swej agresji. Stale czuwać nad gniewem. Składować wszystkie te uczucia w jakimś bezpiecznym miejscu, ponieważ takimi właśnie regułami rządzi się społeczeństwo. By do niego powrócić, będzie pan musiał tych reguł przestrzegać.

Powrócić? Czy on naprawdę mógł wrócić na wolność?

W Jenson Reed Sykes pracował w zakładach metalowych i mleczarniach. Uczył się naprawy małych silników, zdobył średnie wykształcenie — egzamin, którego nikt nigdy nie oblewał, zdał z najgorszym wynikiem w grupie.

Powiedziano im, że muszą zdobyć praktyczne umiejętności. Zwolnionym warunkowo więźniom obiecano zapewnić pracę. Nic wyszukanego — mieli zostać mechanikami, w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat zaczynając od płacy minimalnej.

Co dnia słońce wschodziło i zachodziło, mijały miesiące, a potem lata. Lata siedemdziesiąte ustąpiły miejsca osiemdziesiątym, te — dziewięćdziesiątym, a wkrótce nadszedł nowy wiek. Raz w tygodniu lekarka zapraszała go na piętnastominutowe spotkania, które miały zmienić jego życie. Przez wszystkie lata, które spędził w Jenson Reed, tylko jedno się zmieniało.

Ona.

Sykes chwycił paczkę papierosów i zwłókł się po schodkach do jeepa, płosząc przy tym kocura, który buszował w śmieciach. Przejechał pod łukami z kutego żelaza, ozdobionymi aniołkami i kłosaми pszenicy — pomnikiem ku czci fundatora parku, który wyobrażał sobie powojenne rodziny zgromadzone wokół basenu,

grillujące i grające w badmintoną pośród sosen New Jersey — i wyjechał na drogę stanową. Raj nigdy nie stał się letnim polem kempingowym ani wakacyjnym ośrodkiem dla turystów. Raj najbardziej znany był jako bezpieczna przystań dla gangów motocyklowych, narkomanów i prostytutek.

Szosa stanową dojechał do Grassy Sound, gdzie skręcił, by dalej podążyć absurdalnie krętą drogą wzdłuż rzeki Nescmhague Creek. Ta część była kiedyś trasą towarową, cudem inżynierii lądowej lat czterdziestych. Teraz korzystały z niej tylko mewy, żeby rozbijać o nią ostrygi, oraz dziwnie wyglądające węże i żółwie, które lubiły się tu wygrzewać na słońcu.

Starsi mieszkańcy pamiętali jeszcze moment powstania tej drogi — upalne lato 1942 roku, kiedy to brygada drwali wcięła się w bagniste lasy, pełne mokasynów błotnych i dostojnych żurawi. Naukowcy poczynili wówczas kolejny krok na drodze postępu technicznego, znajdując rozwiązanie problemu odpadów, nasilającego się w północno-wschodnich stanach. Plan obejmował składowanie niebezpiecznych resztek z laboratoriów, centrów badań chemicznych, szpitali i klinik Nowego Jorku i północy New Jersey w tutejszych bagnach, gdzie stałyby się nowym źródłem przychodu, a jednocześnie nie zagrażałyby już oceanowi.

Do osuszenia bagna aż po Nescmhague Creek zatrudniono miejscowych, płacąc im po osiem dolarów za godzinę. Starzy mieszkańcy zachowali w pamięci letnie miesiące obfitujące w ukąszenia pajaków i uczulenia od słońca, ciągłe zmagania z trującym bluszczem, choroby powodowane upałem, infekcje po rozdrapanych ugryzieniach, biegunki wywoływane przez pitą wodę oraz porażenia jadem pogońców i mokasynów błotnych. Wspominali też nieustanny hałas wież wiertniczych, łomoczących dniami i nocą przy smrodzie pochodni odstraszających komary — pracujących nie po to, by wydobyć wodę, olej czy gaz, a jedynie po to, by zrobić jak najwięcej dziur.



W roku 1944, kiedy osuszanie i drażnienie bagien dobiegło końca, wpuszczono tam ciężarówki i rozpoczęto zrzucanie beczek do kilkudziesięciometrowych silosów.

Przez dziesiątki lat nikt o nich nie pamiętał. Przypomniano sobie o tym miejscu dopiero wtedy, gdy zaczęło się głośno mówić o rzeczach takich jak czynniki rakotwórcze oraz zagrożenie dla organizmów żywych. Dopiero wtedy, gdy bagna pełne były lekarstw, szczątków ciał, ludzkich narządów, chorych tkanek, surowicy, promieniowania rentgenowskiego i rakotwórczych odpadów.

Dopiero wtedy, gdy stały się czarne i sączyły się do rzeczki, zatruwając Nescmhague aż do połowy długości. Ale wówczas to miejsce było już znane głównie jako Blackswamp.

Rząd wstrzymał roboty na początku lat sześćdziesiątych. Ciężarówki przestały kursować. Na miejsce wysłano robotników, by załatali otwory w ziemi, a także ekipy drogowców z zadaniem otoczenia okolicy płotem ochronnym. Na koniec teren przykryto stertami złomu, który władze stanowe składowały dotąd w okolicach Newark: starymi radiowozami, autobusami, sejfami, szafami na dokumenty, ulicznymi słupkami i znakami drogowymi. Całą tą stalą, której żywot jest krótszy niż biurokracja.

Z czasem prekursorzy dzisiejszych ekologów pojęli znaczenie tego, co tu uczyniono. Rozesłali do okolicznych mieszkańców ostrzeżenia o zagrożeniu zdrowia, a nawet wykupili ziemię w innej części hrabstwa i pomogli przenieść się tam niektórym rodzinom.

W okolicy krążyły legendy o bezokich szczurach i dwugłowych węzach, o żółwiach bez skorup i szopach pozbawionych sierści. Mówiono, że ptaki przelatujące nad bagnem zatruwają się oparami i zdychają w locie. Ludzie przysięgali, że widzieli pająki wielkości spodków oraz robaki o długich kłach. Przez lata nawet najodważniejsze wyrostki bały się zbliżyć do ogrodzenia obwieszzonego znakami z zieloną czaszką i piszczelami.

Jednak dla Sykesa Blackswamp stanowiło osobisty plac zabaw. To miejsce było spełnieniem jego chłopięcych marzeń miał tam co niszczyć i do czego strzelać i nikt nie mówił mu, co ma robić. Gdy był nastolatkiem, chował tam kontrabandę. Jako dorosły człowiek — przyprowadzał i ukrywał swe ofiary.

Minął ogrodzenie, na którym wciąż wisiły znaki ostrzegawcze, tyle że zamiast dawnej trupiej czaszki na tabliczkach widniały teraz futurystyczne pierścienie, symbol skażenia biologicznego. Ukrył jeepa wśród bluszczu, który rósł wzdłuż płotu, i zbliżył się do fragmentu siatki wyciętego niczym furtka. Pchnął ją, żeby przejść, po czym zamknął za sobą.

Ziemię pokrywał śliski szron. Idąc pomiędzy wysokimi stosami starych samochodów i ciężarówek, Sykes widział zostawiane przez siebie ślady i nawet w rześkim wiosennym powietrzu czuł zapach skażonej ziemi.

Wśród labiryntu tysięcy pojazdów dotarł do rzędu autobusów z początku dwudziestego wieku. Niektóre z nich leżały na boku, inne były przewrócone na dach. Jeden — wciąż z tablicą „Flatbush avenue” — rdzewiał z podwoziem na ziemi, pozbawiony osi i kół. Sykes wyjął papierosa, postukał nim o tarczę zegarka i zbliżył go do ust, przypalając zapałką. Następnie podszedł do otwartych drzwi.

Promienie słoneczne odbijały się od rozbitego lusterka. Po masce pojazdu przebiegł szczur o jasnej sierści. Sykes zaciągnął się głęboko papierosem, cisnął go na ziemię, po czym wszedł po schodkach do wnętrza wozu. Tylne siedzenia usunięto, by zrobić miejsce na materac i lampę naftową. Fragment podłogi w środkowej części autobusu przykryty był płytą ze sklejki. Sykes przeszedł pomiędzy przednimi siedzeniami i uklęknął przy płycie. Następnie ją podniósł.

Gdy patrzył w ciemną czeluść, opary paliły go w gardło i piekły w oczy. Studnia przykryta była niegdyś żelazną pokrywą, która pękła, kiedy w latach sześćdziesiątych zrzuciono na nią autobus. Połówka płyty wpadła do środka i z czasem kwaśne opary wyżyły

dziurę w podwoziu autobusu. Właśnie dzięki temu Sykes znalazł to miejsce, kiedy był chłopcem.

Nikt nie potrafiłby stwierdzić, co było na dnie. Cez-137, rad, rtęć — to na pewno, a bez wątpienia także wiele innych substancji. Radionuklidy i izotopy, które lekarze znaleźli w szpiku kostnym Sykesa. Niektóre z nich o półokresie rozpadu rzędu czterech milionów lat.

Lekarze planowali nawet zbadać okolice New Jersey, z których pochodził Sykes. Przestraszyli go tym nie na żarty. Bóg jeden wie, co mogliby odkryć, gdyby jako przyczynę raka zidentyfikowali Blackswamp. Na szczęście w końcu uznali to za jeszcze jedną z wielu tajemnic tego świata. Innymi słowy, nikogo tak naprawdę nie obchodziło, w jaki sposób umierający więzień nabawił się imitującej, radiologicznej choroby o podłożu rakowym.

Położył się na brzuchu i sięgnął w głąb jamy, macając jej brzegi, aż znalazł rewolwer zawieszony na żelaznym kołku wbitym w ściankę studni.

Broń była niewielka, ciemna i przeżarta rdzą. Wcisnął ją do torby na pasku i przykrył jamę sklejką.

Nadeszła pora, by nadrobić stracony czas.

■ ■ ■

Wrzucił monetę do automatu i wykręcił numer.

— Słucham, Radio Shack — powiedział mężczyzna po drugiej stronie.

— Jest Ricky?

Sykes drapał kciukiem kupon loterii, patrząc w telewizor na wystawie. Ten, kto to wymyślił, był geniuszem — miliony dolarów za jedną zasraną zdrapkę.

— Proszę chwilę zaczekać — odparł mężczyzna. — Jest na zapleczu.

Na ekranie uśmiechnięty od ucha do ucha Bob Barker stał obok kobiety trzymającej tabliczkę w kształcie stanu Teksas — oto jeszcze jeden facet, który nigdzie się nie ruszył przez ostatnie trzydzieści lat.

— Tu Ricky — odezwał się głos w słuchawce.

— Cześć, to ja. Masz to?

— Mam — odpowiedział chłopak.

— Stoję na zewnątrz.

Na błyszczącym chodniku siedziały mewy. Gdy otworzyły się drzwi, podmuch wiatru uniósł srebrną folię przyklejoną do kartonowej postaci dziewczyny stojącej we wnętrzu. Ze sklepu wyszedł przyszczaty nastolatek, którego Sykes poznał w salonie gier na Atlantic Avenue. Chłopak rozejrzał się we wszystkie strony i podszedł do niego.

— Pięćdziesiąt dolców — powiedział Sykes, wypychając młodemu w dłoń zwitek pięcio- i dziesięciodolarówek.

Chłopak znów się rozejrzał, po czym sięgnął do kieszeni i podał mężczyźnie kartkę.

— Tu jest wszystko, o co pan prosił. Ściągnąłem z Internetu.

■ ■ ■

Sykes wpatrywał się w kartkę przez całą drogę powrotną. Ona żyła! Nie nazywała się już Markey. Ciekaw był, jak wygląda jej dom. Czy jest bogata?

William i Susan Paxtonowie, Quail Avenue 1515, Gloucester Heights, New Jersey. Dzieciak mówił, że to pod Filadelfią, czyli jednak odwiedziła w końcu wuja i ciotkę. Pewnie tego samego dnia, kiedy on poszedł do więzienia.

Otworzył piwo i kciukiem wystukał numer telefonu.

— Halo? — odezwał się mały chłopiec.

Dziecko?

W jej wieku?

— Czy jest Susan? — zapytał.

— Babcia jest w pracy. Wraca o siódmej.

Sykes spojrział na ekran telewizora. Na trawniku z widokiem na szmaragdowy ocean Tom Magnum właśnie pojedynkował się z szefem.

— Mówi pan Higgins z kościoła. Chciałem spytać babcie o te datki na żywność. Masz tam jej numer?

Chłopiec wyrecytował go z pamięci.

— Dzięki — powiedział Sykes. Wykręcił uzyskany numer. Czekając, aż odbierze, próbował sobie wyobrazić, jak kobieta wygląda po tych wszystkich latach.

— Salon mody Carmela's — odezwała się.

Jej głos był trochę głębszy, nieco bardziej chropawy niż ten, który pamiętał Sykes. Ale tylko trochę.

— Witam — powiedział ochryłym głosem. Jego dłoń powędrowała na kark, w brzuchu czuł coś bolesnego, coś znajomego z dawnych lat. Przypominał sobie jej mokre włosy na swej piersi. Zapach szamponu truskawkowego. Przy niej wszystko było zawsze truskawkowe: truskawkowe lody, truskawkowa szminka, truskawkowa guma do żucia — to była ta jedyna dziecięca przyjemność, której nigdy sobie nie odawiała.

Czy pozwoliła włosom osiwieć, czy też je ufarbowała? — zastanawiał się.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak dojechać do państwa sklepu.

# 6

## Piątek, 6 maja Filadelfia w stanie Pensylwania

Susan Markey Paxton przeliczała właśnie utarg, gdy po raz trzeci zadzwonił jej mąż.

— Dzieci zamiast hot dogów chcą zarcie z KFC. Kupiłabyś?

— Ile one jeszcze z nami zostaną? — udała zniecierpliwienie.

— Przecież to ty wymyśliłaś, żeby się nimi opiekować. Poza tym jeszcze w zeszłym roku mówiłaś, że chciałabyś mieć własne.

— Zbliżam się do menopauzy — odrzekła oschle. — Kobiety przed menopauzą mówią różne rzeczy. Kupię jedzenie w drodze do domu, a ty nie pozwól im wcześniej nic jeść. Wczoraj napchały się herbatników za cały tydzień, a potem nie zjadły kolacji. Nie chcę, aby Lindsay myślała, że cały tydzień karmiliśmy je świństwami.

— Kiedy oni wracają?

— Za dwa dni — odparła zirytowana. — Dwa dni. William, czy ty niczego nie potrafisz zapamiętać? Zadzwon do Grega i poproś, żeby odłożył jakieś steki.

— W weekend ma padać.

— No to założysz czapkę — rzekła wesoło. — Mam ochotę na steki, i to z grilla, takie po twojemu.

— Ty mi się nie podlizuj.

— I pamiętaj, trzymaj dzieci z dala od słodczy. Niedługo będę. Pa, kochanie.

— Pa.

Susan spojrzała w głąb sklepu na nową pracownicę. Miała siedemnaście lat, ale robiła wrażenie, jakby zbliżała się do pięćdziesiątki. Shakra. Kto, u diabła, daje dziecku na imię Shakra? Dziewczyna miała po pięć kolczyków w każdym uchu, jeden w łuku brwiowym i jeden w języku.

Kiedy przyszła na rozmowę kwalifikacyjną, na dzień dobry spytała, ile będzie miała rabatu.

Gdyby to rzeczywiście zależało od Susan, po takim początku natychmiast by jej podziękowała. Jednak Shakra była córką sędziego, który romansował z szefową, więc tak naprawdę rozmowa mniej służyła podjęciu przez Susan decyzji, a bardziej — poznaniu nowej pracownicy.

— Ta dziewczyna kradnie.

— Niby jak? — spytała jej koleżanka, z pochodzenia Irlandka. — Wszystkie artykuły są zabezpieczone, kasy pod obserwacją kamer, nie jest w stanie oszukiwać na cenie ani anulować paragonów bez upoważnienia. Słuchaj, Susan, ja też za nią nie przepadam, ale skoro Carmela chciała ją zatrudnić, to nic na to nie poradzimy.

Susan pokręciła głową.

— Aleja wiem, że ona kradnie. Dałabym sobie głowę uciąć.

— No to powiedz mi jak — westchnęła starsza z kobiet. Zdjęła z wieszaka chustkę i zawiązała ją na siwych włosach.

— Jeszcze nie wiem, ale jestem tego pewna — odparła Susan. — Znam takie jak ona. Czytam w niej jak w otwartej księdze. — Dla efektu wyduła wargi i zmrużyła oczy.

Starsza kobieta się roześmiała.

— Czyżby? I skąd ty niby wiesz o takich rzeczach?

— Bo byłam taka jak ona. — Susan przyłożyła dłoń do ust. — A nawet gorsza. Zapamiętaj moje słowa, Ellen: ona kradnie.

— Byłaś gorsza niż nasza kochana Shakra?

— Miałam nawet przezwisko, ale nie pytaj jakie. Nie mam się czym chwalić.

— No dobra, to złap ją na kradzieży, ale może już jutro. Teraz czas się zbierać i iść się gdzieś ogrzać. Jeszcze jeden dzień i wolne — powiedziała radośnie, chwytając płaszcz. — Do jutra.

Wszystkie sprzedawczynie, z wyjątkiem Melissy, wychodziły przed piątą. Susan zamknęła drzwi wejściowe, klucz z długim, drewnianym breloczkiem zostawiając w zamku. Odłączyła zasilanie oświetlenia witryny i wyjrzała przez okno.

Deszcz lał tak mocno, że ledwie dostrzegąca przeciwną stronę ulicy. Między samochodami i kałużami przemykali przechodnie z parasolami w rękach i kapeluszami na głowach. Chociaż Melissa mogła wychodzić z pracy ze wszystkimi, wołała jednak zostawać po zamknięciu. Młoda, nieśmiała dziewczyna mieszkała z babką niedaleko targu przy ulicy Waszyngtona. Często zapominała o wielu rzeczach, nigdy jednak, kiedy w grę wchodziły pieniądze. Uwielbiała to, czego reszta dziewcząt nie cierpiała: co wieczór składać pozostawione przez klientów towary i odwieszać je na właściwe miejsca.

— Choć raz wyjdź stąd wcześniej — zachęciła ją Susan. — Ja posprzątam i przygotuję towar na jutro.

— Ale ja mogę zostać — zaproponowała dziewczyna, jednak Susan pokręciła głową z surową miną.

— Już cię tu nie ma!

Melissa zebrała swoje rzeczy i poszła do pokoju pracowników po płaszcz. Potem pomachała kierownicze na do widzenia i otworzyła sobie drzwi. Susan usłyszała, jak zamykają się z brzęczeniem dzwonek.

Z rachunków wynikało, że to był dobry dzień. W przyszłym tygodniu miała przyjść kolekcja jesienna. Susan czekała całkowita reorganizacja sklepu. W salonie mijało kolejne lato, choć to prawdziwe nawet się nie zaczęło. Czas płynął nieubłaganie.

Skończyła podliczać rachunki, zapakowała je wraz z gotówką



i czekami do koperty, a następnie schowała do sejfu. Potem zaczęła chodzić po sklepie, odwieszając porozrzucane przez klientów ubrania.

Stała właśnie przy obrotowym wieszaku i zajmowała się swetrami, gdy znowu usłyszała dzwonek znad drzwi. Z zewnątrz dochodził chłupot wody wylewającej się na chodniki z przepelnionych rynien. Deszcz był zimny. Kiedy pochylała się nad stertą swetrów, wytężając wzrok, by odczytać rozmiary na metkach, poczuła na karku powiew chłodu.

— Czego tym razem zapomniałaś? Melissa, czy ty wiesz, że nie ma dnia, abyś po coś nie wracała? Może powinnaś zacząć brać wyciąg z miłorzębu?

Nikt nie odpowiadał.

Czuła, że coś jest nie tak. Podniosła się i odwróciła w stronę wejścia.

Zobaczyła tego samego dziwnego mężczyznę, który był w sklepie w porze lunchu. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy oraz kapelusz z opadającym rondem, naciągnięty nisko na czoło. Nie wyglądał na faceta, który kupował żonie prezenty — a już na pewno nie drogie ubrania w Carmela's. Nie spodobał się Susan już wtedy i nie podobał jej się teraz.

— Przykro mi, proszę pana, ale już nieczynne — powiedziała stanowczo. Dla podkreślenia swych słów podniosła wzrok w kierunku kamery. Wyrzucała sobie, że nie zamknęła za Melissą drzwi.

Przypomniało się jej, że gdy ten człowiek był w sklepie po raz pierwszy, wydawał się bardzo zainteresowany rozmieszczeniem kamer. Brał z półek ubrania i zaraz odkładał, nawet ich nie oglądając. Susan zaczęła za nim chodzić, aż wreszcie wyszedł, zirytowany.

— Zamykamy o piątej. — Dłonią wskazała mu drzwi. — Będzie pan musiał wrócić jutro.

Odsłonił w uśmiechu zepsute zęby. W poprzek jego szyi przebiegała okropna blizna, a zza ucha wystawała szpetna brązowa

narośl. Nie знаła go — co do tego nie miała wątpliwości. Takiej twarzy się nie zapomina. A jednak było w nim coś...

Mężczyzna podniósł kilka swetrów leżących nieopodal i podał je Susan z uśmiechem.

Nagle zrobiło się jej niedobrze. Przed oczyma stanął obraz chłopaka o wyglądzie Charlesa Mansona. Odgłos dwóch donośnych huknięć rozniósł się po sklepie.

Ugięły się pod nią nogi. Opadła na kolana, w ramionach wciąż ściskając swetry. Spojrzała na mężczyznę z niedowierzaniem. Jedna z kul utkwiała w jej plecach, druga przeszła na wylot ramię i wbiła się gdzieś za nią.

Sykes? — pomyślała. Earl Sykes? To niemożliwe.

Sykes przyłożył lufę do czoła Susan i strzelił raz jeszcze. Patrzył, jak jej ciało odskakuje najpierw w tył, a potem w przód. Kula wyrwała dziurę z tyłu czaszki.

Kobieta runęła twarzą na dywan.

Naciągnął kapelusz na czoło. Obrócił się i opuścił głowę, odwracając twarz od kamer. Wyszedł ze sklepu, zabierając ze sobą klucz i zamykając drzwi od zewnątrz, po czym dołączył do setek innych kapeluszy i parasoli, które wracały do domów.

■ ■ ■

Kiedy przyjechała policja, bmw Carmeli stało przed sklepem z włączonym silnikiem. Do wschodu słońca było jeszcze trochę czasu, jednak po mieście krążyły już ekipy porządkowe oraz śmieciarki.

Mąż Susan szukał jej przez całą noc i pierwsze godziny poranka. Dzwonił na policję stanową New Jersey i Pensylwanii, by się dowiedzieć, czy nie miała wypadku. Policja z Gloucester Heights przyjęła zgłoszenie zaginięcia, po czym skontaktowała się z komendą w Filadelfii. Ta wysłała patrol do sklepu, gdzie pracowała Susan. Funkcjonariusze stwierdzili, że światła są zgaszone, a drzwi zamknięte.

O trzeciej nad ranem policjant z New Jersey znalazł samochód

Susan na parkingu przy moście Walta Whitmana. Bliski hysterii William Paxton zadzwonił do domu Carmeli, prosząc ją, by spotkała się z policjantami i otworzyła sklep, żeby mogli się rozejrzeć.

Carmela przekreśliła klucz w drzwiach i namacała włącznik światła przy szybie wystawowej. Jeden z policjantów poszedł z nią do kantorka, dwaj pozostali kręcili się w pobliżu wejścia, nie wiedząc, co dalej robić. W sklepie było cicho i nic nie wzbudzało podejrzeń. Szuflady kas, zgodnie z obowiązującą procedurą, opróżniono i wyjęto na wierzch.

W końcu wyższy rangą funkcjonariusz machnął dłonią w stronę przeciwnego końca sklepu:

— Fresco, idź sprawdzić przebieralnie.

— Dobra. — Puciołowaty nowicjusz pomaszzerował we wskazanym kierunku, pobrzękując przywieszonymi do pasa kluczami i kajdankami.

— Wygląda na to, że wszystko jest na swoim miejscu — powiedziała Carmela do towarzyszącego jej policjanta. Martwiła się o Susan, jednak cokolwiek się z nią stało, nie zdarzyło się to w sklepie. Zamknęła księgi i odłożyła je na regał.

— Chce pan zajrzeć do sejfów?

Funkcjonariusz spojrział na salę sprzedaży, gdzie Fresco lawirował między wieszakami.

— Nie, proszę pani. Chyba zobaczyliśmy już wszystko, co chcieliśmy.

W tym właśnie momencie Fresco jęknął i nagle zniknął. Słyszeli, jak cały jego ciężki sprzęt z impetem uderza o ziemię. W chwilę potem rozległ się przerażający krzyk.

W komisariatach przekazywano sobie tę historię wiele razy, ubarwiając ją przez lata, aż stała się nieopisanie ohydna. Dla Fresco szok był zbyt duży, by mógł ją sam opowiadać. Potknął się wtedy o but zastrzelonej kobiety i runął twarzą w to, co niegdyś było tyłem jej głowy.

■ ■ ■

Detektyw Payne przybył na miejsce zbrodni o 5.30 i przejął sprawę. Twarz i włosy miał przemoczone. W dłoni trzymał kubek kawy.

Wiedział już, że ciało zostało zanieczyszczone. Wpakowanie twarzy w czyjś mózg było kiepskim posunięciem z punktu widzenia dalszej kariery nowicjusza, jednak Fresco miał tyle hartu ducha, by się obmyć i pozostać na miejscu. Mijając go, Payne poklepał chłopaka po ramieniu. Wiedział, że wielu na jego miejscu od razu zgłosiłoby się na terapię pourazową, która pozwoliłaby im usadzić tłuste dupska za biurkiem na najbliższe trzydzieści lat.

Detektyw wysłuchał sprawozdania starszego funkcjonariusza, podczas gdy Fresco stał przy drzwiach, notując wszystkie wejścia.

O świcie przyjechali technicy z przenośnym laboratorium i rozpoczęli standardową procedurę zdejmowania odcisków palców.

— Zajmijcie się sejfem na zapleczu. A w następnej kolejności sprowadźcie tam właścicielkę.

Technik kiwnął głową.

Payne spacerował wokół ciała, oglądając je ze wszystkich stron. Przyklęknął przy kobiecie i czubkiem długopisu podniósł kolejno każdy z jej palców. Potem odgarnął włosy, by przyjrzeć się widocznemu fragmentowi twarzy. Poczul żal, kiedy zobaczył, jaka była ładna. Dziura pomiędzy brwiami miała średnicę ołówka, wylot zaś z tyłu czaszki — gdzie trafiła twarz Fresco — rozmiar jabłka. Jednak ani w ścianie, ani na ziemi nie było kuli.

Detektyw wyjął kieszonkową latarkę i poświecił pod wieszakami, a następnie przeczołgał się pod nimi aż na drugi koniec sklepu. Nic.

Po przejściu przez czaszkę pocisk musiał być zdeformowany i poruszał się powoli. Nie mógł się wbić w drewniany regał ani betonową ścianę. Payne skupił więc uwagę na przeszukiwaniu ubrań bezpośrednio za plecami kobiety.

Białe bluzki na obrotowym wieszaku pokrywała czerwona mgiełka, tym szersza, im dalej od ciała. Podążył tym śladem, docierając do kilku równych kupek jasnobieżowych golfów. Przykucnął, oglądając po kolei każdy ze swetrów, aż wreszcie w świetle latarki ujrzał wiele mówiący szary ślad na złożeniu jednego z nich.

Przyjrzał mu się bliżej z obu stron, potem położył się na plecach, by spojrzeć nań od spodu. Wreszcie uklęknął i uniósł sweter za pomocą długopisu. Pocisk leżał nieuszkodzony pomiędzy dwoma golfami. Nie mógł pochodzić ze strzału w głowę. Zatem jeden z tych, które trafiły w tułów, musiał przejść na wylot, nie napotykając kości ani ścięgien.

— Mam kulę! — zawołał, wskazując na stertę swetrów. Technik przyjął to do wiadomości skinieniem głowy, nie przerywając poszukiwania odcisków palców.

Payne podparł sweter długopisem, tak by pocisk był dobrze widoczny, po czym przeszedł do frontowej części sklepu, żeby porozmawiać z właścicielką.

Kiedy wreszcie udało się otworzyć sejf, w środku Carmela znalazła gotówkę i kwity od kart kredytowych z całego dnia, a także rachunki i korekty wypisane ręką Susan. Była nawet skrzynka z drobnymi, a w niej trzysta dolarów i plik czeków.

W zasadzie brakowało tylko taśmy z kamery przemysłowej, jednak później znaleziono ją w kieszeni płaszcza jednej z nowych pracownic. Nazywała się Shakra.

Co do jednego Payne mógł mieć pewność: motywem nie mógł być rabunek. Cokolwiek tu zaszło, miało podłoże osobiste. Musiał porozmawiać z mężem ofiary.

Zadzwoił telefon i Carmela bez namysłu chwyciła słuchawkę.

Całkiem urodziwa niewiasta, pomyślał Payne, a do tego kobieta sukcesu. Pamiętał z jakiegoś artykułu, że posiada sklepy w Boca, Bostonie i Waszyngtonie i właśnie planuje wejść na rynek odzieży męskiej.

Choć została wezwana w środku nocy, jej fryzura i makijaż były

nienaganne. Miała klasę — nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak łatwo nawiązywała kontakty z elitą.

Jednak gdy tylko przyłożyła słuchawkę do ucha, na tej pięknej twarzy zaszła gwałtowna zmiana. Wargi zaczęły drżeć, oczy straciły blask, a oblicze nabrało tego nieobecnego wyrazu, który Payne widział już tyle razy. Słyszał wołający do niej głos, głos męczyzny po drugiej stronie. „Halo? Halo?”. Detektyw wyjął słuchawkę z jej dłoni. Na linii był William Paxton.

Payne rozmawiał z nim spokojnie, prosząc, by mąż ofiary przekazał telefon umundurowanemu funkcjonariuszowi, który mu towarzyszył. Wiedział, że dzień będzie tam długi i ciężki. Jutro zaś, kiedy do męczyzny zacznie docierać, co się stało, będzie jeszcze gorzej.

Rozmówił się z policjantem, rozłączył, po czym zadzwonił po karetkę. Może i Carmela jest w swoim żywiole niezwykle opanowaną kobietą — teraz jednak daleko jej było do tego stanu. Przykrywając ją swoim płaszczem, patrzył, jak sinieją jej usta. Właśnie przeżywała szok.

Do ściany w kantorku przyklejone były błyszczące zdjęcia: ludzie wokół tortu urodzinowego, grupka osób w szortach i koszulkach polo na pikniku, trzy kobiety — w tym Carmela i Susan — pijące szampana na łódce. Na fotografiach łatwo było rozpoznać Susan. Ciemna karnacja, duże oczy, brak makijażu i proste, swobodnie rozpuszczone włosy. Miała czterdzieści kilka lat — i wciąż wyglądała zdrowo i szczęśliwie.

Jednak szczęście jest względne, a mężom i żonom zdarza się czasem błądzić. Jeśli tylko dobrze się przyjrzeć, każdy ma coś do ukrycia.

Każdy.

# 7

## **Sobota, 7 maja** **Wildwood w stanie New Jersey**

W pierwszym tygodniu maja znad Wielkich Jezior nadciągnął mroźny front, pokrywając plaże niespotykaną o tej porze powłoką lodu. Porwanie Anne Carlino nie schodziło z pierwszych stron gazet na całym wybrzeżu New Jersey. Dziś jeden z nagłówków donosił: „Echo Enterprises oferuje 50 tysięcy dolarów za wskazanie sprawcy”. Poniżej napisano: „Policja skonsternowana”.

Gożąca linia urywała się od telefonów z całego stanu, jednak żaden z nich nie okazał się pomocny. Pewien kierowca ciężarówki zmierzającej z Nowego Jorku do Delaware widział na promie do Lewes dziewczyną podobną do Anne w towarzystwie starszego mężczyzny. Głową miała przewiązaną chustką, która przykrywała nie tylko włosy, ale także usta i znaczną część czoła, na którym — jego zdaniem — nad jednym okiem miała zadrapanie.

— No dobrze, a jakiego koloru miała oczy? — spytał go detektyw, zastanawiając się, jak kierowca był w stanie zidentyfikować zaginioną dziewczyną wyłącznie na podstawie oczu.

— Nie zauważyłem.

Podziękowano mu za pomoc.

Przychodziły dziesiątki podobnych doniesień z parkingów, hoteli i stacji benzynowych wzdłuż Garden State Parkway, a kilka

nawet z kasyn w Atlantic City. Jednak wszystkie tropy prowadziły donikąd i policja nie była ani o krok bliżej od trafienia na ślad Anne albo przynajmniej prawdziwego świadka.

Jeśli chodzi o ślady, grupa krwi znalezionej na murze pokrywała się z grupą krwi zaginionej. Włosy zebrane na miejscu zdarzenia odpowiadały natomiast próbkom ze szczotki w łazience dziewczyny. Drogi złoty zegarek, który O'Shaughnessy wyciągnęła z piasku, okazał się prezentem, który dziewczyna dostała od rodziców w lutym na urodziny. Między ogniwami bransoletki Gus Meyers, szef zespołu medycyny sądowej, odnalazł niezidentyfikowany osad. Przesłał go do FBI z prośbą o analizę.

Technicy znaleźli również skrawki zielonego włókna, które musiały się zaczepić o drzazgi w deskach. Pani Carlino potwierdziła, że w szafie Anne brakowało ciemnozielonego swetra. Chłopak nastolatki co prawda nie przypominał sobie, w co była ubrana, jednak jego zdaniem na pewno nie było to nic białego. Zegarek, który znalazła O'Shaughnessy, nie był jedyną biżuterią dziewczyny. Na palcu miała pierścionek w formie sygnetu z wygrawerowanymi literami AMC, a w każdym uchu — po cztery kolczyki, w tym dwie złote gwiazdki. Informację o pierścionku rozpowszechniono. O kolczykach nie wspomniano, by ułatwić weryfikację zeznań.

Spośród kilkunastu młodych ludzi, którzy tamtego wieczoru byli na deptaku, nikt nie widział ani podejrzanego mężczyzny, ani samochodu. Żadnych obcych ludzi, żadnych obcych pojazdów.

Teraz można było tylko czekać.

O'Shaughnessy codziennie mijała explorera stojącego na policyjnym parkingu. Zawsze gdy go widziała, ogarniał ją ponury nastrój. Mechanicy stwierdzili, że oponę przebito półcalowym nożem.

Dopałdo ją dokuczliwe przeziębienie, toteż biurko zdobyła imponująca bateria przeróżnych lekarstw. Co chwila kichając, rozwiesiła na ścianach gabinetu zdjęcia spod deptaka. Był to dość



dramatyczny gest, jednak upłynął już tydzień i nie bardzo wiedziała, co robić.

Niektóre fotografie w jasnych błyskach flesza ukazywały graffiti. Słowa znała już na pamięć: JM kocha PJ, Ron i TS 1983 na zawsze, Surferzy Błądzą i East Hills Mistrzowie Konferencji 81. Psyko Sue, Patrick B. i Jacko, Beatles, Horsley Ciongnie Lache i Grateful Ded. Na innych widać było krwawe odciski dłoni oraz smugi, niczym maźnięcia pędzlem, pozostawione przez zakrwawione włosy dziewczyny.

O'Shaughnessy wyobrażała sobie dwie bardzo różne sceny rozgrywające się pod deptakiem. W jednej z nich młodzi ludzie pili piwo i dobierali się do siebie w ciemności. W drugiej przerażona dziewczyna pełzała na czworakach, ciężko ranna, być może nawet postrzelona lub dźgnięta nożem. Na pewno była nieprzytomna ze strachu. Próbowwała jednocześnie uciekać i nie hałasować. Każdy dźwięk wydawał się jej po stokroć głośniejszy — każdy głuchy oddech, każde uderzenie serca.

Dziewczyna zamiast uciekać, wołała się ukryć — i to właśnie niepokoiło O'Shaughnessy. Czy wybrała mroczne zakamarki pod deptakiem, ponieważ była zbyt ciężko ranna, by dotrzeć do Atlantic Avenue? W pewnym momencie musiała zrozumieć, że nie dojdzie na plażę po drugiej stronie tunelu, i dlatego spróbowała wcisnąć się pod rurę. Słyszała, jak napastnik się zbliża, aż wreszcie nie miała wątpliwości, że ją znajdzie.

O'Shaughnessy zastanawiała się również, czy Anne była przypadkową ofiarą, czy też porywacz wiedział, że jest córką Jasona Carlino. Pochodziła z zamożnej rodziny. Czy w założeniu miało to być porwanie dla okupu i coś nie poszło zgodnie z planem? Przez sześć dni miałby masę czasu, żeby zażądać pieniędzy.

Jason Carlino nie poprzestał na ustanowieniu nagrody za odnalezienie córki. Zaczął też naciskać na burmistrza, by ten poprosił policję stanową o wsparcie. Carlino chciał zaangażowania w sprawę prawdziwej siły, a nie garstki miejscowych gliniarzy o ograniczonych zasobach.

Jednak to Wildwood sprawowało pieczę nad dochodzeniem. Miasto nie mogło zrzec się odpowiedzialności tak długo, jak długo nie było dowodów na to, że dziewczynę wywieziono poza granicę stanu. Tak właśnie brzmiało oświadczenie, które O'Shaughnessy wydała dla prasy — mimo że bynajmniej nie pomogło ono udobruchać Carlino.

Policjantka wytarła nos, sięgnęła po pudełko z aktami sprawy i ponownie je przejrzała. Rzecz naprawdę zaczynała nabierać wagi, a dokumentów było coraz więcej — raporty specjalistów medycyny sądowej, zapisy rozmów z ludźmi z sąsiedztwa, ze znajomymi Anne, z informatorami oraz garstką notowanych przestępców.

Chłopak Anne dał policji pisemną zgodę na przeszukanie pick-upu. Samochód był czysty, a alibi młodego mężczyzny — niepodważalne. W noc zaginięcia dziewczyny krążył od baru do baru. Widziały go tam dziesiątki osób — spokojnego, opanowanego i bez śladu krwi na ubraniu. Do domu odwiózł go syn samego burmistrza, jego matka zaś — która tamtego wieczoru czytała do późna — zrobiła mu kanapkę i widziała, jak zaniósł ją do pokoju.

Choć brzmiało to okrutnie, O'Shaughnessy wolałaby już znaleźć ciało. Wtedy przynajmniej byłaby szansa na odkrycie śladów, które pozwoliłyby zatrzymać sprawcę, zanim skrzywdzi inne dziewczyny. No, chyba że pewnego dnia Anne Carlino pojawiłaby się na progu rodzinnego domu cała i zdrowa. Taki scenariusz z dnia na dzień zdawał się jednak coraz mniej prawdopodobny.

Od pierwszego maja O'Shaughnessy kiepsko sypiała. Ciągle męczyły ją koszmary o przepastnym tunelu pod deptakiem. Śniło jej się, że ktoś ją goni; słyszała ciężki oddech napastnika tuż za plecami. Ze stropu kapiała woda, a ona rzucała się pod rurę, ryjąc kolanami w grząskim piasku. Opierała się o nią zakrwawioną ręką, starając się złapać równowagę. Wstrzymywała oddech, a wtedy ręka z przeciwnej strony rury chwytiała ją za nadgarstek.

— Pani porucznik, telefon na pierwszej linii.

Wyprostowała się, wyrwana z zamyślenia, i chwyciła słuchawkę.

— Porucznik O'Shaughnessy? Mówi detektyw Payne z policji miejskiej w Filadelfii. Pracujemy nad zabójstwem, do którego doszło wczoraj wieczorem, i staramy się namierzyć krewnych ofiary. Jest tam u was dom spokojnej starości, Elmwood. Powinien tam mieszkać ojciec ofiary, ale personel nie chce mi udzielić żadnych informacji. Zasugerowano, żebym skontaktował się z panią. Powie mi pani, co tam się dzieje?

— Jak on się nazywa?

— Andrew Markey.

O'Shaughnessy zmrużyła oczy.

— Markey nie żyje — odparła. — Pierwszego maja spadł z betonowych schodów i rozbił sobie głowę.

Cisza.

— Detektywie?

— Jezu. Na pewno wypadek?

— Nie widziałam jeszcze sprawozdania z sekcji zwłok, ale mój sierżant był na miejscu i powiedział, że wszystko wygląda normalnie. — Skrzywiła się. — Powiedziano nam, że Markey nie miał rodziny.

— Między ofiarą a jej ojcem był chyba jakiś konflikt. Jej mąż mówi, że zachowywała się, jakby jej ojciec właściwie nie istniał. Co dokładnie zaszło?

— Otworzył po ciemku drzwi do magazynku i spadł ze schodów. Pracownicy powinni byli zamykać to wejście, ale najwyraźniej tym razem tego nie zrobili.

— Oczywiście żadnych świadków.

— Mhm — potwierdziła, z każdą chwilą coraz mniej przekonana do teorii „wypadku”.

— Czy pani wie, że Markey siedział w więzieniu?

— Coś o tym słyszałam. Ale to było dawno, gdzieś w latach siedemdziesiątych, prawda?

— A słyszała pani, że zeznawał przeciwko współoskarżonym?  
— Nie.  
— Jednym z nich był Anthony Scaglia.  
— Scaglia?  
— Jest teraz numerem dwa w rodzinie Gambino, następcą Petera Gottiego.  
— Przecież nie chowałby urazy aż tak długo.  
— No, nie wiem — odparł Payne. — Ostatnie dwa pokolenia mafijne w Nowym Jorku były co najmniej dziwne.  
— Proszę mi opowiedzieć o ofierze.  
— Nazywała się Susan Paxton, z domu Markey. Biała, lat czterdzieści pięć. Była kierowniczką ekskluzywnego salonu odzieży damskiej. Raz aresztowana za posiadanie haszyszu, kiedy była nastolatką. Od tamtego czasu nie dostała nawet mandatu za złe parkowanie. Wszyscy, którzy ją znali, twierdzą, że była chodzącą świętością. Miała masę przyjaciół, udzielała się społecznie, angażowała w mnóstwo projektów w parafii. Proboszcz mówi, że obsadzenie miejsc we wszystkich komitetach, którym przewodniczyła, zajmie parę tygodni. Zabójca wszedł do sklepu po jego zamknięciu i wpakował w nią trzy kulki: jedną w głowę, dwie w ciało. Niczego nie zabrał i wyszedł. Żadnego seksu, żadnej kradzieży, żadnego motywu. W dodatku to nie wygląda na zabójstwo dla sportu. Sądzę, że morderca znał ofiarę.  
— Czy poza ojcem utrzymywała kontakty z kimkolwiek w Wildwood?  
— Z nikim. Przez ostatnie dwadzieścia lat traktowała swoje dzieciństwo na wybrzeżu i wszystko, co się z nim wiązało, jakby nigdy nie istniały.  
— Zdobędę wyniki sekcji zwłok Andrew Markeya. Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny i swój numer faksu.  
— Jeszcze coś: mogę prosić, żebyście przetrzymali zwłoki w lodzie?  
Chwilę się zastanawiała. Chyba powinna sama porozmawiać z lekarzem w prosektorium.

— Raczej nie będzie z tym kłopotu. Na jak długo?  
— Tydzień lub dwa powinny wystarczyć.  
— W kostnicy zwykle jest pusto. Zrobię, co będę mogła. Oczywiście, jeśli nagle nie pojawi się rodzina i nie zaczną protestować.  
— Wątpię, żeby ktoś się zgłosił, ale gdyby tak się stało, proszę mi dać znać. Chętnie się z nimi spotkam. Dziękuję za wszystko, poruczniku.

Następnie podał swój numer faksu.

Przez rozsunięte żaluzje O'Shaughnessy widziała McGuire'a. Siedział za biurkiem ze słuchawką przy lewym uchu, gapił się w sufit i bawił ćwierćdolarówką.

Sierzant McGuire był wysokim, kędzierzawym mężczyzną. Większość swej dwunastoletniej kariery w policji spędził jako detektyw w wydziale śledczym. Wszyscy myśleli, że to właśnie on dostanie awans po tym, jak poprzednik O'Shaughnessy przeszedł na emeryturę. Jednak to ona najlepiej zdała egzamin, więc władze miasta nie miały wyboru — musiały dać jej tę posadę.

Nigdy nie zapomniała, co tamtego dnia powiedział jej komendant Loudon: „Zdobądź McGuire'a, a reszta pójdzie za nim. To on jest kluczem do twojego sukcesu”.

Pozyskanie McGuire'a okazało się prostsze, niż sądziła. Ten człowiek był kompletnie pozbawiony ego. Bardzo dobrze im się współpracowało. Macowi nie przeszkadzało, że podlega kobiecie; mógł podlegać komukolwiek, dopóki robota była wykonywana jak należy. Odkąd O'Shaughnessy dostała awans, postawiła sobie za cel, by włączyć McGuire'a we wszystko, co się działo. Gdy potrzebowała porady, nie wstydziła się, żeby prosić go o nią przy ludziach. Wiedziała, że komisariat — w całości złożony z mężczyzn — darzy Maca ogromnym szacunkiem. Kiedy tylko O'Shaughnessy wydawała polecenia, wszyscy obserwowali najpierw reakcje McGuire'a.

Właśnie mijał jej trzeci tydzień bez papierosa — Mac żartował, że koledzy są gotowi zrzucić się dla niej na paczkę.

Zdawała sobie sprawę z tego, że od niedzieli, czyli od czasu zajścia z Anne Carlino, chodziła podenerwowana. Wiedziała również, że McGuire tylko żartuje — ale za cholerę nie chciała, aby jej ludzie myśleli, że nie wytrzymuje napięcia.

Oparła nasadę nosa o dłoń, rozmyślając o Andrew Markeyu. Jeszcze raz rzuciła okiem na sprawozdanie detektywa Randalla. Jeśli wziąć pod uwagę wiek i sprawność umysłową Markeya, nic nie wzbudzało podejrzeń. A jednak...

Gdy zobaczyła, że McGuire odkłada słuchawkę, wcisnęła przycisk telefonu.

— Mac — powiedziała — nie uwierzysz w to, co ci zaraz powiem.

# 8

## **Sobota, 7 maja** **Filadelfia w stanie Pensylwania**

Sherry Moore siedziała w swym domu w grobowej ciszy. Minał ponad miesiąc, odkąd wróciła z Pittsburgha. Od tego czasu ani razu nie wyszła z domu. Wciąż dręczyły ją koszmary, choć nie były już tak częste i tak wyniszczające jak kiedyś. Wkrótce wiosna miała przynieść zbawienne słoneczne ciepło.

Nawet najlepsze zimy są okropne, pomyślała. Doszła do takiego wniosku, gdy była bardzo młoda. Kiedyś żartowała sobie, że cierpi na brak światła — ale rzeczywiście było w tym wiele prawdy. Istniała dla niej odczuwalna, trudna do opisania różnica między światłem a ciemnością. Mimo że Sherry była niewidoma. Mimo że przez pół życia zbierała wizje umierających ludzi.

Mogła oczywiście zamieszkać, gdzie tylko chciała. Mogła wybrać bardziej przyjazny klimat. Jednak gdyby wyjechała z Filadelfii, opuściłaby jedyne miejsce, które było dla niej domem.

Stary belgijski zegar głośno tykał. Stał na kominku, otoczony z obu stron kryształowymi motylami. Więcej podobnych figurek znajdowało się w gabinecie oraz na nocnej szafce w sypialni, a kilka motyli z jedwabiu wisiało na werandzie. Był taki czas, że nie umiała przestać ich dotykać, ścisnąć, otaczać się nimi. Kiedy tylko mogła, wyciągała Payne'a lub Brigham'a na zakupy i sprawiała

sobie kolejne. Teraz nadal o nich myślała, jednak jej obsesja osłabła.

Ziewnęła. Burczało jej w brzuchu. W zamyśleniu skubała płatki ucha, przekonując samą siebie, że powinna coś zjeść, wypić filiżankę herbaty i przespać się na kanapie. Cóż z tego, że była ociemniała — sypiąc za dnia, czuła się bezpieczniej. To właśnie wtedy wreszcie mogła odpocząć. Bogu dzięki, że dni stawały się coraz dłuższe.

Poruszane wiatrem gałęzie klonu ocierały się lekko o szybę okna. Wsłuchiwała się w ten dźwięk, balansując między jawą a snem. Wspominała podobne gałęzie podobnych drzew drapiące w szyby, gdy była mała. Kot, zaskoczony odgłosami, wskoczył jej na kolana, przyciskając pyszczek do jej piersi.

Dom Sherry znajdował się w Brooklawn, na brzegu rzeki Delaware. Agent nieruchomości określił budynek mianem barokowego, jednak zdaniem detektywa Payne'a był on bardziej gotycki. Policjant ochrzcił go: „Zamek Moore”. Uważał, że jest wielki, mroczny i przerażający.

Kobieta zdawała sobie sprawę, że nie było to najlepsze miejsce dla osoby niewidomej. Budynek miał więcej klatek schodowych niż przeciętne domy — pokoi. Jednak Sherry nie kupiła go dlatego, że podobał jej się projekt. Zrobiła to ze względu na wielką ceglana werandę oraz ogród na brzegu rzeki. W tym domu czuła się tak, jakby jednocześnie mieszkała w mieście i na wsi.

Wiatr wiał coraz silniej. Podmuchy przewracały kartki brajlowskiej książki, która leżała na biurku. W otwartym palenisku wirował kurz, wciągany przez trzypiętrowy komin. Stary dom zdawał się jęczeć. Sherry postawiła kota na podłodze i wstała, ruszając w stronę kuchni. Skrzywiła się ze złością, gdy łokciem uderzyła we framugę drzwi.

Przez szczelinę otwartego okna kuchennego wpadał zimny wiatr, trzepocząc koronkowymi firankami nad zlewem ze stali nierdzewnej. Sherry zapaliła gaz pod osmalonym czajnikiem, po czym ciężko opadła na jedno z krzesel.



Panie Boże, czy nie dość już samotnych dni?

Lada chwila powinien przyjść Brigham. Drogi pan Brigham. Jednak nawet jego towarzystwo nie zawsze mogło rozwiązać dręczące ją poczucie osamotnienia.

Poprzedniej nocy śnił się jej Karpovich, kapitan policji stanowej, którego poznała w Pittsburghu. Tamten wyjazd był jedynym odstępstwem od wygnania, na które sama się skazała. Jadąc tam, robiła przysługę znajomemu, a po części także wytrącała argumenty Payne'owi, który od dłuższego czasu nakłaniał ją do wyjścia z domu. Zadanie to przyjęła jednak przede wszystkim dlatego, że było wyjątkowo bezpieczne. W grę nie wchodziło niczyje życie. Albo uda jej się rozwiązać trzydziestoletnią tajemnicę zaginionej kobiety, albo nie.

Wiele z tego, co robiła, było bezpieczne. Współpracowała z historykami i poszukiwaczami zabytków. Pomagała przy wykopaliskach archeologicznych na całym świecie, z dala od problemów życia i śmierci. Z dala od miejsc takich jak Oaxaca City w Meksyku, jak Walnut Ridge w Arkansas, jak Norwich w Connecticut. I tak było ich już w jej życiu dostatecznie dużo.

W jej śnie Karpovich stoi na polu, smutnym wzrokiem obserwując, jak łańcuchy trzeszczą pod ciężarem, kiedy koparka podnosi betonowe koryto. Gapie patrzą w otępieniu, jak ząb łopaty zahacza o wytartą walizkę, wysypując do rowu jej przegniłą zawartość.

Sherry zagląda do wykopu i widzi worek z ciałem. Jest na nim plakietka z napisem „Szpital Ogólny w Pittsburghu”. Przez dziurę w worku wyziera twarz kobiety — pięknej kobiety o długich, kasztanowych włosach. To był smutny sen, niezwykle smutny. A tamta twarz jak zwykle była twarzą kobiety z szyby samochodu.

Oczywiście sen sprowokowany został tamtym listem. Poprzedniego wieczoru Brigham czytał Sherry pocztę. Opisał jej ziarniste zdjęcie lotnicze, które przysłał Karpovich — polaroid ukazujący posiadłość Oak View. Na podjeździe stał długi, masywny cadillac, na polu za domem zaś pasło się stado owiec. Z tyłu ktoś nagryzmolił: „Oak View 1969”.

Karpovich na pewno znalazł to zdjęcie w domu Donovana. Uśmiechnęła się, rozczulona tym, że o niej pamiętał.

Wdowiec Brigham był emerytowanym admirałem. Mieszkał po sąsiedzku w domu obrośniętym bluszczem. Wykładał politologię na uniwersytecie, a ponieważ zawsze miał zajęcia po południu — i lubił późno chodzić spać — co wieczór odwiedzał Sherry. Opiekował się nią, czytał pocztę oraz pił z nią herbatę lub porto — przy czym zdecydowanie preferował to drugie.

Poczta prywatna nie sprawiała kłopotów. O finanse dbał księgowy, a większość pozostałych listów była tak głupia, że Sherry natychmiast je wyrzucała. Po przerwie na herbatę przystępowali do czytania poważnej korespondencji ze skrytki, której numer podany był do publicznej wiadomości.

Kiedyś, w pierwszych latach swej popularności, była w stanie przebrnąć przez całą pocztę w ciągu tygodnia. Próbowwała nawet odpowiadać na wszystkie co bardziej istotne prośby.

Teraz listów było jednak zdecydowanie zbyt dużo. Większość z nich, nieotwarta, zalegała w piwnicy w pudełkach. Ostatnim razem gdy ktoś próbował je policzyć, były ich dziesiątki tysięcy.

W rytuale czytania tej korespondencji było coś makabrycznego, a zarazem niemal boskiego — decydowała bowiem, komu pomóc, a komu nie. Wywoływało to w niej poczucie winy. Przez lata podzieliła się swym darem z wieloma ludźmi, a jednak wydawało się, że na tym świecie pełnym cierpienia jest to i tak niewiele.

■ ■ ■

Brigham przyszedł punktualnie o dziewiątej. Sherry jak zwykle dostała kilka zaproszeń od uniwersytetów do wygłoszenia wykładów. Przyszedł też list od władz meksykańskich, nie potrafiących rozwikłać sprawy seryjnego mordercy z Basilica de Guadalupe. Inny list pochodził od nauczycielki z gór Blue Ridge w Wirginii i dotyczył śmierci pewnego czwartoklasisty. Z kolei pewna kobieta z Jasper w stanie Alabama przysłała jedwabne majteczki, pytając o imię kochanki męża. Sherry dostała też pojedynczy włos od mężczyzny

szukającego zaginionego bliźniaka oraz zaschniętą krew chorego na białaczkę poszukującego dawcy. Większość ludzi w ogóle nie wiedziała, co tak naprawdę potrafi Sherry. Po prostu desperacko chwytała się nadziei, że ktoś jest im w stanie pomóc.

Otrzymywała też masę listów miłosnych. Niektóre były wzruszające, inne — obsceniczne. Pewien magazyn dla mężczyzn proponował jej nawet sesję topless.

Kiedy skończyli, Sherry poprosiła Brighamą, by wrócił do listu nauczycielki.

Chodziło o dziewięciolatka nazwiskiem Joshua Bates, który zginął w górach Blue Ridge w pobliżu Luray. Z załączonego wycinka prasowego Sherry dowiedziała się, że chłopiec oddalił się od domu, podczas gdy ojciec rąbał drewno. Następnego dnia znaleziono malca na dnie przełomu rzeki Hughes. Wyglądało na to, że w ciemności nie zauważył krawędzi urwiska i spadł w przepaść.

W kopercie znajdowała się też fotografia chłopca o wielkich, brązowych oczach, wykonana w szkolnej sali gimnastycznej. Większość ludzi nie wiedziała, że Sherry jest niewidoma, toteż przysyłało jej zdjęcia.

— Czy mogę je potrzymać? — spytała.

Brigham podał jej kopertę i przejrzał pozostałe dokumenty. Sherry lubiła dotykać przedmiotów.

— Tu jest jeszcze jeden wycinek — powiedział.

— Niech pan czyta — zachęciła. Ścisnęła fotografię między kciukiem a palcem wskazującym.

Przez chwilę Brigham mamrotał coś pod nosem, a potem zaczął czytać:

— „We wtorek rano do Luray zjechały autobusy pełne ochotników ze Staunton. Poszukiwania skoncentrowano w rejonie na wschód od przełęcz. Niedługo po trzynastej operację odwołano. Ogłoszono, że ciało chłopca zostało odnalezione w korycie rzeki. Władze odmówiły komentarza, jednak jeden z ochotników określił wydarzenie mianem tragicznego wypadku.

Na początku przyszłego tygodnia w Harrisonburgu przeprowadzona zostanie sekcja zwłok”.

Nauczycielka, niejaka Gretta Mitchell, załączyła odręcznie napisany list, w którym poinformowała Sherry, że stary Bates stosował wobec syna przemoc, co zresztą od jakiegoś czasu zgłaszała do towarzystwa opieki nad dziećmi w Wirginii. Widziała rany na ciele chłopca i rozmawiała z nim na ten temat. Wielokrotnie ostrzegała władze stanowe, że grozi mu niebezpieczeństwo. Teraz, gdy zginął, zajście określano mianem wypadku. Była oburzona tym, że za dzieckiem nikt się nie ujął. Gdy przeczytała o Sherry, pomyślała, że będzie ona w stanie dopomóc w doprowadzeniu mordercy przed sąd. List kończył się prośbą o kontakt z szeryfem hrabstwa Page.

— Co pan o tym myśli? — spytała Sherry Brigham.

— Gdyby mnie korciło, żeby gdzieś pojechać i wreszcie coś zrobić, chyba pojechałbym właśnie tam — odparł. — To z pewnością istotna sprawa, chociaż nie wiem, czy miejscowi będą tego samego zdania.

Sherry dobrze wiedziała, że jej sąsiad ma rację. Gliniarze, szczególnie ci z małych miasteczek, rzadko kiedy lubili, gdy przyjezdni mieszały się w ich sprawy. Czasem zdarzało się, że zawracają ją już na lotnisku.

— Niech pan zadzwoni do linii lotniczych. Może już nie ma biletów.

Udała się do kuchni, by zrobić obojgu kawy bezkofeinowej. Kiedy wróciła, Brigham zasugerował, by zaczęła się pakować.

— Samolot odlatuje o nieludzko wczesnej godzinie.

## **Niedziela, 8 maja**

Sherry przyleciała do Harrisonburga turbośmigłowcem. Wyładowała tuż przed godziną dziewiątą. Próbowwała dodzwonić się do nauczycielki, ale nikt nie odpowiadał.

Następnie zatelefonowała do biura szeryfa hrabstwa Page. Szeryf Ringold poinformował ją, że do czasu, aż koroner wyda w następny poniedziałek orzeczenie, śledztwo jest w toku. Oznaczało to, że ciało dziecka wciąż uznawano za dowód w sprawie, toteż nikomu nie było wolno się do niego zbliżyć. Nawet rodzinie.

Biorąc pod uwagę, że chłopiec spadł z dużej wysokości, Sherry nie miała wątpliwości, że podczas ceremonii pogrzebowej trumna będzie zamknięta — jeśli ojciec nie zażąda kremacji. Z kolei zakładając, że w tym, co pisała nauczycielka, było choć trochę prawdy, apel do ojca nie miałby sensu.

— Czy mógłby pan chociaż skontaktować się z panią Mitchell i poinformować ją, że tu jestem? Jadę do Luray i chętnie się z nią spotkam.

Może przynajmniej to zadziała, myślała. To małe miasto; być może nauczycielka ma jakiś wpływ na szeryfa. Sherry zostawiła mu swój numer i poinformowała, że poszuka transportu do Luray.

Ringold poradził jej, by nie marnowała pieniędzy.

Dwadzieścia minut później siedziała na zimnym tylnym siedzeniu dużego, rozklekotanego samochodu, o którym mogła powiedzieć jedynie, że cuchnął jak popielniczka. Kierowca miał suchy kaszel i niewyobrażalnie śmierdział potem. Ale za pięćdziesiąt dolarów plus koszt benzyny zgodził się zawieźć ją, dokąd tylko potrzebowała, i pomóc jej we wchodzeniu do budynków i ich opuszczaniu.

Czterdzieści kilometrów dalej i blisko trzy kwadransy później siedziała w biurze szeryfa i słuchała, jak recepcjonistka papla o tygodniowej wycieczce w góry Pocono, głośno przy tym mlaszcząc.

Musiała odczekać kwadrans, zanim szeryf Ringold wyszedł się z nią przywitać. Jeśli nawet zdziwiło go, że jest niewidoma, jego głos tego nie zdradzał. Zapewne ostatnią godzinę spędził na poszukiwaniu informacji na jej temat.

— Bill Ringold — przedstawił się, biorąc ją pod rękę i prowadząc do gabinetu. Było tam zdecydowanie cieplej niż w poprzednim pomieszczeniu. Pachniało papierem kserograficznym i oliwą do broni. Szeryf zamknął za sobą drzwi. — Proszę pani — zaczął — jestem funkcjonariuszem hrabstwa, wybieranym przez mieszkańców, a to oznacza, że mam wobec nich prawne zobowiązania. Także wobec Custera Batesa, ojca chłopca. Rozumie to pani, prawda?

Skinęła głową.

— Nie przyjechałam, żeby mieszać się do pańskiego śledztwa. Jestem tu właśnie na prośbę jednego z tych mieszkańców, o których pan raczył wspomnieć, i osoba ta wątpi w niewinność ojca. W artykule, który dostałam, napisano, że sekcja zwłok planowana jest na przyszły tydzień. Uznałam, że jeśli przyjadę od razu, zdążę zobaczyć chłopca, zanim zostanie odwieziony do Harrisonburga. To wszystko.

— Dzwoniłem do Gretty Mitchell — powiedział szeryf. — To dobra kobieta. Bardzo dobra. Traktuje swój zawód poważnie.

Wypowiadał słowa powolnie i z naciskiem.

— Jednak to nie ona siedzi w tym fotelu i nie ona musi ponosić odpowiedzialność za moje czyny. Każde zwłoki stanowią dowód w sprawie, dopóki koroner nie skończy ich badać. To znaczy, że istnieje określona kolejność postępowania, tak samo jak w przypadku każdego innego dowodu. Gdyby policjant zaczął wystawiać dowód na widok publiczny, naruszyłby tę procedurę. A gdyby zaangażował w sprawę osoby postronne, naraziłby na niebezpieczeństwo niejedną karierę.

— Szeryfie, proszę pana tylko o to, by pozwolił mi potrzymać chłopca za rękę. Dotykał go przecież każdy, kto pomagał znieść go z gór. — Po chwili podniosła jednak dłoń w geście rezygnacji i westchnęła. — Wie pan co? Ma pan rację. Pospieszyłam się, przyjeżdżając tutaj. Zwykle nie postępuję tak pochopnie. Dałam się ponieść listowi pani Mitchell i presji czasu.

Usłyszała szuranie odsuwanego krzesła i ciężkie kroki na wyłożonej płytkami podłodze. Szeryf obszedł biurko i przysiadł na rogu dokładnie naprzeciw niej.

— Dziś rano zadzwoniłem także do przyjaciela z policji stanowej w Pensylwanii — powiedział. — Chodziliśmy razem do Akademii FBI w Quantico. On też obdzwonił paru znajomych i dowiedział się, że w Filadelfii pewien prokurator oraz kilku znaczących oficerów z wydziału śledczego bardzo pani ufa.

Sherry patrzyła przed siebie.

— Nigdy nie lubiłem Custera Batesa. To pijak, i do tego podły. I żaden z niego ojciec, każdy to wie. Nie mogłem pojąć, dlaczego władze stanowe nie odebrały mu chłopaka, ale tak to już czasem bywa. — Podniósł się. — Teraz pojedziemy moim samochodem do szpitala. Oprawdę panią po mieszczącej trzy ciała kostnicy w suterenie, ponieważ leży tam Jeanette Granville, pani daleka kuzynka. Jeanette zmarła wczoraj rano na niewydolność nerek. Jutro, na życzenie krewnych z Kalifornii, zostanie skremowana. Na chwilę zostawię tam panią, by mogła побыć sam na sam ze zmarłą. Na stole przed panią będzie leżało ciało, jednak nie będzie to ciało pani Granville. Po dziesięciu minutach wrócę po panią i przywiozę z powrotem tu, do biura, skąd odjedzie pani taksówką. Nie chcę, by ta sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła, więc będziemy o niej mówić tylko raz, podczas drogi powrotnej. Później już nigdy o tym nie wspomnimy. Czy to pani odpowiada?

— Tak, szeryfie — odparła cicho. — Dziękuję.

■ ■ ■

W kostnicy było zimno. W powietrzu unosiła się silna woń antyseptyków.

Szeryf Ringold zostawił Sherry samą i zamknął drzwi. Kobieta sięgnęła w kierunku stołu. Namacała drobne ramię i odnalazła malutką, wiotką dłoń chłopca. Każda dłoń była inna — były małe i były duże, były miękkie i były zgrubiałe.

Niekiedy Sherry wyczuwała jeszcze ich charakter, czasem zaś było już na to za późno. Ta dłoń była bezbronna.

Terkotała wentylacja, a z pomieszczenia obok dobiegał cichy szmer policyjnej krótkofalówki. Wyczuła, że spod skóry wystaje kość. Zapach antyseptyków robił się kwaśny niczym wylana whisky.

— Whisky? — wyszeptała.

Łamię się gałązki, biegnie, w oczach łzy, but rozwiązany, głos: — Skopię ci dupę, ty mały śmieciu — jest pijany, przed nią strumyk, porażająco zimna woda, rękawiczka zahaczyła o cierni, spadła, musi się chować, potrzeba czasu, po jakimś czasie on się zawsze uspokaja. O BOŻE! On wyrasta przed nią nie wiadomo skąd, w rękę ma piłę mechaniczną, on się zbliża, ona próbuje uciekać. „Nie chciałem wylać tej whisky, tatusiu. Zawsze możemy kupić więcej”.

■ ■ ■

Wyleciała z Harrisonburga ostatnim samolotem, szczęśliwa, że nie musi zostawać na noc w jakimś małym hotelu.

Gdy wchodziła do domu, wewnątrz panowała wilgoć. Poprosiła taksówkarza, by postawił walizki w holu, i dała mu napiwek. Zamknęła drzwi i rozkręciła ogrzewanie. Potem wzięła gorącą kąpiel, a następnie zadzwoniła do Brighamama. Powiedziała mu, że nie ma ochoty na towarzystwo. Nie tego wieczoru. Spała do południa. Obudziła się z uczuciem, że złapała lekką grypę. Odwiedził ją Brigham, ale został tylko na herbatę. Sherry wciąż nie czuła się na siłach, by rozmawiać.

Tego popołudnia na automatycznej sekretarce nagrana była wiadomość.

— Mówi szeryf Ringold. Chcę pani powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że w niedzielę nie byłem w stanie spełnić pani prośby. Mam nadzieję, że nie wzięła pani tego do siebie. Nastąpił zwrot w sprawie. Na potylicy chłopca koroner znalazł ranę, która nie mogła powstać w wyniku uderzenia głową o skały. Jeden z policjantów miał przecucie i sprawdził narzędzia w pick-upie Batesa. Okazało



się, że korek wlewu paliwa w jego pile spalinowej odpowiada średnicą ranie. Dziś po południu będziemy zabiegać o postawienie Batesa w stan oskarżenia pod zarzutem zabójstwa. — W głosie szeryfa słyhać było napięcie. — Chciałem, żeby pani o tym wiedziała. Proszę o siebie dbać, dobrze?

Sherry odłożyła telefon i usiadła na kanapie.

Potem zaczęła płakać.

# 9

## **Sobota, 7 maja** **Wildwood w stanie New Jersey**

Gdy O'Shaughnessy wróciła do domu, Tim czekał na podjeździe. Na schodkach siedziała opiekunka wraz z dziewczynkami, które założyły już plecaki i były gotowe do drogi. Sobota — początek kolejnego tygodnia spędzonego u ojca.

O'Shaughnessy przytuliła córki i patrzyła, jak pędzą do samochodu.

— Bądźcie dobre dla tatusia! — zawołała. — I pamiętajcie, żeby zapiąć pasy.

— Dobrze, mamó — jęknęła starsza z dziewczynek, przewracając oczami.

O'Shaughnessy zauważyła spojrzenie Tima i zdawkowo kiwnęła mu głową, po czym szybko odwróciła się, by zapłacić opiekunce. Na pewno chciał, żeby podeszła do samochodu razem z dziewczynkami, ale ona nie miała zamiaru ustąpić.

Na obiad zjadła tuńczyka z puszki, jajko na twardo i kilka słonych krakersów. Sprzątnęła dom i starła kurze z mebli, wrzuciła brudne ubrania do pralki i upiekła ciasteczka na szkolną uroczystość.

Choć nie cierpiała telewizji, włączyła odbiornik i skakała po kanałach tak długo, aż znienawidziła ją jeszcze bardziej. Wtedy odchyliła się w fotelu, położyła wyżej nogi i zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić z Timem.

Ustalili, że każde z nich będzie spędzać z dziećmi tyle samo czasu, przynajmniej na razie. Oznaczało to, że co tydzień dziewczynki przeprowadzały się do innego domu. Raz mieszkaly u niej, a raz u niego — albo u jego matki, jeśli zadzwonił i oznajmił, że musi pracować do późna. O'Shaughnessy uwielbiała teściową, dziewczynki też za nią przepadały, więc to, u kogo nocowały, nie stanowiło problemu. Jedną babcie przecież już straciły — matka policjantki zmarła poprzedniej jesieni. O'Shaughnessy wiedziała również, że Tim spędza z córeczkami każdą wolną chwilę, toteż nikt nie mógł twierdzić, że któreś z rodziców poświęca dzieciom więcej uwagi. Ciągłe przeprowadzki nie pozostawały jednak bez wpływu na ich oceny w szkole. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu O'Shaughnessy dostała wiadomość od nauczycielki, że Reagan przez dwa dni z rzędu nie odrabiała zadań domowych.

Na dodatek policjantka miała już po dziurki w nosie ciągłego pakowania i rozpakowywania bagaży. Dziewczynkom potrzebny był dom — jeden dom, jedno łóżko, jedno miejsce, w którym odrabiałyby lekcje. Któreś z nich musiało się wkrótce poddać. Któreś z nich musiało wreszcie wykazać się rozsądkiem.

Mój Boże, pomyślała. Młodsza córka miała dopiero osiem lat. Jeśli już teraz było tak źle, to co będzie za dziesięć lat? A w międzyczasie? Nowa macocha? Nowy ojczym? Jak inni rodzice i inne dzieci radzą sobie z tym wszystkim?

Zapaliła świecę aromatyczną i właśnie miała zamiar napuścić wody do wanny, gdy zadzwonił telefon.

— Hej! Jesteś w domu!

— A gdzie miałabym być? — zapytała. Usiadła w fotelu i wsunęła stopy pod pupę. — Ale ty powinienes chyba właśnie surfować w Bogocie.

— Po pierwsze nie surfować, tylko pływać żaglówką, a po drugie nie w Bogocie, tylko w Baltimore. Właśnie wróciłem i jestem gotów iść w płasy. A ty?

— Clarke, już ci mówiłam, że ja nie z tych płasających.

— Ja tam nie tracę nadziei. Jeszcze cię nauczę.

— Teraz to mnie przerażasz.

— Słuchaj, znasz knajpę U Kiskočka, prawda? Coś tam przekąsimy. Mają świetne krewetki w ziołach. Odpowiada ci dziewiąta wieczorem? Wypatruj faceta całego w skowronkach.

— Obyś miał na sobie coś więcej niż tylko te skowronki — zaśmiała się.

— Czyli będziesz? — sądząc po głosie, Clarke był co najmniej zaskoczony.

Rozejrzała się po pokoju, rzuciła okiem na telewizor. Jakiś facet w szortach safari podnosił do kamery węża.

— Niech będzie dziewiąta — powiedziała — ale nie mogę zostać za długo.

Clarke Hamilton sprawował urząd prokuratora okręgowego hrabstwa Cape May. W towarzystwie O'Shaughnessy zawsze był nieco figlarny. Nigdy nie zachowywał się niestosownie, jednak wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest nią zainteresowany. Nie miała pojęcia, skąd dowiedział się o jej rozstaniu z Timem, ale już po miesiącu siedział w jej gabinecie i wypytywał o jakąś zmyśloną sprawę. W rzeczywistości przyszedł zaprosić ją na kolację. Odmówiła i do tej pory musiała to czynić jeszcze trzykrotnie.

Clarke był bez wątpienia przystojnym mężczyzną, nawet zbyt przystojnym jak na Wildwood. Jego rodzina była zamożna — prokuratorzy okręgowi, przynajmniej w tej części stanu, zwykle nie jeżdżą porsche i nie mieszkają w rezydencjach nad oceanem. Clarke regularnie chodził na siłownię, nosił garnitury za tysiąc dolarów oraz platynowego roleksa, jeździł na wakacje do egzotycznych krajów. Słyszała, że przepłynął Amazonkę na tratwie i że zdobył dwa szczyty w Nepalu, których nazw nawet by nie rozpoznała.

Rzecz jasna, Clarke był jednym z głównych obiektów plotek całego Wildwood. Słyszała, jak mówią o nim u fryzjera, w supermarkecie, nawet w kościele. Dowiedziała się już, że jest gejem, że jego rodzina ma układy, że przeszedł operację plastyczną po tym,

jak wysadzili mu samochód w powietrze, że jest uzależniony od hazardu, od alkoholu, od narkotyków, że jego żona zginęła w tajemniczych okolicznościach. Każda niezamężna kobieta w Wildwood miała jakieś skandalizujące wieści o Clarke'u — i każda padłaby mu do stóp, gdyby tylko pojawił się w jej drzwiach.

O'Shaughnessy uważała, że Hamilton jest dowcipny i inteligentny, i jeśli nawet było w nim cokolwiek dziwacznego, zupełnie jej to nie przeszkadzało. Rzecz w tym, że nie szukała teraz mężczyzny. Nie na tym etapie życia. Obecnie koncentrowała się na dzieciach oraz na nowej pracy. Pozostawało tylko poczucie winy z powodu separacji i pokazywania się publicznie z wolnymi mężczyznami.

W gruncie rzeczy, gdyby Tim nie był takim niewiernym dupkiem, nie musiałyby się teraz zastanawiać, co pomyślą ludzie, kiedy zobaczą ją razem z prokuratorem.

Tim był dla niej dobry. Troskliwy, życzliwy, szlachetny. Był wspaniałym ojcem i cudownym kochankiem. Właściwie miał w sobie wszystko, czego kobieta mogła zapragnąć — tyle że był przy tym mężczyzną, a mężczyźni to istoty bez rozumu i sumienia, chodzące po tej ziemi tylko po to, by zaspokajać chuć. O'Shaughnessy poczuła łzę w kąciku oka. Wzięła kilka głębokich wdechów i mocno zagryzła gumę.

Wiedziała, że trzy miesiące nie wystarczą, żeby przestała myśleć o Timie, ale miała już dość tego, że za każdym razem płacze. Niech go cholera. Niech go jasna cholera!

Łzy nie dało się jednak powstrzymać i O'Shaughnessy otarła ją palcem. Trzeba było żyć dalej. Cokolwiek jeszcze mógłby jej w przyszłości zaoferować Clarke Hamilton, tego wieczoru miał jej zapewnić towarzystwo — coś, czego ostatnio bardzo jej brakowało.

Wzięła prysznic, ubrała się w spódnicę oraz sweter z golfem, uczesała się i umalowała usta. Wciąż było chłodno, więc złapała jeszcze skórzaną kurtkę, po czym ruszyła do drzwi. Jeśli tylko Clarke będzie sobie zdawał sprawę z tego, że wieczorem każde z

nich wróci do siebie — myślała — wszystko powinno być w porządku.

Jadąc wzdłuż Atlantic Avenue, zauważyła, że w kilku sklepach, które na zimę zamknięto, znów pali się światło. Zimowi uciekinierzy wracali z Florydy czy też skądkolwiek, gdzie zwykli wyczekiwać wiosny.

Od strony oceanu wiał wiatr, niosąc wodną mgiełkę i zmuszając O'Shaughnessy do włączenia wycieraczek. Zatrzymała samochód przed neonami U Kissocka. Na przeciwnym rogu zauważyła należący do Hamiltona kabriolet porsche 911 z metalicznym lakierem. Wielokrotnie widywała go przed sądem. Mówiła o nim „ten srebrny kabriolet”, aż do czasu, gdy McGuire wreszcie ją uświadomił. *Mężczyźni!*

U Kissocka zawsze panował mrok. Meble z ciemnego drewna oświetlone były jedynie płomieniem świec. O'Shaughnessy czuła zapach gotowanych krewetek i słyszała cichy szmer rozmów.

Jak na majowy weekend, w barze panował ruch. Większość gości stanowili turyści, którzy postanowili wcześniej rozpocząć sezon. Był tam również Ben King, świeżo rozwiedziony właściciel centrum handlowego. Siedział przy stoliku z niewątpliwie zamężną Jan Winkleman, agentką z banku O'Shaughnessy. Widok tej pary wzbudził ciekawość policjantki, jednak gdy tylko z przeciwnego strony sali mignął jej jasny uśmiech Clarke'a Hamiltona, zdała sobie sprawę z faktu, że od tej chwili sama także znajdowała się pod lupą plotkarzy.

Kiedy siadała obok Clarke'a, mężczyzna wstał, rozcierając zmarznięte ręce.

— Czym się dziś będziesz truła? — zapytał. — Zawsze wyglądałaś mi na dziewczynę, która lubi rum.

— No to niech będzie margarita — odparła.

Prokurator uśmiechnął się i spojrzał na nią z uwagą.

Jej włosy, mieszanka blondu z karmelem, spoczywały lekko na

ramionach. Szczeka miała delikatny zarys, usta pokrywał wilgotny błyszczący.

Odwróciła się ku niemu z uśmiechem, podczas gdy Kiskey ob-  
taczał szklankę w soli.

— Gotowi na nalot? — spytał barman.

— Bardziej gotowi już nie będziemy — odparła.

— Trudno będzie przebić fajerwerki na diabelskim młynie i na-  
gie chórzystki śpiewające I Love New York na dwóch pasach Ocean  
Avenue. To był niezły rok.

Uśmiechnęła się.

— Takie rzeczy uczą pokory. I tego, żeby nigdy nie mówić  
„nigdy” — rzekła.

— Amen. — Starszy mężczyzna spoważniał. — No, a jak się  
trzyma Gus?

Spojrzała na Clarke'a, a potem znowu na Kiskeya.

— No, wiecie, chyba nie znam sympatyczniejszej pary. Aż się  
wierzyć nie chce, że ich to spotkało.

O'Shaughnessy się zaniepokoiła.

— Słucham? — powiedziała. — O co chodzi z Gusem? — Je-  
dyny Gus, jakiego znała, to Gus Meyers, kierownik laboratorium  
medycyny sądowej. Widziała się z nim ledwie parę godzin wcze-  
śniej.

— Cholera, czyżbym znowu się wygadał? — Kiskey oparł się  
łokciami o bar. — Chodzi o Agnes — szepnął. — Rak żołądka. —  
Poklepał się po brzuchu, wyprostował i nalał tequili do szklanki.  
— Podobno nieuleczalny.

— Och, nie — powiedziała O'Shaughnessy zszokowana.

Kiskey kiwnął głową.

— Agnes to najcudniejsza niewiasta na calutkiej ziemi. Mam  
nadzieję, że im się uda — rzekł.

O'Shaughnessy wiedziała, że Gus kilka miesięcy wcześniej  
zawiózł żonę na ostry dyżur. Przed świętami miała bóle brzucha.  
Sądził, że to może być wrzód. Ich najstarsza córka przeprowadzała  
się do nich po przykrym rozwodzie, a Agnes niezależnie od tego  
była w stresie, ponieważ jakiś czas temu musiała umieścić ojca w

domu opieki. Do tej pory O'Shaughnessy rzadko kiedy słyszała, żeby Gus opowiadał o swoich problemach. Potem już nigdy więcej o tym nie wspominał.

— Rany, mam nadzieję, że to nieprawda — odezwała się do Clarke'a.

Kissock wrócił z shakerem pełnym margarity. Nalał drinka kobiecie, a potem postawił przed Clarkiem kufel sierra nevada. Do baru weszło dwoje nowych klientów, toteż barman wkrótce się oddalił, by ich przywitać na drugim końcu baru.

O'Shaughnessy rozglądała się po lokalu w poszukiwaniu znajomych. Z zadowoleniem stwierdziła, że nie zauważyła nikogo.

— Krewetki czy menu? — spytał Clarke.

Miał smukłe palce oraz idealnie kształtne paznokcie. Poza uspokajająco prostym roleksem nie nosił żadnej innej biżuterii. Ma ładne dłonie, pomyślała.

— Krewetki — odrzekła.

— Wiesz, trochę się zdziwiłem, że przyjęłaś moje zaproszenie.

Uśmiechnęła się.

— Szczerze mówiąc, ja się trochę zdziwiłam, że zadzwoniłeś do mnie do domu. — Uniosła szklanke i upiła łyk margarity.

Spojrzał na jej dłoń — wciąż miała na palcu obrączkę.

— Ale wy jesteście w separacji, prawda? — spytał ostrożnie.

Skinęła głową, sącząc drinka. Jego twarz się rozluźniła.

— Mam nadzieję, że nie zachowałem się niestosownie.

— Przyszłam — pogładziła go po ramieniu. — Wszystko w porządku.

Ben i Jan ścierali zdrapki z kuponów loterii i pili coś przezroczystego w małych kieliszkach. O'Shaughnessy zauważyła, że Jan zerka w ich kierunku. W jej spojrzeniu było coś porozumiewawczego.

Kissock przypalił papierosa. O'Shaughnessy aż się skrzywiła.



— To wszystko jest jeszcze dla mnie nowe — zaczęła. — Ta cała historia z separacją.

Clarke spojrzął na nią z zaciekawieniem.

— Przecież wiesz, jakie jest Wildwood. Ani się obejrzyysz, a już mówi o tobie całe miasto.

Przełknął łyk piwa i kiwnął głową.

— Czy wiedziałaś, że jestem w programie ochrony świadków?

Roześmiała się, wodząc palcem po krawędzi szklanki.

— Nie, o tym jeszcze nie słyszałam. Ale czy ty nie masz przypadkiem trochę zbyt publicznej pracy jak na kogoś, kto próbuje nie rzucać się w oczy?

— Ludzie naprawdę nie myślą, kiedy tworzą te historie — odparł. — To jak z wiadomościami: liczą się tylko szok i zaskoczenie.

Znów się roześmiała.

— Tak naprawdę nie jestem nawet pewna, czy między mną a Timem wszystko skończone. Jest jeszcze kilka kwestii, które musimy rozwiązać — powiedziała. — To chyba najlepsze określenie.

Chodziło głównie o Reagan i Marcy. Za każdym razem, gdy przyjeżdżały od Tima, dopytywały się, kiedy tata wraca do domu. Na początku myślała, że to on je podpuszcza, jednak im więcej mówiły, tym bardziej była przekonana, że nie miał z tym nic wspólnego. Tego po prostu chciały. Tego oczekiwały od swoich rodziców: że to rozwiążą.

Sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę nicorette.

— Gówniany nawyk, no nie? — spytała, wkładając gumę do ust.

— Nie wiedziałem, że paliłaś.

— Zaczęłam, kiedy uczyłam się do egzaminu na sierżanta. To było głupie, ale przynajmniej pomagało mi się rozluźnić. Później paliłam tylko w pracy i kiedy Tim zapraszał mnie na drinka, czyli prawie nigdy. — Uśmiechnęła się zmieszana. — Mieliśmy z dziećmi dużo roboty.

Nerwowo skubała kawałek listwy odrywającej się od krawędzi baru. Do Kiskocka przychodzili głównie starsi ludzie. Z głośników Andy Williams śpiewał właśnie *Blue River*. Odkąd umarła mama, za każdym razem, gdy O'Shaughnessy słyszała tę piosenkę, chciało jej się płakać. Ostatnio coraz więcej rzeczy powodowało, że chciało jej się płakać — a to, jak gdzieś przeczytała, stanowiło jedną z siedmiu oznak depresji.

— Nigdy się nie ożeniłeś? Nie masz dzieci?

Pokręcił głową.

— Raz byłem blisko, ale uciekłem za pięć dwunasta. Nie, poprawka — powiedział z uśmiechem — to ona uciekła za pięć dwunasta.

O'Shaughnessy się uśmiechnęła. Lubiła Clarke'a. Nie był zarozumiała, tak jak wielu innych prawników i policjantów, którzy mieli ku temu dużo mniej powodów.

— Od rozstania z Timem po raz pierwszy gdzieś wyszłam — powiedziała.

— Tego się domyślałem — odwzajemnił uśmiech. — Jesteś co najmniej spięta. — Kiwnięciem głowy wskazał palec, którym skubała listwę. Pośpiesznie schowała dłoń do kieszeni.

— Nie uważam, żeby nasze spotkanie można było nazwać randką — odparła — ale czymkolwiek by nie było, nie czuję się do końca komfortowo. Nie bierz tego do siebie. To moja wina, nie twoja.

■ ■ ■

Przyniesiono krewetki. Jedli i rozmawiali. Clarke opowiedział jej o wakacjach na żaglach w Maryland. To było doroczne spotkanie absolwentów jego wydziału prawa. Chłopcy i dziewczęta wsiedli na łódkę w Baltimore i popłynęli do Saint Michael po drugiej stronie zatoki Chesapeake. Trzeba się było tam pojawić, żeby dostać okazjonalną koszulkę.

Rozmawiali o swym dzieciństwie i o pogodzie. O sprawie kasy oszczędnościowo-pożyczkowej, nad którą pracował, o porwaniu

Anne Carlino i o byłym kapitanie policji, który rozbił sobie głowę na pięć dni przed zabójstwem jego córki w sklepie odzieżowym w Filadelfii.

O'Shaughnessy zamówiła jeszcze jedną margaritę. Przy Clarke'u miło upływał czas. Mężczyzna był wykształcony, kulturalny, grzeczny, przystojny... Zastanawiała się, co w nim może być nie tak.

— Co ty na to, żebyśmy wpadli do Trippers na rozchodniaczka? — zaproponował. — Tam jest nieco żywsza atmosfera, nie sądzisz?

— Do Trippers? — zaśmiała się. — Jesteśmy za starzy. Ludzi w naszym wieku to oni chyba w ogóle nie wpuszczają.

— Oj, daj spokój — odparł. — Nie powiesz mi, że nie tańczysz.

Rzuciła mu spojrzenie mówiące: „Ty chyba żartujesz”, jednak kiedy wziął ją za rękę i ścisnął, odwzajemniła ten gest.

— Będzie fajnie. Inaczej — powiedział. Dyskretnie puścił jej dłoń i pomachał do starszej pary, która właśnie opuszczała bar.

Dłoń Clarke'a była ciepła i przyjemna w dotyku. O'Shaughnessy pomyślała o Timie. Tęskniła za dotykiem.

■ ■ ■

Wiatr przybrał na sile. Giął czubki drzew przed jej domem. Wjeżdżając na mokry podjazd, widziała je w świetle lamp ulicznych. Wsiadła z samochodu i weszła do domu przez niezamknięte drzwi kuchenne. Było grubo po północy, O'Shaughnessy była zmęczona, ale zdecydowanie zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. Wyjęła z lodówki butelkę wody i usiadła w fotelu, podkulając nogi. Patrzyła przez okno na błyskawice, które raz po raz rozświeślały ścianę deszczu.

Odchyliła głowę i zamknęła oczy, wspominając pocałunek. Z Trippers wyszli, trzymając się za ręce. Clarke miał rację — w tańcu rzeczywiście dobrze się bawiła. Tim był może najlepszym mężem i ojcem na świecie, ale nigdy nie zabierał jej na tańce. Nigdy.

Gdy wrócili do samochodów, zrobiło się już bardzo późno. U Kissocka było zamknięte, światła zgaszone, a wszyscy goście poszli do domów. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zauważył jej wóz przed knajpą. Była w szampańskim nastroju, jak za młodych lat.

Siedzieli w porsche Clarke'a. Było ciemno i ciepło. Panowała cisza, zakłócana jedynie przez ruch wycieraczek, które zgarniały deszcz.

— Dzięki za świetny wieczór — powiedział.

Podczas gdy deszcz łagodnie bębnił o dach, ona w nikłym świetle przyglądała się twarzy Hamiltona. Jest naprawdę przystojny, pomyślała.

— I ja ci dziękuję. Było fajnie.

Chciała już otworzyć drzwi, ale on delikatnie chwycił ją za ramię i przyciągnął w swoim kierunku. Pochylił się ku niej i pocałował w usta.

Nie otworzyła się do końca, ale też nie odsunęła. Pocałunek był długi i przyjemny. Przyjemny był jego zapach. Przyjemny był dotyk. O tak, dotyk był cholernie przyjemny.

Potem oparł czoło o jej czoło.

— Spotkamy się jeszcze?

Odwzajemniła spojrzenie, prawą ręką szukając klamki. Gdy ją znalazła, otworzyła drzwi, a wychodząc na deszcz, powiedziała:

— Tak.

■ ■ ■

Sykes siedział w swej ciężarówce kilka przecznic dalej, na publicznym parkingu przy deptaku w pobliżu Cresse. Panował chłód i parking — jak na sobotni wieczór — był niemal pusty. Już za miesiąc miało tu się zaroić od ludzi. Po plaży i deptaku będą chodzić tłumy, a muzyka z diabelskiego młyna, wieży panoramicznej i okrętu pirackiego będzie się nieść po całym wybrzeżu.

Wiatr niósł zimną morską mgiełkę, która rozbijała się o szybę

jego wozu. Od oceanu czuć było silną woń ryb. W oddali, nad wodą unosiła się ciemna sylwetka wesołego miasteczka na Strayer's Pier.

Tak właśnie spędzał młodzińcze lata. Tak właśnie poznał Susan Markey.

Włosy Sykesa — a właściwie to, co z nich zostało — były krótkie i rzadkie. Ubrany był w zieloną kurtkę z herbem Wildwood na piersi, zielone spodnie oraz nowe robocze buty, ochlapane krwią.

Dzięki urzędowi stanu New Jersey zdobył pracę w wydziale robot publicznych — jeździł ciężarówką po rodzinnym Wildwood. Lekarze mówili, że dzięki doustnej i dożylniej chemii będzie mógł żyć normalnie jeszcze przez rok. Ból miał się jednak stopniowo nasilać, aż do momentu, gdy mężczyzna nie będzie już mógł funkcjonować samodzielnie. Rząd miał mu wówczas zapewnić miejsce w hospicjum, jednak Sykes planował być wtedy zupełnie gdzie indziej.

Robotę, którą dostał, trudno było nazwać dobrą. Szczerze mówiąc, wykonywał najpodlejsze z usług sanitarnych. Na ciężarówkę, którą prowadził, mówiono „wóz z mięsem”. Sykes zajmował się zdrapywaniem martwych zwierząt z ulic i zawożeniem ich pełnych robactwa trucheł do miejskiej spalarni. Nawet gówniarze jeżdżący na stopniach śmieciarek zarabiali więcej niż on, ale Sykes nie robił tego przecież dla pieniędzy, lecz po to, by władze dały mu spokój.

Ta praca nie była jednak pozbawiona zalet. Działal w pojedynkę, więc mógł w zasadzie robić, co mu się żywnie podobało. Musiał tylko wykonywać otrzymywane przez radio polecenia, gdy szef lub jakiś policjant chcieli, żeby posprzątał coś w mieście lub na szosie. Poza tym cały dzień po prostu jeździł po okolicy, teoretycznie szukając zwierząt zabitych pod kołami samochodów.

Pracował wieczorami i miał do czynienia tylko z jednym kierownikiem — facetem, który przez całą ośmiogodzinną zmianę gapił się w Bóg wie co na ekranie komputera. Nikt nigdy nie

sprawdzał Sykesa. Nikt nie pytał, co robi. Wtapiając się w tło przy Atlantic Avenue, mężczyzna był właściwie niewidzialny.

Usłyszał jakieś głośnie i zerknął we wsteczne lustro. Ktoś zbliżał się od strony schodków deptaka. Na parking, poza własną ciężarówką, w migoczącym świetle lampy halogenowej widział tylko dwa inne samochody: czerwoną mazdę MX-5 oraz lincolna explorera. Stały obok siebie.

Osunął się w fotelu. Zanim znowu wyjrzał z nad kierownicy, odczekał, aż nadchodzący minął jego wóz. Kobieta podeszła do czerwonego samochodu sportowego, a mężczyzna podążył za nią. Rozpiął jej płaszcz, rękami błędził po całym ciele.

Odsuwała się od niego ze śmiechem. Wreszcie otworzyła drzwiczki samochodu i usiadła za kierownicą. Zatrasnęła drzwi i opuściła szybę, by jeszcze raz go pocałować.

Mężczyzna wyprostował się i zastukał w dach jej wozu, po czym odszedł do swego lincolna.

Odjechał pierwszy, trąbiąc klaksonem, gdy wyjeżdżał na Atlantic Avenue. Właścicielka mazdy została trochę dłużej. Zapaliła światło w kabinie. Sykes widział poruszającą się głowę — kobieta poprawiała makijaż, patrząc w lustro. Potem w kabinie zrobiło się ciemno, zapaliły się tylne światła hamulców. Kobieta wrzuciła bieg.

— Tak, skarbie — mruknął pod nosem. — Prowadź mnie do domu.

Zanim włączył reflektory, odczekał, aż kobieta wjedzie na Atlantic. Podążył za nią New Jersey Avenue, a następnie Spruce. Tam skręciła w lewo w kierunku Taugh Creek, a potem na zachód, na Wildwood Boulevard. Sezon jeszcze się nie zaczął, więc na drogach było niewiele aut. Jednak wóz Sykesa był w jej lusterku wstecznym tylko parą świateł miejskiej wywrotki.

Kobieta wjechała na północną nitkę Garden State Parkway i wtedy Sykes przyspieszył, by zmniejszyć dystans między sportowym samochodem a swoją wywrotką. Na platformie dzwoniły

łańcuchy, w jego dłoniach drżała kierownica. Zbliżywszy się na piętnaście metrów, sięgnął do kieszeni kurtki, by z wewnętrznej kieszeni wyjąć niewielki rewolwer. Podjedzie bliżej, zrówna się z nią i wtedy włączy żółtego koguta na dachu oraz światło w kabinie. Kiedy ona spojrzy w jego stronę, pokaże palcem na jej opony.

Miał właśnie skrócić na lewy pas, gdy w lusterku zobaczył parę reflektorów. Zbliżały się bardzo szybko. Sykes zdjął nogę z gazu i wsunął broń pod udo. Mocno ścisnął kierownicę, żeby nie wpaść w poślizg. Gdy nadjeżdżający samochód się zbliżył, mężczyzna zauważył na dachu policyjnego koguta.

— Jezu — syknął przez zaciśnięte zęby.

Wiedział, że nie przeszedłby testu trzeźwości, a gdyby przeszkali ciężarówkę i znaleźli rewolwer, wyładowałby z powrotem w pudle.

Ale to się nie miało prawa nigdy zdarzyć. Już za kratkami Sykes podjął wszystkie najważniejsze decyzje. W jego życiu nie będzie już żadnych więzień.

Zwolnił do dziewięćdziesiątki, tak żeby w chwili, gdy policjant każe mu zjechać na pobocze, sportowa mazda była jak najdalej. Musiał być szybki. Odczeka, aż gliniarz będzie na wysokości okna, strzeli i zwinie się stamtąd najprędzej, jak będzie mógł. Jeśli tylko uda mu się zjechać z szosy, zanim ktokolwiek go zauważy, będzie bezpieczny. Nikt nie podejrzewałby przecież kierowcy miejskiej wywrotki.

Reflektory wciąż się zbliżały. Radiowóz był tuż za nim, kiedy rozbłyły niebieskie światła.

— Jasna cholera. — Uderzył pięścią w kierownicę, jednak nie zdążył jeszcze zamknąć ust, gdy wóz policyjny wyminął go i, przyspieszając, podążył za czerwoną mazdą.

Sykes zwolnił do osiemdziesiątki, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Odetchnął głęboko, drapiąc ranę na karku i przeklinając swoją nerwowość. MX-5 zjeżdżało właśnie na pobocze, a radiowóz — za nim. Sykes minął oba samochody, nie odwracając głowy, i skręcił na następnym zjeździe. Szosą numer 9, równoległą

do autostrady, ruszył w drogę powrotną do miejskiej spalarni.

Na platformie miał dwa martwe jelenie, psa collie, mewę, szczura oraz sztywnego, trójbarwnego kota, którego musiał zdrapywać z asfaltu za pomocą płaskiej łopaty. Pies miał obrozę i numerek, ale Sykes spalił go z tym wszystkim, żeby uniknąć papierkowej roboty.

Gdy wrócił do domu, opadł na swą nową kanapę i popijając piwo, starał się uspokoić nerwy po niedoszłej wpadce na autostradzie.

Kobieta w czerwonej mazdzie była już pewnie w domu. Na pewno skarżyła się mężowi — temu, którego zdradzała — na policjanta, który wlepił jej mandat. Na policjanta, który uratował jej życie.



# 10

## Czwartek, 12 maja Filadelfia w stanie Pensylwania

W drugim tygodniu maja miasto ogarnęły niezwykle jak na tę porę roku upały, przekraczające trzydzieści stopni Celsjusza. Wyglądało na to, że skwar — nie do wytrzymania dla filadelfijczyka — utrzyma się co najmniej przez parę dni.

Prognozy upalnej pogody sprawiły, że ludzie czym prędzej wynajmowali domki na wybrzeżu albo rezerwowali urlopy w Maine czy Ontario.

Sherry korzystała ze słońca w ogrodzie za domem. Ubrana w czarny dwuczęściowy kostium kąpielowy, wylegiwała się z nogami opartymi o krzesło. Tuż obok niej leżały telefon oraz butelka z wodą. Na nosie miała ciemne okulary Oakleya — modne, bez oprawek. Prezent od Payne'a, który twierdził, że kupił je za bezcen. Nie wierzyła mu.

Payne przeszedł przez dom, wziął z lodówki dwa heinekeny i łokciem pchnął wahadłowe drzwi do ogrodu.

— Witaj, opalająca się królowno — powiedział wesoło.

— Czy to pan, detektywie Payne, czy to jeden z Chippendalesów przyniósł mi piwo?

— John Payne. Detektyw policji miejskiej, do usług.

Zabawnie wyduła dolną wargę.

Nie pytał, skąd wiedziała o piwach. Sherry słyszała wszystko. Absolutnie wszystko.

Zdjął kapsel i dotknął butelką jej nadgarstka. Wzięła od niego chłodne szkło i przyłożyła do czoła.

Drugie piwo postawił na ziemi, rozpiął koszulę i przez chwilę się nią wachlował.

— Boże — powiedział. — Jak ty to wytrzymujesz? Wiesz, że w domu masz klimatyzację, prawda?

Sherry przyłożyła butelkę do ust i westchnęła z rozkoszą.

— Oto, Johnie Payne, jest właśnie powód, dla którego żyję.

— No dobrze, to teraz pomnóż tę temperaturę przez dwa. Wtedy może sobie wyobrazisz, jak jest w mieście. Jeśli tak wygląda maj, to już się nie mogę doczekać, co nam przyniesie sierpień. Schudłem ze trzy kilo.

Chwycił jedno z drewnianych krzeseł i ustawił je naprzeciw Sherry. Opadł na siedzenie i sięgnął po swoją butelkę. Wzrok zatrzymał na jej brzuchu, potem przeniósł na krągłość jej piersi.

Przez chwilę milczał.

— W piątek miałem morderstwo w luksusowym salonie mody Carmela's. Słyszałaś o takim sklepie?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

— Ładna kobieta w średnim wieku. W domu mąż i dwoje wnucząt. Córka i zięć byli na Alasce na wycieczce z okazji rocznicy — mówił dalej.

Sherry się skrzywiła.

— Ktoś wszedł do sklepu i wpakował w nią trzy kulki. — Payne przełknął kolejny łyk piwa. — Nic nie zabrał. Brak śladów stosunku, brak motywu. Mąż czysty jak mało kto. Proboszcz mówi, że byli parą chodzących świętych. Normalnie Matka Teresa i Tomasz z Akwinu. Zadzwoiłem do Wildwood w New Jersey, żeby porozmawiać z jej ojcem, i dowiedziałem się, że pierwszego maja zabił się na schodach. Okazuje się, że w latach siedemdziesiątych miał kontakty z mafią, między innymi z Anthonym Scaglią.

Wiedział, że Sherry rozpozna to nazwisko. Codziennie słuchała w radiu wiadomości z Nowego Jorku. Obróciła ku niemu twarz i uniosła brwi.

— Wiem, co myślisz — powiedział. — Tamtejsza policja nazywa to wypadkiem. Był stary, mieszkał w domu opieki. Mówią, że wszedł przez niezamknięte drzwi i po ciemku spadł z wysokich schodów.

— Tyle że ty w to nie wierzysz?

Payne westchnął.

— Chyba nie mam wyboru. Muszę wierzyć, chyba że ktoś dowiedzie czegoś innego. Sekcja wykazała, że obrażenia głowy powstały w wyniku upadku. Nienawidzę zbiegów okoliczności, gdy chodzi o zabójstwa, ale wszystko jest możliwe. Tak czy inaczej, na razie to jest ich problem. Sherry, ta sprawa kryje jakąś tajemnicę. Coś mi mówi, że będę w stanie doprowadzić ją do końca, jeśli tylko zrobię kilka właściwych kroków.

— Czy jeden z nich wiąże się ze mną? — spytała delikatnie.

Spojrzał na nią z zagadkowym wyrazem twarzy. Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Zamiast tego odparł:

— Myślę, że mogłabyś tu pomóc.

Pomimo upału — a może właśnie dzięki niemu — Sherry była w dobrym nastroju. Miała zdrową cerę. Widział ją w sali gimnastycznej, ubraną w karategi. Opalanie się w zabójczym upale to było nic w porównaniu z tym, co wyciskała z siebie na treningach z senseiem Jak-mu-tam. Przypuszczał, że lubiła dużo wyższe temperatury.

— A to coś nowego — powiedziała. — Kiedyś mówiłeś, że nie powinniśmy mieszać pracy i przyjaźni.

— Sherry, mam cztery niezamknięte sprawy. Cztery ślepe zaułki i cztery rodziny, którym nie umiem spojrzeć w oczy. Teraz kolejna sprawa mi się wymyka. Jeśli nie dowiem się, co wiedziała ofiara, będzie piąta.

— Kiedy pogrzeb?

— Pozwoliłem zabrać ciało dziś rano. Ktoś z dalszej rodziny potrzebował trochę czasu na powrót do miasta, więc uroczystość będzie pewnie dopiero w niedzielę. Moglibyśmy tam pojechać w sobotę wieczorem.

Spojrzał na jej skrzyżowane nogi, na lekko podrygującą łydkę. Po boku kobiety spływała kropelka potu. Wiaterek poruszał włosy nad uchem. Payne wiedział, że myśli o Norwich. Boi się, że może popełnić kolejny błąd.

Trudno było rozgryźć Sherry. Nie wyjawiała wiele, nawet najbliższym osobom. Zastanawiał się, czy często o nim myśli. Rzecz jasna wiedział, że go lubi — ale jak bardzo? Kiedy obejmowała go ramieniem, kiedy szli razem, a nawet kiedy ich dłonie przypadkowo się stykały, był to zawsze ten zdecydowany kontakt, typowy dla przyjaciół. Nic więcej.

Na samym początku znajomości wyczuwał, że mogło się to przekształcić w coś więcej, jednak żadne z nich nie zrobiło kroku w tym kierunku. A teraz — kto wie?

Ze skroni ciekł mu pot wprost na kołnierzyk. Zdjął koszulę i przewiesił ją przez oparcie. Potem podszedł do grodzi.

Rzeką mknęła dziesięciometrowa motorówka typu scarab. Woda się pod nią pieniała, a dziób łodzi unosił się niczym pocisk wycelowany w most. Sherry musiała wiedzieć, co Payne do niej czuje. Miała zbyt dobrą intuicję, by tego nie pojąć. Wychwytywała sygnały jak pająki owady.

Scarab pruł fale rufą. Payne wiódł wzrokiem za łodzią, aż zniknęła pod mostem. Wiedział, jak niebezpiecznie jest prosić Sherry o pomoc. Ba! Wiedział, jak niebezpiecznie jest się z nią przyjaźnić. W sądzie wystarczyłaby jedna sugestia, że jest dobrym znajomym słynnej Sherry Moore, a nigdy więcej nie mógłby zeznawać. Zawsze jakiś cwany adwokat wymądrzałby się na temat jego co bardziej intuicyjnych poszlak.

— Detektywie Payne, czy to prawda, że regularnie zasięga pan opinii medium, kobiety, która porozumiewa się z duchami?

— Sprzeciw.

— Podtrzymuję.

— Wysoki Sądzie, ujmę to inaczej...

Wtedy byłby oczywiście bezużyteczny jako detektyw z wydziału zabójstw. Na resztę życia wróciłby do noszenia munduru albo utknął gdzieś za biurkiem.

Istniał jednak jeszcze jeden, dużo ważniejszy powód, by nie angażować Sherry w swoją pracę. Payne nie chciał, by myślała, że zależy mu na niej z racji jej daru. To nią, osobą, zawsze był zainteresowany, to osobę zawsze kochał. A nie to, co potrafiła robić ze zmarłymi.

— Wiesz, że zrobię to dla ciebie.

Odwrócił się do niej i zobaczył, jak kiwa palcami u nóg.

— Dzięki, Sherry — powiedział po chwili. — To naprawdę fajnie z twojej strony.

— Fajnie — powtórzyła, unosząc do ust butelkę piwa. Łezka ze skroplonej pary skapnęła jej na obojczyk i spłynęła pomiędzy piersi. Zatrzymała ją czubkiem palca. — Nie w tym rzecz, czy fajnie. Po prostu lubię cię oglądać szczęśliwego. — Zwróciła twarz w stronę wody i znów zaczęła kiwać palcami. Podniosła dłoń do ust. Zlizwała kropelkę.

— I co teraz zrobimy?

Sherry raz na jakiś czas proszono, by jawnie pomogła organom ochrony porządku publicznego. Zwykle dotyczyło to głośnych spraw, w których ważnym czynnikiem było wsparcie mediów: przypadków zaginionych dzieci czy terminów wypłacenia okupu. Jednak większość pracy wykonywała w tajemnicy. Prywatne organizacje i indywidualni ofiarodawcy często potrzebowali uzyskać od zmarłych cenne wskazówki. Większość z nich poszukiwała przedmiotów wartościowych z materialnego lub historycznego punktu widzenia. Nie chcieli ani konkurencji, ani kontroli.

Również nieliczne jednostki policji, które uznawały Sherry za wiarygodnego partnera, nie mogły się publicznie przyznawać, że zlecają dochodzenie cywilom. Szczególnie cywilom twierdzącym, że dysponują zdolnościami paranormalnymi.

Sherry nie brała tego wszystkiego do siebie. Była szczerze

przekonana, że istnieje naukowe — a nie paranormalne — wyjaśnienie jej daru, jednocześnie rozumiała jednak trudności, jakie policjanci i prawnicy mieli z zaakceptowaniem tego faktu.

— Naprawdę nie macie nic przeciwko wizycie w domu pogrzebowym?

— Ostatnio proszono mnie, abym była kreatywna, czyż nie? Myślała o dzieciach w dołach.

# 11

## **Piątek, 13 maja** **Wildwood w stanie New Jersey**

Porucznik O'Shaughnessy wpatrywała się w biurko, w notkę, którą przysłał jej Clarke. Zapraszał ją do domu na obiad. Napisał, że chce dla niej gotować. Gotować?

Nagrała mu się na pocztę głosową. Poprosiła, by dał jej trochę czasu. Nie zdążyła jeszcze przemyśleć, dokąd to wszystko zmierza ani co oznacza dla Tima i dziewczynek. Być może odkładała podjęcie decyzji, nie chcąc analizować własnych uczuć. Musiała przyznać, że Clarke jej się podobał. Bardzo.

Wspominała tamten wieczór w jego samochodzie, jego oddech na szyi, ramię, którym ją objął, dłoń ściśniętą pomiędzy jego udem a jej kolanem. Wspominała tamto pragnienie, gdzieś tam, bardzo nisko; wspominała, że miała ochotę na więcej, chciała, by jego ręce nie spoczywały w miejscu — i że czuła za to wstręt do samej siebie.

Nie — powiedziała mu — kolacja to nie jest dobry pomysł. W domu czekała na nią masa spraw: trzeba zrobić pranie, iść po zakupy, zapłacić rachunki. W myślach zaś dodała: Aha, Clarke, i tak na marginesie — naprawdę nie mogę dziś do ciebie wpaść, bo gdybym wpadła, skończyłoby się na tym, że bym cię zerznęła. Bo chyba to się właśnie robi po zakończeniu fazy wstępnej, prawda?

Jeśli mieli się jeszcze spotykać i kiedyś w przyszłości uprawiać

seks, musiała nadać życiu całkiem nowy kierunek — i to taki, jaki nie spodoba się pewnym innym osobom, które kochała.

— Poruczniku! — zawołał detektyw Randall. Spojrzała przez szklaną ściankę gabinetu; mężczyzna pokazywał trzy palce. Wcisnęła przycisk na telefonie.

— Porucznik O'Shaughnessy.

— Tu znów detektyw Payne z Filadelfii.

— Witam, detektywie — powiedziała. — Dostał pan wyniki sekcji zwłok?

— Tak, wszystko dostałem. Chciałbym pani podziękować.

— Więc możemy już wyjąć Markeya z lodu?

— Szczerze mówiąc, właśnie chciałem poprosić, żebyście tego nie robili.

Payne nie przypuszczał, że do tego dojdzie, ale jeśli tylko istniało jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że śmierć Markeya nie była przypadkowa, nie chciał pozwolić, by jego zwłoki zniknęły. Jeśli tylko istniało prawdopodobieństwo, że po tym, jak odwiedzą córkę Markeya w domu pogrzebowym, będzie musiał zawieźć Sherry do Wildwood.

O'Shaughnessy odchyliła się na krześle i zaczęła stukać ołówkiem w blat.

— Chyba da się to załatwić. — Oparła palce stopy o ściankę biurka. — Na jak długo?

— Tylko kilka dni. Żebym zdążył się zorientować, w jakim kierunku zmierza ta sprawa.



# 12

## **Piątek, 13 maja Wildwood w stanie New Jersey**

Suche liście wirowały po podwórku i osiadały, tworząc kupki w pobliżu szopy.

Wiatr niósł zapach słonego oceanu, ale także czegoś starego, jakiejś ponadczasowej zgnilizny.

Jeremy podbiegł do okna. Trzepocząca firanka uderzała go w twarz. Ze wschodu ciągnęły ciemne, płaskie chmury deszczowe. Pomrukując burzowo, dryfowały w poprzek przyłądka jak wielkie, złowrogie barki. Liście szeleściły w podmuchach wiatru. Coś trzeszczało. Jeremy opuścił firankę i odsunął się od okna.

W domu panowała grobowa cisza. Czuł dochodzący z dołu zapach kawy i bekonu. Czy ktokolwiek tu był? O tej porze powinni go już wołać na śniadanie. O tej porze zawsze wołali go na śniadanie.

Z każdą minutą trzeszczenie stawało się głośniejsze. Rozejrzał się po pokoju. Podmuch zwiął z nocnej szafki karty z baseballistami, a medale rozwieszono na pucharach brzęczały na wietrze. Jeremy podniósł wzrok na dyplom od burmistrza wiszący na ścianie — on również drżał.

Spojrzał przez okno na wschód, ponad dachami domów, w kierunku morza. Zaraz potem wybiegł na korytarz i rzucił się po schodach, zeskakując po dwa stopnie, aż dotarł na pierwszy podest.

Wymalowane na ścianie okno eksplodowało i zielony strumień morskiej wody cisnął nim o ścianę.

Woda wypełniała pomieszczenie. Jeremy, uwięziony pod sufitem, poruszał rękami, usiłując zanurkować w kierunku schodów. Obok niego przepłynął pojemnik na kanapki, a po chwili para okularów. Miał wrażenie, że klatkę piersiową przygniata mu słoń. Z nogawki spodni wypływała strużka krwi.

Kap, kap, kap...

Gdzieś w zakamarkach umysłu zaczynał rozumieć.

Ale co to kapło?

Kap, kap, kap...

Powoli otworzył oczy. Źródło dźwięku dostrzegł po przeciwległej stronie pokoju, pod zardzewiałym zlewem — była to niebieska puszką po kawie, do której skapywała woda ze skorodowanego kolanka.

Obrócił się na gołym, wilgotnym materacu i usiadł na krawędzi, z twarzą mokrą aż po włosy.

Skurcze były tak silne, że musiał przytrzymywać prawe ramię drugą ręką. Rozejrzał się nerwowo po pokoju. Nie było już ładnych firanek — zastąpił je poplamiony biały ręcznik, przybity gwoździami do ramy nad oknem. Zniknęła też szafka z pucharami. Na podłodze nie leżały karty z baseballistami.

Jeremy wstał. Włożył swoją jedyną parę spodni i przeczesał włosy złamanym grzebieniem, starając się kontrolować skurcze w ramieniu. Następnie przeszedł do łazienki, by ochlapać twarz zimną wodą. Zgodnie z tym, co mówiła właścicielka, wody innej niż zimna tam nie było. Pani Lester regulowała także ogrzewanie. Przez całą zimę nie rozkręcała go, „bo ciepło się unosi, więc ogrzewanie w jej mieszkaniu wystarcza do ogrzania jego pokoju”. Musiał więc przykrywać się kocami, które znalazł na śmietniku.

Przed wyjściem założył jeszcze brudny brązowy płaszcz, który nosił przez wszystkie dni w roku, wysokie gumki i rękawiczki bez palców.

Na dworze była mgła, tak gęsta, że można by ją ścierać z twarzy.

Szedł najszybciej, jak mógł, stawiając stopy do wewnątrz i odciągając lewą nogę. Przewiesiwszy przez ramię biały płócienny worek, ruszył w kierunku przystani po poranny kubek kawy, w drżącej dłoni mocno ściskając kij do zbierania śmieci.

Tego poranka przyptyw był wysoki. Ciemne fale obmywały pomost, pozostawiając na deskach pianę. Morze wyrzucało także kraby, które mewy szybko rozdziobywały. Jeremy znów przypomniał sobie sen. Z przyczyn, których nie potrafił wyjaśnić, zrobiło mu się smutno.

Bocianie Gniazdo było barem dla rybaków. Mieściło się w niewielkim budynku zbudowanym na planie kwadratu, wciśniętym pomiędzy chłodnią a magazyn przyręt.

Lokal miał współczesną szafę grającą oraz aparat telefoniczny — przykręcony do baru, żeby nikt nie cisnął nim przez okno. Również krzesła i stoły przymocowane były do podłoża. Nigdy nie zakupiono stołu bilardowego, gdyż po północy i tak nie mogło być mowy o obecności w knajpie kijów i kul. Rybacy spędzali zatem wolny czas na przegrywaniu ciężko zarobionych pieniędzy w kości.

Worek oraz kij do zbierania śmieci Jeremy zostawił za drzwiami — Janet mówiła, że za bardzo śmierdzą, żeby je wносить do środka. Wnętrze w kształcie litery L miało podłogę wyłożoną deskami. W kącie stał żeliwny piec, który zimą ogrzewał lokal. W barze było tylko dziesięć stołków. Jeremy zrobił duży krok, by nie nadepnąć czyjegós brązowego psa, skulonego przy wejściu do męskiej toalety, i usiadł tam, gdzie zawsze — przy oknie, nad którym wisiła na haku rybacka lampa naftowa. Zza ściany usłyszał, jak ktoś spuszcza wodę.

— Cześć, Jeremy.

Janet nalała mu kawy do styropianowego kubka, który postawiła na barze wraz z cukrem i śmietanką.

Jeremy popatrzył na nią spojrzeniem pełnym miłości i się uśmiechnął.

— Dziieeeeeń doooobrrrrryyy, Janet.

Posłała mu swój najpiękniejszy uśmiech.

Było jej żal Jeremy'ego. Pod tymi szmatami wciąż był przystojnym facetem — i musiałby to przyznać nawet ktoś, kto go nie znał. Gdyby go trochę ostrzyć i lepiej ubrać, z daleka mógłby wyglądać na wyjątkowego gościa.

Gdy podnosił dzbanek, drżała mu ręka. Zdołał wlać śmietankę do kawy, niczego nie rozlewając. Z dumą postawił naczynie na blacie i podniósł kubek do ust.

Z przystani wypływał mały trawler z sieciami rozwieszonymi wysoko na stalowych płytach podobnych do skrzydeł. Jeremy usłyszał syrenę i podniósł wzrok, by ujrzeć, jak światła łodzi znikają we mgle.

Janet odwróciła się i zajęła czyszczeniem szkieł, zastanawiając się, czy wszystko w jego życiu mogło się potoczyć inaczej. Często rozmyślała nad tym, czy Jeremy chciałby dalej żyć, gdyby znał prawdę o sobie.

— Jeremy, znowu się ostrzygłeś? — spytała głośno, ponieważ był głuchy na jedno ucho.

— Taaaaaak, Janet — skłamał, przeciągając dłonią po włosach. Sięgnęła przez bar i pogłaskała go po głowie.

— Krótko z boku, bardzo elegancko. Wszyscy faceci teraz tak się czeszą.

Jeremy był w siódmym niebie.

Z szaletu znów dobiegł odgłos spuszczonej wody. Po chwili wyszedł z niego rybak w gumowym kombinezonie. Janet postawiła przed nim kufel budweisera. Jeremy zaglądał w tym czasie do kubka z kawą, próbując zobaczyć własne odbicie.

Janet chodziła do szkoły w dziesięć lat po nim, ale jego historię znali wszyscy. Był nie tylko świetnym uczniem. Był jedynym uczniem w historii szkoły, który przez trzy kolejne lata zdobywał tytuł najbardziej wartościowego zawodnika, i to nie tylko w futbolu — w baseballu też. No a potem były te wszystkie złote medale na stanowej olimpiadzie.

Ale to wszystko było kiedyś — a to tak, jakby nie wydarzyło

się nigdy. Teraz Jeremy ledwie potrafił wypić kawę, nie wylewając jej na siebie.

Ludzie mówili, że czasami dostrzegają w nim jednak przebłyski dawnej świadomości. Bywało, że oczy mu jaśniały, gdy słyszał znajome imię. Kiedy zaś w telewizorze nad barem pokazywano wiadomości sportowe, na jego twarzy pojawiał się nieokreślony wyraz, jakby Jeremy szukał Bóg wie czego — lecz po chwili ta mina znowu zniknęła.

Po wypadku nie poznawał nawet własnych rodziców. Przez wiele lat próbowali się nim opiekować, jednak w końcu wyjechali z miasta zrozpaczeni, świadomi, że nie są w stanie uczynić go szczęśliwszym, niż będzie, jeśli pozostawią go samemu sobie. Owego dnia, w 1976 roku, życie się skończyło i zaczęło od nowa dla wielu ludzi.

Janet sięgnęła po kolejną szklanę. Jeremy położył na blacie ćwierćdolarówkę, tak by była widoczna. Kobieta znów rzuciła mu uśmiech.

Oczywiście Jeremy do niczego w życiu nie doszedł. Często zastanawiała się, czy on choć trochę zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. Czy dostrzega na ulicy swoją szkolną ukochaną z trójką dorosłych dzieci? Czy na wystawie sklepu obuwniczego na Main Street zauważa zdjęcie drużyny Warriors z siedemdziesiątego szóstego, oprawione w czarne ramy? A gdyby kiedyś je zauważył, czy rozpoznałby na nim siebie, ubranego w kostium futbolowy?

Czy wiedział, że cheerleaderka Debbie McCormick pozowała do „Playboya”? Że Derrick Hunter zginął w World Trade Center? Że Bill Grant i Gavin Thomas zmarli na AIDS i że bracia Michelson pływali w regatach America's Cup?

Postawiła szklanę i pochyliła się w kierunku Jeremy'ego, podnosząc monetę.

— Dziękuję, skarbie — poklepała go po dłoni. Potem obróciła się, by oszczędzić mu wstydu, gdy z trudem schodził z wysokiego stołka barowego.

Kiedy Jeremy wymknął się na zewnątrz, była godzina 8.20.

Podniósł kij do zbierania śmieci, a pusty kubek po kawie wrzucił do worka. Następnie ruszył bocznymi uliczkami, które miały go zawieść na Ocean Avenue.

Na zapleczech sklepów wyładowywano dostawy z ciężarówek, właściciele wciągali do swych lokali paczki gazet, myli okna, porządkowali wystawy. Samochody trąbiły, a Jeremy przemykał między nimi, z zaułka do zaułka, z ulicy na ulicę, podążając schizofreniczną ścieżką, która zawsze kończyła się na Twentysixth Avenue dokładnie o 9 rano — czy słońce, czy deszcz, czy śnieg, czy grad.

Nigdy się nie zastanawiał, dlaczego zawsze przechodzi obok liceum ani dlaczego przygląda się swojemu odbiciu w drzwiach sali gimnastycznej. Albo dlaczego, przecinając parking dla nauczycieli, dochodzi do boiska futbolowego. Nie przypuszczał, że kiedyś cheerleaderki wykrzykiwały tam jego imię, a ludzie zrywali się z miejsc i podnosili wrzawę, kiedy pędził z piłką ku strefie końcowej. Ruszył dalej, minął wejście na stadion oraz zabita deskami budkę z hot dogami i dotarł do zadrzewionej alei. Przeciął ją, by dojść do Barclay Street.

Sprzątanie plaży i deptaka było jego jedynym zadaniem. Nie pracował na górze, gdzie chodzili ludzie, ale pod spodem — gdzie wyrzucali śmiecie, a wiatr znosił od strony plaży rozmaite przedmioty. Rano nad głową Jeremy'ego dudniły po deskach jadące deptakiem rowery. Potem do tego dźwięku dołączało człapanie kroków, a jeszcze później — pisk długich elektrycznych kolejek.

Większość czasu Jeremy spędzał na kolanach, wyciągając śmiecie spod desek. Czasem jednak miał gdzie wstać, a wtedy patrzył w górę i czasem, przez dziurę po sęku, dostrzegał barwne błyski ubrań przechodniów.

Ubóstwiał zapachy, jakie unosiły się wokół deptaka. Prażone orzechy, ciągutki, kiełbaski, pizza... Idąc wzdłuż plaży, uwielbiał także obserwować opalających się ludzi.

Nabił na szpikulec skarpetkę, papierek po cukierku oraz stanik, którego ktoś się pozbył. Zanim wrzucił do worka to ostatnie znalezisko,

podniósł je wyżej, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

— Ssssstaaaaniiiiik. — Uśmiechnął się.

Mgła się podnosiła, a słońce białeło. Niedługo poranne opary miały się całkiem rozwiać, odsłaniając olśniewający błękit nieba.

Gumiaki Jeremy'ego zostawiały w piasku wielkie ślady, a on sam wyteżał wzrok, wypatrując śmieci. Nad wybrzeżem z war-kotem przemknął samolot, ciągnąc za sobą transparent. Jeremy nabił na szpikulec prezerwatywę oraz wypatroszoną rybę, a wkrót-ce potem — dwa tekturowe kubki i papierek po hamburgerze. Wo-rek ze śmieciami szybko się wypełniał, toteż mężczyzna wszedł schodkami na deptak, by wysypać zawartość do jednego ze śmiet-ników. Następnie wrócił na dół, napełnił worek ponownie i powtar-zał te czynności aż do południa. Wtedy zostawił swoje rzeczy na piasku pod barem Pedra, po czym wszedł na górę po kubek ryżu i czarnej fasoli. Usiadł pod deptakiem, zjadł połowę porcji, a resztę — wraz z plastikową łyżką — schował do kieszeni na obiad.

Dzień okazał się znów jasny i pogodny. Plaże zapełniły się ludźmi. Jeremy obserwował, jak rzucają frisbee, grają w bad-mintona oraz w futbol, który zawsze wydawał mu się świetną za-bawą.

Dziewczyny ubrane były skąpo i Jeremy szczyrzył zęby na myśl, że mają na sobie tylko ssssstaaaaniiiiikiiiiii i maaaaajtkiiii. W tej chwili było ich jeszcze niewiele, jednak już za miesiąc plaża miała być pełna błyszczących od olejków ciał.

Pod deptakiem rzadko kiedy natykał się na innych ludzi, a jeśli już kogoś napotkał, zawsze omijał go łukiem. Jeżeli ktoś mówił mu coś przykrego, miał nie słuchać. Jego szef, Ben Johnson, mó-wił, że Jeremy jest tam po to, żeby zbierać śmiecie, a tamci ludzie — po to, żeby je zostawiać. Tylko tyle musiał wiedzieć i tylko o tym myśleć.

Późno popołudniowe słońce rzucało cienie na pas wysokich bu-dynków na południowej stronie deptaka. Kandydaci na ratowników

odbywali ćwiczenia przy pomarańczowej łodzi. Na brzegu zebrała się grupka gapiów.

Tuż przed piątą Jeremy dotarł do Strayer's Pier. Podążył wzdłuż rury aż do połowy długości tunelu, gdzie zaczynała się ona wznosić. Nabił na szpikulec serwetkę, która musiała wpaść pomiędzy deski, a potem wcisnął się pod rurę, by zebrać kolejną. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, toteż kiedy wchodził głęboko pod deptak, zawsze musiał uważać, by nie uderzyć się w głowę. Dlatego też co chwilę podnosił wzrok — i w taki właśnie sposób dostrzegł błyszczący przedmiot, który utknął w szczelinie między deskami.

Wydobył za pomocą plastikowej łyżeczki. Zobaczył wówczas, że był to niewielki złoty pierścionek, ubrudzony brązową mazią.

Zostawił worek pod deptakiem i wyszedł na słońce. Dłonią osłaniał oczy przed oślepiającymi promieniami tak długo, aż ponownie przyzwyczyliły się do światła. Ominął wysepkę ułożoną z ręczników plażowych i zbliżył się do morza. Stał na skraju wody, przyglądając się malutkim rowkom pozostawionym przez cofającą się falę. Przykucnął, czekając na kolejną.

Nad jego głową szybowały mewy, wypatrując znamienych błysków, sygnalizujących obecność pożywienia. Frunęły na północ, przecinały Strayer's Pier, skręcały na zachód nad deptakiem i ponownie zawracały w stronę morza. Jedna z nich wylądowała tuż obok Jeremy'ego. Mężczyzna włożył pierścionek do wody i trzymał go tam przez chwilę, pocierając w palcach. Obmywszy błyskotkę z mazi, ponownie się wyprostował.

Pierścionek był złoty. Wygrawerowano na nim litery AMC.

Jeremy znajdował podobną biżuterię co jakiś czas. W większości były to rzeczy z plastiku, choć czasem zdarzały się także metalowe, takie jak ten pierścionek. Na początku za każdym razem, gdy znalazł coś takiego, dzwonił do swojego opiekuna, jednak pan Johnson miał już dość jeżdżenia do każdego śmiecia, który Jeremy skądś wygrzebał. Powiedział mu więc, że jeśli tylko na



pierścionku nie ma dużego, błyszczącego białego kamyka, może go sobie zachować.

Jeremy włożył więc pierścionek do kieszeni i wrócił pod deptak, żeby zabrać worek. Znow ruszył na południe, aż wreszcie pod koniec dnia dotarł do Cresse Avenue.

Było już po piątej — znowu się spóźnił. Czasem podjeżdżał tam pan Johnson i pozwalał Jeremy'emu schować się pod plandeką. Nie wolno mu było jeździć z tyłu, a do kabiny szef go nie wpuszczał, gdyż — jak mówił — za bardzo śmierdzi. Pan Johnson podwoził mężczyznę do domu pani Lester, więc Jeremy mógłby mu pokazać złoty pierścionek. Ale teraz było za późno — szef wykonał już swoją rundę.

Na plaży przy Cresse Avenue toczył się mecz futbolowy. Jeremy usiadł w cieniu pod deptakiem, przyglądając się, jak grupka mężczyzn ustawia zagrania, podaje sobie piłkę i nurkuje w piasku, by ją złapać.

Futbol był dla Jeremy'ego jedną z tych tajemniczych rzeczy. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale za każdym razem, gdy widział grających ludzi, robiło mu się jednocześnie wesoło i smutno. Podobne uczucia miał też wtedy, gdy budził się ze snów, w których widział siebie jako kogoś innego, w jakimś innym pokoju, a potem rozglądał się wokół i okazywało się, że wciąż jest we własnym łóżku u pani Lester. Czuł to również wówczas, kiedy jesienią żółkły liście albo gdy mijał go szkolny autobus pełen rozkrzyczanych dzieci. A także wtedy, gdy na wystawie sklepu obuwniczego pana Coco widział tę fotografię w czarnej ramce. Słyszał o chłopcach, którzy zginęli wtedy w autobusie. Słyszał wielokrotnie, ponieważ dawniej ludzie szeptali o nich zawsze, kiedy się zbliżał. Ale minęło już dużo czasu — i teraz nikt już tak często o tym nie mówił.

Może wracając wieczorem do domu, kiedy będzie przechodził obok szkolnego boiska, też sobie trochę pobiega? Uśmiechnął się do tej myśli.

# 13

## **Sobota wieczór, 14 maja Filadelfia w stanie Pensylwania**

Była dziewiąta trzydzieści wieczorem ostatniego dnia czuwania przy ciele Susan Paxton. Payne wybrał tę porę, ponieważ większość gości przewinęła się już przez dom pogrzebowy, natomiast rodzina była zmęczona podchodzeniem do trumny. Wszyscy siedzieli wyczerpani, szepcząc coś do siebie. Dzieci zgromadzone były po jednej stronie pomieszczenia, dorośli — po drugiej.

Przez lata pracy u Carmeli Susan Paxton musiała mieć wiele stałych klientek — osób, których rodzina nie mogła znać — toteż wizyta atrakcyjnej, dobrze ubranej niewidomej kobiety nie byłaby niczym niezwykłym. Co więcej, byłoby naturalne, że niewidoma kobieta, która zadała sobie trud, by przyjechać do domu pogrzebowego, przed wyjściem będzie chciała spędzić kilka minut przy ciele zmarłej.

Payne musiał odwrócić uwagę członków rodziny. Nie chciał, by ktoś z nich podszedł do Sherry i ją objął, kiedy ona będzie właśnie nawiązywać połączenie.

— Witam, detektywie Payne — odezwał się pan Paxton, zaskoczony jego wizytą.

— Dobry wieczór panu — przywitał się Payne.

— Nie... spodziewałem się...

Payne kiwnął głową. Uścisnął dłoń mężczyzny i objął go ramieniem.

— Nie chciałem przychodzić, kiedy był pan zajęty rodziną. Czy możemy podejść do Susan?

— Oczywiście, oczywiście.

Paxton poprowadził detektywa do trumny żony.

— Naprawdę się postarali — powiedział.

Wzrok Payne'a zatrzymał się na ranie w skroni kobiety. Paxton miał rację — rzeczywiście się postarali.

— Przepraszam, że wydanie ciała trwało tak długo.

— To nic — odparł Paxton. — Dzięki temu nasza rodzina mogła spędzić razem więcej czasu.

Przez chwilę stali, patrząc na zmarłą. Później Payne odwrócił się i poprowadził Paxtona na tył pomieszczenia. Patrzył w dół, na własne buty, jakby wahał się, czy coś powiedzieć, i jakby jednocześnie czuł się niepewnie.

— Czy są jakieś nowe wieści? Chce mi pan coś powiedzieć?

Payne zaprzeczył ruchem głowy.

— Niezupełnie nowe. — Przeszedł w róg pokoju. — Ale chętnie bym z panem chwilę porozmawiał, jeśli tylko nie uważa pan, że to zły moment.

— Proszę bardzo — odparł Paxton.

Przy wejściu zrobił się ruch. Wszyscy odwrócili się, by zobaczyć, jak do pomieszczenia wchodzi piękna kobieta w barwionych okularach, trzymając w dłoni białą laskę. Właściciel domu pogrzebowego prowadził ją pod rękę w kierunku trumny. Z tyłu sali zauważył jednak Williama Paxtona, toteż oboje skierowali się w jego stronę.

— To jest pan Paxton, mąż Susan — powiedział. — Pani Moore? — Mówiąc, delikatnie gładził jej dłoń.

— Rozumiem. — Uśmiechnęła się do Paxtona. — Tak mi przykro. Byłam klientką i znajomą pana żony.

Właściciel domu pogrzebowego spojrzał na Payne'a pytająco.

— John Payne — powiedział detektyw, wyciągając ku niej dłoń. — Miło mi panią poznać.

Paxton uśmiechnął się po raz tysięczny w tym tygodniu.

— Jestem pani bardzo wdzięczny za przyjęcie. To dla nas naprawdę niesamowite odkryć, że Susan była ważna w życiu tylu osób.

— Była święta — powiedziała Sherry. Payne się skrzywił. — Przepraszam, nie chciałam panom przeszkadzać. Czy mogę podejść do trumny i spędzić kilka chwil z Susan?

— Oczywiście, oczywiście, zaprowadzę panią...

— Ależ nie, dziękuję, chciałabym być z nią chwilę sam na sam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Nie będę już panom przeszkadzać w rozmowie.

— Oczywiście — odrzekł Paxton. — Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję za przybycie.

Patrzyli, jak właściciel domu pogrzebowego oprowadza niewidomą kobietę.

— Niepokoi mnie ta sprawa z jej ojcem — powiedział Payne, by odwrócić uwagę Paxtona.

— Detektywie, już panu mówiłem, że nie utrzymywała z nim absolutnie żadnych kontaktów.

Payne wskazał dłonią dwa składane krzesła.

— Wiem. Ale nie jestem pewien, czy mafię to obchodzi.

Paxton obrócił się w miejscu.

— Mafię?

■ ■ ■

Sherry poprosiła właściciela zakładu, by zostawił ją w połowie długości trumny, zapewniając go, że dalej poradzi sobie sama. Szepnęła mu porozumiewawczo, że dzięki temu będzie także miała chwilę na odzyskanie tchu.

— Rzadko wychodzę z domu, więc łatwo się męcę — wytłumaczyła.

— Tak, tak, oczywiście, proszę pani — odparł, gładząc jej dłoń. — Proszę się nie śpieszyć. Kiedy będzie pani chciała, żebym przyszedł, proszę unieść do góry palec. Będę czekał z tyłu.

Poczekala, az odejdzie, po czym chwycila krawedz trumny, wiodac palcami po sliskim materiale, by znalezc ramia kobiety, a potem jej odslonieta dlon. W pokoju bylo cieplo. Reka zmarlej byla zimna i sucha.

Gdzieś za nią ktoś kichnął. Słyszała rozmowy, z początku każdą z osobna, po chwili zaczęły się zlewać, przypominając szum odległego wodospadu. Ścisnęła dłoń Susan i...

...para malutkich stopek w białych bucikach z lakierowanej skóry kołysała się tam i z powrotem nad górką piachu, pulchne nóżki robiły wymachy, by nabrać prędkości, szyfonową sukienkę nadymał pęd powietrza, coraz wyżej ku oślepijącemu słońcu, nurkując przez krąg żółtych lili.

Przy stole płakała kobieta, mężczyzna w kapeluszu z oklapłym rondem, ze strasznymi bliznami na szyi, oglądał ubrania. Był w sklepie, w którym pracowała Susan — pomyślała Sherry-. Klient...

Wyciągała ramiona, ubierając ciemnowłose dziecko w gruby czerwony sweter rybacki. Kierowała je w stronę połyskujących schodów, prowadzących do przyprószonej śniegiem figury anioła.

Zobaczyła stary autobus z metalową tabliczką: „Flatbush avenue”

Zmarszczyła nos.

Coś słodkiego, zapach... truskawek wypełnił jej myśli. Policjant pochylał się do niej z uśmiechem, mężczyzna w dżinsach wręczał jej różę, śmiał się ksiądz.

PSYKO SUE. Litery wymalowane na deskach białym sprejem, w jej stronę szedł długowłose, brodaty chłopak o szalonym spojrzeniu czarnych oczu — zobaczyła broń, potem błysk lufy. Nagle była w samochodzie, patrzyła na zewnątrz, czuła zapach benzyny i brudnych ubrań. Kobięca twarz uderzała o przednią szybę, z rozciętej wargi ciekła krew, rozmazując się po bladym policzku. Jedno zielone oko, szeroko otwarte w przerażeniu, patrzyło wprost na nią, z niemą prośbą, zaraz potem pęd gwałtownie odrywał twarz od szyby i odrzucał ciało kobiety na pobocze.

Sherry poczuła czyjeś dłonie na ramionach, ludzie za jej plecami szeptali w przejściu, ktoś pomagał jej wstać z podłogi, prowadził do krzesła. Ktoś inny ściszonego głosem polecał przynieść wody. Chwilę później przytknięto jej do ust papierowy kubek. Kolejne dłonie dotykały jej ramion.

— Już dobrze. Wszystko w porządku?

Czuła owocowy zapach wody kolońskiej Payne'a, którą dwa lata temu dostał od żony na Gwiazdkę.

— Tak. — Uniosła palec, pokazując, by dano jej chwilę na złapanie oddechu. Chciała wrócić do trumny, chciała znów chwycić tę kobietę za rękę. Musiała poznać, jak kończy się ten koszmar. Jej koszmar!

— Więcej wody — polecił mężczyzna i Sherry usłyszała tupot drobnych stóp.

Pokręciła głową, oszołomiona zapachem truskawek.

— Nic mi nie będzie — powiedziała. — Muszę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Cóż za dziwne uczucie. Co to mogło znaczyć? Skąd Susan Paxton mogła znać jej sny? Czy w ogóle było możliwe, żeby dwie osoby śniły o tym samym?

A może — jak już od dawna podejrzewała — to wcale nie były sny, to wcale nie były koszmary. Może to były wspomnienia.

— Wezwać kogoś? Może karetkę?

— Nie — powiedziała stanowczo. Kącik jej ust drgał. — Już mi lepiej.

Trzęsła się. Wciąż czuła dotyk zmarłej, wciąż widziała twarz tamtej kobiety przyciśniętą do szyby i ten widok rozdzierał jej serce.

— To tylko grypa — powiedziała z wysiłkiem. — Męczy mnie już od jakiegoś czasu. — Otarła czoło rękawem. — Na zewnątrz czeka na mnie taksówka. Gdyby ktoś podprowadził mnie do wyjścia, byłabym bardzo wdzięczna. Świeże powietrze dobrze mi robi.

Usłyszała pstryknięcie palcami i już po chwili ktoś pomagał jej wstać.

— Niech mnie pani chwyci za ramię. Trzymam. Spokojnie. Wezmę pani łaskę.

■ ■ ■

— Co tam się stało?

Payne'owi zdawało się, że Sherry wygląda gorzej niż w domu pogrzebowym. Wszedł do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Kilka minut później włożył jej do rąk kubek. Zaciśnęła na nim palce.

Siedziała w milczeniu, owinięta chustą. Herbatę trzymała — ale nawet nie zaczęła jej pić.

Ktoś zapukał do drzwi.

— To pan Brigham — powiedziała cicho. Sąsiad przyszedł poczytać jej listy. — Powiedz mu, że źle się czuję. Zadzwoń do niego jutro.

Przeżycie przy trumnie Susan Paxton było czymś niezwykle osobistym. Twarz w szybie nigdy jeszcze nie była aż tak jasna, tak wyraźna. W jaki sposób miała komuś wytłumaczyć, co to za uczucie — zajrzeć do własnego umysłu?

Payne i Brigham przez kilka minut rozmawiali przy drzwiach. Kiedy detektyw wrócił, Sherry piła herbatę. Jej barwione na kolor bursztynu okulary leżały na stoliku. Twarz miała bladą. Pomyślał, że jest przestraszona. Widokiem mordercy czy czymś zupełnie innym?

— Sherry, czy widziałaś jakiegoś człowieka?

Wzruszyła ramionami i skinęła głową.

— Kilku.

— Widziałaś człowieka, który ją zastrzelił?

Znów wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Chyba tak, tak sądzę, nie mam pewności.

— Czy ktoś się wyróżniał?

Potwierdziła ruchem głowy.

— Młody mężczyzna. Widziałam go chyba na moment, zanim padł strzał.

— Mogłabyś go opisać?

— Tak. Długie, ciemne włosy, broda...

— Ale rysownikowi. Policynemu.

Znów skinęła głową.

— Sherry, boisz się czegoś?

Zawahała się, co odpowiedzieć. Nie chciała teraz o tym mówić. Nie wiedziała by nawet, od czego zacząć.

— John, ja nie jestem pewna, czy to był zabójca. Sam wiesz, jak wyglądają moje wizje. Nie zawsze wszystko jest po kolei.

— Jeśli widziałaś coś jeszcze, powiedz. Każdy szczegół może się okazać istotny.

Pokręciła głową.

— Nie wiem... Była jeszcze kobieta, jej twarz uderzyła o szybę samochodu.

— To była Susan?

— Nie, to nie ona. Nie wiem, kto to był.

— No dobrze, a gdzie to się działo? Umiesz określić miejsce?

— Nie! — powiedziała zbyt głośno. — Widziała ją z wnętrza samochodu. — Sherry była zmęczona i rozdrażniona. — Ona, to znaczy Susan, patrzyła z wnętrza samochodu, jak twarz tamtej kobiety uderza w przednią szybę po drugiej stronie. I to był koniec, John, tylko tyle widziałam.

— No dobrze, dobrze, wróćmy do tego faceta. Tego młodszego. Zaraz po nim zobaczyłaś pistolet, tak?

— Jeśli dobrze pamiętam, to tak — powiedziała niepewnie. — Widziałam jego twarz, a potem błysk lufy. John, nie martw się o mnie. Może rzeczywiście bierze mnie grypa. Nic mi nie będzie, naprawdę.

— Przynieść ci jeszcze herbaty?

Pokręciła głową.

— Idź do domu, do żony. Pewnie już odchodzi od zmysłów.

Podniósł wzrok i spojrzął na Sherry. Nigdy wcześniej nie mówiła do niego takim tonem.



Oczywiście nie mógł jej odmówić racji. Miał żonę i miał swój dom. Powinien już iść.

— Pogadamy jutro, dobrze?

Bez słowa kiwnęła głową i się odwróciła.

— Śpij dobrze.

— Tak, John — powiedziała. — Będę dobrze spała.

Odczekała, aż uruchomił silnik, a wtedy pobiegła do szafy, w której trzymała lekarstwa, przekopała się przez stertę pojemników, aż wreszcie odnalazła pudełko pełne kremów do opalania i pomadek do ust. Po kolei zdejmowała ze wszystkich nasadki, wachając i odrzucając je za siebie. W końcu znalazła to, czego szukała. Wówczas wróciła na kanapę, usiadła i ze łzami ciekącymi po twarzy zaczęła nakładać pomadkę na usta. Następnie nasmarowała brodę i policzki kremem o zapachu truskawek.

# 14

## **Niedziela, 15 maja Glassboro w stanie New Jersey**

Marcia splunęła do popękanego porcelanowego zlewu i odkręciła wodę, żeby spłukać zakrzepłą krew. Popchnęła językiem poluzowany ząb. Nad piersią miała zielonkawego guza.

Odkąd Nicky wziął tydzień urlopu, obrywała raz po raz. Kulminacją był wczorajszy nokaut, który najwyraźniej usatysfakcjonował nawet zwykle natarczywego Nicky'ego Schmidta. Musiał go usatysfakcjonować, bo tym razem przynajmniej nie zgwałcił Marcii, kiedy była nieprzytomna.

Dziś powinno być lepiej. Niedziele zawsze były spokojne. W weekendy Schmidtowie dawali spokój swoim kobietom, poświęcając uwagę oglądaniu wyścigów NASCAR na wielkim telewizorze ojca.

Marcia nie była pewna, czego nienawidzi bardziej: tego, jak w ciągu tygodnia Nicky ją bije, czy tego, jak jego siostra chodzi po ścianach na głodzie, podczas gdy jego matka — która ukrywała własne sińce pod makijażem — kursuje między kuchnią a pokojem dziennym, nosząc kanapki i piwo.

W niedzielę wieczorem Marcia zwykle wracała do domu sama, co dawało jej perspektywę spokojnej nocy. Nicky i jego bracia zwykle leżeli już nieprzytomni na kanapie rodziców.

W ostatni poniedziałek i wtorek przyszedł zbyt zmęczony, by ją dręczyć. Zastanawiała się, w jaki sposób tak bardzo ubrudził buty

i ubranie. Nicky nie wycisnąłby z siebie nawet kropli potu, choćby jego życie miało od tego zależeć — ani w pracy, ani w domu. Wyjątek byłby skłonny zrobić wyłącznie wtedy, jeśli mógł coś z tego mieć. Marcia była pewna, że Nicky knuł coś niedobrego.

Wzdrygnęła się, gdy usłyszała na schodach jego kroki. Podbiegła do zlewu i pośpiesznie zabrała się do zmywania. Nicky wszedł do kuchni, otworzył lodówkę, nie patrząc na Marcie, i wyjął karton mleka. Pił i szukał czegoś w szafkach, trzaskając drzwiczkami. Wreszcie podszedł do drzwi wyjściowych ze zniszczonej siatki.

— Zobaczymy się na miejscu.

Po tych słowach wyszedł z domu, pozwalając, by drzwi się za nim zatrzasnęły.

— Idź już, idź — szepnęła pod nosem, pochylając się nad zlewem i modląc, by nie zawrócił. Odczekała dobrą minutę, zanim odważyła się odchylić zasłonę i wyrzucić przez okno. Zobaczyła obłok czarnego dymu, unoszący się z tyłu szopy. Chwilę później Nicky zaczął cofać swoim starym samochodem w stronę drogi.

Pobiegła do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze. Nad okiem miała czerwoną plamę, a na szyi — ślad zakrzepłej krwi w miejscu, gdzie zadrapał ją sygnetem.

Zadzwoił telefon. Marcia aż podskoczyła. Pobiegła do sypialni i chwyciła słuchawkę. Podniosła ją do ust obiema rękami.

— Halo? — powiedziała cicho.

— Wszystko w porządku, Marcia? Dobrze się czujesz?

— Tak, w porządku — pociągnęła nosem. — Wszystko dobrze.

— Właśnie widziałam, jak wyjeżdża. Wczoraj w nocy było was słyhać aż tutaj. Kiedy ty, do cholery, zostawisz tego faceta?

— Nie mam dokąd iść — odparła stanowczo Marcia.

— Wszędzie by ci było lepiej.

— Słuchaj, Connie, ty to możesz uciec do mamy. A ja mam tylko Nicky'ego i jego pensję.

— Wybacz — powiedziała przyjaciółka. — Chciałam tylko pomóc.

— Wiem, Connie. Ja też cię przepraszam. Wiem, że twoja mama chętnie cię widzi.

— Powiedziałaś mu już?

— Nie.

— Powiesz?

— Tak.

— Kiedy?

— Nie wiem. Niedługo. Muszę tylko poczekać, jak będzie dobry moment.

— Powiedz mu, że jedziemy na parę dni do mojej matki i że bierzesz dodatkowe godziny, żeby miał więcej pieniędzy na alkohol. Sam cię jeszcze wyprowadzi z domu.

— No dobra, dobra — odparła Marcia. — Powiem mu, ale nie będę miała co ze sobą przywieźć do Wildwood.

— Ile teraz masz?

Marcia się rozplakała.

— Nic. W środę znalazł pieniądze i wszystko zabrał. Nie wezmę już wypłaty od żony pastora. Dopiero w dzień przed wyjazdem.

— Kurde, dziewczyno, wystarczy nam razem pięćdziesiąt dolarów. Ja sama tyle mam. Skończ miesiąc i zostaw Nicky'emu, ile zarobisz. Będzie dość.

— Ja się wam nie chcę narzucać — powiedziała Marcia, usiłując się uspokoić.

— Marcia, przecież żarcie jest tanie, a faceci w Wildwood będą nam stawiać więcej drinków, niż w życiu będziemy mogły wypić.

Marcia znów pociągnęła nosem i zdobyła się na uśmiech.

— Twoja mama na pewno nie ma nic przeciwko temu?

— Jej tam nawet nie będzie. W każdy weekend jeździ z przyjaciółką do Atlantic City. Flirtują tam sobie ze starymi dziadami i

grają na jednoręcznych bandytach — powiedziała Connie i zamilkła. Bardzo jej Ciebie żal. Zrobiłaby wszystko, żeby ci pomóc. Powiedziała, że możesz mieszkać w domu tak długo, aż znów staniesz na nogi. Latem szukają tam wielu ludzi do pracy.

Marcia spojrzała w lustro na toaletce.

— A co będę robiła, jak przyjdzie zima? — spytała. — Umiem tylko prasować i szyć.

— Może w jednym z hoteli potrzebna będzie pokojówka. Będziemy musiały o tym pomyśleć.

Marcia popatrzyła na opuchliznę wokół oka. W brzuchu poczuła radosne podniecenie.

— Naprawdę?

— Jasne, że tak — powiedziała przyjaciółka. — Czemu nie?

Marcia odłożyła słuchawkę i zeszła do kuchni. Otworzyła drzwi frontowe i usiadła na schodkach wraz z Dingiem, jej starym psem. Zimny grunt chłodził jej bose stopy. Spojrzała na swe spękane paznokcie i pomyślała, jak fajnie byłoby je pomalować.

Na podwórku stał przerdzewiały szkielet pick-upu. W stodole tkwił od dawna zepsuty ciągnik; na murze wydechowej szerszenie urządziły sobie gniazdo.

Jedyną rzeczą na całej farmie, która wyglądała na nową, była błyszcząca złota kłódka na drzwiach do stodoły. Na początku wydawała się zakupem równie sensownym jak magnezowe felgi za osiemset dolarów do starego dodge'a Nicky'ego. Kiedy jednak wspięła się na ciągnik i przez szczeliny w ścianach zajrzała do środka, zobaczyła nowiutki traktor z koparką. Nicky wynajmował komuś stodołę, zgarniał pieniądze i nic jej nie powiedział. Sukin-syn!

Do czerwca zostały już tylko dwa tygodnie.

Powiem mu dziś wieczorem, pomyślała. Dziś jest ten dzień.

# 15

## Środa, 25 maja Wildwood w stanie New Jersey

Zachodziło słońce w dzień dwudziestych czwartych urodzin Billy'ego Weeksa. Dla Billy'ego był to dzień pracy. Spędził go na chodniku przed lombardem Lecky'ego, zaglądając do samochodów i witając się z ludźmi. Po kolacji miał się przenieść na deptak przy Strayer's Pier. Do dziewiątej wieczorem wszystko powinno iść gładko.

Tego poranka poznał przed naleśnikarnią niezłą laskę, młodziutką i całkiem ponętą w tej swojej minispódniczce i w skąpym topie bez ramiączek. Rodzice i brat byli w środku, a ona wyszła zadzwonić z automatu do koleżanki. Na oko miała piętnaście, szesnaście lat, ale nawet się nie zawahała, gdy Billy zapytał, czy lubi kokę. Kazał jej być o dziewiątej na Strayer's Pier pod demone — wszystkim to mówił — po czym zmył się sprzed sklepu, zanim pojawili się jej rodzice. Rodzice zawsze potrafili zjebać Billy'emu interesy, kiedy tylko widzieli go w pobliżu swoich córek.

Rozejrzał się za radiowozami, żadnego nie zauważył, i czmychnął w boczną uliczkę. W cieniu było o dobre pięć kresek chłodniej, co i tak oznaczało temperaturę rzędu dwudziestu pięciu stopni. Billy miał nagi tors, luźne szorty, przewiazaną przez szyję czerwoną chustkę, a na stopach sandały.

Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i policzył je. Trzysta sześćdziesiąt dolarów. Nieźle jak na dwie godziny roboty.

Kokaina szła w Wildwood jak woda. Billy mógł sobie kupić nowiutkiego mustanga i bajeranckie mieszkanie na skraju miasta. A najfajniejsza w tym wszystkim była kwestia ryzyka. Nie było żadnego. Nie w takiej miejscowości.

Billy zdawał sobie sprawę z tego, że nie potrafiłby pracować po osiem godzin dziennie jak jego ojciec, przynosić do domu tysiąc dolarów tygodniowo i starać się utrzymać dom oraz czwórkę bachorów. Jak się przekonał, nie nadawał się też do systematycznej pracy wymaganej na studiach prawniczych. Tysiąc dolarów Billy zarabiał w jeden letni wieczór, a w handlu kokainą w nadmorskim miasteczku więcej było z życia gwiazdy rocka niż dealera. Narkotyki kupowały od niego wszystkie laski i wszystkie chciały się z nim przespać. Latem właściwie każdego wieczoru Billy posuwał inną pannę.

Usłyszał warkot silnika i zobaczył, jak wzdłuż brzegu leci samolot, ciągnąc za sobą transparent. Przykucnął, by wyjąć spodnie dżinsy i poczuł okropny smród. Gdy się podniósł, stał twarzą w twarz z Jeremym Smylesem.

— Kurwa twoja mać, ty jebany idioto! — krzyknął. — Może byś, kurwa, patrzył, jak idziesz, jebana pało.

Jeremy był przyzwyczajony do tego, że ludzie mu ubliżali, więc ominął Billy'ego, pochylił się, by podnieść plastikowy kubek, po czym skręcił w uliczkę prowadzącą w kierunku zatoki.

Billy przez chwilę stał nieruchomo, próbując opanować drżenie rąk. Potem zaczął iść przed siebie.

— Niedorozwój pierdolony — mruknął, kopiąc ze złością kępkę trawy przed lombardem Lecky'ego. Wrócił do tamtej uliczki, żeby jeszcze raz spojrzeć na idiotę, ale Jeremy'ego już tam nie było.

Gość był oblesny, myślał Billy. Kurewsko oblesny. Gliny zgarnęły raz Jeremy'ego za podglądanie, zboka jebanego. Ten fakt

zawsze Billy'ego bawił. Co on by, kurwa, zrobił, gdyby zobaczył kawałek cycka? Zawołał: „Jejku” i „O kurczę”? Wytrząsnął marlboro z paczki i przypalił trzymaną w drżących palcach zapalką. Nikotyna go uspokajała. Dmuchał dymem w stronę markizy. Wieczór zapowiadał się zabójczo.

■ ■ ■

Kiedy wszedł na rampę przy Rio, było już ciemno. Po drodze puszczał oko do dziewczyn i przybijał piątki facetom. Był przystojnym brunetem z włosami równo zaczesanymi do tyłu. Na głowie miał czarne okulary firmy Oakley, a na szyi — gruby złoty łańcuch.

Wiedział, jak mu zazdroszą. Żadnych egzaminów. Żadnej harówki za płacę minimalną. Nieograniczony przepływ cipek.

Billy prowadził interes w pobliżu ławek naprzeciwko Strayer's Pier. Demon z wesołego miasteczka majaczył w górze, jego długie, zielone pazury kładły się na bramie, a oczy błyskały czerwonymi żarówkami. Ryczał, wywieszając język i ukazując dzieciaczkom kły. Z lunaparku dobiegały okrzyki nastolatków oraz ogłuszający łomot Beastie Boys.

Jeszcze jeden weekend i będzie już pełnia lata.

Lato oznaczało ocean ludzi. Nim się Billy obejrzy, będzie miał kieszenie pełne forsy.

Szczycił się tym, że nie jest frajerem. Znał jedną dziewczynę w biurze radnego i ona zawsze dawała mu cynk, kiedy do miasta zjeżdżał oddział antynarkotykowy. Nadmorskiego miasteczka nie stać było na własny, a na wsparcie władz stanowych mogło liczyć każdego lata tylko przez kilka dni.

Billy znał również prawo. Jeśli nie miał przy sobie więcej niż pięć czy sześć torebek, nie przekraczał pięćsetmiligramowego minimum, koniecznego, by można go było oskarżyć o handel narkotykami. Resztę trzymał w zmiętej torebce po Happy Meal, która leżała obok niego na ziemi.

Gdyby go kiedykolwiek złapali, sędzia musiałby również uwzględnić fakt, że Billy nigdy nie był karany. Za pierwsze



przestępstwo dostałby klapsa po łapach i trochę robót publicznych, a w najgorszym razie kilka miesięcy nadzoru kuratorskiego. W takiej sytuacji musiałby na nowo oszacować ryzyko handlowania, ale na razie nie miał się czym przejmować.

Obok usiadły jakieś tłuste paniusie w jednakowych bluzach z napisem „Wildwood”. Każda trzymała ogromny rożek lodów, które ciekły im na ubrania, i wszystkie strasznie z tego powodu chichotały. Billy szedł dalej, kopiąc torbę z McDonalda. Kiedy dotarł w kąt, wciągnął się na balustradę.

Szpedził na sprzedaży dragów dwie godziny i zakończył wieczór tuż przed przyjściem dziewczyny.

Miała na sobie białą minispódniczkę i niesamowicie obcisły biały top, który opinał się na sutkach i odsłaniał jedno ramię. Ten widok działał nawet na niewzruszonego Billy'ego.

Jej jasnorude włosy pasowały do opalonej, piegowanej cery. Przez ramię miała przewieszoną niewielką torebkę z materiału, która dobrze się komponowała z beżowymi sandałami.

Zeskoczył z barierki i podszedł do niej, niby od niechcienia. Wsunął swoją rękę w jej dłoń, odciągając dziewczynę od zgiełku muzyki.

Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę; chłopak pracujący w Psiej Budzie za minimalne pieniądze, facet, który zgarnia frytki, stary koleś cały w bliznach, który opierał się o barierkę. Jasne, możecie sobie pomarzyć, kutasy. Złapał dziewczynę za tyłek i poszli.

Podążali deptakiem na południe, oddalając się od świateł i od tłumów. Zdjęli sandały i podeszli plażą na skraj morza. Przysiedli i zapalili skręta. Księżyc wisiał nisko nad taflą oceanu. Fale rozbijały się łagodnie u ich stóp. Przygotował jej działkę koki. Potem zaczął ją całować, a woda obmywała im stopy. Co jakiś czas mijały ich jakieś pary, ale Billy nie zwracał na nie uwagi, bez skrępowania obmacując dziewczynę.

Powiedziała, że nazywa się Tracy. Tracy Yoland z Nebraski. Rodzice pracowali w branży ubezpieczeniowej. Chodziła do przedostatniej klasy liceum, planowała studiować kosmetologię.

Chciała zamieszkać w dużym mieście, takim jak St. Paul albo Des Moines. Gdzieś, gdzie mogłaby kupić samochód i wynająć własne mieszkanie.

Tracy powiedziała mu, że następnego ranka o świcie wyjeżdżają do Waszyngtonu. Musiała być w domu przed jedenastą.

Billy poprowadził ją za rękę pod deptak i pociągnął w ciemność.

Zdjął koszulę, żeby mogła na niej usiąść, sam zaś ukląkł przed nią. Zaczął ją całować, aż się rozluźniła. Wtedy ściągnął jej przez głowę top i rzucił obok torebki.

Co jakiś czas z góry dobiegały śmiechy i odgłosy kroków, samochody podjeżdżały na parkingi, trzaskały drzwi. Z początku Tracy była spięta. Billy przypalił papierosa i włożył jej go do ust. Potem położył ją i pozwolił, by paliła. Całował jej brzuch, przesuwał się coraz niżej.

— Billy... — jęknęła, kiedy unosił jej biodra i odsuwał na bok stringi. — Billy, weź mnie.

Zdjął szorty, wszedł w nią i już po chwili miał wytrysk. Opadł na nią bez tchu.

Od strony parkingu, który był tuż za nimi, dobiegał chrzęst czyichś butów w piasku. Przez Atlantic Avenue przemknął samochód na sygnale, a nad ich głowami niósł się tupot kroków. Tracy usłyszała dźwięk, który przypominał jej rozrywanie rzepów.

— Co to było? — szepnęła.

— Co? — spytał, wciąż bez tchu.

— Ten dźwięk. Nie słyszałeś?

Pokręcił głową i przetoczył się na bok.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odparła. — Wszystko dobrze.

Usiadł i zaczął otrzepywać się z piasku.

— Jest tam gdzieś moja góra? — zapytała.

Billy namacał top i podał go dziewczynie.

Otrzeptała się, po czym wciągnęła bluzkę przez głowę. Piach drapał ją w skórę na piersiach.

Przykłęła, usuwając piasek z ud i rozglądając się za torebką oraz majtkami

— Mówiłaś, że rano wyjeżdżacie.

Skinęła głową.

— No to słuchaj, naprawdę nie chcę jeszcze iść, ale muszę się zobaczyć z paroma kolesiami. Dasz radę sama dotrzeć do domu?

— Jeszcze tylko zostaw mi papierosa — powiedziała.

Wytrząsnęła z paczki dwa i dała jej swoje zapalniczki.

— Ej, fajnie było — uśmiechnęła się do niej.

— Mnie też — odrzekła.

Billy wyszedł na jasną od księżycowego światła plażę i zbliżył się do schodów. Założył sandały, wspinał się po dwa schodki, a potem szybkim krokiem ruszył na północ w kierunku Strayer's Pier. Rzeczywiście szedł się z kimś spotkać, ale bynajmniej nie z kilkoma „kolesiami” na deptaku. Był umówiony z ponętymi bliźniaczkami Carpenter, które w zamian za kilka działek obiecały mu urodzinowy trójkącik.

Tracy słyszała jego oddalające się kroki, a potem zapadła całkowita cisza.

Powietrze było lepkie, tak jak lepki był ich stosunek. Wciąż usuwała piasek i doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli schowa stringi do torebki, niż gdyby miała czuć się niekomfortowo przez całą drogę powrotną. Oczywiście i tak będzie miała piach na ubraniu, ale gdyby matka o coś pytała, może jej powiedzieć, że nie znalazła żadnego towarzystwa, więc siedziała sama na plaży. Uwierzy. Jej matka wierzyła we wszystko, co mówiła Tracy.

Znów usłyszała odgłos rzepów, jednak tym razem dochodził on z bliższej odległości. Na pewno nie ma się czym denerwować, pomyślała. W końcu to tylko plaża, a nie duże miasto. To pewnie jakieś szczury albo mewy buszują po śmietniku. Zaczęła jednak bardziej nerwowo szukać torebki, myśląc sobie, że może przecież wyjść wypalić tego papierosa na plażę, zamiast siedzieć w tych ciemnościach, gdzie kręci się Bóg wie co.

— Gdzie ty jesteś? — szepnęła, kreśląc dłonią kręgi w ciemnym piasku i próbując namacać torebkę.

W oddali fale rozbijały się o brzeg. Na dalekiej Atlantic Avenue trąbił samochód. Ukłękła, po czym przesunęła się pół metra w głąb tunelu, wciąż szukając zguby. Przez głowę przemknęła jej nawet myśl, żeby dać sobie spokój, ale przecież w torebce było jej nowe prawo jazdy. Jeszcze chwilę...

W ułamku sekundy zgęstniało powietrze. Coś nagle było inne, coś było nie tak... Tracy przyspieszyła, chcąc już tylko wydostać się na zewnątrz. Jebać to, pomyślała wreszcie. Włoski na karku stawały jej dęba, lecz gdy zaczęła się wycofywać, nagle przez jej bok przebiegł prąd. Upadła na kolana. Po ciele rozchodziło się ciepło tak intensywne, że nasunęło jej myśl o śmiertelnym porażeniu.

Drugie uderzenie prądu sprawiło, że padła twarzą w piasek. Pownownie usłyszała dźwięk rozrywanych rzepów, ktoś wykręcał jej ręce. Poczowała, jak krępuje je w nadgarstkach.

Czyjaś dłoń chwyciła Tracy za włosy, poderwała ją z piasku i wepchnęła coś do ust. Dziewczyna została oparta o słup, po czym ta sama dłoń zaczęła owijać jej szyję taśmą, unieruchamiając ją przy filarze.

Wszystko to nie trwało dłużej niż dwie minuty.

— No już, spokojnie — szepnął mężczyzna, siadając okrakiem na wyciągniętych nogach Tracy. Jej szyję obwiązał tak ściśle, że dziewczyna nie była w stanie poruszyć głową. Przed oczami miała upiorną białą pianę rozpryskujących się fal.

Nie widziała wyraźnie jego twarzy; oczy łzawiły jej z bólu. Była jednak w stanie stwierdzić, że jest to twarz niemłodego człowieka o szyi usianej grubymi, białymi bliznami.

— Na początek dowiesz się — powiedział — co się stanie, jeśli przestaniesz mnie zadowalać. — Pochylił się ku niej i pocałował w usta, wciskając dłoń między jej nogi. — A potem się zabawimy. Co ty na to?

Próbowała krzyczeć, ale rzecz, którą wepchnął jej do ust, nie

pozwalala na to. Mężczyzna wyjął dłoń spomiędzy nóg dziewczyny i otarł o jej twarz. Potem zaklecił usta Tracy taśmą i zniknął w ciemności.

Czuła, że robi jej się niedobrze. Ponad nią spacerowali ludzie — tuż nad jej głową rozlegały się odgłosy kroków. Słyszała, jak grupka starszych pań rozmawia radośnie o mężczyźnie, którego poznała jedna z nich.

Taśma wokół szyi niemal całkowicie uniemożliwiała ruch. Tracy wydmuchnęła piasek z nosa, tak by było jej nieco łatwiej oddychać.

Mijały godziny pełne kroków i ludzkich głosów. Tuż nad nią chodzili ludzie, ale nikt z nich nie dowie się nigdy, że siedziała pod spodem. Czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła, a w kiszkach narasta niepokojący ruch. Z trudem powstrzymywała mdłości.

Mężczyzna nie miał zamiaru jej zabić. Jeszcze nie teraz. Powiedział, że pokaże jej, co się stanie, jeśli przestanie go zadowalać — a to oznaczało, że chciał trzymać ją tu przez jakiś czas. Może przez wiele dni. Wciąż istniała nadzieja, że ktoś ją uratuje. A może — pomyślała nagle — gdzieś sobie teraz wali konia i już tu nie wróci. Może właśnie w ten sposób sobie dogadza. Przecież gdyby tylko chciał, mógłby ją wziąć już teraz.

Jutro na plaży będzie masa ludzi. Ktoś będzie tamtędy przechodził, zajrzy pod deptak i ją zobaczy. Jutro ktoś ją uwolni. A może jeszcze wcześniej.

Coś uniosło się z żołądka i utkwilo jej w gardle. Błagam, pomyślała. Błagam, nie wymiotuj. Nie teraz.

■ ■ ■

Sykes siedział w Szczęśliwej Siódemce aż do zamknięcia baru i sączył piwo. Nie chciał wypić zbyt dużo na pusty żołądek, nie mówiąc już o tej całej chemii, którą musiał łykać.

Kiedy wrócił na teren kompleksu przedsiębiorstwa oczyszczania miasta — parkując swego jeepa na wzgórzu, tak by nie było go widać z drogi — była druga w nocy. Zgodnie z planem tego wieczoru

Sandy Lyons miał wolne. Sandy jeździł wozem z mięsem po północy. Kiedy go nie było, nikt nie zwracał uwagi na brak ciężarówki.

Sykes wszedł do garażu przez boczne drzwi i otworzył bramę. O wpół do trzeciej stał już na parkingu przy deptaku.

Zdjął z ciężarówki brezentową płachtę i zaciągnął ją w cień. Wiedział, że gdyby nawet został przez kogoś zauważony, na dziewięćdziesiąt procent byłby już trzy stany stąd, zanim policja zaczęłaby zadawać pytania. Tak to już było w miejscowościach turystycznych. Świadcowie zmieniali się co trzy dni, a zresztą gdyby nawet ktoś go zobaczył, Sykes wyglądałby na faceta wykonującego swoją pracę. Ludzie podświadomie lekceważą to, co wydaje im się normalne. Mężczyzna robił rzecz zwyczajną, a przecież gliny wypytywałyby o coś podejrzanego. Dobrze wiedział, jak działa ludzki umysł.

Od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Gdy tylko ją zobaczył, nawet od tyłu. Głowę miała dziwnie pochyloną do przodu, a w powietrzu coś strasznie śmierdziało. Naprawdę paskudnie. Jakby się zesrała.

Księżyc świecił nisko nad oceanem, więc kiedy zaszedł od przodu, mógł się jej dobrze przyjrzeć.

— O ja pierdołę — szepnął, odwracając się i powstrzymując odruch wymiotny.

Oczy miała wybałuszone, policzki wokół taśmy napęczniałe od wymiocin, które zaczęły też wyciekać nosem. Plama odchodów między nogami świadczyła o tym, że puścił zwieracz. Dziewczyna była martwa.

Wyjął scyzoryk i przeciął taśmę wokół szyi, starannie omijając usta. Niech to jasna cholera. Musiał się skupić. Kiedy ją związał, miał na sobie rękawiczki. Pod tym względem nie było problemu. Taśmę mógł więc zostawić — nawet jeśli ktoś ją znajdzie, nie było na niej jego odcisków palców. Ale Sykes był pedantem, jeśli chodzi o ślady. Musiał się jej pozbyć. Musiał się pozbyć ciała.

# 16

## Środa, 25 maja Wildwood w stanie New Jersey

W ciągu ostatniego tygodnia maja policja odnotowała sześćset zgłoszeń telefonicznych, sto dwadzieścia trzy aresztowania — w większości za drobne wykroczenia — oraz około sześćdziesięciu wypadków drogowych. Przepięstwa były różne: od kradzieży samochodów poprzez kradzieże sklepowe aż po nietrzeźwość w miejscach publicznych. O'Shaughnessy naliczyła też kilka zatrzymań za posiadanie narkotyków, dwa napady rabunkowe, a także jakieś sześć kradzieży damskich torebek z wózków w supermarketach. Do lata pozostał już tylko tydzień, a zdjęcia Anne Carlino blakły na słońcu w witrynach sklepów.

O'Shaughnessy trzymała dokumenty sprawy nie w szafie, lecz na biurku. Przypominały jej, że nie zbliżyli się do rozwiązania ani na krok.

Na ścianach gabinetu, pośród kolorowych rysunków jej córki, wciąż wisiła kilka zdjęć z miejsca zbrodni. Większość z nich przedstawiała graffiti wymalowane na murach.

O'Shaughnessy zastanawiała się, czy tamtej nocy Anne zginęła szybko, czy też jej męka trwała dłużej. Wciąż wyobrażała sobie, co ona sama myślałaby w takiej sytuacji. Czy chciałaby umrzeć szybko, czy trwać przy życiu w oczekiwaniu na cud? Ze względu na dzieci, może nawet na Tima?

Tima? Dlaczego zawsze jej myśli wracały do niego? Znała odpowiedź na to pytanie. Znała ją oczywiście od zawsze: kochała go, niezależnie od tego, jak wielkim był dupkiem.

Na policyjnym parkingu nie było już zielonego explorera. Ojciec Anne wreszcie go zabrał. Nadal głośno krytykował sposób prowadzenia przez policję sprawy zaginięcia córki. Wciąż powtarzał apele do prokuratora stanowego o to, by zaangażował się w śledztwo. Regularnie udzielał wywiadów dla gazety „Patriot”, twierdząc, że obywatele boją się o dzieci, a przedsiębiorcy powinni zacząć się martwić o swe interesy. Wiedział, że jeśli istnieje niezawodny sposób na to, żeby politycy ruszyli tyłki, to jest nim zasianie niepokoju wśród przedstawicieli biznesu. Wszyscy dobrze rozumieli, że zła prasa w środku sezonu nie przynosiła korzyści miejscowości turystycznej. Carlino był zaś zdeterminowany, by podsycać strach.

O’Shaughnessy dobrze wiedziała, że potrzebny jej był jakiś przełom w sprawie, i to jak najszybciej. Nie spodziewała się, że pojawi się on w postaci Gusa Meyersa, który nagle stanął w drzwiach jej gabinetu.

Meyers był młodo wyglądającym pięćdziesięciosześcioletkiem. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wydawało się, że gdzie by nie usiadł, nigdy nie miał dość miejsca na kolana. Jego cechami szczególnymi były wieczna opalenizna oraz olśniewająco białe włosy. Gustował w ciemnych sportowych marynarkach z łatami na łokciach oraz pastelowych blezerach — tego dnia wybrał kolor różowy. Spodnie nosił natomiast wyłącznie grafitowe. Osoba zapytana o hobby pasujące do Gusa wskazałaby zapewne sklejanie modeli statków albo robienie przynęt wędkarskich. W rzeczywistości Gus pasjonował się nurkowaniem we wrakach. Na szafce w jego biurze stał porcelanowy talerz z Andrei Dorii.

O’Shaughnessy znała Gusa, odkąd tylko była dość duża, by odwiedzać ojca w pracy i przesiadywać mu na kolanach. Meyers wyglądał teraz dużo starszej — starszej niż kiedykolwiek.



— Masz coś? — spytała, z nadzieją podnosząc wzrok.

Z uśmiechem kiwnął głową, wyjmując z kieszeni plastikową kopertę. O'Shaughnessy natychmiast ją rozpoznała. Był w niej złoty zegarek Anne Carlino, który pierwszego maja znalazła pod deptakiem. Na wierzchu markerem nagryzmołone były inicjały dziewczyny.

— Pamiętasz to? — Zamachał jej kopertą przed nosem.

Skinęła głową. Nie zapomniała smutnego popołudnia w salonie państwa Carlino, gdy zapłakana matka Anne rozpoznała zegarek.

— A pamiętasz osad, który znalazłem w bransoletce? To, co wysłałem do FBI.

Ponownie kiwnęła głową. Serce zabiło jej szybciej.

Meyers rzucił kopertę na biurko.

— Lakier samochodowy. General Motors.

— Naprawdę? — uniosła brew.

— Aha. Wyprodukowany między rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim a dziewięćdziesiątym siódmym. Potem zmienili skład. Kolor ciemnopomarańczowy, dosyć rzadki. Ale to jeszcze nie wszystko. Kelly, to jest lakier z wozu flotowego. W General Motors nie używano go do samochodów przeznaczonych do sprzedaży detalicznej.

— Wozu flotowego? — powtórzyła.

— Aha. To była pewnie ciężarówka albo jakaś maszyna budowlana. A może taksówka, ale teraz rzadko kiedy trafiają się pomarańczowe. Próbuję właśnie zdobyć listy dystrybucyjne. To trudniejsze, niż mogłoby się wydawać, przy tych wszystkich centrach, do których producent rozsyła pojazdy. Zajmie to pewnie co najmniej tydzień, ale myślę, że warto by się zacząć rozglądać.

O'Shaughnessy się zamyśliła, jednak nie nad osobą Gusa Meyersa ani nad raportem z laboratorium FBI. Wyobrażała sobie Anne Carlino. Dziewczyna musiała być rozdrażniona sprzeczką z chłopakiem, a pęknięta opona w samochodzie rodziców na pewno dodatkowo ją podłamała. Z pewnością poczuła ulgę, kiedy zobaczyła,

jak na parking wjeżdża pomarańczowa ciężarówka. Czy to dlatego nie uciekła w kierunku ulicy?

A może ciężarówka już tam stała? Może mężczyzna czekał, aż Anne zauważy dziurę w dętce, zanim wysiadł, by zaoferować pomoc. Lub też siedział w kabinie, licząc, że sama do niego podejdzie. Czy zaparkował wóz w pobliżu rury i tam zaatakował Anne? Szamotanina przy ciężarówce wyjaśniałaby obecność farby w ogniwach bransoletki.

Jedno wydawało się pewne: wszystko to działo się w tak dużej odległości od Atlantic Avenue, że nikt nie usłyszałby krzyków dziewczyny. Anne zapewne zobaczyła rurę kanalizacyjną i pomyślała, że jeśli tylko schowa się pod nią na wystarczająco długo, napastnik będzie musiał odejść. Ale on nie odszedł. Wszedł za dziewczyną i znalazł ją.

— Oczywiście istnieje możliwość, że pojazd zaparkowała przypadkowa osoba — mówił dalej Gus — a dziewczyna zahaczyła o niego niezamierzenie. Ale gdyby tak było, to biorąc pod uwagę, ile się teraz w prasie pisze o tym porwaniu, ktoś na pewno już by się do nas zgłosił i powiedział, że owej nocy tam parkował, nawet gdyby nie widział niczego istotnego.

Założył nogę na nogę.

— Osad, który zdjąłem z zegarka, nie pozostałby na nim długo tak po prostu. Myślę, że znalazł się na bransolecie wtedy, gdy dziewczyna została zaatakowana. Kelly, jeśli znajdziesz samochód pasujący lakierem do naszej próbki, będziesz miała dość przekonujący dowód na to, że jego kierowca był w pobliżu miejsca zbrodni.

Kiwnęła głową i usłyszała własny głos:

— Dzięki, Gus.

Wiszące na ścianie fotografie spod deptaka zdawały się ożywać. Pomarańczowy pojazd nie pojawił się w żadnym z zeznań świadków. Czy wzmianka o nim odświeżyłaby komuś pamięć? O'Shaughnessy pomyślała, że trzeba ponownie wysłać detektywów do chłopaka Anne oraz do wszystkich innych osób, które

tamtej nocy były na deptaku. Należało się również dowiedzieć, jak wiele wozów flotowych znajdowało się w hrabstwie Cape May — a w zasadzie w całym stanie New Jersey. Gdy Gus opuszczał jej gabinet, O'Shaughnessy zobaczyła czekającego w drzwiach McGuire'a.

— Mac, chyba coś mamy.

Reakcja sierżanta wcale nie była radosna.

— Owszem, pani porucznik. Mamy problem. Jest ze mną posterunkowy Ross z nocnego patrolu. Myślę, że powinno cię zainteresować, co ma do powiedzenia. — McGuire otworzył drzwi na oścież.

Na krześle naprzeciw O'Shaughnessy usiadł policjant w zmieętym mundurze. Kark miał usztywniony, a twarz pełną wgnieceń, jakby spał oparty o ścianę. McGuire zrobił krok w tył i zamknął drzwi.

— Ross, nie powinienes teraz leżeć pod kołderką? Jest już prawie dziesiąta.

Ross był w jej zespole, kiedy nosiła mundur sierżanta nocnej zmiany. Zmiana kończyła się jednak o siódmej, więc posterunkowy powinien od kilku godzin być w domu.

— Chciałbym. — Na zmęczonej twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. — Ale muszę wam najpierw coś powiedzieć. Mac kazał mi się zwrócić bezpośrednio do ciebie. W nocy dostaliśmy zgłoszenie o zaginięciu szesnastoletniej turystki. Rodzina odchodzi od zmysłów. Dziś rano mieli wyjechać do domu. Matka mówi, że dziewczyna nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła. Ojciec potwierdza. Jest przekonany, że to zupełnie nie w jej stylu.

— Kiedy ją ostatnio widzieli?

— Wczoraj wieczorem, tuż po ósmej. Wybierała się na deptak szukać rówieśników. Ojciec zadzwonił do nas o trzeciej nad ranem i od tamtej pory cały czas byłem z nimi.

— Jakie kroki podjęliście?

— Standard: sprawdziliśmy szpitale, kliniki i schroniska. Zostałem informacją dla dziennej zmiany, więc patrol ma rysopis

poszukiwanej. Zajrzeliśmy też do paru typowych miejsc spotkań nastolatków, ale wszystkie nocne marki były już dawno w łózkach. Wrócimy tam dziś wieczorem.

— Dobrze — odrzekła. — Dobrze.

— Ojciec dziewczyny zaczął jej szukać około północy. Mówi, że dwa razy przejechał się wzdłuż plaży i przemierzył dolny koniec deptaka. Poprosiłem o jakąś fotografię, ale mieli tylko niewywołaną rolkę filmu. Dziś rano zawiozłem ją do labu. Pomyślałem, że jeśli dziewczyna nie wróci, przynajmniej będziemy już coś mieli.

— Słusznie — powiedziała O'Shaughnessy, kiwając głową.

— Poza tym rodzina siedzi w hotelu i czeka, aż córka sama się odnajdzie. Sama wiesz, jak to się zwykle kończy. Ale już czuję, że coś jest nie tak.

O'Shaughnessy dokładnie wiedziała, o co mu chodzi. Jej myśli powracały do Anne Carlino.

— Chcę mieć odbitki, jak tylko będą gotowe. Roześlę je do radiowozów. Mam powiadomić wydział do spraw nieletnich?

— Już to zrobiłem. Celia Davis właśnie tam jedzie. Ona sobie dobrze radzi z rodzicami.

— Wygląda na to, że odwaliliście całą robotę. Gdzie nocują?

— Hotel Dunes, pokój tysiąc dwieście dwanaście.

Zanotowała.

— Dzięki za wiadomość, Ross. Poproszę Celię, żeby informowała mnie na bieżąco.

— Dzięki.

Kiedy znikają szesnastolatki — nawet te, które mieszkały z rodzicami w hotelu — zwykle spotykały się z rówieśnikami i budziły skacowane w nieznanach domach. O'Shaughnessy miała nadzieję, że tak samo będzie w tym przypadku.

Spojrzała na ścianę, na krwawe fotografie z pierwszego maja.

Miała nadzieję.

## Czwartek rano, 26 maja

Haft — który zapracował na to przezwisko podczas niezliczonych imprez studenckich — złapał frisbee w biegu, wykonał pełny obrót i odrzucił dysk bekhendem, po czym wyłożył się jak długi, ryjąc twarzą w mokrym piasku. Był to imponujący wyczyn jak na chłopaka ważącego sto piętnaście kilo, tyle że frisbee poszybowało nad głową adresata rzutu i zniknęło pod deptakiem.

Haft zdążył się podnieść w chwili, gdy koledzy wolnym krokiem ruszali właśnie w stronę swoich koców i butelek piwa, pozostawiając mu odzyskanie niecelnie podanego dysku. Otrząsnąwszy twarz z piasku i kawałków muszelek, pobiegł w kierunku deptaka, koncentrując się na myśli, że najwyższy czas nałożyć na plecy nową warstwę kremu.

Smród uderzył go w nozdrza już z odległości kilku metrów. W miejscu, gdzie ostatnio widział dysk, kłębiła się chmara much. Tam było coś martwego — mewa albo mały rekin, psujący się w popołudniowym słońcu. Gdyby nie to, że frisbee kosztowało dziesięć dolców, Haft dałby sobie spokój. Ale dziesięć dolców to sześć i pół piwa — więc chłopak, nie zatrzymując się długo, wszedł na czworakach do tunelu.

Koledzy opowiadali później, że widzieli, jak jego szerokie, białe plecy znikają w ciemności, a w chwilę później znów się pojawiają. Haft nie obrócił się ani nie wstał — bardzo długo klęczał na piasku, po czym wrócił pod deptak.

— Ej, Haft! Haft! Cały dzień będziesz tam siedział?

■ ■ ■

O'Shaughnessy podniosła głowę, spoglądając na wysokie budynki hoteli zwróconych w stronę oceanu. Wokół niej krążyły setki ludzi. To już nie pierwszy maja, kiedy w miasteczku nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć krzyki. Teraz był środek sezonu, a wszystko działo się tuż obok. Dlaczego więc nikt nic nie widział ani nie słyszał?

Dziewczyna miesiąc wcześniej skończyła szesnaście lat. Zgodnie z tym, co mówili rodzice, do domu miała wrócić o godzinie 23. Należało zatem przypuszczać, że została zaatakowana pomiędzy 20 — gdy widzieli ją po raz ostatni — a 22.45, kiedy prawdopodobnie ruszyłyby w drogę do hotelu. Zakładając, rzecz jasna, że nie złamała obietnicy. Nie było jednak powodu, by brać pod uwagę taki scenariusz. Nie w tym momencie.

Technicy zebrali zaschniętą zawartość czyjegós żołądka oraz skorupę ludzkich ekskrementów, w które wpakował rękę Haft. Chłopak przyznał, że pewnie by puścił pawia i szybko się stamtąd zabrał, gdyby nie to, że pod frisbee zobaczył białe stringi. Następnie pod warstwą wymiocin dostrzegł małą, beżową torebkę, a tuż nad nią — ze trzydzieści centymetrów taśmy izolacyjnej z kępką długich blond włosów. Kogoś przyklejono za głowę do filara! Haft wiedział, że cokolwiek się tam stało, nie było to nic dobrego.

Policja zamknęła piętnastometrowy odcinek deptaka, kierując ruch pieszy z powrotem na Atlantic Avenue. Haft — którego prawdziwe nazwisko brzmiało Charles Dubois — zeznał, że zanim pobiegł obmyć się w morzu, zostawił tam również zawartość swojego śniadania. Potem zadzwonił ze swojej komórki na numer alarmowy. Sanitariusze zbadali go i przekazali policjantom, którzy spisali jego zeznania. Następnie został wypuszczony do kolegów. Reporterzy podsłuchujący policyjną częstotliwość zaczęli zjeżdżać na miejsce z kamerami. Jako ekspert w dziedzinie wymiotowania chłopak udzielił wywiadu, w którym stwierdził, że jeśli ktoś zwrócił takie ilości krwi, potrzebował natychmiastowej pomocy medycznej. Haft miał swoje pięć minut.

Państwa Yolandów zawieziono do sali konferencyjnej w hotelu, podczas gdy ich syn buszował po komisariacie. O'Shaughnessy pojechała się z nimi spotkać. Nie chciała, żeby o tym, jak Haft odnalazł miejsce zbrodni, dowiedzieli się z telewizji.

Kilka godzin później spacerowała przy wejściu na Strayer's

Pier. Tęskniła do czasów, gdy był przy niej Tim. Mogła mu opowiedzieć o najtrudniejszych rzeczach, przez które musiała przejść — nie po to, żeby zasięgnąć jego rady czy opinii, ale po prostu po to, by się wygadać, by wyrzucić to z siebie. Była przecież tylko człowiekiem. Czuła się równie bezsilna, jak rodziny ofiar, z którymi miała do czynienia.

Na Strayer's Pier wirował diabelski młyn. Po deptaku przechadzały się setki ludzi. Dzień chylił się ku końcowi. Na plaży najbardziej wytrwali czciciele słońca przesuwali ręczniki, pragnąc skorzystać z ostatnich promieni.

Nadchodziła pora kolacji. Wkrótce wszyscy mieli wrócić do hoteli, by wziąć prysznic i przebrać się przed szaleństwami nocnego życia.

O'Shaughnessy minęła sklep T-Tops z wieszakami pełnymi koszulek w krzykliwych kolorach, James Taffy House, Planters Peanuts oraz Muzeum Figur Woskowych.

W końcu stanęła przy stoisku z gazetami. Obeszła drewniany Stojak z papierosami, by zatrzymać się przed krępy męczyzną, który siedział na niskim stołku.

— Co tam u ciebie, Newsy?

Sprzedawca podniósł głowę i zmrużył oczy, otwierając usta w bezzębnym uśmiechu.

— Czeeeść, sierżancie! Od zeszłego lata żem cię nie widział. — Po chwili dotarło do niego, że kobieta ubrana jest po cywilnemu. — Wywalili cię?

Policzki Newsy'ego pokrywał siwy zarost. Ubrany był zbyt ciepło jak na tę porę roku — w grubą flanelową koszulę i parę brudnych drelichowych spodni. Nigdy wcześniej nie widział O'Shaughnessy bez munduru.

— Awansowali — odparła. Wzięła ze stojaka paczkę gum i odwinęła papierek. Włożyła do ust jeden listek, po czym odwróciła się w kierunku zielonego demona, pochylonego nad stalową bramą Strayer's Pier.

— Znaczy się: pani porucznik — uśmiechnął się szeroko. — Nic mnie to nie dziwi.

— Coś nowego w okolicy? — Skinęła głową w stronę molo.

— Jarmarczna hołota, jeśli o to ci chodzi. Sami nowi. Nocą jak zamykają Anchorage, to są niezłe awantury. U Moego nigdy nie było takich gości. Szukasz kogoś konkretnego?

— Faceta, który mógłby zaciągnąć nastolatkę pod deptak.

Newsy skinął głową.

— Taa, widziałem rano ulotki. Że też rodzice puszczejają córki w takich ciuchach.

O'Shaughnessy aż za dobrze wiedziała, jakie zdjęcie wybrał na ulotki sierżant Dillon. Kiedy z laboratorium wróciła klisza Yolandów, Dillon był najstarszym rangą policjantem w komisariacie, toteż decyzja należała do niego. Na miasto trafiła więc fotografia całej postaci szesnastolatki, ubranej w bikini. Sierżant tłumaczył potem, że na tym zdjęciu było najlepiej widać twarz dziewczyny.

O'Shaughnessy przytaknęła kiwnięciem głowy.

— Owszem, Newsy, ale to nie powinno czynić jej celem ataku.

— Święta prawda, że nie powinno, ale wiesz, jakie są ludzie. Wzrok policjantki przeniósł się na barwny stojak z papierosami.

— Paliłeś kiedyś?

— Pewno. Jak dzieciakiem byłem, to żeśmy wszyscy palili. Myśleliśmy, że to zdrowe.

— Rzuciłeś?

— Trzydzieści lat temu.

— Ja właśnie próbuję.

— Trudna sprawa — odrzekł. — Skurczybyki siedzą ci w głowie i spokoju nie dają.

Skinęła głową, znów spoglądając na demona.

— Oj, nie dają, nie dają. Miej dla mnie oczy i uszy otwarte, dobrze? — Położyła przy kasie banknot pięciodolarowy i podała sprzedawcy wizytówkę.

Newsy schował ją do kieszeni koszuli.



O'Shaughnessy przeszła na drugą stronę deptaka i usiadła na ławce. Słońce świeciło jeszcze nad horyzontem, toteż garstka ludzi uprawiała jogging i power walking, korzystając z tego, że większość turystów poszła na obiad.

Rozejrzała się po okolicznych lokalikach: Psia Buda, lodziarnia, sklepik z faworkami pod ogonem demona. To tu przychodziły nastolatki. To tu trafiłaby Tracy Yoland, jeśli szukała rówieśników. A może — jeśli szukała narkotyków? Jutro każe McGuire'owi pojechać ze swoją ekipą na molo i przepytac ludzi Moego. Trochę nimi potrząsać, żeby wiedzieli, że policję to interesuje.

Obok niej przebiegło dwóch przystojnych mężczyzn w średnim wieku. Nie mieli koszulek, więc mogła się przyjrzeć ich świetnym sylwetkom. Jeden z nich obejrzał się za nią i gwizdnął. O'Shaughnessy uśmiechnęła się pod nosem, kręcąc głową, jakby biegacz był psotnym chłopcem. Podniosła się i podeszła do barierki, by spojrzeć na plażę, gdzie jakiś pies bawił się frisbee. W pamięci stanął tamten psiak, który znalazł krew Anne Carlino. Wyobraziła sobie także, jak frisbee Hafta ląduje w miejscu, w którym zaginęła Tracy Yoland. Wydawało się, że nikt nigdy nie trafia na żaden ślad dzięki ciężkiej pracy — tylko dzięki psom i frisbee. Takie przypadki przypominały jej o tym, jak bardzo jest bezsilna. O tym, że póki nie uśmiechnie się do nich los, policjanci są tylko obserwatorami.

Powiodła wzrokiem wzdłuż deptaka. Ktoś stał tutaj wczoraj wieczorem. Ktoś zobaczył Tracy Yoland.

I spodobało mu się to, co zobaczył.

# 17

## **Czwartek wieczorem, 26 maja Wildwood w stanie New Jersey**

Wizyta Jeremy'ego na boisku wyszła gorzej, niżby chciał. Udając, że łapie piłką, potknął się i skręcił nogę w kostce.

W uliczce za supermarketem znalazł natomiast pudełko herbaty. Nie miał go komu oddać, więc schował je do kieszeni i postanowił zaparzyć sobie trochę do kolacji.

Tego wieczoru o dziesiątej siedział już po turecku w pokoju na brudnym materacu i, ubrany w same gatki, zajadał resztkę ryżu z fasolą. Tłuste kawałki czerwonej papryki przyczepiały mu się do szczeciniastego zarostu. Na podłodze nieopodal stała przenośna kuchenka elektryczna, a na niej — garnek z gotującą się wodą. Właścicielka lokalu powiedziała, że Jeremy nie może używać mikrofalówki, bo to zżera za dużo prądu — skąd miałby jej zdaniem wziąć pieniądze na mikrofalówkę, tego nie wiedział — ale nie wspominała o przenośnych kuchenkach. Takie kuchenki łatwo było znaleźć. Na śmietnikach zawsze było ich pełno.

Obok leżała wielka czerwona puszka po ciasteczkach. W środku znajdowała się kolekcja, którą Jeremy lubił wyjmować i rozkładać na kołdrze. Były tam kolczyki i metalowe guziki, zegarki na rękę i dziesiątki pierścionków. Miał również dwa szczyryki, małeńki kompas wielkości paznokcia, dużo dziwnych monet, poplamione białe majteczki, klucze, zapalniczki, dwa staniki i paczkę prezerwatyw.

— Guuuuumaaaaa — powiedział.

Wiedział, na co się to zakłada, ale dotychczas jeszcze się nie odważył którejs przymierzyć.

Wyprostował się i zaczął wciągać nosem powietrze. Nie miał może najlepszej pamięci, ale za to dopisywał mu wyśmienity węch. W przeciwieństwie do pani Lester. W zeszłym roku dwa razy musiał jej przypominać, że nie zgasiła piecyka, i za każdym razem, gdy pukał, wrywał ją ze snu. Nie miał pojęcia, dlaczego była wobec niego taka zrzęдлиwa, ale przez to dwa razy by się zastanowił, zanimby ją znów wyciągnął z łóżka. Nawet gdyby rzeczywiście poczuł, że coś się pali.

Wyjął swój nowy pierścionek i założył go na palec. Co prawda nie mógł go wsunąć dalej niż na sam czubek, ale i tak to znalezisko bardzo mu się podobało. Wyciągnął dłoń, by móc podziwiać wyrysowane na nim literki.

Majteczki przymierzał już kilka razy. Planował założyć je kiedyś, gdy będzie miał na sobie gumkę. Ale to była bardzo sekretna myśl i nie chciał jej teraz przywoływać. Swąd był coraz silniejszy — coś jakby przypalony spód ciasta albo zwęglone ciasteczka. Jeremy podniósł się, założył spodnie i wyszedł na korytarz. Na zewnątrz dymu nie było czuć aż tak bardzo, ale i tak zszedł po schodach i stanął pod drzwiami pani Lester. Czekał tam nieruchomo przez jakiś czas, zastanawiając się, czy powinien zapukać.

Było strasznie późno i wiedział, że niezależnie od tego, czy ma rację, czy nie, ona i tak się wkurzy. Tak jak wtedy, kiedy pokazał panu z inspekcji sanitarnej ciekący kran. Kilka dni później zabrała mu deskę sedesową i dała ją jednemu z lokatorów w suterenie.

Innym razem oskarżyła go o to, że ukradł jej rajstopy z suszarki w piwnicy. Jeremy przysiągł, że tego nie zrobił. Nigdy nikomu by niczego nie zabrał, chyba że pan Johnson by pozwolił. Ale pani Lester mu nie wierzyła.

Nagle zapach się nasilił — roznosił się po korytarzu na pierwszym piętrze. Jeremy podniósł pięść, spojrzał w dół, by się upewnić,

że ma zapięty rozporek, i zastukał. Minęła minuta. Zastukał jeszcze trzy razy, mocniej.

Wreszcie kobieta otworzyła drzwi i popatrzyła na niego zaspającym wzrokiem.

— Czego? — warknęła.

— Prrrrrooooooszeeee paaaaaaniiooom, cooooośś sieee paaaa-liiiii.

— O Boże! — krzyknęła, przewracając oczami. Jeremy pomyślał, że zaraz pani Lester zemdleje, ale spostrzegł, że kobieta patrzy gdzieś ponad jego głowę. Kiedy się obrócił, zobaczył kłęby czarnego dymu spływającego po schodach od strony jego pokoju.

Serce zaczęło mu walić.

— Paaaaaniiiii Leeeeessteeeeeerrr!

■ ■ ■

Strażacy kończyli wyrzucać meble pani Lester z okien na drugim piętrze. Ktoś owinął Jeremy'ego kocem i podał mu tlen. Posadzili go na tyle karetki, żeby opatrzyć poparzenia na stopach. Zanim Jeremy uciekł z budynku, wrócił jeszcze po schodach na górę, żeby się upewnić, że jego sąsiada nie ma w domu. Chętnie też zabrałby z łóżka puszkę po ciasteczkach, ale jego pokój stał już cały w płomieniach.

Wokół roило się od wozów straży pożarnej, a policjanci wstrzymali ruch i wprowadzili objazdy aż po Rio Grande Avenue. Wężę strażackie i metalowe złączki zniszczyły dywany i drewniane podłogi w mieszkaniu pani Lester. Jeremy widział strażaków krążących po jego pokoju. Ich jaskrawożółte hełmy i kombinezony połyskiwały w świetle skierowanych na budynek reflektorów.

Wcześniej na wszelki wypadek ewakuowano mieszkańców czterech najbliższych domów. W tej chwili wpuszczano ich z powrotem.

Pani Lester i jej lokatorzy nie mogli jednak wrócić do domu. Budynek został zniszczony przez dym i wodę.

Jeremy dostrzegł, że jeden ze strażaków rozmawia z panią Lester, pokazując jej kawałek poskręcane metalu, całkiem podobny do jego przenośnej kuchenki. Skrzywił się, kiedy zauważył minę kobiety. Maszerowała w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami.

Tak wścieklej jej jeszcze nie widział. Nigdy.

— Nie masz domu! Nigdy nie będziesz miał domu! Słyszysz mnie, Jeremy Smyles? Wynocha stąd! Już!

Ledwie cedziła słowa. Jej twarz wykręcił grymas tak silny, że aż wypadła jej proteza. Musiała ją z powrotem włożyć, a potem dokończyła zdanie i odeszła rozwścieczona.

W chwilę później na miejsce pożaru zjechał wóz policyjny. Umundurowany mężczyzna z paskami na pagonach, który wysiadł z samochodu, szybkim krokiem wszedł po schodkach, mijając strażaków zwijających węże — i zniknął we wnętrzu budynku.

Po upływie dziesięciu minut wrócił. Podszedł do pani Lester, która stała na chodniku. Gdy rozmawiali, kobieta raz po raz tupała nogami i wskazywała na Jeremy'ego, którego ogarniało paskudne przeczucie.

Nieopodal o ziemię uderzyły stary metalowy stół, szyba, która natychmiast się rozprysnęła, oraz osmalona pokrywka puszek po ciasteczkach. Wytoczyła się na ulicę, zawirowała niczym bączek i wreszcie się zatrzymała. Policjant z paskami na pagonach ruszył w kierunku Jeremy'ego. Był niski, miał duży brzuch oraz zakola kończące się za uszami. Czapkę policyjną trzymał w ręku. Uśmiechnął się, ale tylko półgębkiem.

— Jeremy Smyles? — zapytał stanowczo.

Jeremy kiwnął głową.

— Tam jest twój pokój? — Policjant machnął dłonią w stronę drugiego piętra.

— Nie.

— Że co proszę?! — wrzasnął mężczyzna.

— Pani Lester mówi, że już tam nie mieszkam.

Policjant wziął głęboki oddech.

— Ale wcześniej tam mieszkałeś. Mieszkałeś sam w tamtym pokoju aż do dzisiejszego pożaru. Zgadza się?

Jeremy potwierdził ruchem głowy.

— I wszystko, co znajdowało się w tym pokoju, było wyłącznie twoje?

Jeremy zastanowił się nad odpowiedzią. Posiadał tylko ubranie, kuchenkę elektryczną i puszkę ze świecidełkami. Wszystko inne należało do pani Lester.

— Pytałem cię o coś — policjant podniósł głos o jeden ton.

— Ja nic nie mam, tylko ubranie i takie tam — uśmiechnął się Jeremy.

— Jakie tam? — Funkcjonariusz niemal krzyczał. — Do ciebie należała ta cholerna biżuteria?

Jeremy kiwnął głową.

— Zegarki, pierścionki, breloczki i takie tam? Wszystko moje — potwierdził. — Mogę je dostać z powrotem?

Sierżant uśmiechnął się szerzej.

— Jesteś aresztowany. Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie w sądzie. Masz prawo do adwokata. Jeśli nie stać cię na niego, Wujek Sam okradnie podatników, żeby ci go zapewnić. Rozumiesz, co mówię, zasrany niedorozwoju?

■ ■ ■

Wjeżdżając na West Spicer, O'Shaughnessy wyłączyła syrenę.

Na tylnym siedzeniu radiowozu sierżanta Dillona siedział mężczyzna w kajdankach. Przy krawężniku stał czarny lincoln town car zaparkowany pod skosem. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, brzęczała wbudowana w nie sygnalizacja.

Sierżant Dillon wyszedł O'Shaughnessy naprzeciw, gdy tylko wysiadła z samochodu. Niespiesznym krokiem poprowadził ją ku tłumowi, który zebrał się u stóp schodków wejściowych do domu pani Lester.

— Co cię opętało, żeby dzwonić do Jasona Carlino? — syknęła policjantka.

Dillon odwrócił się do niej i uśmiechnął szyderczo.

— Wolnego, kobieto! Pomyślałem, że będziesz mi wdzięczny za rozwiązanie sprawy zaginięcia jego córki. Pracujemy w służbie publicznej, prawda, poruczniku? Nie mamy nic do ukrycia. No nie?

— Jeśli jeszcze raz ujawnisz informacje dotyczące mojej sprawy, wylądujesz przed komisją dyscyplinarną tak szybko, że się nawet nie obejrzysz. Jasne, sierżancie Dillon?

Dillon podniósł dłoń w geście, jakim policjant zatrzymuje kierowcę na drodze.

— Słuchaj no, paniusiu. Ani tobie, ani nikomu innemu nie dam sobie nasrać na głowę. Jak dla mnie, to jest moja sprawa, bo to ją zamknąłem. — Wycelował palec w O'Shaughnessy. — Wy detektywi tylko paradujecie po mieście z tymi waszymi durnymi ulotkami.

Policjant wskazał zgromadzony tłumek.

— Wszyscy są tam, poruczniku — powiedział. — Jestem pewien, że jako porucznik umie pani sama znaleźć drogę.

Dillon odwrócił się na pięcie i odszedł do radiowozu.

W pierwszej chwili O'Shaughnessy chciała go zawiesić. Nie-subordynacja to wykroczenie podpadające pod komisję dyscyplinarną, ale przecież Dillon właśnie dokonał aresztowania w związku z najgłośniejszą sprawą w mieście. Wydarzenia tego wieczoru miały się stać wiadomościami następnego poranka.

Nie warto kruszyć kopii, powiedziała sobie. Dillon może poczekać. Na Dillona zawsze znajdzie się dobry dzień.

Jason Carlino, górujący wzrostem nad zebranymi, miał na sobie jedwabną koszulę i włoskie mokasyny założone na gołe stopy. Kiedy O'Shaughnessy się zbliżała, dźgał właśnie McGuire'a palcem w klatkę piersiową.

— Panie Carlino — przerwała mu.

Obrócił się w miejscu i rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Chcę widzieć tego gnoja za kratkami, poruczniku. I gówno

mnie obchodzi, czy to wariat. Jeśli pani to spieprzy, zapłaci pani stanowiskiem.

Odwrócił się i szybkim krokiem odszedł w kierunku swojego lincolna.

— No, to było sympatyczne — odezwała się do McGuire'a.

Sierżant kiwnął głową z ponurą miną.

— Co tu się stało? — spytała.

McGuire wskazał ręką.

— Podejrzany, zakuty w kajdanki, stał z Dillonem przy radiowozie, no i nagle wparowuje tu Carlino. Wyskakuje z lincolna, zachodzi gościa od tyłu i daje mu piąchą w pysk. Facet nazywa się Jeremy Smyles. Pracuje w przedsiębiorstwie robót publicznych. Zadzwoiłem po jego przełożonego. — Wskazał na mężczyznę opartego o pomarańczową półciężarówkę. — Nazywa się Johnson. To on pomógł mi odciągnąć Carlino od Smylesa. Co, do kurwy nędzy, przepraszam, poruczniku, w ogóle wpadło Dillonowi do głowy, żeby dzwonić do Carlino? Skąd on w ogóle miał jego numer?

— Zapomnij teraz o Dillonie — odparła O'Shaughnessy. — To nie czas i miejsce. Powiedz mi lepiej, co tutaj mamy.

McGuire popatrzył na nią znacząco i policjantka wiedziała, że ją ocenia.

— Mac — odezwała się — mamy do wykonania robotę. Skupmy się na tym, dobrze? Dillonem zajmiemy się później. Słowo.

McGuire skinął głową i wziął kilka głębokich oddechów.

— Strażacy natrafili na puszkę pełną biżuterii i damskiej bielizny. Część z tych rzeczy facet miał rozłożone na łóżku. Uznali, że biżuteria mogła być kradziona, więc wezwali policję. Kiedy Dillon tam wszedł, znalazł pierścionek Anne Cariino i odczytał facetowi jego prawa.

— Rozmawiałeś z zatrzymanym?

— Zapytałem, skąd to wszystko wziął. Mówi, że znajduje te rzeczy pod deptakiem, kiedy zbiera śmiecie. Gdy wspomniałem



o pierścionku z inicjałami, powiedział, że był wciśnięty między deski.

O'Shaughnessy przypomniała sobie zegarek, który Anne zakopała w piasku.

— Mówił gdzie?

McGuire pokręcił głową.

— Dookoła była masa ludzi. Nie chciałem go przesłuchiwać przy wszystkich.

— A o co chodziło Carlino? Mówił, że Smyles to wariat.

— Bo to prawda, poruczniku. W tym cały problem. A do tego poczekaj, aż go powąchasz.

Rozejrzała się po zgromadzonym tłumie. Dwóch rosyłych gejów z bródkami, ubranych w szorty i koszulki bez rękawów, stało, obejmując się w pasie. Srogo wyglądająca kobieta z lokówkami na głowie wpatrywała się w O'Shaughnessy z miną osoby, która właśnie przegryzła cytrynę. Garstka nastolatek gadała między sobą jedna przez drugą, jednocześnie żując gumę i poprawiając sobie nawzajem ciuchy.

— Pojedźmy za nim do szpitala, to weźmiemy od niego zeznanie. Będzie zdolny je złożyć, prawda?

McGuire wzruszył ramionami.

— Okaze się. Idę zakończyć sprawę z dowódcą strażaków — odparł.

O'Shaughnessy podeszła do wozu służb miejskich.

— Pan Johnson? — spytała.

— Ben — odparł, wyciągając dłoń.

— Kelly. Podobno to jeden z twoich chłopaków?

Kiwnął głową.

— Postawicie mu zarzuty? — zapytał.

— Na razie ma status ważnego świadka w sprawie porwania. Musimy mu zadać kilka pytań. Co może mi pan o nim powiedzieć?

— Podejrzewacie go? Za cholerę nie uwierzę, że jest przestępcą.

— Dlaczego?

Johnson — mężczyzna o tyczkowatej posturze — założył ręce na piersiach i oparł się o samochód. Ubrany był w wypłowiałe kombinezon koloru khaki, na nogach miał zaś wysokie, bardzo znoszone buty. Jego dłonie były zgrubiałe, palce guzowate, a jeden z paznokci — siny od jakiegoś urazu. Wyglądał jak typowy urzędnik, robotnik lub brygadzysta — i tylko oczy zdradzały, że nim nie był.

— Pani jest córką Jima, prawda?

Skinęła głową.

— Kiedy pani była małą dziewczynką, Smyles miał wypadek. Jechał szkolnym autobusem, który został zepchnięty z drogi przez jednego z tych ćpunów z Raju. Spędził dużo czasu pod wodą, co spowodowało nieodwracalne zmiany w mózgu. Ale ten chłop to chodząca uczciwość. Najlepszy pracownik, jakiego kiedykolwiek miałem.

W tej właśnie chwili Jeremy spojrział na nich z odjeżdżającego radiowozu i się uśmiechnął.

— A dlaczego nie mógłby być sprawcą porwania?

— To po prostu nie ten typ człowieka. Coś takiego nie leży w jego naturze. No, a do tego nie jest dostatecznie sprytny. Dokąd twoim zdaniem mógłby kogoś zabrać, tak byście go nie znaleźli?

O'Shaughnessy milczała. Nie dało się ukryć, że to była słuszna uwaga. Wsunęła dłonie do kieszeni i rozejrzała się po ludziach. Potem spojrzała w stronę narożnego domu. Ten widok przypominał jej, że było późno i że dzieci czekały u Tima. Zmuszona była je tam po drodze podzucić. Liczyła, że zdąży zabrać je z powrotem, tak by nieco odpoczęły przed szkołą. Jednak w tym celu trzeba by je obudzić, jeszcze bardziej burząc ich sen. Ale cóż innego mogła zrobić? Czy ta cała separacja to naprawdę jej wina? — zastanawiała się. Gdyby Tim mieszkał razem z nią, tak jak chciał — i jak bez wątplenia chciały dziewczynki — małe spałyby dziś we własnych łóżkach. Obudziłyby się rano, zjadły śniadanie, spakowały kanapki i zeszyty i ruszyły do szkoły z kojącym przekonaniem, że któregoś

z kolejnych wieczorów nie przerwie nagle, szaleńcza wyprawa do taty, babci albo któregoś z sąsiadów.

— Pracuje dla mnie paru facetów, którzy byliby zdolni do takich rzeczy i w ogóle bym się nie dziwił, gdybyś mi powiedziała, że zrobili coś podobnego. Ale Smyles do nich nie należy. Jest na to zdecydowanie zbyt wrażliwy.

— To nie jest wcale takie jednoznaczne — powiedziała O'Shaughnessy, odsuwając myśli o córeczkach. — Część chorych psychicznie ma zaburzone postrzeganie świata. Widzą rzeczy z obu krańców spektrum. Miłość, nienawiść, to dla nich jedno i to samo.

— Jeremy jest łagodny jak baranek, poruczniku. Nikomu nie zrobiłby krzywdy.

O'Shaughnessy spojrzała na Johnsona.

Szczerze mówiąc, chciała, by Jeremy Smyles był winny. Chciała, żeby przyznał się do winy i zaprowadził ją w miejsce, gdzie ukrył ciała. Mogłaby wtedy zamknąć ten rozdział życia.

Ale opowieść Smylesa o tym, jak znalazł pierścionek, miała sens. Pani porucznik sama była przecież pod deptakiem. Znalazła tam zegarek. Poznała uczucie, jakie musiało towarzyszyć Anne Carlino, na tyle, na ile to tylko było możliwe. Dziewczyna mogła przecież zdjąć pierścionek i wcisnąć go między deski. Przygotowywała się. Wiedziała, że on ją znajdzie. I nie chciała mu oddać wszystkiego.

# 18

## **Piątek, 27 maja Wildwood w stanie New Jersey**

Na komisariacie telefony dzwoniły teraz bez przerwy. Ktoś rozbijał szyby w drogich samochodach na skrzyżowaniach i zabierał torebki, ktoś włamywał się do mieszkań w zatoce, a gang dobrze ubranych Latynosów kradł ciuchy ze sklepów wzdłuż całego wybrzeża.

Raport był krótki. Andrew Markey, mężczyzna, lat 78, biały. Zgon stwierdzono w niedzielę o godzinie 14.13 w domu opieki Elmwood przy Macy Lane 12.

Zgon nastąpił pierwszego maja, prawdopodobnie między czwartą a dziesiątą rano, chociaż tak naprawdę nikt nie widział Markeya już od poprzedniego wieczoru.

O'Shaughnessy spojrzała na zdjęcia, na których Andrew leżał twarzą do góry u stóp betonowych schodów. Potem rzuciła okiem na fotografię z kostnicy.

Jako przyczynę zgonu podano uraz głowy wskutek uderzenia. Poza tym nastąpiły złamania kości promieniowej, kości strzałkowej oraz żeber. Wszystkie urazy pasowały do miejsca wypadku. Wszystkie odpowiadały teorii upadku ze schodów. O'Shaughnessy dysponowała już także wynikami testów toksykologicznych, które okazały się negatywne.

Pozostawało jeszcze tylko kilka pytań: kto nie zamknął tych drzwi? Czy ktoś uczynił to celowo, czy był to tylko przypadek?

Czy otworzył je sobie Andrew, czy ktoś zrobił to za niego? Czy spadł, czy też został popchnięty? Nikt nie zadawałby sobie tych pytań, gdyby nie to, że w tydzień po śmierci Markeya zamordowano jego córkę.

O'Shaughnessy przekartkowała zeznania świadków — w większości pracowników domu opieki, którzy nie zauważyli niczego niezwykłego. Jednak pewna wiekowa pensjonariuszka, pani Campbell, twierdziła, że widziała, jak jakiś mężczyzna w niedzielę wczesnym rankiem myje podłogi. Jak przeczytała O'Shaughnessy, przez wyrażenie „wczesny ranek” należało rozumieć, że było to, zanim przyniesiono poranną dawkę leków.

Policjantka słyszała już o tej kobiecie i wiedziała, że personel Elmood nie uważał jej za wiarygodną. Mimo to treść jej zeznania trudno było wyjaśnić. W niedzielę rano nikt nigdy nie przychodził myć podłóg. Jeśli rzeczywiście kogoś widziała, nie mógł to być członek personelu.

W domu opieki działał system monitoringu wideo, jednak nie przy wszystkich wejściach zamontowano kamery. Nie było ich również na odcinku między dyżurkami pielęgniarek a wyjściami ewakuacyjnymi — a więc także tam, gdzie znajdowały się pokój Andrew Markeya i schody, z których spadł.

— Mac! — zawołała O'Shaughnessy, przez otwarte drzwi gabinetu, zauważywszy przemykającego sierżanta. Policjant cofnął się niespiesznie. — Pracowałeś już z panią Campbell nad portretem pamięciowym?

— Nie — odrzekł oschle.

O'Shaughnessy spojrzała na niego bez słowa.

— Przecież ona nawet nie wiedziała, jakiej facet był rasy — powiedział sierżant.

Policjantka przekrzywiła głowę.

— Powiedziała, że albo był biały, albo, jeśli był czarny, to miał jasną karnację.

— To właśnie miałem na myśli. — McGuire uśmiechnął się

szyderczo. — Słuchaj, ja jej wcale nie olałem. W dniu wypadku spędziłem z nią całą godzinę.

O'Shaughnessy machnęła ręką.

— Oj, Mac, przecież wiem. Ale ta sprawa z córką Markeya naprawdę mnie męczy.

— Mnie też, poruczniku. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale odkąd pani Campbell jest w Elmwood, już jedenaście razy donosiła, że została zgwałcona. Sprawcą jest zawsze ten sam mężczyzna o ciemnej karnacji. Pewnego razu wskazała go w telewizji, krzycząc: „To on, to on, to ten facet mnie zgwałcił”. — McGuire, któremu rzadko zdarzało się żartować, zapiszczał falsetem, machając rękami nad głową.

O'Shaughnessy przekrzywiła głowę w oczekiwaniu dalszego ciągu.

— I kto to był? — spytała beznamiętnie.

— George Hamilton.

Roześmiała się.

— Poruczniku, jeśli uważasz, że powinienem popracować z nią nad portretem pamięciowym, to zaraz tam jadę.

O'Shaughnessy pokręciła głową.

— Nie, Mac. I tak masz już za dużo na głowie.

McGuire wzruszył ramionami i zaczął wycofywać się od drzwi jej gabinetu.

— Wyślij Randalla — mruknęła, podnosząc kubek z kawą. Skrzywiła się, gdy okazało się, że napój jest zimny.

Miała wrażenie, że odchodząc, McGuire westchnął. Zamknęła drzwi i ruszyła w kierunku pokoju socjalnego.

■ ■ ■

— Co ze Smylesem? — spytał komendant, obserwując, jak O'Shaughnessy wsypuje kawę do filtra.

— Nie sądzę, żeby to był on — odpowiedziała. — Wczoraj wieczorem spędziliśmy z nim godzinę. Ledwie potrafi sobie związać sznurówki, a co dopiero gonić po ciemku za siedemnastolatką. — Nalała wody do ekspresu. — Wszyscy, z którymi

rozmawiałam, mówią, że on nie udaje. Koń, jaki jest, każdy widzi.  
— Wcisnęła guzik i odwróciła się twarzą do komendanta. — Zna go pan?

Skinął głową.

— Znam jego historię.

— Był raz aresztowany. Za podglądanie, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku.

Loudon kiwnął głową.

— Nie przywiązywałbym do tego zatrzymania zbyt dużej wagi. Podejrzewam, że do dziś nie wie, za co go wtedy zgarnęli.

— Co pan ma na myśli?

— Pewien początkujący gliniarz skręcił w boczną uliczkę i zobaczył Smylesa stojącego po ciemku w pobliżu budynku mieszkalnego. Okazało się, że w mieszkaniu w suterenie poniżej kąpała się jakaś kobieta. Nie mam pojęcia, jak przebiegała rozmowa, ale policjant wezwał sierżanta Dillona, który wkrótce pojawił się na miejscu i nakazał aresztowanie.

— Uważa pan, że Smyles nie był winny? — spytała.

Loudon spojrział na nią, dobierając w myślach słowa.

— Powiem ci, co myślę, Kelly. Gdybym to ja szedł tamtą uliczką i zobaczył nagą kobietę, i gdyby do tego wyglądała w miarę apetycznie, pewnie sam bym się zatrzymał i rzucił okiem. Nie sędzę natomiast, że Smyles wyczekiwał na taką okazję.

Uśmiechnęła się, spoglądając w pusty kubek.

— Co pan wtedy zrobił?

— Nic. Byłem wówczas na twoim stanowisku. Miałem zasadę, żeby nie wtykać nosa w sprawy mundurowych. Zupełnie tak jak ty teraz.

— A co z damską bielizną znalezioną w jego pokoju? I z opowieścią właścicielki domu, która zarzeka się, że kiedyś ukradł jej z suszarki rajstopy?

Loudon wzruszył ramionami.

— Kelly, ja nie twierdzę, że on ma całkiem równo pod sufitem. Przyznaję, że to bardzo mocno upośledzony człowiek. Ale trzeba

sobie zadać pytanie: czy byłby w stanie porwać dziewczyną i pozbyć się jej zwłok w taki sposób, żeby policja, zatrudniająca podobno wielu utalentowanych ludzi, nie mogła ich znaleźć?

O'Shaughnessy kiwnęła głową z zrozumieniem.

— To samo powiedział jego szef.

— Jak Smyles zareagował na zatrzymanie?

— Był absolutnie beztrouski. Nie przestawał się uśmiechać, zupełnie jakbyśmy go zaprosili na herbatkę. Przez bitą godzinę słuchałam opowieści o tym, że na plaży jest więcej zielonych papierków od gumy do żucia niż czerwonych, i o tym, że potrafi sobie obcinać włosy nożem. Chciałam, żeby mu zrobić badanie na prawdomówność, ale facet od wariografu prawie mi się roześmiał w twarz.

— I co w końcu zrobiłaś?

— Wypuściłam go. — Ekspres do kawy zaczął bulgotać i parować. — Gdybyśmy musieli go znowu aresztować, Clarke zawsze może wydać nakaz zatrzymania. Będzie miał przecież zeznanie Dillona, pierścionek Anne Carlino i damską bieliznę.

— To wszystko mamy przecież już teraz.

— Owszem. I uważam, że to słabe dowody.

Nalała sobie kawy.

— Nie chcę się z tobą kłócić. Ja tylko robię za adwokata diabła. Co powiesz dziennikarzom, kiedy zapytają, dlaczego Smyles znów jest na wolności?

— Że brak nam jednoznacznych dowodów wskazujących na jego winę. Jest za to kluczowym świadkiem, ponieważ znalazł istotny ślad.

— I tego się trzymaj. A co to za historia, że Dillon zadzwonił do Jasona Carlino?

O'Shaughnessy oparła się o stos nieotwartych paczek papieru kserograficznego i założyła ręce na piersiach.

— Kiedy na miejsce przyjechał McGuire, Carlino już tam był. Najwyraźniej Dillon poinformował go o znalezieniu pierścionka córki.



— I Carlino uderzył Smylesa?  
Skinęła głową.  
— Zrobił mu krzywdę?  
— Podbił mu oko, ale wątpię, żeby Smyles to pamiętał.  
— Myślałaś, żeby komuś postawić zarzuty?  
Na ustach policjantki pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.  
— Nie najlepsza pora, komendancie?  
— Nareszcie zaczynasz łąpać. Carlino i Dillona zostaw mnie.  
Twoim zadaniem jest odkrycie, kto porwał dziewczynę.  
O'Shaughnessy dołała sobie kawy.  
— Przejdziemy się? — spytała.  
— Jasne.  
Ruszyli w stronę jej gabinetu.  
— Co się stało Smylesowi?  
— To był wypadek autobusowy. Jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku on i siedemnastu innych chłopców wracali z meczu futbolowego w Cape May. W tym samym czasie na drodze odbywał się pościg za jednym szczeniakiem. Jego samochód zderzył się czołowo z autobusem, spychając go z drogi. To była największa tragedia w historii tego miasta.  
— Mój ojciec był wtedy komendantem.  
— Twój ojciec był odpowiedzialny za tę sprawę. Obrona próbowała udowodnić, że to policjanci spowodowali wypadek, ponieważ w ogóle rozpoczęli pościg. Ale twój tata przekonał prokuratora, żeby zamiast o nieumyślne spowodowanie śmierci oskarżyć chłopaka o zabójstwo drugiego stopnia. Miał dwa procesy i został skazany na podwójne dożywocie. W całym stanie to był pierwszy taki wyrok w sprawie o spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym.  
O'Shaughnessy zaprosiła komendanta do gabinetu i zasunęła żaluzje. Wyjęła paczkę papierosów z szuflady i zaproponowała:  
— Proszę. Pan będzie palić, a ja popatrzę.

Loudon wyjął jednego papierosa i sięgnął po zapalki. Wszyscy wiedzieli, że pali wyłącznie na miejscu zbrodni oraz wtedy, gdy ktoś go poczęstuje. Jeśli pomiędzy takimi przypadkami miałby upłynąć nawet rok — komendant po prostu czekał. O'Shaughnessy nie mogła znieść tego, że tytoń w ogóle nie ma na niego wpływu.

— Boże, jak ja za tym tęsknię — westchnęła. — Gus mówił, że nikt inny nie przeżył.

Loudon pokręcił głową.

— Mówił pan, że trzeba sobie zadać pytanie, czy Smyles byłby zdolny porwać dziewczynę i pozbyć się zwłok — kontynuowała. — Co pan miał na myśli?

Komendant wydmuchnął w górę kółko dymu.

— Każ go przebadać.

— Słucham? — O'Shaughnessy zmrużyła oczy.

— Niech Clarke wyda nakaz przeprowadzenia testów psychiatrycznych. Instytut Psychologiczny Dunmore'a w Vineland często współpracuje z sądami. Niech mu zbadają sprawność fizyczną, umiejętność odróżniania dobra od zła, tego typu sprawy.

O'Shaughnessy uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Do drzwi zapukał detektyw Randall.

— Poruczniku, telefon. Dzwoni Gus.

Kiwnęła głową, a komendant wstał.

— Trzymaj się z dala od papierochów, Kel — powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Policjantka włączyła tryb głośno mówiący.

— Cześć, Gus, tu O'Shaughnessy. Chciałabym, żebyś coś dla mnie sprawdził.

— Zrobię, co mogę.

— Czy mógłbyś zdobyć rejestr pojazdów służb miejskich? Chwilę się zastanawiał.

— Jasne, nie powinno być problemu. Interesuje cię coś konkretnego?

— Przy wczorajszym pożarze zatrzymaliśmy podejrzanego,

u którego znaleziono pierścionek Anne Carlino. Rozmawiałam z jednym z kierowników z przedsiębiorstwa robót publicznych. Jego ciężarówka była pomarańczowa. — Oddzwonię do ciebie.

■ ■ ■

O'Shaughnessy jeździła po centrum przez godzinę, żując gumę i rozmyślając o Jeremym Smylesie. Większość biżuterii znalezionej w jego puszcze skarbów nadawała się na śmietnik. Owszem, znajdowało się tam kilka ładnych rzeczy — pewną wartość miały jeden pierścionek, jeden kolczyk i jeden zegarek — ale nie było na nich żadnych napisów, nie występowały również w komputerowej bazie danych skradzionych przedmiotów. Jeremy miał jednak inne kłopoty. Nie potrafił powiedzieć, gdzie przebywał, kiedy zdarzyły się oba porwania. Nie miał żadnych znajomych, którzy mogliby za niego poświadczyć, nikt nie widział, jak wychodził z domu lub do niego wracał, i nikt nie potrafił powiedzieć, jak w ogóle spędzał czas.

W swym codziennym wywiadzie na łamach „Patriota” Jason Carlino nazwał go głównym podejrzanym. Z dnia na dzień burmistrzowi coraz trudniej było to ignorować.

Jak powiedziała O'Shaughnessy dziennikarzom — to prawda, że Jeremy Smyles był w posiadaniu przedmiotu należącego do jednej z ofiar, ale wyjaśnienia podejrzanego są wiarygodne. Pokazał detektywom, gdzie znalazł pierścionek — w tym samym miejscu, w którym O'Shaughnessy natrafiła na zegarek. Policjanci musieli go po prostu nie zauważyć. Ot i cała historia.

Ale dla Jasona Carlino oznaczało to tylko tyle, że Jeremy Smyles znał miejsce przestępstwa. No pewnie, że znał miejsce przestępstwa!

Funkcjonariusze zajmujący się sprawą śmierci Tracy Yoland od czasu zaginięcia dziewczyny bez przerwy chodzili po deptaku. Pokazywali wszystkim przechodniom fotografie zarówno jej, jak i Anne Carlino, usiłując znaleźć kogokolwiek, kto widział kobiety, zanim obie zniknęły z powierzchni ziemi. Kogokolwiek, kto zauważył w

poblizu deptaka podejrzany pomarańczowy samochód.

O'Shaughnessy ze smutkiem przyjęła wiadomość, że rodzice Tracy po powrocie do Nebraski postanowili się rozstać. Takie wydarzenia potrafiły rozbić małżeństwo. Widziała to już nieraz.

Zatrzymała się przy narożnym barku w poblizu miejsca pracy Tima. Dawniej często spotykali się tam w porze lunchu i nie wiedzieć czemu miała wrażenie, że kiedy teraz tam wejdzie, na pewno się na niego natknie. Postanowiła opracować listę sposobów, by wreszcie „przypadkiem” na niego wpaść. Wypiją razem kawę, a ona wreszcie będzie mogła przełamać lody.

Koniec końców, w samotności zjadła kanapkę z jajkiem, zerka-  
jąc na drzwi za każdym razem, gdy się otwierały. Była na siebie wściekła za to, że tak tęskniła za Timem — a jeszcze bardziej za to, że pozwoliła mu odejść. Chciała, żeby to się już skończyło. Miała dość życia bez niego. Dziewczynki też nie chciały bez niego żyć. Przecież był rok 2005. Błędy popełniali prezydenci, astronauty, pastorzy, sportowcy... Gdyby chciała ślepego oddania, wzięłaby sobie labradora, a nie drugiego człowieka.

Wiedziała, że na pewno nie było mu się łatwo przyznać do tego, co zrobił. Niczego nie ukrył też przed swoją matką, co również musiało mu przyjść z trudem. O'Shaughnessy nie przyznawała mu jednak za to taryfy ulgowej — uważała, że na razie na nią nie zasługiwał. Ale miał sumienie i to — musiała przyznać — była jedna z cech, które w nim kochała.

Tim był teraz tylko kilka budynków dalej. Kupiła paczkę czekoladek z masłem orzechowym, żeby zjeść je razem z nim. Kiedy dziewczynki były bardzo małe, często robili namiot z kołdry i wszyscy razem zajadali się słodkościami. Choć była to głupiotka zabawa, przez lata któreś z nich co jakiś czas przynosiło do domu paczkę czekoladek, a wtedy oboje chowali się w pościeli, jedli czekoladki, całowali się i w końcu kochali, a ich oddechy pachniały orzeszkami.

Schowwała czekoladki do kieszeni i zatrzymała się przy samochodzie, żeby zostawić nowo zakupiony zapas nicorette. Pocztą głosowa w komórce sygnalizowała nowe nieodstuchane wiadomości. Pierwsza była od Gusa — zdobył spis pojazdów i chciał, żeby pani porucznik się do niego odezwała. Potem dzwonił Tim. Prosił, żeby zostawiła dziewczynki u jego matki, a nie u niego. On sam miał „spotkanie”. Spotkanie! Cholera, czy chciał w ten sposób powiedzieć, że ma randkę?

Trzecia wiadomość była od Clarke'a Hamiltona. Clarke pytał, czy O'Shaughnessy nie wybrałaby się z nim na przejażdżkę po wybrzeżu. A pewnie że mogła. Ona z nikim nie miała żadnych „spotkań”.

■ ■ ■

Kiedy wróciła na komisariat, w jej gabinecie czekał już Gus Meyers. Wyglądał, jakby od tygodnia nie zmrużył oka.

Plotki przestały już być plotkami. Agnes zostały niecałe trzy miesiące życia.

Sięgnął do kieszeni marynarki i podał O'Shaughnessy kopertę.

— W Wildwood twojemu opisowi odpowiada pięć ciężarówek, chyba że w ciągu ostatnich trzech miesięcy któraś z nich trafiła na złom, bo ostatni spis zrobiono w lutym. Oczywiście to nie oznacza, że ich lakier będzie odpowiadał próbce pobranej z zegarka. Po prostu to są odpowiednie modele i roczniki. Pasuje?

Kiwnęła głową.

— Czyli teraz muszę z któregoś zdrapać trochę lakieru dla porównania?

— Tak. Jeśli masz na oku jakiś konkretny wóz, to zajmij się właśnie nim, ale wydaje mi się, że każdy będzie dobry. Najpierw upewnij się, że to właśnie ta flota, a wtedy będziesz mogła poszukać rysy na któryms z samochodów. Mam wysłać jednego ze swoich chłopaków, czy to tajemnica?

— Chyba lepiej będzie, jeśli jeszcze przez jakiś czas nie będziemy

o tym mówić głośno. Jak długo potrwa analiza próbki lakieru?

— Tygodnie — wrzucił ramionami. — Może miesiące. Tylko FBI dysponuje tego typu archiwami, a oni w pierwszej kolejności zajmują się sprawami, w których można kogoś postawić przed sądem. Jeśli tylko do swojego zapytania dołączysz nazwisko podejrzanego, wyniki przyjdą dużo szybciej. Taka moja rada.

— Dzięki — odrzekła.

Czuła się, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze. Miesiące?

— Mnie nie dziękuj. To ty na to wpadłaś.

## **Wtorek, 31 maja**

— Podobno dziś rano na plaży znaleziono pentagram.

O'Shaughnessy obejrzała się przez ramię. Tuż za nią szedł komendant. Nie miał zadowolonej miny.

— W ten weekend jest Dzień Pamięci — powiedziała.

Zatrzymała się w kancelarii, żeby zabrać kilka kopert, po czym ruszyła z powrotem do gabinetu.

— Ktoś doniósł telefonicznie — rzekła. — Głupio przyznać, ale przez chwilę nieźle się wystraszyłam.

— I co to w końcu było?

— Zacznijmy od tego, że namalowano ten pentagram w piasku obok muszli koncertowej. Wszyscy tamtędy przechodzą. Ktoś napisał w środku „dziwka”, a na wszystkich pięciu końcach inicjały AC i TY. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to uważam, że to po prostu sprawka bandy czubków, którzy chcieli o sobie przeczytać w gazetach.

— Czy w pobliżu znaleźliście jeszcze coś?

— Kilka zamków z piasku i jednonogą mewę.

— Wyglądała na opętaną?

— One wszystkie wyglądają na opętane.

— A telefony?

— Cała masa. Dzwonił chyba każdy, kto uprawia jogging. Zaczęło się o piątej, a skończyło jakąś godzinę temu. Mówią, że do miasta zjechali poganie.

— Poganie nie bawią się w piasku — odrzekł komendant. — W każdym razie nie ci, których poznałem przez te wszystkie lata.

— Dostaliśmy też doniesienie o sabacie czarownic w jednym ze starych domków letniskowych przy Marshland Road. Wysłałam radiowóz. Rolety we wszystkich oknach, a w środku trzy pary młodych ludzi. Włosy w szpic, czarne paznokcie, czarne szminki, wie pan, w czym rzecz: ogólnie dużo czarnego. — Weszła do swojego gabinetu. — Funkcjonariusze złapali ich na zajadaniu się płatkami czekoladowymi. Wszystkim przydałaby się kąpiel, ale poza tym byli normalni.

Loudon się uśmiechnął.

O'Shaughnessy usiadła w swoim fotelu, a komendant — na krawędzi biurka.

— Mój asystent mówił, że dzwoniłaś.

— Potrzebowałam pomocy.

Komendant uniósł brwi.

— Zna pan w przedsiębiorstwie robót publicznych kogoś, z kim mogłabym porozmawiać?

— O czym?

— O porwaniach.

W zamyśleniu kiwnął głową.

— Chodzi o Jeremy'ego Smylesa? — spytał.

— Nie. Szukam pewnej ciężarówki.

Opowiedziała mu o pomarańczowym lakierze i spisie pojazdów należących do służb miejskich.

— Ben Johnson — rzucił bez namysłu.

— Poznałam go — kiwnęła głową. — Był na miejscu pożaru, kiedy Carlino podbił oko Jeremy'emu.

— Johnson trzyma cały ten interes w kupie — powiedział Loudon. — Mało taktowny wobec polityków, ale przetrwał już czterech administratorów. Poznałem go, kiedy zaczynałem pracę w policji.

Loudon sięgnął w kierunku leżącego na biurku ołówka i zaczął kręcić nim niczym bączkiem.

— Adwokat Jasona Carlino złożył na nas formalną skargę. Burmistrz potraktował sprawę poważnie i żąda, żebyśmy udzielili pisemnej odpowiedzi.

O'Shaughnessy spojrzała na komendanta.

— Czego dotyczy skarga?

— Smylesa — odparł. — Carlino oskarża nas o to, że wypuściliśmy mordercę na wolność. Grozi miastu pozwem.

— Chce nas pozwać za to, że wykonujemy swoją robotę?

— Za zaniedbanie. Sierżant Dillon ma podobno dwójkę nastolatków, którzy zarzekają się, że tego wieczoru, kiedy porwano Tracy Yoland, widzieli Smylesa na plaży. Czy udało ci się wydobyć z niego jakieś alibi?

O'Shaughnessy opuściła wzrok i pokręciła głową.

— Mówi, że był na spacerze.

— Na spacerze?

— Na spacerze — powtórzyła cicho.

Komendant jęknął.

— Przekazałaś to Clarke'owi?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Przyznał, że w niczym nam to nie pomaga, ale Smyles i tak nie potrafili tego zrobić — powiedziała.

— Rozmawiałaś już z Clarkiem o psychiatrze?

— Mamy termin na sobotę o pierwszej. W tygodniu był już komplet. Szefie, miał pan rację. Ktokolwiek zaatakował te dziewczyny, musiał być na tyle silny, żeby je obezwładnić, potrzebował sposobu, żeby je stamtąd zabrać, nie mówiąc już o pozbyciu się ciała. Tą osobą na pewno nie był Jeremy, z którym rozmawialiśmy.

Wzruszył ramionami.

— Więc przekaz to wszystko Clarke'owi. Dowiedz się, kim są te dzieciaki od Dillona, i zdobądź ich zeznania na piśmie. Niczego nie osiągniesz, jeśli Carlino cały czas będzie ci siedział na karku.



Skinęła głową.

— Posłuchaj, Kelly. Niezależnie od tego, co ktokolwiek powie, nawet jeśli to będę ja, nie wykluczaj Jeremy'ego Smylesa. Chyba że jesteś w stanie zrobić to ponad wszelką wątpliwość. Bo jeśli pewnego dnia okaże się, że to był on, bekniemy za to, i to zdrowo.

O'Shaughnessy pokiwała głową. Doskonale wiedziała, że mówiąc „my”, Loudon miał na myśli ją.

— A Dillona zostaw mnie — zakończył komendant.

■ ■ ■

O'Shaughnessy pojawiła się w kompleksie przedsiębiorstwa robót publicznych tuż po czwartej. Skierowano ją do biura Bena Johnsona. Pomieszczenie było tak malutkie, że aby można było zamknąć drzwi i porozmawiać w cztery oczy, Johnson musiał wystawić jedno z krzeseł na korytarz. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiała Miss lutego, ubrana wyłącznie w wełnianą czapkę.

— Ładna opalenizna — mruknęła O'Shaughnessy, gdyż nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Johnson uśmiechnął się i ponownie wgramolił za biurko.

— Przede wszystkim — zaczęła policjantka — chcę poinformować, że załatwiłam badanie psychiatryczne pana Smylesa. Jest dobrowolne i mam nadzieję, że da nam jednoznaczną odpowiedź na pytanie, czy pana podopieczny byłby w ogóle zdolny do popełnienia przestępstwa.

— Więc nie stawiacie mu zarzutów?

Pokręciła głową.

— W tej chwili jest głównym świadkiem, ponieważ znaleziono przy nim pierścionek Anne Carlino. Ale to wszystko. Ja sama nie sądzę, żeby był w stanie popełnić przestępstwo, ale to tylko opinia, która w każdej chwili może ulec zmianie.

— Czy powiedział wam, gdzie znalazł pierścionek?

— Twierdzi, że pod deptakiem, gdzie zbierał śmiecie. Podobno wyraźnie pozwoliłeś mu zatrzymać wszystko, co znajdzie.

I w ten sposób dochodzimy do pierwszego powodu mojej wizyty. - Pochyliła się w stronę biurka. Bo o takiej zasadzie to ja jeszcze nie słyszałam.

— To prawda. — Oparł stopę o krawędź biurka i odepchnął się razem z krzesłem. — Ale żeby zrozumieć, dlaczego traktuję Jeremiego wyjątkowo, musiałybyś go znać.

— Zamieniam się w słuch.

— Jeśli wyda się Smylesowi jakiegokolwiek polecenie, można oczekiwać, że wypełni je dosłownie. Jeremy nie potrafi samodzielnie podejmować decyzji. Nie dostrzega różnicy między tym, co mówię, a tym, co mam na myśli. Gdybym mu powiedział, żeby sprzątał plażę tak długo, aż będzie czysta, nigdy więcej nie wróciłby do domu. Wciąż goniłby za tym jednym jedynym papierkiem, który gdzieś jeszcze pozostał. Kiedy go zatrudniłem, kazałem mu przynosić wszystkie rzeczy osobiste, jakie znajdzie. W rezultacie dostawałem torby pełne plastikowych pierścionków i zegarków. Tam na plaży wała się chyba więcej tandetnej biżuterii niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. Nie dam rady go nauczyć, co jest wartościowe, a co nie. Dla niego wszystko ma jakąś wartość i szczerze mówiąc, doszło do tego, że zacząłem mieć to gdzieś. No bo nawet jak czasami zatrzyma sobie jakiś porządny zegarek, to co z tego? Jeremy pracuje ciężiej niż ktokolwiek, kogo przez te lata zatrudniałem, i nic z tego nie ma.

O'Shaughnessy spojrzała na niego i kiwnęła głową.

— Więc możesz potwierdzić, że biżuteria, którą trzymał w puszcze, rzekomo znaleziona pod deptakiem, należała do niego, ponieważ ty na to zezwoliłeś?

Johnson zacisnął zęby, ale zdobył się na błądy uśmiech.

— Poruczniku, ten mój wydziałik jest oparty na bardzo niestabilnym budżecie w kwocie siedmiu milionów dolarów. Mam o połowę za mało samochodów, żeby dobrze wykonywać całą robotę, i od dwudziestu pięciu lat nic się w tej kwestii nie zmieniło. Myśli pani, że obchodzi mnie, co jakiś tłusty kadny pomyśli sobie o moich zasadach w zakresie rzeczy znalezionych? Jeśli któremuś

z nich się wydaje, że potrafi tu przyjść i robić to wszystko lepiej niż ja, ani się obejrzy, jak znajdzie na biurku mój wniosek o przejście na emeryturę. A wtedy będzie miał tyle kubeków pełnych plastikowych pierścionków, ile dusza zapagnie.

O'Shaughnessy się uśmiechnęła. Loudon miał rację. Nikt nie będzie robił afery z powodu puszek ze skarbami Smylesa.

— Prawdę mówiąc, nie przysłałam tu wcale z powodu Jerem'y'ego.

Mężczyzna spojrzął na nią zdezorientowany.

— Mam powody przypuszczać, że w noc porwania Anne Carli-no na parking stał pojazd koloru pomarańczowego.

Johnson w skupieniu przyglądał się twarzy policjantki, próbując zrozumieć, do czego dąży. Jeszcze przed chwilą rozmawiali o Jeremym Smylesie, a teraz nagle o pomarańczowym samochodzie.

— Jeremy nie ma prawa jazdy — powiedział niepewnie.

— Wiem — odparła.

— Więc teraz sądzisz, że zrobił to inny pracownik przedsiębiorstwa? Może ja? — Znów zacisnęła zęby. — Co to jest, miesiąc znęcania się nad pracownikami oczyszczania miasta?

Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

— Z opisu wynika, że był to nieco starszy pojazd z General Motors, wyprodukowany na początku lat dziewięćdziesiątych. Z tego co wiem, w tej flocie jest kilka takich ciężarówek. Chciałabym się tylko dowiedzieć, kto ma do nich dostęp.

Wyjęła z kieszeni kartkę z listą pojazdów, którą zdobył Gus, rozprostowała ją i położyła na biurku przed Johnsonem.

— Komendant Loudon sądzi, że będziesz w stanie mi pomóc.

W porządku. Wyrzuciła to z siebie. Przysłał ją komendant.

Sięgając po listę, Johnson zmrużył oczy. Założył okulary, wziął ołówek i zaczął nim stukać w kartkę.

— To dość konkretny spis — powiedział. — Powiesz mi, skąd go masz?

— Na razie nie mogę — odparła. — Ale obiecuję, że kiedy to się

zmieni, ty dowiesz się o tym pierwszy. W tej chwili staram się oszacować wiarygodność poszlaki.

Powoli zmierzył ją wzrokiem.

— Zrozum — rzekła. — Przykro mi z powodu tego, co wczoraj przytrafiło się panu Smylesowi. Jason Carlino jest zrozpaczonego ojcem. Na pewno potrafisz się postawić w jego sytuacji.

Johnsona nie trzeba było głaskać.

— Chcesz się dowiedzieć, którzy z moich pracowników mają kryminalną przeszłość, tak?

Skinęła głową.

— Sam mówiłeś, że pracuje u ciebie kilku potencjalnych porywaczy.

— Ja tak powiedziałem? — zapytał z błyskiem w oku. Parsknął śmiechem, kręcąc głową na myśl o tych słowach.

— Coś w tym rodzaju — powiedziała, odpowiadając mu lekkim uśmiechem.

■ ■ ■

Kiedy O'Shaughnessy wróciła na komendę, faks z listą od Bena Johnsona już na nią czekał. Znajdowało się na niej jednaście nazwisk. Dwóch mężczyzn było na zwolnieniu warunkowym i musiało znaleźć pracę poprzez Departament Sprawiedliwości. Policjantka wpisała wszystkie nazwiska do bazy KCIK — Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej — a czekając na wyniki, zadzwoniła do Tima. Zostawiła mu wiadomość, że zawiezie dziewczynki do babci, żeby on mógł dojechać na swoje „spotkanie”. Potem zatelefonowała do Clarke'a i powiedziała mu, że z chęcią wybierze się z nim na przejażdżkę po wybrzeżu.

Na początku w wynikach z KCIK nie było nic ciekawego. Na liście znalazł się facet nazwiskiem Earl Oberlein Sykes, który siedział gdzieś na Środkowym Zachodzie za zabójstwo. W bazie danych jego wyrok połączony był z kodem pojazdu, co oznaczało, że trafił do więzienia za zabójstwo na drodze.

W ten sposób zwykle oznaczano spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Dostał wysoki wyrok zapewne dlatego, że w młodości zatrzymywano go kilkakrotnie za jazdę po pijanemu. Sykes nie był notowany za brutalne przestępstwa, więc O'Shaughnessy nie poświęciła mu więcej uwagi.

Kilku innych mężczyzn na liście miało na swoim koncie wykroczenia drogowe. Jeden prowadził pojazd pod wpływem niedozwolonych środków, inny zbiegł z miejsca wypadku. Następnie O'Shaughnessy wprowadziła do bazy nazwisko Sandy Lyons. Komputer drukował wyniki przez dobre trzy minuty.

Lyons również był na zwolnieniu warunkowym. W więzieniu odsiadywał wyrok za gwałt i usiłowanie zabójstwa. Mieszkał w Rio, kilkanaście kilometrów od morza. Był białym mężczyzną, urodzonym w Elizabeth w stanie New Jersey, i miał trzydzieści siedem lat. Spędził cztery lata w więzieniu w Lorton w Wirginii za gwałt, wyszedł w sierpniu 1999. Za gwałt został też skazany w roku 1991 na dwa lata w Alderson, a w 1986 — również na dwa lata za stosunek analny. Miał wtedy siedemnaście lat, ale sądzono go jak dorosłego. O'Shaughnessy nie miała najmniejszych wątpliwości, jak przedstawiała się lista jego dawnych przestępstw.

Usłyszała pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł McGuire. Podniosła głowę z pytającym wyrazem twarzy.

— Zgadnij, kto do ciebie dzwonił — powiedział sierżant.

— Kto?

— Newsy.

O'Shaughnessy skrzyżowała ręce na piersiach.

— Prosił, by ci przekazać, że podobno Tracy Yoland tego wieczoru, kiedy zaginęła, była widziana z Billym Weeksem.

— Chrzaniśz.

— Nie, mówię serio — odparł.

Oparła stopę o biurko i popatrzyła w stronę fotografii z miejsca zbrodni.

— No, co ty powiesz — wyszeptała.

Każdy w policji wiedział, że Billy Weeks handlował na deptaku kokainą. Czy możliwe, że cała historia rozbijała się właśnie o narkotyki? O'Shaughnessy zamyśliła się na dłuższą chwilę.

— To nie ten typ, Mac. Brak mu do tego jaj — powiedziała w końcu.

— To samo pomyślałem.

— Chcesz go aresztować?

— Jutro w południe. Chciałbym go zgarnąć, kiedy będzie handlował. Szybciej pójdzie na współpracę, jeśli zwiniemy go z kieszeniami pełnymi prochów.

— Dobry pomysł. — Obróciła monitor komputera w jego stronę. — Spójrz na to.

Przeczytał i gwizdnął pod nosem.

— Gdzieś ty go znalazła?

— Jeździ ciężarówką przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Pomarańczową.

— Jezu.

Kiwnęła głową.

— Na razie tego nie rozgłaszaj. Spróbuję zdobyć próbkę lakieru z jego wozu i zobaczę, czy nam się to do czegoś przyda.

— Boże — powiedział McGuire, kręcąc głową — wygląda świetnie.

— No dobra — odrzekła O'Shaughnessy — a teraz zmywaj się już do domu.

Patrzyła, jak wychodzi, po czym zaczęła żuć kolejną nicorette. Następnie sięgnęła po telefon. Wystukała numer przedsiębiorstwa robót publicznych. Odebrała kobieta.

— Czy Ben Johnson jeszcze tam jest? — spytała O'Shaughnessy.

— Momencik.

Po pięciu minutach w słuchawce odezwał się głos kierownika.

— Johnson — zgłosił się, lekko zdyszany.

— Ben, przepraszam, że ci przeszkadzam. Tu znowu Kelly.

— Złapałaś mnie na parkingu. W czym mogę ci pomóc?

— W jaki sposób mogę się dostać do ciężarówki, którą jeździ Sandy Lyons?

— Chwileczkę, poruczniku — odrzekł. — Muszę usunąć się wszystkim z drogi.

Po chwili odezwał się znowu.

— Przepraszam. Zbyt wiele osób słuchało. Lyons jeździ wozem z mięsem między północą a ósmą rano.

— Wozem z mięsem?

— Ciężarówką z martwymi zwierzętami.

— A, prawda — przypomniała sobie. Kiedy chodziła w mundurze, wzywała takie wozy wiele razy.

— Ma numer boczny trzydzieści trzy, ale trudno jej nie zauważyć. To lekka wywrotka z hydraulicznie podnoszoną platformą. Stoi zawsze w pobliżu myjni, z tyłu garażu.

— Czy jest zamykana na noc?

— Powinna być — odparł — ale tak naprawdę nikt jej nigdy nie zamyka. Wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, i tak trzymamy tutaj, w biurze. Wejść przez drzwi po stronie zachodniej. Te najbliżej parkingu.

— Co Lyons robi z zebranymi zwierzętami?

— Zawozi je do spalarni przy miejskim składowisku odpadów. To ostatnia czynność, zanim ciężarówka wróci na czyszczenie.

— Czyszczenie?

— Platformę szoruje się środkiem odkażającym.

— A co się dzieje, kiedy Lyons ma wolne? Czy samochód bierze ktoś inny?

— Po tym, jak we wrześnieu dostałem nowy budżet, już nie. Mam trzech pracowników, więc są trzy zmiany. Jeśli któryś z nich ma wolne, ciężarówka nie rusza się z garażu.

— Kim są pozostali kierowcy?

— Danny Ellerbee i Earl Sykes. Ale Ellerbee jest w szpitalu, ma operację przepukliny.

— Kiedy Lyons będzie miał teraz wolne?

— W czwartek, czyli pojutrze. Ale będziesz musiała poczekać, aż

pójdzie sobie wieczorna zmiana. Zaczynają wracać z miasta koło dziesiątej, czyszczą i o wpół do dwunastej nie ma tam już żywej duszy.

— Dzięki — powiedziała O'Shaughnessy i odłożyła słuchawkę.  
— Tak! — Uderzyła pięścią w stół.

Spalarnia to idealne miejsce do pozbycia się ciał.

■ ■ ■

Kiedy Clarke podjechał pod jej dom, wyglądał całkiem atrakcyjnie. Ubrany był w oliwkowe spodnie od garnituru i błękitną koszulę, a na bosych nogach miał mokasy.

Zwykle O'Shaughnessy byłaby skrepowana tym, że przyjeżdża po nią mężczyzna, tak samo jak wówczas, gdy spotykała się z nim w barze. Jednak nie wiedzieć czemu, tym razem zupełnie nie przywiązywała do tego wagi.

Zauważyła, że Clarke również z uznaniem patrzył na jej ubiór. Spódniczka, którą założyła, była najkrótsza w całej jej garderobie, ale policjantkę naszła ochota, by wybrać właśnie tę — i zanim zdążyła zmienić zdanie, już ją miała na sobie.

Wieczór był piękny. Gwiazdy świeciły jasno, powietrze było ciepłe, a jazda do Cape May dodawała energii. Clarke opuścił dach, więc szum wiatru był zbyt głośny, by można było rozmawiać. Jednak obojgu zdawało się wystarczać to, że mogą w milczeniu chłonać ten nastrój.

Przejechali przez most i podążyli drogą wzdłuż szeregu oświetlonych domów. Po dwudziestu minutach zatrzymali się w pobliżu pastelowych wiktoriańskich willi w Cape May — nadmorskim miasteczku, w którym oświetlone latarniami gazowymi ulice pełne są wykwinnych restauracji i eleganckich pensjonatów.

Clarke wziął swoją towarzyszkę pod rękę i zaprowadził do restauracji, a w niej — do stolika przy oknie, który dla nich zarezerwował. Było jej miło, gdy o nic nie pytając, zamówił wino i kilogramowe homary.



Kolacja była wyborna. O'Shaughnessy bawiła się świetnie — w Clarke'u nie było nic wyniosłego. Po raz kolejny całkowicie się przy nim odprężyła. Był najzwyczajszym w świecie facetem, tyle że z górą pieniędzy.

Jazda powrotna była podniecająca. Może to zasługa wypitego chardonnay, a może to przez księżyc na niebie, ale O'Shaughnessy przychodziły do głowy myśli, o które nawet by siebie nie podejrzewała.

— Musisz już wracać do domu? — zapytał.

— A nie pokazałbyś mi swojego? — niemal zachichotała. — Swojego domu — uściśliła. Rozpuszczone włosy powiewały jej wokół twarzy. Przypomniła sobie o spotkaniu Tima. Ciekawe, co teraz robi, pomyślała.

Dom Clarke'a był duży. Wróć: dom Clarke'a był ogromny. Stał na wzgórzu nad samym morzem. Weszli do wielkiego pomieszczenia z masywnymi marmurowymi kolumnami. Na podłodze leżały jasne orientalne dywany, a czerwona, mahoniowa posadzka odbijała światło niczym ciemna, nieruchoma tafla wody.

Kręte drewniane schody prowadziły do salonu, w którym stał czarny fortepian. Z okien rozciągał się fantastyczny widok na morze. Stół w jadalni zastawiony był na dwadzieścia osób, a w bibliotece z widokiem na zatokę pełno było starych książek oraz ciężkich krzeseł obitych skórą.

Kobieta z zachwytem patrzyła na obrazy olejne o żywych, intensywnych kolorach oraz na pięknie oprawione fotografie wiszące na ścianach. Na środku kuchni stała wyspa wielkości całej kuchni w domu O'Shaughnessy, znaczną zaś część miejsca pod ścianą zajmowała lodówka ze stali nierdzewnej, tak duża, że można by w niej zmieścić całą krowę.

— Chodź, pokażę ci górę — powiedział Clarke podekscytowany, łąpiąc kobietę za rękę i ciągnąc w stronę schodów. Zaprowadził ją do pokoju w ośmiokątnej wieżycze średnicy kilkunastu metrów. Podłoga wyłożona była białymi dywanami. Pomieszczenie chłodził system klimatyzacji poprowadzony w listwach przypodłogowych.

Na środku pokoju znajdował się okrągły kominek z pionowym wylotem, otwarty ze wszystkich stron. Ściany ośmiokąta były przeszklone.

Po obu stronach kominka stały kanapy w kształcie podkowy. W pokoju znajdowały się również dwa wyściełane fotele, obite beżową skórą — podobnie jak kanapy. Na dywanie leżały cztery brązowo-pomarańczowe poduchy, wielkie niczym bobsleje. Mosiężny teleskop na statywie wycelowany był w morze.

Clarke podniósł pilota i wcisnął przycisk. W kamiennym kręgu nagle zapłonął ogień, a z ukrytych w suficie głośników popłynęła muzyka. Szumiąca cicho klimatyzacja równoważyła nadmiar ciepła.

O'Shaughnessy podeszła do teleskopu i ustawiła ostrość na niewielką przybrzeżną łódź. Przyglądała się przez chwilę, jak łódka unosi się na fali, powoli przesuwając się wzdłuż wybrzeża. Potem odwróciła się, rozkoszując się chwilą.

— Chardonnay? — zaproponował Clarke.

— Idealny wybór — odrzekła. Usiadła na dywanie, podwijając nogi i opierając się o poduszkę.

Mężczyzna otworzył drzwiczki w ścianie i wyjął butelkę. Nalał wina do kryształowych kieliszków i podszedł z nimi do O'Shaughnessy. Stuknęli się. Clarke zrzucił buty i usiadł obok niej.

— No to biwakujemy — powiedział.

— Tak — zgodziła się cicho, wodząc wzrokiem po pokoju. — Biwakujemy.

W niedługim czasie leżeli na brzuchach, twarzą do oceanu. Rozmawiali, śmiali się, patrzyli, jak światła statków unoszą się na falach. Zdawała sobie sprawę z tego, że jego ramię jest tuż przy jej ramieniu, jednak Clarke nigdy nie pozwalał jej odczuć, że mu się spieszy. A kiedy ich dłonie się spotkały, splotły się i uściśniły. Mężczyzna przewrócił się na plecy i wciągnął O'Shaughnessy na siebie.

Tym razem przy pocałunku rozchyliła usta.

# 19

## Środa, 1 czerwca Wildwood w stanie New Jersey

Odezwał się telefon.

— Dzwoni detektyw z Filadelfii. O'Shaughnessy kiwnęła głową i podniosła słuchawkę.

— O'Shaughnessy.

— Witam, poruczniku. Tu John Payne z Filadelfii.

— Witam, detektywie Payne — odrzekła z uśmiechem. — Jak postępy w sprawie?

— Żadnych... aż do dzisiejszego ranka. Wspomniałem FBI o mafijnym motywie Scaglii i zanim się obejrzałem, już mi przysłali wyniki analizy balistycznej. Wie pani, co się okazało? Broń, z której zabito Susan Paxton, została użyta w hrabstwie Cape May w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Nierozwiązana sprawa strzelaniny na rogu Atlantic i Cresse.

— Niemożliwe.

— Sprawa niejakiej Lisy Penn, białej kobiety, lat osiemnaście, urodzonej w Indianie w stanie Pensylwania. Kulę znaleziono w volkswagenie garbusie z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, zarejestrowanym na jej nazwisko. Ale to wszystko, czego się dowiedziałem. Mam nadzieję, że będziecie mogli powiedzieć mi coś więcej.

— Rany, tej sprawie rosną macki.

— Owszem. I wszystkie sięgają w pani stronę.

— Proszę mi dać kilka godzin.

Akta sprawy znajdowały się w piwnicy, w burooliwkowej szafie na dokumenty, odrapanej i pełnej wgnieceń, pokrytej pacyfkami oraz naklejkami „Naprzód armia!”.

Z papierów wynikało, że Lisa Penn jesienią 1974 roku uczęszczała na Uniwersytet Pittsburski. Kiedy przez kilka dni nie wracała na noc do akademika, jej współlokatorka dała znać ochronie kampusu. Okazało się, że dziewczyna nie pojawiała się także na zajęciach. Powiadomiono rodziców, a policja przyjęła zgłoszenie zaginięcia. Dwa tygodnie później policjant z Wildwood znalazł błękitnego volkswagena garbusa, należącego do Lisy, podczas kontroli samochodów zalegających na publicznych parkingach. Pojazd — z plikiem zatkniętych za wycieraczkę mandatów za zbyt długie parkowanie — stał w pobliżu Cresse i deptaka. Pierwsze z upomnień wypisano grubo ponad miesiąc wcześniej.

Policja nie potrafiła odnaleźć dziewczyny. Rodzice przyjechali do Wildwood, zatrzymali się w hotelu, po czym dniem i nocą chodzili po miasteczku z fotografią córki. Przez wiele tygodni wypytawali o nią policjantów patrolujących ulice, właścicieli sklepów, hipisów. Kiedy się wreszcie poddali, odmówili odebrania samochodu, prosząc, by miasto sprzedało go na aukcji, a dochód przekazało na schronisko dla nastolatków, którzy uciekli z domu. Nie chcieli posiadać niczego, co przypominałoby im o ich tragedii.

Po kolejnych dwóch miesiącach volkswagen został wystawiony na sprzedaż. Mechanik, który przygotowywał samochód do inspekcji, znalazł w podłodze po stronie kierowcy kulę z pistoletu, której wcześniej nie zauważono. Policijni eksperci stwierdzili, że strzał oddano w fotel kierowcy. W rozerwanych włóknach obicia siedzenia oraz w dywaniku pod spodem odnaleziono ślady ludzkiej krwi.

O'Shaughnessy przewróciła stronę.

Odciski palców na drzwiach po stronie kierowcy oraz ślady dłoni na kierownicy są nieczytelne. W bezpośrednim sąsiedztwie pojazdu zebrano następujące przedmioty: papieros bez filtra, bilet komunikacji miejskiej, zapalniczkę jednorazową, fragment osłony reflektora tylnego z samochodu produkcji amerykańskiej.

Wiedziała, że lata siedemdziesiąte były szalonym okresem dla policjantów w całym kraju. Choć była wtedy dzieckiem, zachowała mgliste wspomnienia miasteczek namiotowych na obrzeżach miasta i mogła sobie tylko wyobrażać, ile drobnych zakłóceń porządku notowano każdego dnia — pospolite wypadki, urazy i cała masa przypadków przedawkowania. Co drugi hipis używał nieprawdziwego lub niepełnego nazwiska, a gdy ktoś zaginął, zakładało się, że po prostu przeniósł się w inne miejsce.

W każdym mieście w Stanach szybko znalazłoby się wiele ważniejszych rzeczy niż porzucony samochód i zaginiona dziewczyna.

O'Shaughnessy przesuwiała palcami po naddartej, czerwonej oprawie teczki. Przeglądała zniszczone wodą kartki, bawiąc się w ustach zwietrzałym listkiem nicorette.

A potem znalazła listę.

Zapisana była niebieskim długopisem na wyrwanej z notatnika kartce w linie:

Venable Marissa, biał/K/ur. 6.6.58 — Beckley, Wirginia Zachodnia; zaginęła 7.7.74.

Ashley Bianca, biał/K/ur. 6.3.54 — Wildwood; zaginęła 27.9.74.

Melissa NN, biał/K/ur. bd./lat ok. 20; zaginęła 18.2.76 wraz z małym dzieckiem, bd.

Poniżej, na samym dole strony, znajdował się zapis: „Penn Lisa, biał/K/ur. 13.4.56; zaginęła 21.9.74”. Zakreślono go na czerwono i

poprowadzono strzałkę w górę, pomiędzy nazwiska Venable i Ashley.

O'Shaughnessy przerzuciła kolejne strony, by spojrzeć na akta Marissy Venable. Dziewczyna mieszkała w komunie na Versailles Street wraz z jedenastoma innymi osobami. Zaginięcie zgłosił mężczyzna, z którym dzieliła łóżko. Jak zeznał, po raz ostatni widział ją na imprezie plażowej, na której palili marihuanę. Kiedy obudził się następnego ranka, wciąż jej nie było. Ponieważ nie przyszła po swoje rzeczy również przez kilka następnych dni, postanowił pójść na policję.

Rodzice Venable zeznali, że ostatni raz kontaktowała się z nimi cztery miesiące przed zaginięciem. Wraz z dokumentami w koszulce były dwie fotografie: na jednej — zrobionej kilka lat wcześniej — widać było Marissę wraz z matką, druga, pochodząca z 1971 roku, przedstawiała ją oraz jej kuzynkę w Arizonie. Dziewczyny stały na tle kaktusa, w lennonkach na nosie, ubrane w długie koszule z koralikami.

Bianca Ashley-Wells, druga z zaginionych kobiet, urodziła się i wychowała w części Wildwood znanej jako North Beach. Była żoną miejscowego agenta nieruchomości. W aktach sprawy znajdowała się informacja, że w wieczór, gdy zaginęła, państwo Wells mieli obchodzić rocznicę ślubu. Ich kombi marki Volvo znaleziono z otwartą maską przy Garden State Parkway, niedaleko klubu golfowego. Policjanci ustalili później, że w samochodzie obluźował się przewód chłodnicy. Zaczął wyciekać płyn, wskutek czego przegrzał się silnik. Kobieta była wtedy niespełna cztery kilometry od klubu, w którym wraz z mężem mieli zjeść rocznicową kolację.

Bianki Ashley — ani pięknie zapakowanego roleksa, który miał być prezentem dla jej męża — nigdy nie znaleziono. Jubiler, u którego kupiła zegarek, zeznał, że wpadła do sklepu tuż przed zamknięciem i była w doskonałym nastroju. Kolejne kilkanaście stron dokumentów dotyczyło męża, który — jak ostatecznie stwierdzono — był niewinny.

Dwa lata później, w lutym, zaginęła wraz z córeczką kobieta mieszkająca na co dzień w Cottage Town — ciemnowłosa piękność, która na fotografii dołączonej do akt kłęczała obok piaskowej rzeźby Ostatniej Wieczery. Na odwrocie zdjęcia napisane było tylko „Melissa”. Jak zeznali współlokatorzy, kobieta miała dziecko — małą, wesołą dziewczynkę w wieku przedszkolnym. Na temat swej przeszłości milczała. Nigdy nie podała im nazwiska, nie wspominała też o ojcu małej. Mieli wrażenie, że pochodzi z któregoś z północno-wschodnich stanów, ale nie potrafili ustalić, jak doszli do takiego wniosku.

O’Shaughnessy podniosła słuchawkę i wystukała numer laboratorium.

— Gus? Tu Kelly. Możesz do mnie na chwilkę wpaść?  
Muszę ci coś pokazać.

■ ■ ■

— Słyszałeś kiedyś o policjancie nazwiskiem Andrew Markey?  
Gus popatrzył na nią dziwnie i skinął głową.

— Aha. Kiedy ja zaczynałem tu pracować, on był kapitanem. W latach siedemdziesiątych był zamieszany w wymuszanie okupu w Atlantic City. Zatrzymało go FBI i odsiedział parę lat gdzieś na północy stanu Nowy Jork.

— Miał córkę, prawda?

Szef laboratorium kiwnął głową.

— Owszem.

— Markey nie żyje. Pierwszego maja spadł ze schodów w domu opieki Elmwood. Jego córka parę dni później została zastrzelona w taki sposób, że wyglądało to na egzekucję. Ktoś wszedł do sklepu, w którym pracowała, i wpakował w nią trzy kulki. Tamtejsza policja wykluczyła zarówno motyw seksualny, jak i rabunkowy. Jeden z ludzi, przeciwko którym zeznawał jej ojciec, jest teraz prawą ręką bossa rodziny Gambino.

Gus zmarszczył brwi.

— Jeśli to on, to cholernie długo czekał z zemstą.

— Co do tego wszyscy się zgadzamy. — O’Shaughnessy wzruszyła ramionami. — Ale uważaj teraz: wydział zabójstw z Filadelfii zlecił analizę balistyczną broni, z której zabito córkę Markeya. Okazało się, że występuje w jednej z naszych spraw.

Gus pochylił się w kierunku koleżanki. Kryminalistyka była jego specjalnością.

Przez chwilę patrzył O’Shaughnessy w oczy, potem zwrócił wzrok na grubą czerwoną teczkę leżącą na biurku.

— Jaka to sprawa? — spytał z wahaniem, gdyż nie przypominał sobie w Wildwood żadnych mafijnych strzelanin.

— Lisa Penn — powiedziała.

— Nie kojarzę. — Gus pokręcił głową.

— Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty — odrzekła O’Shaughnessy z uśmiechem. — Miałam wtedy trzy latka.

— Dobry Boże — szepnął. — To ta teczka?

— Aha. Ale zbytnio nam nie pomoże. Ofiary nigdy nie odnaleziono.

Gus wyglądał na zmieszanego.

— Wróć do tej strzelaniny w Filadelfii.

— Córka Andrew Markeya przeprowadziła się tam dwadzieścia pięć lat temu. Detektyw z tamtejszej policji mówi, że była czysta, bardzo angażowała się w parafii, miała dobrą rodzinę, porządnych znajomych i żadnych dostrzegalnych wad. Podobno nigdy nie wróciła do Wildwood i z nikim stąd nie utrzymała kontaktów. Nawet z ojcem, który od dziesięciu lat mieszkał w Elmwood.

Szef laboratorium gwizdnął.

— A co z mężem?

— Równie czysty jak ona — pokręciła głową. — Urodził się i wychował w Filadelfii, pochodzi z dobrej rodziny, wykształcony. W Filadelfii mają nadzieję, że powiemy im o Markeyu coś, czego jeszcze nie wiedzą.



— Mogę spojrzeć na te papiery?

O'Shaughnessy podniosła materiały i podała mu je z uśmiechem.

— Miałam nadzieję, że wreszcie o to zapytasz.

Położył teczkę na kolanach i zaczął wodzić palcem po jej oprawie.

— A matka? — spytała O'Shaughnessy. — Gliniarze z Filadelfii w ogóle o niej nie wspominali.

Skinął głową.

— Ładna kobieta. Zrobiła sobie długi spacer z krótkiego molo w tydzień po tym, jak postawiono Markeya w stan oskarżenia. Nikt już jej więcej nie zobaczył. Po tym zdarzeniu córka stała się istnym dzikusiem. Pamiętam, jak chłopcy opowiadali o niej na komisariacie. Mówili na nią nawet Dzika Sue czy jakoś tak. Z tego co wiem, przynajmniej raz przytknęli ją za narkotyki. Zadawała się z niezłymi szumowinami. A potem nagle zniknęła, a przynajmniej nikt o niej więcej nie słyszał.

O'Shaughnessy pomyślała, że detektywa Payne'a na pewno zainteresuje ta ostatnia informacja. Chociaż mimo wszystko były to bardzo dawne dzieje, podobnie jak mafijne koneksje jej ojca.

— Przedzwoń do mnie, jak skończysz czytać te akta — poprosiła.

— Ale to dopiero jutro. Dzisiaj muszę skończyć z tą sprawą kasy oszczędnościowo-pożyczkowej, inaczej Clarke się wścieknie. FBI już go doprowadza do sąła.

## **Czwartek, 2 czerwca**

O'Shaughnessy spędziła rano na zdobywaniu informacji o Sandym Lyonsie. Mieszkał w Rio, przy drodze numer 9, w domu z segmentów z dwiema sypialniami. W okolicy miał tylko jednego sąsiada. Na podjeździe stały motocykl oraz dziesięcioletnie subaru, po ogródku zaś krążył głośno szczekający doberman. Jak mówił listonosz, Lyons mieszkał sam.

Policjantka zażądała streszczeń dawnych spraw z jego udziałem, z których mogłaby poznać szczegóły popełnionych przez niego przestępstw na tle seksualnym. Interesowało ją szczególnie to, czy wobec którejkolwiek ze swych ofiar posłużył się taśmą izolacyjną oraz czy zabierał kobiety z miejsca popełnienia przestępstwa.

Tuż po przerwie na lunch przed drzwiami jej gabinetu dostarczono bukiet białych róż. Policjanci na komisariacie powitali ten fakt entuzjastycznym pomrukiem. O'Shaughnessy odebrała to jako sygnał, że zaczynają ją akceptować — chociaż być może po prostu podobała im się doreęczycielka.

Do kwiatów dołączony był bilecik od Clarke'a. Nie od Tima.

Zatelefonowała do prokuratora, by mu podziękować, i zupełnie zapomniała, że w tej chwili przemawiał właśnie w sprawie kasy oszczędnościowo-pożyczkowej. Zostawiła mu zatem wiadomość. Później zadzwoniła do dziewczynek, które z przedszkola wracały do babci. O dziwo, odebrał Tim.

— Jak się masz, Kel?

— W porządku. A ty?

Zastanawiała się, dlaczego Tim nie jest w pracy, i ciekawiło ją to jego cholerne „spotkanie” — ale o nic nie zapytała. W końcu oboje byli dorośli, a zresztą to ona pierwsza zasugerowała separację. No, a czym jest separacja, jeśli nie szansą na dokonanie ponownej oceny sytuacji? Poza tym ona poszła przecież na randkę z Clarkiem.

Przez kilka minut rozmawiali o urodzinowym przyjęciu Reagan, po czym Tim przekazał słuchawkę dziewczynkom.

— Mamo, muszę przynieść do domu fretkę — oznajmiła podekscytowana Marcy.

— Fretkę...

— Nazywa się Alf i każde z nas zabiera go na tydzień do domu, jeśli tylko rodzice się zgodzą. Tatuś mówi, że się zgadza. Mówi, że ty też się zgodzisz. Zgodzisz się, mamusiu?

— Oczywiście, że się zgodzę — odparła. — Co u twojej siostry?

— W porządku, ale jej Alf nie lubi tak bardzo jak mnie.  
— Daj ją do telefonu.  
— Reagan wygrała bilet do kina w konkursie ortograficznym.  
— Daj ją do telefonu — powtórzyła O'Shaughnessy. — Na pewno sama chce mi o tym powiedzieć.

Brakowało jej tego, jak córki przy kolacji opowiadały o szkolnych przygodach. Brakowało jej bycia znów częścią rodziny. Czy Tim naprawdę miał randkę?

■ ■ ■

McGuire wraz z dwoma detektywami zgarnęli Billy'ego Weeksa przed lombardem Lecky'ego i przywieźli go na komisariat.

Weeks — w rozchełstanej koszuli, ze zmierzwionymi włosami i grymasem na twarzy — udawał oburzonego. Co prawda gliniarze zatrzymywali go nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy Billy miał przy sobie kupę forsy oraz trzy torebki prochów — nie wspominając już o kolejnych dziesięciu, które policjanci znaleźli w pustym kubku po kawie, stojącym na śmietniczce tuż obok. Jednak Billy specjalnie się nie martwił. Wiedział, że funkcjonariusze nie byli w stanie uzasadnić przeszukania, jeśli nie był o nic podejrzany. Jeżeli nie istniał żaden prawny powód, by go aresztować, policjantom nie wolno było grzebać mu po kieszeniach. Sędzia nie dopuściłby wtedy kokainy jako dowodu. Może nawet jego adwokat mógłby ich pozwać za bezpodstawne zatrzymanie.

W pokoju przesłuchań — nie większym niż garderoba Billy'ego — stał wąski stół z dwoma krzesłami z każdej strony. Ściany obite były korkowymi płytkami tłumiącymi dźwięk. Weeks czekał, aż rozpocznie się przesłuchanie. Wiedział, jak to się robi. Najpierw będą go ugłaskiwać, a potem zaczną się ostro. Przecież oglądał Nowojorskich gliniarzy. Miał zamiar wyczekać wystarczająco długo, by dowiedzieć się, jak dużo wiedzą, a potem zażądać adwokata. To miało być jego ostatnie słowo na dowolny temat.

Ale sierżant McGuire nie zdążył jeszcze powiedzieć dwóch pełnych zdań, gdy Billy zaczął gadać — całkiem zapominając o prawnikach i pozwach. Nie wiadomo, skąd gliniarze dowiedzieli się, że był ostatnią osobą, która widziała Tracy Yoland.

Wyśpiewał im wszystko, co wiedział. Gdyby kiedyś znaleźli ciało, i tak mieliby jego włosy i nasienie. Mogliby go postawić przed jakąś drobnomieszczańską ławą przysięgłych i skazać za morderstwo na podstawie samego DNA. A Billy Weeks nie chciał być podejrzany o morderstwo, choćby i przez pięć minut. Billy chciał, żeby oskarżyli go o posiadanie kokainy, ale nie o zabójstwo. Billy chciał pomóc, jak tylko potrafi!

— Nie widziałeś ulotek, które rozdawaliśmy na deptaku?

— Widziałem, widziałem — odpowiedział. Zauważył ulotki. Wiedział, że chodzi o tę samą dziewczynę, z którą był tamtego wieczoru. Ale to, że ją znał, było chyba zgodne z prawem, no nie? Nie słyszał natomiast o tym, że znaleźli jej torebkę. Przypuszczał, że zmieniła zdanie, nie wróciła do domu i spędziła noc z kimś innym. W końcu już mu się to przytrafiało.

■ ■ ■

Kiedy O'Shaughnessy weszła do laboratorium, Gus pochylał się nad lupą wielkości talerza.

— Kasa oszczędnościowo-pożyczkowa? — spytała.

Mężczyzna kiwnął głową, przerzucając pod lupą jakieś dokumenty.

— Rzekłbym, że kobitka ma niezły nerw — powiedział.

— Słyszałam, że suma doszła już do ćwierć miliona.

— I to jeszcze nie koniec. Ona miała więcej kont w bankach niż butów w szafie.

— Jak sobie radzisz?

— Nieźle. — Odsunął lupę. — A ty?

— Gus, pytam poważnie: jak ty sobie radzisz? — Położyła mu dłoń na ramieniu. Był to jeden z niewielu momentów, gdy w pobliżu nikogo nie było.

— Tak sobie — odrzekł.

— Nie miałam ci tego kiedy powiedzieć, ale bardzo mi przykro, Gus.

— Kelly, spędziliśmy razem wiele pięknych lat. Trzeba na to patrzeć w ten sposób.

O'Shaughnessy pomyślała o Timie i dziewczynkach. Nic nie było pewne. Nigdy.

— Jesteś pewien, że chcesz tutaj być? — zapytała.

— Mógłbym siedzieć tam, w tym pastelowym piekle, czekając, aż ona umrze, ale wolę pracować. Dzięki temu mam czym zająć myśli. A poza tym ona i tak przez większość czasu śpi.

O'Shaughnessy ścisnęła go za ramię.

— McGuire mówił mi, że dzwoniłeś.

Gus podszedł do biurka i podniósł czerwoną teczkę.

— Pamiętam te kobiety — powiedział. — W tamtych czasach nie mieliśmy zbyt wielu specjalistów. Szczerze mówiąc, w całym wydziale był tylko jeden detektyw, a jego praca polegała na monitorowaniu licencji lombardów i sklepów z alkoholem. Gliniarze patrolujący ulice sami zajmowali się śledztwami, a w sprawach o morderstwo pomagała im policja stanowa. Mówiło się, że w Filadelfii i Waszyngtonie operują handlarze ludźmi, a przez nasze miasto w tych swoich lincolnach i cadillacach przejeżdżali alfonsi w drodze do Atlantic City. Mieliśmy odnotowywać wszystkie samochody spoza stanu oraz jakiegokolwiek podejrzanego zdarzenia. Węszyli u nas wielkomięjscy detektywi z Waszyngtonu, ale nigdy niczego nie znaleźli.

— I wszyscy po prostu przeszli nad tą sprawą do porządku dziennego? — Pokręciła głową.

— Tak to wtedy było, Kelly. W latach siedemdziesiątych nie istniało centralne biuro osób zaginionych. Każdy wydział sam spisywał raporty, sam teleksem rozsyłał po Stanach opisy i sam szukał ofiar. Wyobraź sobie cały kraj pełen włóczących się nastolatków. Pornografowie, seryjni mordercy i gwałciciele przeżywali złoty okres. Ofiary same wyciągały kciuki i gramoliły się na tylne

siedzenie pierwszego samochodu, jaki się napatoczył.

— Ale co przerwało tę serię? Tego typu rzeczy nie kończą się tak same z siebie.

Pokręcił głową.

— Może facet przeprowadził się do innego stanu, a może dał się aresztować. Może umarł. A może rzeczywiście istniał jakiś gang handlarzy ludźmi i ktoś się do niego dobrał. W grę mogło wchodzić milion różnych powodów.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

— No dobrze, ale co z tą Penn? Po co strzelać do kogoś, kogo i tak ma się zamiar porwać? Skoro już ją miał na muszce, to raczej nie powinno być trudności z przekonaniem jej do współpracy.

— Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy: może nie brała go na poważnie i chciał ją nastraszyć.

— Potem porwania nagle się skończyły?

Potwierdził skinieniem głowy.

— Do ostatniego doszło w siedemdziesiątym szóstym. — Postukał w wierzch teczki. — Sprawdziłem to dzisiaj w wydziale do spraw nieletnich. Nie było żadnych zaginięć w szczególnych okolicznościach od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy jakaś pokojówka porwała dziecko z hotelu Pan Am i zawiozła je do Karoliny Południowej. — Gus podał jej dokumenty. — Aż do przypadku Anne Carlino w maju.

— Co sądzisz o tej sprawie z Filadelfii? O wynikach analizy balistycznej?

— Rzekłbym, że to najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałem przez trzydzieści pięć lat pracy.

■ ■ ■

Czekając, aż detektyw podniesie słuchawkę, O'Shaughnessy włożyła do ust nicorette i oparła się w fotelu.

— Payne, słucham.

— Witam, detektywie Payne, z tej strony O'Shaughnessy. Niestety, nasze akta nieletnich spłonęły w pożarze, ale mogą panu powiedzieć, że kiedy ta pańska święta mieszkała w Wildwood, wcale nie była taka święta. Spotkałam się z przezwiskiem Dzika Sue. Pamięta ją szef naszego laboratorium. Mówi, że zadawała się z typami spod ciemnej gwiazdy.

— Co pani powie. — Payne przytrzymał słuchawkę ramieniem i sięgnął po notatnik. — A co z tą strzelaniną w siedemdziesiątym czwartym? Z tą Lisą Penn?

— „Zaginęła z college'u w Indianie w stanie Pensylwania” — odczytała z zapisków O'Shaughnessy. — „Samochód znaleziono przy deptaku, kula przeszła przez fotel. We włóknach obicia była krew odpowiadająca grupie krwi dziewczyny”. I tyle. Nikt jej więcej nie widział ani o niej nie słyszał.

— To wszystko?

— Niestety. — Wyjęła gumę z ust, skrzywiła się i wrzuciła ją do kubła na śmiecie. — W tym samym czasie zaginęło też kilka innych kobiet. W sumie cztery w przeciągu dwóch lat. Żadna ze spraw nie została rozwiązana.

— Jezu.

— Jeśli pan chce, mogę przesłać faksem streszczenia. — Kiedy zbłądziła wzrokiem w stronę fotografii rury kanalizacyjnej z miejsca zbrodni, w głowie, niczym od błysku żarówki, zaświtała jej myśl, która poprowadziła ją w pewnym dziwnym kierunku.

— Detektywie — powiedziała cicho.

— Tak, poruczniku?

— Samochód Lisy Penn, ten z kulą z waszego pistoletu z siedemdziesiątego czwartego, znaleziono na publicznym parkingu przy deptaku.

— No i?

— Pierwszego maja miałam tutaj porwanie. Dokładnie takie samo. Samochód ofiary został znaleziony na tym samym parkingu. Na miejscu zbrodni było dużo krwi, a po dziewczynie do tej pory ani śladu.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Jacyś podejrzani?

— Dwaj.

— Czy któryś z nich mógłby przyjechać tutaj i zabić Susan Paxton?

— Nie wiem. Jeden z nich nie potrafi prowadzić samochodu, a drugi jeszcze nie wie, że jest podejrzany.

Na moment zamilkli.

— Poruczniku — zaczął Payne z wahaniem — czy wciąż trzymacie Andrew Markeya w lodzie?

— Tak. Po naszej wczorajszej rozmowie dzwoniłam do prosek-torium.

— Niech pani posłucha... Wiem, że to może się wydawać nieco nie na temat, ale tak się zastanawiam: czy słyszała pani kiedyś o niejkiej Sherry Moore?

O'Shaughnessy powtórzyła to nazwisko:

— Sherry Moore? Chyba nie.

— Sporo o niej piszą. Pomaga policji w rozwiązywaniu trudnych spraw. Potrafi czytać w pamięci. W pamięci...

— ...zmarłych. Tak, tak, teraz sobie przypominam — przerwała O'Shaughnessy. Czytała o tej kobiecie zeszłej jesieni, na promie, w drodze na Martha's Vineyard. Słodko-gorzkie wspomnienie o niespodziance, jaką zrobił jej Tim, gdy z okazji rocznicy ślubu zorganizował tę wycieczkę, zaskoczyło ją niemal tak bardzo jak samo pytanie Payne'a.

— Sherry Moore jest moją przyjaciółką. Poprosiłem, żeby pomogła mi w sprawie Susan Paxton.

O'Shaughnessy milczała przez chwilę.

— Żeby odczytała pamięć ofiary? — spytała wreszcie.

— Coś w tym stylu.

— Cóż, muszę przyznać, detektywie Payne, że każdy telefon od pana to kolejne zaskoczenie. No więc co takiego zobaczyła?

— Mężczyznę. Opisała go naszemu rysownikowi, więc mam portret pamięciowy. Młody, długie włosy, broda. Nie figuruje



w naszych rejestrach. Nie rozpoznają go ani mąż ofiary, ani jej współpracownicy.

— I chce się pan dowiedzieć, czy Andrew Markey widział przed śmiercią tego samego mężczyznę.

— Aha.

O'Shaughnessy przez szybę gabinetu spojrzała na policjantów przy biurkach. Sierżant McGuire rozmawiał przez telefon.

— Mój wydział nigdy by się na to nie zgodził.

— Nie musi pani nikogo pytać. Wystarczy, że na parę minut wpuści pani Sherry do prosektorium. No i że powie mi pani jeszcze, gdzie powinienem pójść, żeby pokazać portret pamięciowy ludziom w pobliżu deptaka. Może istnieje jakiś związek. Może mój zabójca to pani porywacz?

— Wiem, że to ja pierwsza o tym wspomniałam, ale nie sądzi pan, że taka teoria jest trochę naciągana?

— No cóż, ma pani okazję to sprawdzić. To nie będzie nic kosztować. Wejdziemy, wyjdziemy, dowiemy się, że Andrew Markey został zepchnięty ze schodów albo że spadł sam. I tyle. Nikt nie musi się dowiedzieć, że w sprawę zamieszana była Sherry.

O'Shaughnessy wysunęła szufladę biurka i wyjęła papierosa. Przypaliła go zapałką i wydmuchnęła dym w stronę sufitu.

— Czyta mi pan w myślach — powiedziała sucho.

— Poruczniku, ja wiem, jak ludzie na to reagują. Przecież sam jestem gliniarzem. Ja po prostu chcę znaleźć zabójcę Susan Paxton.

— Kiedy chcecie przyjechać... nieoficjalnie? — spytała, patrząc w ścianę.

— Czy piątek by pani odpowiadał? W sobotę wybralibyśmy się do kostnicy, a w niedzielę pochodzili po mieście z portretem pamięciowym.

— Dacie radę przenocować w mieszkaniu zjedna sypialnią? W salonie jest rozkładana kanapa.

— Nie musi sobie pani robić kłopotu...

— Niech to będzie mój wkład w sprawę — przerwała. — A poza

tym o tej porze roku z tak małym wyprzedzeniem nie znaleźlibyście tutaj żadnego noclegu.

— W takim razie bez problemu przenocujemy w mieszkaniu.

— To dobrze — odparła, patrząc w sufit i rozmyślając o tym, że właśnie schodziła z utartego szlaku. — Pani Moore ma się trzymać z dala od ludzi. Nikt poza mną nie będzie z nią rozmawiał. Co do tego nie będzie żadnych negocjacji. Co więcej, będzie dokładnie tak, jak pan powiedział: nikt nie może się dowiedzieć, że ona w ogóle jest w Wildwood.

— Umowa stoi.

— Jeszcze coś.

— Tak?

— Na weekend zapowiadają podłą pogodę. Obie Karoliny już oberwały, a jeśli burza dalej będzie się przesuwać wzdłuż wybrzeża, ładnie nie będzie.

— Poruczniku, nie jedziemy tam na wakacje.

— No dobrze, w takim razie widzimy się w piątek. Dam panu adres i numer komórki.

O'Shaughnessy wiedziała, że z prosektorium nie będzie problemów — Gus miał własny zestaw kluczy, więc wystarczyło, że go o nie poprosi. Mieszkanie stało natomiast puste, odkąd w zeszłym roku zmarła jej matka. Na pewno śmierdziało stęchlizną i wymagało przewietrzenia, ale za to pościel była czysta.

■ ■ ■

Sykes jechał na zachód w kierunku sygnału, a potem skręcił w lewo na Desmond Drive. Wezwanie dotyczyło psa leżącego w ślepej uliczce. To była bogata okolica, ceny domów wahały się od kilkuset tysięcy do miliona dolarów. W słoneczne popołudnia Sykes lubił tam przesiadywać i obserwować, jak żony i córki w króciutkich tenisowych spódniczkach wynoszą zakupy ze swoich mercedesów.

Przez te wszystkie lata on siedział w klatce, podczas gdy ci ludzie beztrosko sobie żyli: urządzali grille w ogródkach, pili wino i

ruchali sąsiadki, oszukiwali przy podatkach i wykorzystywali biednych. Ileż to razy rozmyślał o tym, jak upajają się zapachem skórzanych siedzeń w swoich mercedesach, jak opalają się nad basenami z „The Wall Street Journal” w dłoni, podczas gdy jego z każdej strony otacza stal.

Nigdy mu tego nie zrekompensują. Ani przez rok, ani nawet przez milion lat.

Pies leżał w zaułku bez ruchu. Zaraz po drugiej stronie szpaleru drzew biegła szosa. Prawdopodobnie zwierzę zostało potrącone i próbowało dopęłznąć do domu, ale w końcu padło.

Nikogo nie było w pobliżu, kiedy Sykes zawrócił i zatrzymał wóz tuż przy psie, zasłaniając go przed wzrokiem osoby, która mogłaby obserwować tę scenę od strony domów.

Był to całkiem sporych rozmiarów rottweiler. Miał czarnobrazowy pysk pokryty krwią. Jedno ucho było naderwane, a obie tylne łapy wyglądały na złamane.

Mężczyzna wysiadł z ciężarówki i założył skórzane rękawice. Drapiąc się w kark, przeszedł na tył pojazdu, otworzył klapę i podciągnął plandekę. Następnie przykucnął, by złapać zwierzę za łapę. W tym właśnie momencie pies rzucił się na niego, zaciskając zęby na obcasie. Sykes drugą nogą kopnął go w pysk, ale zwierzę coraz silniej wbijało zęby w skórę. Mężczyzna upadł na ziemię, przetończył się, dosięgnął wreszcie paralizatora i wystrzelił ładunek w bark rottweilera. Ucisk szczęki osłabł — Sykes mógł się odsunąć na bezpieczną odległość. Po chwili wstał i chwiejnym krokiem podszedł do ciężarówki, by wziąć z niej klucz do kół. Wrócił i zaczął tłuc psa w łeb, aż do momentu, gdy usłyszał pęknięcie czaszki. Przez chwilę dyszał ciężko, po czym kopnął jeszcze zwierzę w brzuch i rzucił zakrwawiony klucz na tył ciężarówki. Złapał rottweilera za łapy i wciągnął na podnośnik, a następnie przesunął dźwignię.

Sykes nie był ranny — rottweiler nie przegryzł się przez skórę buta. Pies miał numerki świadczące o ważnym szczepieniu przeciwko wściekliznie. Mężczyzna wrzucił je do pieca razem ze zwierzęciem.

Tego wieczoru kupił sześciopak piwa i zatrzymał się w zatonie przy Garden State Parkway, wiedząc, że nikt mu tam nie będzie przeszkadzał.

Wiadomość, że kiedy on siedział w więzieniu, jego dawny wróg, komendant Lynch, zmarł na atak serca, poruszyła Sykesa bardziej, niż się spodziewał. Tyle lat nienawidził człowieka, który już dawno nie żył. Czuł się oszukany, tak jakby sukinsyn wyszedł z grobu i odebrał mu coś jeszcze.

Jednak potem Sykes dowiedział się, że córka Lyncha — porucznik Kelly O'Shaughnessy — była nowym szefem detektywów w Wildwood. O'Shaughnessy — to samo nazwisko znalazł na skrzynce pocztowej lokalu zarejestrowanego na Lois Lynch. A zatem to było mieszkanie jej rodziców. Teraz należało do niej. Posiadała również dom przy Third Avenue, ledwie przecznicę dalej. Sykes już wiedział, w jaki sposób się zemści.

# 20

## **Czwartek wieczorem, 2 czerwca Glassboro w stanie New Jersey**

Marcia dawno nie widziała Nicky'ego aż tak pijanego. Szedł od samochodu, z wielkim trudem utrzymując równowagę. Rzucił przekleństwami pod adresem torby z piwem, która pękła, a puszki potoczyły się po trawniku.

— Chodź no tu, suko! — krzyczał. — Chodź tu, to cię ukocham!

Boże, tylko nie dzisiaj, prosiła w myślach Marcia. Nicky, błagam, żadnych siniaków.

Zebrała puszki w fałdy spódnicy i zdołała przekonać męża, by usiadł w salonie. Pomogła mu zdjąć ubranie, obrzydliwie cuchnące potem. Nie wiedziała, czym zajmował się tego wieczoru z braćmi, ale na pewno nie tylko piciem.

Wciąż rozmyślała o tym, co podczas prasowania bielizny zobaczyła w wiadomościach. Policja była na tropie gangu kradnącego z okolicy maszyny rolnicze. Przyszło jej do głowy, że to by było coś zupełnie w jego stylu: bić ją przez tyle lat, a potem dać się zamknąć, żeby ją wyeksmitowali i żeby umarła z głodu.

Wkrótce Nicky zasnął na kanapie. Marcia przeszła na palcach do kuchni i po raz ostami spojrzała na dwa banknoty dwudziestodolarowe, które leżały na blacie. Miała wrażenie, że nie powinna mu zostawiać ani grosza. Bez namysłu przepijał wszystkie zapłaty

za nadgodziny i święta. Nie dawał jej ani grosza. Nigdy nie pozwalał jej czegoś sobie kupić.

Wzięła jeden z banknotów i wyszła.

Idąc przez podwórko, czuła dziwny przypływ siły. Może to dzięki świadomości, że na drzwiach stodoły wisi nowa kłódka, a wewnątrz stoi koparka. Może Nicky nie będzie takim cwaniakiem, jeśli Marcia wspomni mu o tym komunikacie z telewizji.

Dotarła do drogi. Jej buty chrzęściły na zwirowym poboczu. Na niebie świecił księżyc — piękny, pełny księżyc — a powietrze słodko pachniało. Nagle Ding, ich stary pies, skoczył do drzwi kuchennych i zaczął szczekać. Marcia odwróciła się, z przerażeniem wymalowanym na twarzy. Wiedziała, że w domu hałas musi być co najmniej dwukrotnie głośniejszy.

Choć w pierwszej chwili instynkt kazał jej uciekać, zamarła w bezruchu, czekając, czy Nicky podejdzie do drzwi.

Podszedł.

Otworzyły się z impetem, a Ding popędził ku niej przez trawnik. Z radością ocierał się o nogi Marcii i patrząc na nią, przyciskał wielki łeb do jej uda.

— Dokąd to?! — ryknął Nicky. Stał tuż za progiem, kompletnie goły.

— Wiesz, dokąd idę — odpowiedziała cicho, uspokajająco. — Przecież dzisiaj spotykam się z Connie, pamiętasz?

— O ty mała dziwko, próbujesz się wymknąć?

— Oj, Nicky, ja się nigdzie nie chcę wymknąć. Przecież o tym rozmawialiśmy. Mówiliśmy o tym już dawno. Zostawiłam ci pieniądze na blacie.

— To?! — krzyknął, wykrzywiając twarz i wymachując dwudziestodolarówką. — To dlatego się nie pożegnałaś?

— Skarbie, przecież się pożegnałam — odrzekła. — Spałeś tak słodko, że nie chciałam cię budzić. Powiedziałam ci „do widzenia” i pocałowałam cię w policzek.

Utkwił w niej wzrok. Chybotął się na nogach, ściskając w dłoni zgnieciony banknot.

— Ty suko, miałaś mi zostawić pięć dych — wybełkotał. — Tym to się nie wykręcisz. — Zmiał banknot w garści.

— Nicky, ja nie mówiłam, że ci zostawię pięćdziesiąt dolarów. Powiedziałam, że dam ci tyle, ile dostanę. Przecież musiałam ci kupić jedzenie i piwo. Myślałam, że będziesz o tym pamiętał. Nicky, zrobiłam ci klopsy i kupiłam twoje ulubione piwo. Jest w lodówce.

Zrobił krok naprzód, po czym się zatrzymał.

— Chodź no tu — powiedział, pokazując ziemię tuż przed nim.

Dreszcz przebiegł Marcii po plecach.

— Nicky, wróć późno — odrzekła. — Nie chcesz iść już do łóżka?

— Chodź no tu — powtórzył mężczyzna niepokojąco znajomym tonem.

Powoli ruszyła w jego stronę, zastanawiając się, czy uderzy ją już teraz, czy dopiero wtedy, kiedy w torebce znajdzie nowe bikini i lakier do paznokci. Wtedy będzie ją bił tak długo, jak się da, a potem zniszczy jej drobiazgi.

— Daj spokój, Nicky — powiedziała. — Przecież masz piwo, jedzenie i trochę pieniędzy, żeby iść się zabawić.

Była już bardzo blisko i wciąż szła naprzód. Kiedy znalazła się w zasięgu rąk mężczyzny, zerwał jej z ramienia dżinsową torebkę i wysypał zawartość na ziemię. Patrzyła, jak dwadzieścia osiem dolarów spada na trawę. Nicky schylił się i podniósł pieniądze. Następnie spojrzął na torbę podróżną. Na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech.

— Poradzę sobie bez tych pieniędzy — powiedziała Marcia. — W sumie ty potrzebujesz ich bardziej ode mnie. — Śmiała się i płakała jednocześnie. — Na co mi w ogóle pieniądze?

Szybkim ruchem otarła łzy. Nicky nie lubił łez.

Pijany, rozkojarzony, a może czując napływ mdłości — mężczyzna odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi, z czterdziestoma ośmioma dolarami w garści.

Marcia przykucnęła, żeby pozbierać z trawnika porzucane rzeczy. Wpychała je w pośpiechu do torebki wraz z trawą i ziemią.

Potem puściła się biegiem przed siebie i zatrzymała dopiero pod domem Connie. Tam, pod dywanikiem w samochodzie przyjaciółki, znalazła kluczyki.

Po trzydziestu kilometrach dotarła do skrzyżowania z szosą numer 55, ale wciąż nie mogła opanować drżenia. Każdy kolejny kilometr przynosił jednak ukojenie. Kiedy dojeżdżała do Dennisville, czuła się już całkiem dobrze. Była przecież wreszcie wolna — nawet jeśli tylko na kilka dni. Miała teraz dość czasu na przemyślenia.

Opuściła szybę. Chłodny wiatr unosił jej włosy niczym czyjeś czułe dłonie. Ona była tutaj, a on — tam. Tylko to się liczyło.

— Juhu! — zawołała do swego odbicia w lusterku, kiedy wzdłuż drogi pojawiły się pierwsze ślady piasku.

Myśl, że już jutro będzie się wylegiwać na plaży, była niemal niewiarygodna. Od czasu ślubu ani razu nie opuściła Nicky'ego na dłużej niż kilka godzin — a i to tylko po to, żeby iść do pracy i zarobić więcej pieniędzy, które on mógłby następnie wydać na piwo.

Miała nadzieję, że Connie nie śpi i że jest gotowa do drogi. Zresztą nawet gdyby nie była, Marcia i tak miała zamiar wybrać się na deptak. Może i nie miała pieniędzy na zakupy, ale nie chciała tracić czasu na spanie. Będzie tam już za niecałą godzinę. Godzinę!

Niedaleko Goshen trafiła na radiowóz, który blokował drogę. Nieco dalej ze sterty osmalonego metalu unosił się słup dymu. Nie potrafiła stwierdzić, w którą stronę jechały samochody, ale nie ulegało wątpliwości, że nikt nie przeżył.

Policjant pokazał, żeby zawróciła. Trochę się bała, że zabłądzi, ale mina funkcjonariusza świadczyła o tym, że nie był skory do rozmowy. Wyobrażała sobie, jak to musiało wyglądać z bliska. Uznała, że nie powinna go pytać o drogę.

Zakręciła i zaparkowała na poboczu. Sięgnęła po mapę, którą zostawiła jej Connie. Ostatnim mijanym przez nią zjazdem była jakaś droga gruntowa na południe od Dennisville. Co prawda Marcia nie znalazła jej na mapie, ale uznała, że na pewno dojedzie



tamtędy w stronę morza. Domyślała się, że droga musi łączyć się z inną, którą można dotrzeć do Garden State Parkway, a nią z kolei — prosto do Wildwood.

Rzuciła okiem na kontrolkę paliwa. Wskazówka dotykała już szarego paska oznaczającego rezerwę. Po drodze kobieta mijiała wiele stacji benzynowych, ale Nicky zabrał jej przecież wszystkie pieniądze. Była jednak przekonana, że na te sto dziesięć kilometrów, które miała przed sobą, benzyny powinno wystarczyć.

O szybę samochodu rozbijały się owady, a przed maską przełykały opopy. Marcia dotarła do bocznej drogi i skręciła na wschód. Reflektory oświetlały kilometry luźno wiszących drutów telefonicznych. Po jakimś czasie pola i zagrody zastąpił las.

Czubki drzew wkrótce przesłoniły księżyc. Zrobiło się chłodniej. Wjeżdżając do Pine Barrens, Marcia miała gęsią skórę. Jechała ze stałą prędkością 65 kilometrów na godzinę, cały czas spodziewając się, że na drogę wyskoczy jeleni albo że z przeciwną nagle nadjedzie samochód. Nie było jednak ani jeleni, ani samochodów. Nie było też śladu jakiegokolwiek wsi lub chociaż przydrożnego telefonu, z którego mogłaby ewentualnie wezwać pomoc.

Wiedziała, że Connie zacznie się o nią martwić dopiero po północy — choć nawet wtedy nie będzie zbytnio zaniepokojona. Obie zdawały sobie przecież sprawę z tego, że Nicky mógł jej nie wypuścić z domu. Żałowała, że nie umówiły się bardziej konkretnie. Mogła przynajmniej dać przyjaciółce znać, że już jedzie. Tak na wszelki wypadek. Ale w tym roku matce Connie nie chciało się w domku nad morzem włączać telefonu.

Gwiazdy wciąż świeciły na niebie i co jakiś czas między drzewami prześwitywała jasna tarcza księżyca. Pół godziny później — kiedy wskazówka kontrolki paliwa znajdowała się już na czerwonym pasku — Marcia wjechała pod czteropasmową estakadę. Wiedziała, że to musi być Garden State Parkway. Znalazła drogę równoległą do autostrady i po kolejnych kilkunastu kilometrach

pomyłek wreszcie wyjechała na południową nitkę autostrady.

Wszystko będzie dobrze, mówiła sobie.

Kontrolka paliwa wskazywała już kompletnie pusty bak. Jeszcze tylko dziesięć kilometrów, powtarzała sobie Marcia. Proszę, jeszcze tylko dziesięć kilometrów. Na horyzoncie widać już było różową poświatę miasta — zapewne Wildwood.

Jednak benzyna wreszcie się skończyła i silnik zgasł. Marcia zjechała na szerokie pobocze.

Zgasiła światła i uderzyła dłonią w kierownicę. Odchyliła się i oparła o zagłówek.

— Cholera.

Szosa była ciemna. O tej porze nie było dużego ruchu. Przez kilka ostatnich kilometrów nie mijała żadnych zjazdów, więc w grę wchodziła tylko droga naprzód.

Zastanowiła się nad możliwymi rozwiązaniami. Mogła wysiąść i iść przed siebie albo zostać w samochodzie i czekać, aż ktoś jej pomoże. Ten drugi wariant wydawał się sensowniejszy, szczególnie w dzisiejszych czasach. Ludzie nie lubią teraz zabierać nocą autostopowiczów — to już nie to, co kiedyś. Marcia spojrzała na zegarek. Była prawie dziesiąta. Czekala.

Minęło pięć długich minut i wreszcie kobieta zobaczyła światła zbliżającego się samochodu. Włączyła światła awaryjne i machając rękami, wyskoczyła z wozu.

Mimo oślepiającego światła reflektorów zdołała dostrzec półciężarówkę z żółtym kogutem na dachu. Bogu dzięki!

Pewnie ktoś ze służby drogowej, pomyślała. Na pewno ma zapasowy kanister paliwa.

— Dziękuję panu! — zawołała, podbiegając do drzwi kierowcy. — Jesteśmy niedaleko Wildwood, prawda? — spytała podekscytowana.

— Pięć kilometrów.

Wzrok Marcii wciąż przystosowywał się do ciemności.

Zdołała stwierdzić, że kierowcą był niemłody mężczyzna. Mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat, może nawet więcej. Po jego oddechu poznała, że pił.

— Ma pan zapasowy kanister? — zapytała.

— Aha — odparł. — Tam z tyłu. — Kciukiem wskazał za siebie. Otworzył drzwi i wysiadł z kabiny. Ciężarówka nie pachniała ładnie. Zupełnie jakby wioził coś martwego. Marcia patrzyła, jak kierowca obchodzi wóz i zaczyna gmerać przy plandece przykrywającej platformę. Niezbyt pewnie stał na nogach i ten widok przypomniał jej Nicky'ego. Boże, pomyślała. Czy oni wszyscy nie robią w pracy nic innego, tylko piją piwo?

— Pani mi tu pomoże — odezwał się kierowca. — Nie mogę trzymać plandeki i sobie świecić, nie?

Sykes wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. W każdej chwili mógł nadjechać jakiś samochód.

Marcia podeszła do mężczyzny, który udawał, że zagląda pod plandekę. Smród był tak obrzydliwy, że ledwo powstrzymała odruch wymiotny.

— W kabinie pod fotelem jest latarka. Pani mija przyniesie, co?

Kobieta otworzyła drzwi od strony pasażera i pochyliła się, by zajrzeć pod fotel. Coś dotknęło jej pleców — poczuła uderzenie prądu, które było jak milion rozgrzanych szpilek wbijanych w ciało. Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, a przed oczami pociemniało, zupełnie jakby wypaliło je słońce. Marci wydawało się, że drga w konwulsjach, ale w rzeczywistości była całkowicie nieruchoma. Ładunek wciąż przepływał przez jej ciało. Ręce mężczyzny objęły ją w pasie i wrzuciły do kabiny. Kierowca zatrzasnął drzwi, po czym pędem okrążył samochód i wskoczył za kierownicę. Wrzucił bieg, wcisnął sprzęgło i wyjechał na drogę. Wszystko to trwało może dwie minuty.

Sykes opuścił autostradę na najbliższym zjeździe. Kiedy hamował, pęd rzucił bezwładne ciało Marci w przód. Głowa kobiety

uderzyła o deskę rozdzielczą tuż obok mikrofonu radia.

Sykes posadził kobietę z powrotem do pionu. Miała rozcięte czoło, a z nosa ciekła krew. Mężczyzna zaklął.

■ ■ ■

Marcia czuła pieczenie pod powiekami. Po całym jej ciele przebiegały bolesne ciarki. Przypomniała sobie, że znajduje się w ciężarówce — a ta zjeżdżała właśnie z drogi ku bagnom.

Zatrzymali się pośród gęstych drzew obrośniętych bluszczem. Niedaleko znajdowało się jakieś ogrodzenie. Zanim kierowca zgasił światła, Marcia dostrzegła żółty symbol oznaczający zagrożenie biologiczne.

Sykes wysiadł z kabiny i obszedł samochód dookoła. Otworzył drzwi po stronie pasażera, wyciągnął kobietę z wnętrza i przerzucił sobie przez ramię. Wniósł ją przez otwór wycięty w ogrodzeniu — w świetle księżycy Marcia spostrzegła, że znajdują się na złomowisku. Sykesowi dwukrotnie zabrakło tchu, więc zatrzymywał się i kładł kobietę na ziemi. Wreszcie dotarli do skupiska starych autobusów. Mężczyzna oparł ciało Marcii o schodki jednego z nich, wziął ją pod ramiona i wciągnął do wnętrza.

W autobusie było czarno. Rzucił kobietę na materac i odszedł, żeby zapalić lampę naftową. Marcia usłyszała trzask, coś błysnęło, po czym zrobiło się jasno. W powietrzu unosił się zapach nafty i chemikaliów.

Rozejrzała się wokół. Kiedy zobaczyła metalowe koła przyspawane do pręta na krawędzi materaca, ogarnęło ją przerażenie.

On chciał ją przywiązać. Chciał ją zgwałcić.

Sykes wyjął papierosa i postukał nim w tarczę zegarka.

Okna autobusu pomalowano sprejem na czarno. W świetle latarni widać było na nich zadrapania. Boże, pomyślała. Tylko nie to!

Kiedy mężczyzna znów złapał oddech, pochylił się nad lampą i otworzył paczkę jednorazowych syntetycznych kajdanek. Przyklęknął

przy Marcii, rozwarł jej ręce i nogi, a następnie przymocował je do metalowych kół. Usta kobiety zakleił kawałkiem taśmy izolacyjnej.

— Tatuś musi teraz na trochę iść do roboty, ale obiecuję, że później się pobawimy, dobra?

Zaśmiał się i zdmuchnął płomień lampy.

■ ■ ■

John Payne siedział w swoim salonie. Kiwał się rytmicznie w przód i w tył. Stopy opierał płasko o podłogę. Oczy mężczyzny utkwione były w jeden punkt na telewizorze, ale Angie wiedziała, że tak naprawdę nie interesuje go program.

Nigdy nie zadali sobie trudu, żeby kupić dom — chociaż kiedyś myśleli o małej farmie pod Lancaster. Nigdy też nie wyjechali na egzotyczne wakacje, pomimo że planowali przecież zobaczyć Hawaje i Australię. Nie wiedzieć czemu, wszystkie ich pragnienia jakoś się rozmyły.

Mieszkanie stało się miejscem, gdzie się spotykali, udając, że wciąż wierzą w związek, który tak naprawdę skończył się wiele lat temu.

— Nie jesteś jej obojętny — odezwała się.

Payne odwrócił wzrok od telewizora i spojrzał jej w oczy.

— Daj spokój, John. Bez przerwy mówisz, jaka jest błyskotliwa. Nawet tego nie rozumiesz? Opowiadasz o tej jej niewiarygodnej intuicji, a jednak leżysz tutaj dniem i nocą, zastanawiając się, czy ona coś do ciebie czuje?

Payne otworzył usta. Angie pochyliła się do przodu.

— Pewnie się martwisz, co ze mną będzie. John, przecież ja też tego nie chciałam. Między nami już nic nie ma. Musisz zrozumieć, że życie toczy się dalej, i dla ciebie, i dla mnie. Idź do niej. Ja sobie kogoś znajdę, nie martw się.

Payne nigdy nie chciał jej skrzywdzić. W gruncie rzeczy kochał Angie, chociaż nie tak, jak ona by sobie tego życzyła. Nie czuł do niej tego, co czuł do Sherry.

— John, ja wiem, że nigdy mnie nie zdradziłeś. Nie fizycznie. Nie myśl, że jesteś złym człowiekiem, ponieważ pragniesz innej kobiety. Wypierając się tego, krzywdzisz i siebie, i mnie. Szczegóły możemy ustalić, jak wrócisz, ale kiedy będziecie razem w Wildwood, powiedz jej.

Angie wstała i podeszła do Payne'a. Położyła mu dłoń na ramieniu i pocałowała w czubek głowy. Wyszła z pokoju, a na włosach mężczyzny zostały jej łzy.

# 21

## **Czwartek wieczorem, 2 czerwca Wildwood w stanie New Jersey**

O'Shaughnessy zabiła komara, który przysiadł jej na karku, i przyciszyła policyjne radio. Kierowcy zmiany pracującej od godziny 15 do 23 właśnie wychodzili z garaży przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Mijali ją, zdążając do samochodów, które stały na służbowym parkingu. Niektórzy się jej przyglądali — inni w ogóle nie zwracali uwagi.

W teczce miała fotografię Sandy'ego Lyonsa, ale wiedziała, że nie było go wśród wychodzących. Miał wolne. Tej nocy wóz z mięsem zostawał w garażu.

Oparła głowę o zagłówek, obserwując, jak teren opuszczają ostatni ludzie. Tego dnia Reagan pytała ją o swoje przyjęcie urodzinowe. Zostały już tylko dwa tygodnie. O'Shaughnessy musiała ustalić kilka spraw z innymi matkami. W zasadzie zgodziła się już na McDonalda — ulubioną restaurację Reagan. Wiedziała, że Tim chciałby przyjść, a będzie mu dużo łatwiej pojawić się niepostrzeżenie, a potem wymknąć, jeśli imprezę zorganizuje poza domem.

Ciekawiło ją, czy Tim słyszał już ojej znajomości z Clarkiem Hamiltonem. Czy właśnie z powodu tych plotek umówił się na swoje „spotkanie”? Nawet jeśli coś wiedział, to zachował tę informację dla siebie — taki właśnie był. O'Shaughnessy naprawdę nie chciała go skrzywdzić, ale skoro zaczęli się spotykać z innymi,

należało się liczyć z taką możliwością. Zastanawiała się, jak daleko mogą się jeszcze posunąć, zanim nie będzie już odwrotu.

Przekonywała samą siebie, że separacja była konieczna, ponieważ ona potrzebowała czasu, żeby pograć się w rozpacz — czy też jakkolwiek inaczej nazwać to, co teraz robiła. Albo może precyzyjniej: potrzebowała czasu na swego rodzaju zemstę. Teraz dobrze już rozumiała, jak łatwo separacja może się wymknąć spod kontroli. Na początku były tylko gniew i poczucie osamotnienia. Jednak w chwili gdy do gry włączały się osoby trzecie, wydarzenia zaczynały się toczyć lawinowo i wkrótce nie było już czego ratować.

Niemal co drugi dzień rozmawiała z matką Tima i niezmiernie ją dziwiło, że kobieta ani razu nie spytała o separację. W gruncie rzeczy cieszyło ją, że teściowa szanuje ich prywatność i nie miesza się w nie swoje sprawy — choć na jej miejscu wiele innych teściowych właśnie tak by postąpiło. Policjantka wiedziała, że kobieta nie traci nadziei i — podobnie jak dziewczynki — liczy na to, że kryzys szybko minie. Że O'Shaughnessy przyjmie Tima z powrotem i życie obojga potoczy się dalej.

Szyba w samochodzie była opuszczona. Policjantka zaczęła żuć nicorette i właśnie sięgała do schowka po kieszonkową latarkę, kiedy nagle za plecami wyczuła czyjaś obecność. Podniosła się gwałtownie i zobaczyła, że przez okno zagląda mężczyzna. I to nie z kilku kroków — ale z najbliższej odległości, wsadzając głowę do kabiny. Był to starszy człowiek o opadających powiekach i przerażającej bliźnie, która przebiegała w poprzek szyi. Zatrzeszczało radio. Mężczyzna uśmiechnął się, wyprostował i odszedł bez słowa.

O'Shaughnessy słyszała łomot własnego serca. Nieznajomy szedł w stronę ciemnego jeepa, a jego buty chrzęściły na żwirze. Wsiadł do samochodu, włączył zapłon i szybko odjechał.

Policjantka siedziała bez ruchu, próbując opanować drżenie rąk. Czuła swoją broń przyciśniętą do pleców, jednak w tamtej chwili



zupełnie o niej zapomniała. Wszystko stało się tak nagle. Dlaczego ten człowiek to zrobił? Co on sobie, do cholery, wyobrażał?

■ ■ ■

Letnie owady rozbijały się hałaśliwie o kuliste latarnie, kiedy O'Shaughnessy podążała w kierunku garażu. Chmury mknęły nisko po niebie, co chwila przysłaniając księżyc, który świecił tak jasno, że można się było obyć bez latarki.

Jeśli nie liczyć brzęczenia owadów, na całej posesji panowała cisza. Wrota garażu były zamknięte, wieczorna ekipa poszła już do domu. Zgodnie z obietnicą Bena boczne wejście okazało się otwarte.

W stalowym budynku każdy dźwięk odbijał się echem — szcęk zasuwki w drzwiach, pstryknięcie włącznika światła, stukot butów policjantki na betonowej posadzce. Pomieszczenie śmierdziało smarem oraz psującymi się śmieciami. O'Shaughnessy uważała, żeby o nic się nie otrzeć — słyszała ciche dźwięki i miała świadomość, że to drapią szczury wspinające się po metalowych słupach. Szła wzdłuż ciężarówek aż do przeciwległego końca hali, do niewielkiej wywrotki z numerem bocznym 33, która stała nad kratką ściekową w prowizorycznej myjni. Nad pojazdem z rusztowania zwiślał wąż ciśnieniowy. Policjantka wyjęła z kieszeni scyzoryk oraz niewielki plastikowy słoiczek. Zdrapała próbkę lakieru z karoserii pod przednim reflektorem, potem następną znad tylnego koła. Zamknąwszy pojemnik, obeszła ciężarówkę, oświetlając ją latarką. Gdy dotarła do drzwi, wspięła się na schodek i zajrzała do środka.

Na podłodze leżały jakieś szmaty, a na siedzeniu — nożyce do cięcia drutu. Poniżej deski rozdzielczej znajdowało się radio. Mikrofon nie wisiał na swoim miejscu — spoczywał na dywaniku. Podsufitka była naderwana, na obiciach foteli O'Shaughnessy widziała czarne plamy. Zauważyła też pęknięcie na bocznym lusterku oraz brak wewnętrznej klamki na drzwiach od strony pasażera. Przeszła na tył. Z platformy wciąż kapąła woda z mydlinami,

tworząc na posadzce kałuże. W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego. W kącie pomieszczenia stała mokra szczotka. Kierowca, który jeździł ciężarówką od 15 do 23, musiał przed chwilą czyścić wóz. Ben mówił, że wymagała tego procedura.

Zajrzała pod plandekę, świecąc sobie przy tym latarką. Szukała czegokolwiek podejrzanego: spinki do włosów, biżuterii, złamanego paznokcia. Niczego takiego nie znalazła, więc przykucnęła, by zajrzeć pod karoserię. Wtedy właśnie usłyszała jakiś dźwięk dobiegający z zewnątrz. Zamarła w bezruchu.

Ktoś szedł po żwirze przed zamkniętymi wrotami garażu.

Podniosła się cicho i wyjęła broń z kabury. Ten ktoś stał tuż za bramą. W szparze między ziemią a drzwiami O'Shaughnessy widziała jego cień. Oczekała minutę, po czym — kryjąc się za wielkimi śmieciarkami — powolutku ruszyła wzdłuż ściany garażu w stronę bocznego wejścia, obserwowana przez usadowione na ciężarówkach szczury. Potknęła się o leżący na ziemi wąż i uderzyła kolanem w stół warsztatowy. Do drzwi miała już tylko kilkanaście metrów. Z zewnątrz znów usłyszała hałas, kroki. Ktoś biegł. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. A potem rzuciła się biegiem w stronę wejścia i otworzyła drzwi.

Nic.

Z pistoletem gotowym do strzału wyszła na posesję, rozglądając się we wszystkie strony.

Słyszała ćwierkanie świerszczy, a owady wciąż rozbijały się o halogenowe latarnie. Jej samochód był jedynym pojazdem na parkingu. Wokół nie było żywej duszy.

Podeszła do budynku administracji i sprawdziła, że drzwi są zamknięte. Z tyłu, za budynkami, znajdowało się bagno, na które nie miała zamiaru wchodzić. Oczekała jeszcze chwilę, po czym wróciła do hali ciężarówek. Wtedy na szosie za drzewami ktoś zatrzasnął drzwi samochodu i włączył silnik.

Sandy Lyons?

Otworzyła drzwi i tym razem włączyła główne oświetlenie hali. Podbiegła do wywrotki. Kabina była zamknięta — ale może tak

właśnie powinno być. Stwierdziła, że musi pamiętać, by zapytać o to Bena. Inną rzeczą, która nie dawała jej spokoju, był brak tej wewnętrznej klamki. Wyobrażała sobie zamkniętą w środku Anne Carlino, która nie była w stanie się uwolnić. A może Lyons wrzucał ofiary na platformę i przykrywał plandeką? Jeśli były nieprzytomne albo wręcz już nie żyły, miałyoby to sens. Każdego tygodnia platformę myto i dezynfekowano przynajmniej piętnaście razy. Spojrzała na kratkę ściekową. Czy coś mogło tam wpaść? O'Shaughnessy zastanawiała się, czy kiedy mężczyzna wrzucał kobiety do ciężarówki, były już martwe.

Jeremy Smyles nie zabił tamtej dziewczyny — tego od początku była pewna. Z kolei Billy Weeks miał za świadków dwie kobiety, które zarzekały się, że tamtej nocy o jedenastej był z powrotem na deptaku. Znały dokładną datę i godzinę, ponieważ był to dzień urodzin Billy'ego — wymyśliły sobie, że w ramach prezentu obie się z nim prześpią.

Poza tym Weeks dał policjantom klucze do mieszkania oraz do samochodu. Nie znaleziono tam choćby kropli krwi. Najbardziej przekonujący był zaś wynik badania wariografem, przeprowadzonego na wyraźne żądanie Billy'ego.

O'Shaughnessy zajrzała do kabiny. Poświeciła na sufit, tylną szybę, fotele. Następnie okrążyła samochód, podchodząc od strony pasażera i ponownie świecąc do wnętrza. Nie, zaczynała sobie wyobrażać zgoła inny scenariusz. Pomarańczowa miejska ciężarówka przy deptaku — typowy element krajobrazu. Wielu mogło ją widzieć, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Kiedy po raz ostatni oglądała okna, w świetle latarki coś błysnęło. Zatrzymała rękę i wzięła głęboki oddech.

— O mój Boże — szepnęła.

Skierowała snop światła na drzwi. Zza uszczelki okna wystawał pojedynczy włos. Serce zaczęło jej łomotać. Uchwyciła go w dwa palce i lekko pociągnęła. Nie pękł. Był jasnobrązowy, miał ponad pół metra długości. Tak samo jak włosy Tracy Yoland.

Lyons był krótko ostrzyżony, natomiast to, co właśnie trzymała w dłoni, na pewno nie było sierścią żadnego zwierzęcia świata.

Wolną dłonią pomacała kieszenie sportowego płaszcza. Z jednej wyjęła plastikową torebkę. Ostrożnie włożyła do niej włos, po czym zamknęła ją i rozpoczęła przeszukiwanie reszty wozu.

Nie było łatwo. Szczerze mówiąc, nic by nie znalazła, gdyby w kabinie nagle nie zatrzeszczało radio. Świeciła do wnętrza pod różnymi kątami, próbując ustalić, skąd dobiega dźwięk. Owszem, już wcześniej widziała radio przymocowane pod deską rozdzielczą — było jednak wyłączone. Więc co teraz słyszała?

Przez okno po stronie kierowcy nie była w stanie niczego dostrzec, kiedy jednak położyła się na masce i przez przednią szybę zaświeciła w stronę siedzenia pasażera, pod fotelem zauważyła zielone światełko przenośnego radiotelefonu. Naprawdę istotne było jednak coś zupełnie innego: ciemnoczerwona plama na desce rozdzielczej, widoczna jedynie znad maski. Wyglądała jak krew.

Ty głupi gnoju, pomyślała. Wsadziłeś ją do kabiny i teraz jesteś mój.

Serce waliło jej jak młotem. Musiała natychmiast wezwać pomoc. Musiała skonfiskować ciężarówkę i wysłać ją do laboratorium. Wiedziała, że ma prawo otworzyć pojazd bez nakazu — należał przecież do miasta. Ta krew była jednak zbyt ważnym śladem, żeby ryzykować jego utratę. A nakaz łatwo przecież zdobyć. Miała zamiar zrobić wszystko zgodnie z przepisami. Żadnych niezamkniętych wątków. Żadnych problematycznych przeszukań. Żadnych apelacji. Miała sukinsyna i nie zamierzała go wypuścić!

Zadzwoiła do centrali i kazała przysłać dwa radiowozy. Zażądała również, żeby na miejsce przybył detektyw z nocnej zmiany. Następnie zatelefonowała do Clarke'a. Poprosiła, żeby spotkał się z nią rano przed pójściem do sądu i zatwierdził jej oświadczenie dla

sędziego Vickroya. Potem zbudziła Bena Johnsona, by go poinformować, że rekwiruje wóz z mięsem. Domagała się także natychmiastowego wstrzymania pracy miejskiej spalarni. Ben wydał z siebie taki odgłos, jakby kazała mu zatkać Wezuwiusza.

— Czy ma pani pojęcie, ile czasu zajmuje wyłączenie tego pieca? — zapytał.

Nie miała serca dzwonić do Gusa, wiedząc, że prawdopodobnie całą noc spędził w szpitalu. Zdecydowała zatem, że poczeka do rana. Kaze przyholować ciężarówkę na komisariat, gdzie można będzie rozpocząć badania. Postanowiła go także poprosić o sporządzenie planu odpompowania ścieku w hali ciężarówek oraz przeszukania popiołów w spalarni. Na pewno znajdą tam zęby i kości. To logiczne, że Lyons korzystał z pieca, żeby pozbyć się ciał.

Tego ranka wokół garażu przedsiębiorstwa robót publicznych kręcił się cały sztab ludzi. Między policjantami a przybywającymi właśnie pracownikami dziennej zmiany biegał Ben Johnson, rozglądając się wokół podpuchniętymi oczami. Szukał spokojnego miejsca, w którym mógłby wykonać wszystkie telefony, konieczne, by zamknąć spalarnię. Wciąż powtarzał O'Shaughnessy, że taki piec to nie kuchenka. Zanim komora ostygnie na tyle, żeby dało się tam wejść i zacząć przeszukiwać popiół, musi upłynąć kilka dni. Naciskany, ograniczył potrzebny czas do czterdziestu ośmiu godzin — ale to jego zdaniem było absolutne minimum.

Istniał jednak większy problem. Ze spalarni korzystało nie tylko całe hrabstwo, ale także kilka okolicznych. Co za tym idzie, Johnson musiał teraz znaleźć sposób na składowanie odpadów oraz martwych zwierząt bez łamania zasad sanitarnych. Latem spalano w miesiącu do pięćdziesięciu ton odpadów. Wyłączenie pieca oznaczało utratę dochodów z okolicznych terenów. Innymi słowy, cała operacja wiązała się dla miasta ze stratami finansowymi.

Technicy szukający na karoserii ciężarówki odcisków palców

znaleźli na drzwiach od strony pasażera kilka obiecujących śladów. Samochód odholowano na policyjny parking, gdzie ludzie Gusa mogli przystąpić do badania wnętrza. Johnson musiał przydzielić ekipie wozu z mięsem inne zadania, a także znaleźć ciężarówkę, która mogłaby chwilowo przejąć rolę zatrzymanego pojazdu. Jedyłą dobrą wiadomością było tego dnia to, że ten nowy, Earl Sykes, zadzwonił i powiedział, że jest chory. Przynajmniej o znalezienie mu tymczasowego zadania Ben nie musiał się martwić.

■ ■ ■

O'Shaughnessy całą noc biła się z myślami. Nie mogła się zdecydować, czy powinna przesłuchać Sandy'ego Lyonsa. Gdyby w grę wchodziły tylko próbki lakieru, na pewno by tego nie zrobiła. Wyniki mogłyby poczekać. Jednak z uwagi na włosy i krew znalezione w kabinie musiała zarekwirować samochód, a zatem stało się oczywiste, że jest zainteresowana mężczyzną. Czekać bezczynnie, straci element zaskoczenia. Jeżeli Lyons miał czas na przemyślenie całej sytuacji, znajdzie alibi i załatwi sobie adwokata.

W końcu postanowiła go zatrzymać. O godzinie 6.30 do drzwi mężczyzny zapukali policjanci.

## **Piątek, 3 czerwca**

Przyglądała się Lyonsowi przez żaluzje na szybie swego gabinetu. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w pobliżu biurka jednego z detektywów i przeglądał czasopismo.

— Można by pomyśleć, że czeka w kolejce do dentysty — powiedziała do siedzącego obok McGuire'a.

— Aniołkiem to on na pewno nie jest — odrzekł sierżant. — Jak myślisz, ile czasu będzie trwało przesłuchanie?

— Mniej więcej tyle, ile zajmie Lyonsowi wymówienie słowa „adwokat” — odparła, wzruszając ramionami. — Oczywiście nie

możemy wykluczyć, że nam się tu rozpłacie i przyzna do winy. Właśnie dlatego to robimy, prawda? McGuire się zaśmiał.

— Przynieść chusteczki? — zapytał.

O'Shaughnessy wstała i chwyciła żakiet.

— Lepiej zaprowadźmy go do pokoju przesłuchań, zanim tutaj zaśnie.

■ ■ ■

Przesłuchanie Sandy'ego Lyonsa potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Chusteczki nie były potrzebne. Kiedy tylko policjanci wspomnieli o porwaniach, mężczyzna nabrał wody w usta i zażądał adwokata. Widać było, że to dla niego nie pierwszyna.

O'Shaughnessy nie spała od środy. Właśnie podążała w stronę drzwi, kiedy zawołał ją Randall.

— Poruczniku! — W jego głosie słychać było wahanie. — Dzwoni Celia Davis z wydziału do spraw nieletnich. Mówi, że to coś pilnego.

Podniosła słuchawkę.

— Słucham, O'Shaughnessy.

— Poruczniku, chyba powinna pani do mnie przyjechać. Czekałam w radiowozie na Fortyfifth Street. Zaginęła kolejna kobieta.

O'Shaughnessy zamarła. Wzięła głęboki oddech, po czym odłożyła słuchawkę i rozejrzała się w poszukiwaniu sierżanta.

— Mac, poczekaj jeszcze parę minut. Zadzwonię do ciebie z samochodu.

Detektywi z wydziału dochodzeniowego z zasady nie zajmowali się zaginionymi. Należało to do obowiązków śledczych z wydziału do spraw nieletnich, ponieważ 95 procent wszystkich zaginionych stanowiły osoby poniżej osiemnastego roku życia. Niedawno O'Shaughnessy poleciła, żeby o wszystkich zaginięciach kobiet informowano najpierw ją. Jeśliby się okazało, że mają do czynienia z przestępstwem, jej wydział mógł się dzięki temu

zawczasu zabrać do roboty. Taka zasada miała obowiązywać przynajmniej do końca lata — lub do momentu rozwiązania sprawy porwań.

Policjantka ruszyła na północ miasta. Kiedy dotarła na Fortyfifth Street, zaparkowała obok radiowozu Celi Davis. Funkcjonariuszka stała w pobliżu letniego domu i rozmawiała z jakąś kobietą. Dwa niespokojne spaniele opierały się przednimi łapami o druciany płot.

O'Shaughnessy otworzyła furtkę. Psy natychmiast rzuciły się na powitanie, pokrywając nogawki jej spodni śladami brudnych łap.

— Poruczniku, to jest Connie Riker. Zeszłej nocy spodziewała się przyjaciółki, która miała przyjechać spoza miasta. Nazywa się Marcia Schmidt.

Riker chwyciła psy za obroże i pociągnęła w stronę domu. Nie bez trudności zamknęła je za drzwiami z siatki. Uderzały w nie łapami, próbując wydostać się z powrotem na dwór.

— Przyjaciółka dotąd nie przyjechała i Connie przypuszcza, że mogło jej się po drodze coś stać.

Właścicielka psów otrzepała dłonie.

— Nie wiedziałam, do kogo się zgłosić — wyjaśniła. — Dziś w nocy, około pierwszej, dzwoniłam na policję stanową. Opisałam im mój samochód. Powiedzieli, że w południowej części stanu nie było wczoraj wieczorem żadnych wypadków z udziałem kobiet i że moja rejestracja nie figuruje w żadnych raportach. Już prawie uwierzyłam, że po prostu mąż jej nie pozwolił jechać, ale przed chwilą dzwoniłam do niej do domu i nikt nie odpowiadał, więc teraz już sama nie wiem. Ale pewnie tylko marnuję wasz czas.

— Z mężem jest jakiś problem? — spytała O'Shaughnessy.

— Biję ją — wyjaśniła Davis.

— Pewnie Marcia cały czas jest w domu, a Nicky nie pozwala jej podejść do telefonu — powiedziała Riker, pociągając nosem. Dłonią otarła oczy. — Czasami jest jej wstyd. Może po prostu nie chciała odbierać.



— Mówi pani, że to był pani samochód?

Connie kiwnęła głową.

— Jesteśmy sąsiadkami. Zostawiłam jej kluczyki pod dywanikiem.

— Jest jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy pani samochód wciąż stoi przed domem?

Kobieta zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

— Żyjemy na kompletnym odludziu. Nasi najbliżsi sąsiedzi, nie licząc Marcii i Nicky'ego, mieszkają trzy kilometry od nas i chyba nigdy w życiu z nimi nawet nie rozmawiałam. Moja mama ich zna. Powiedziałam jej, że Marcia się nie pojawiła, i mama dziś wieczorem przyjedzie z Atlantic City. Rano wrócimy do domu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Myślałam, że może Marcii zepsuł się samochód albo coś w tym stylu i że wy będziecie coś o tym wiedzieć.

O'Shaughnessy pomyślała o szpitalach i spojrzała na Davis, ale policjantka pokręciła głową.

— Już wszystko sprawdziłam, poruczniku.

— Czy myśli pani, że mąż mógł ją pobić na tyle poważnie, żeby nie była w stanie podejść do telefonu? — spytała O'Shaughnessy.

— Zwykle wie, kiedy przestać. — Connie wzruszyła ramionami.

— Pani Riker, możemy się skontaktować z tamtejszą policją i polecić, żeby ktoś sprawdził, czy u niej wszystko w porządku.

— Błagam, nie róbcie tego — zaprotestowała gwałtownie Connie. — Nicky by ją zabił, gdyby ściągnęła mu na głowę policję. Może przesadzam. Na pewno wszystko jest w porządku, tyle że Nicky nie pozwala jej podejść do telefonu. To już nie pierwszy raz.

— Nie sądzi pani, że gdyby pani przyjaciółka nie była w stanie dojechać, próbowałaby się z panią skontaktować? Przecież mąż nie może jej pilnować cały czas.

— Wiem, wiem — kręciła w rozdrażnieniu głową. — Może próbowała. Nie włączyliśmy na lato telefonu. Żeby do niej zadzwonić, chodzę do automatu przy Atlantic Avenue.

— To oczywiście pani decyzja, ale radzę zapewnić przyjaciółce pomoc, zanim będzie za późno. Niech ją pani zabierze do schroniska. W okolicy jest ich wiele. Zapewniam, że nikt z pracowników nie poinformuje o niczym jej męża.

Connie kiwnęła głową.

— Dobrze — rzekła bez przekonania. — Przepraszam, że sprawiłam wam kłopot.

— Spokojnie, nie sprawiła pani nikomu kłopotu — zapewniła O'Shaughnessy. — Ale proszę postąpić tak, jak powiedziałam.

Obie policjantki wróciły do radiowozu Celi Davis.

— Sprawdzaliście numer w rejestrze policji stanowej?

Davis kiwnęła głową.

— Nic.

— Dajcie jej telefon do pomocy społecznej i spróbujcie nakłonić, żeby tam zadzwoniła. Zobaczymy się później.

Funkcjonariuszka potwierdziła skinieniem głowy.

O'Shaughnessy wyjęła komórkę i wybrała numer.

— Mac? Już po wszystkim. Jedź do domu. Falszywy alarm.

# 22

## **Piątek, 3 czerwca** **Texhoma Panhandle w stanie Oklahoma**

Doktor Chance Haverly siedziała w rogu swego gabinetu, na krześle zwykle przeznaczonym dla pacjentów. W dłoniach miała ciężką, starą teczkę — akta psychiatryczne Earla Oberleina Sykesa.

Earl był synem notorycznego przestępcy. Po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem, gdy miał dwanaście lat. W miarę jak dorastał, wykroczenia stawały się coraz poważniejsze, aż wreszcie jako siedemnastolatek zaczął się bawić w cięższe przestępstwa — takie jak włamania i kradzież samochodów. Wówczas jednak ograniczał się jeszcze do przestępstw przeciwko mieniu. Wyglądało na to, że niszczenie sprawiało mu przyjemność, ponieważ w ten sposób mógł zwrócić na siebie uwagę.

Co ciekawe, jako dorosły trafił do więzienia tylko trzykrotnie — za każdym razem za drobne wykroczenie, za które odsiadywał zaledwie kilka dni. Albo nauczył się nie zadzierać z prawem, albo skumał się z kimś, kto miał głowę na karku. Haverly była raczej skłonna uwierzyć w to drugie rozwiązanie.

A potem zdarzył się ten wypadek. Sykes stanął przed sądem. Skazano go za podwójne zabójstwo na drodze. Staranował szkolny autobus pełen nastolatków, uciekając pod wpływem narkotyków przed policją.

Gdyby trafił do Rikers albo Joliet, jego życie potoczyłoby się całkiem inaczej. Wylądował jednak w Jenson Reed — prywatnym, postępowym więzieniu, wynajmowanym przez państwo z myślą o resocjalizacji osadzonych. Stosowano tam nowoczesną terapię behawioralną, opartą na drogich lekach oraz psychoanalizie, niedostępną więźniom w zwykłych zakładach. Szansę resocjalizacji w więzieniach w rodzaju Jenson Reed dostawały tylko osoby odsiadujące wyrok dożywocia, które nigdy nie dopuściły się aktów przemocy.

Mijały lata. Pewnego dnia zaproponowano Sykesa jako kandydata do warunkowego zwolnienia. Sugestia ta wywołała gwałtowną reakcję mieszkańców miasteczka, w którym został aresztowany. Mężczyzna nie miał co liczyć na przychylność sędziów orzekających o zwolnieniu. Przynajmniej dopóki rodziny ofiar mogły protestować przeciwko wypuszczeniu go z więzienia.

Piętnaście lat później mieszkańcy Wildwood nie sprzeciwiali się już tej decyzji, a bliscy osób, które zginęły w wypadku, zdążyli się do tego czasu wyprowadzić z miasta. Badając dziwne, kalafiorowate narośle na ciele Sykesa, lekarze w Jenson Reed znaleźli nowy powód, by go wypuścić: mężczyzna powoli umierał.

Na dyrektorach zakładów karnych zawsze wywierana była presja, by pokazywali światu pozytywne wyniki resocjalizacji w postaci warunkowo zwolnionych więźniów. Tym właśnie kierował się zarządca Jenson Reed, nie dopuszczając do przedstawienia komisji sądowej akt psychiatrycznych Earla Oberleina Sykesa, sporządzonych przez doktor Haverly. Ten człowiek miał przed sobą dwa, maksymalnie trzy lata życia, z czego większość i tak musiał spędzić w szpitalnym łóżku. Był idealnym kandydatem do powrotu na łono społeczeństwa.

Haverly przekartkowała dokument.

12.10.87 ES jest zamknięty w sobie, niezwykle podejrzliwy wobec wszystkich mających nad nim władzę. Jest w stanie wykształcić złożone zdolności. Sugeruje się

wprowadzenie badanego do programu edukacji na poziomie klasy siódmej oraz przeprowadzenie testu predyspozycji poprzedzającego szkolenie zawodowe.

17.04.89 ES nie wykazuje zainteresowania wypadkiem, który doprowadził do jego osadzenia. Uważa wypadek oraz proces sądowy za nieistotne wydarzenia w swoim życiu (twierdzi, że nie pamięta wypadku, toteż nie jest w stanie odnosić się emocjonalnie do ofiar). ES nie wykazuje również zainteresowania rodzinami ofiar. Celem terapii jest wywołanie uczucia skruchy.

Początkowo Haverly chciała, żeby Sykes się otworzył. Żeby na nowo odkrył wszystkie negatywne momenty swego życia, dzięki czemu w przyszłości byłby gotów poradzić sobie z podobnymi sytuacjami.

Sykes od samego początku jej nie ufał. Podczas każdej sesji na nowo opowiadała mu o swojej roli w procesie resocjalizacyjnym, o znaczeniu i celach psychoterapii, wyjaśniała zasady dotyczące prywatności. Minęły miesiące, zanim uwierzył, że nikt nie wykorzysta jego słów przeciwko niemu samemu. Jednak gdy już się o tym przekonał, gdy wreszcie zaczął mówić — rozmowy bynajmniej nie dotyczyły wypadku, przez który trafił do więzienia. Mężczyzna opisywał za to, jak zabił kota nauczycielki oraz jak zgwałcił córki sąsiada.

Na początku myślała, że Sykes tylko się popisuje. Powiedział, że pierwsze przestępstwo na tle seksualnym popełnił w wieku trzynastu lat. Później jednak zaczął opowiadać o kolejnych przypadkach, potem o jeszcze innych — i do lekarki zaczynało docierać to, że Sykes absolutnie nie nadaje się na kandydata do resocjalizacji. To nie był chłopak, któremu pod wpływem narkotyków przytrafił się tragiczny wypadek. Sykes był socjopata, seksualnym drapieżcą, którego psychopatyczny żywot przerwało przypadkowe zdarzenie. To dlatego nie wykazywał zainteresowania wypadkiem. Nastolatki, które zabił, naprawdę nic go nie obchodziły.

Notatka poufna

Do: Akta

Od: dr Chance Haverly, dyrektor ds. terapii więźniów

Badany: 86-591

Data: 13.06.91

W zeszłym tygodniu ES po raz pierwszy od czasu osadzenia rozpoczął intensywne ćwiczenia fizyczne. Najprawdopodobniej jest to reakcja na informację o pierwszej od szesnastu lat możliwości rozpatrzenia wniosku o zwolnienie warunkowe.

ES opowiedział ze szczegółami o gwałcie, który popełnił już jako dorosły. Rzekomo związał ofiarę na złomowisku i trzymał tam przez szereg dni, grożąc, że wrzuci ją w czeluść bez dna. Czerpał przyjemność z jej reakcji. Podobało mu się oglądanie kobiety upodłonej.

Już po raz drugi wspominał o autobusie, a po raz trzeci — o czeluści.

Wtedy, wiele lat temu, doktor Haverly dała się nabrać. Uważała, że autobus jest symbolem wypadku, kobiety zaś, które rzekomo maltretował, oznaczały zabitych nastolatków. Wróciła do notatek dotyczących tamtej rozmowy.

Chociaż nie ma dowodów na to, że w życiu Sykesa w jakikolwiek sposób obecna jest religia, to kobieta błagająca o ocalenie symbolizuje jego własną potrzebę przebaczenia, czeluść pod autobusem zaś ponad wszelką wątpliwość jest odzwierciedleniem jego osobistego piekła.

Lekarka prychnęła.

Myślała wówczas, że Sykes przechodzi fazę „rozluźnienia”. Fakt, że zaczął mówić, postrzegala jako oznakę postępu — nawet jeśli wymyślał historie, za którymi ukrywał wewnętrzny zamęt.

„To właśnie klucz do sukcesu — mówiła mu. — Lada chwila odnajdzie pan ukryte przeszkody, które do tej pory nie pozwalały panu stać się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa”.

Gdy teraz czytała własne słowa, robiło jej się niedobrze.

Notatka poufna

Do: Akta

Od: dr Chance Haverly, dyrektor ds. terapii więźniów

Badany: 86-591

Data: 20.12.96

Drastyczne opisy gwałtów mają mnie zszokować. Opowieści stają się coraz bardziej nieprawdopodobne. Czy ES zachowuje się tak tylko wobec mnie, czy też innym także próbuje za imponować? Należy o tym pomówić z kapitanem Ridenourem z bloku A.

Trudno uwierzyć w twierdzenia ES, jakoby zgwałcił i torturował wiele kobiet. Zaginięcie tylu osób nie uszłoby uwagi policji. W jego młodzieńczych aktach nie znajdujemy również żadnej wzmianki o wykroczeniach na tle seksualnym. Czy on się tylko ze mną bawi, czy też to wszystko prawda?

Z czasem doktor Haverly zrozumiała, jak bardzo błędziła.

Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu zaczynała dostrzegać głębię deprawacji swego pacjenta. To on cały czas prowadził te sesje. Ona była dla niego jedynie zabawką. Przez osiemnaście lat symbolicznie się onanizował i zmuszał ją, by na to patrzyła.

Później stwierdzono u Sykesa raka skóry oraz trzustki. Chirurdzy usunęli część chorego organu, jednak pomogło to jedynie złagodzić objawy. Doszło już do przerzutów na żołądek i jelito cienkie. Z czasem rak miał także zaatakować nerki i śledzionę, a w końcu — serce i płuca, co zwiastowałoby początek końca.

Dlatego też należało wypuścić Sykesa, nie zważając na to, co gotów był zrobić socjopata, który ma przed sobą rok życia. Nie zważając na opinię jego psychiatry.

Na korytarzu zadzwonił telefon. Haverly aż podskoczyła. Zapaliła lampę i sięgnęła po papiery Sykesa. Przerzucając kartki jego dokumentów, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że te akta stały się równie ohydne i zepsute jak on sam.

Pamiętała ich ostatnią rozmowę. Wzrok Sykesa powoli osuwał się po jej ciele, zatrzymując na rąbku spódnicy.

— Pani doktor, ja wychodzę — rzekł, nie podnosząc głowy. Uśmiechnął się, a jego szpetna blizna przesunęła się na bok szyi. — Będzie pani za mną tęsknić?



# 23

## **Piątek, 3 czerwca Wildwood w stanie New Jersey**

Sykes włożył do ust papierosa i rozsunął zasłony w oknie kuchennym. W wiadomościach zapowiadali jeszcze kilka godzin słońca, a potem miała nadciągnąć burza.

Kiedy wczesnym rankiem zadzwonił do pracy, żeby powiedzieć, że źle się czuje i nie może przyjść, ogarnęła go panika. Ben Johnson już był na miejscu, a to znaczyło, że coś się dzieje. Na szczęście Ben wiedział o chemioterapii, więc telefon Sykesa nie powinien wywołać podejrzeń. Chyba że policja już go szukała — ale wtedy byłoby za późno na cokolwiek.

Siedział jednak spokojnie w domu i nikt po niego nie przyjechał.

Jak ona w ogóle, do kurwy nędzy, wpadła na trop tej ciężarówki?

Usłyszał skrzypienie wiekowych sprężyn — znak, że sąsiadka kładła się na leżaku. Opalała się, poza spaniem całe dni właściwie nie robiła nic innego. Żyła z zasiłku po swoim starym, więc musiała pracować tylko wtedy, gdy miała jakieś specjalne potrzeby. Sykes widział kiedyś, jak tańczyła na rurze w Szczęśliwej Siódemce.

Rozłożyła ręcznik i położyła się na brzuchu. Na zderzaku starego, od dawna zepsutego pick-upu stała butelka piwa, a obok niej na ziemi leżał stanik. Rudy kot, przewieszony przez maskę samochodu, lizał sobie łapy.

Sąsiadka miała na imię Denise. Raz zaprosiła Sykesa do środka i pokazała mu harleya davidsona sportstera, który stał w salonie. Na rozłożony pod maszyną ręcznik plażowy kapał olej. Kobieta powiedziała sąsiadowi, że jej mąż, który teraz był już w niebie, na pewno by chciał, żeby zatrzymała ten motocykl.

Sykes wziął do ręki zapałki i przypalił papierosa. Wydmuchnął dym w stronę sufitu, po czym brudnym paznokciem wytarł pot ze swych rzadkich wąsów. Wyrzucił zapałkę do różowej popielniczki w kształcie flaminga i podrapał się w krwawiącą ranę na karku. Nie ogolił się, nie chciało mu się również kapać. Na dłoniach i nadgarstkach wciąż miał ślady sierści rottweilera, którego zatłukł zeszłej nocy.

Wpychając głowę do samochodu O'Shaughnessy, sporo ryzykował. Wiedział, że się przestraszyła, ale po prostu musiał jej spojrzeć w oczy. Decyzja, żeby wrócić do hali ciężarówek, również nie należała do bezpiecznych. Perspektywa natychmiastowego pozbycia się policjantki była niezwykle kusząca. Niestety, kobieta usłyszała jego kroki, przez co stracił element zaskoczenia.

Powietrze było gorące, wilgotne i zamglone. W prognozie pogody mówili, że wkrótce nasili się wiatr. Na wybrzeżu możliwe były powodzie.

Rudy kot zeskoczył na ziemię i czmychnął pod przyczepę sąsiadki. Mężczyzna pomyślał, że zwierzę podobne było do kota jego nauczycielki angielskiego. Ta sama barwa. Takie same przerażone oczy.

Kota pani Carney Sykes powiesił na jej werandzie — na haku, na którym zwykle zamocowana była huśtawka. Kota pani Carney — tej, która nie przepuściła go do piątej klasy. Kiedy następnego dnia rzucił jej na biurko obrózkę zwierzęcia, mówiąc, że znalazł ją na korytarzu, nauczycielka złapała go za ramię i zaciągnęła do gabinetu dyrektora. Krzyczała przez łzy, żądając, by chłopaka usunięto ze szkoły.

Jak się jednak okazało, zatrzymując go na drugi rok w tej samej klasie, nie miała racji. Po incydencie z kotem Sykesa odwiedzali w

jego baraku różni ludzie. Uśmiechnięci, wyperfumowani, ubrani w ładne ciuchy, ze skórzanymi torbami na ramieniu. Pracownicy opieki społecznej rozglądali się po jego domostwie z obrzydzeniem i bardzo mu współczuli. Obiecali, że pomówią z dyrektorem — i dotrzymali słowa.

Sykes zdał więc do piątej klasy razem z resztą kolegów, a pani Carney — ku zdziwieniu dyrekcji — spakowała manatki i wyjechała do New Hampshire.

Carney nie była głupia. Sykes nachodził ją już wcześniej, więc szczerzy, acz cyniczny policjant postawił sprawę jasno. Nauczycielka miała tylko dwa wyjścia: następnym razem zabić chłopaka w obronie własnej albo czym prędzej wyjechać jak najdalej.

Sykes wrócił do swojej przyczepy, żeby jeszcze raz skorzystać z toalety. Kiedy mijał wielki telewizor, na ekranie wojownicza księżniczka Xena biła się ze szkieletem.

O Bianca Ashley także nie zapomniał. O Bianca w tym swoim czarnym mustangu cabrio. Bianca, która na parkingu przed szkołą kazała mu błagać, żeby zabrała go na przejażdżkę. Poluzowanie zacisku przewodu chłodnicy zajęło Sykesowi chwilę. Potem wystarczyło już tylko jechać za jej volvem, czekając, aż wycieknie cały płyn. Bianca chciała go zadowolić. Och, jak ona w końcu błagała, żeby pozwolił jej się zadowolić.

Wciągnął spodnie i zapiął rozpiorek. Przez otwarte okno czuł odrażający smród strumyka. Otworzył apteczkę, wyjął słoiczek z aspiryną i wysypał pastylki na dłoń. Pięć z nich — wraz ze złotą obrączką Marcii Schmidt — wrzucił do kieszeni koszuli.

Następnie wrócił do kuchni. Z blatu zabrał worek z batonami oraz butelkę wody. Zgarnawszy kluczyki, wyszedł z domu po zardzewiałych schodkach, przyglądając się sąsiadce, która przez ten czas obróciła się na plecy. Trochę przytyła w nogach, ale cycki dalej miała świetne. Otworzyła jedno oko, a spojrzawszy na niego, znów je zamknęła, po czym przeciągnęła się i ziewnęła.

Może i sprzyjało mu szczęście, ale nie mógł liczyć, że będzie tak już zawsze. Nadszedł czas, by przejść do ofensywy.

■ ■ ■

Na parking przy lombardzie Lecky'ego zajechał radiowóz. Młody policjant pomachał do Sykesa, który odpowiedział mu ruchem dłoni. Tego lata patroli było więcej niż zwykle. Gliniarze wysiadali z samochodów, świecili latarkami w ciemne zakamarki, zaglądali do zaparkowanych pojazdów. Zupełnie nie przypominali beztruskich policjantów z lat siedemdziesiątych, którzy wywijali pałkami i pozowali z turystami do zdjęć. Dzisiejsi byli spięci, zawsze się gdzieś śpieszyli i zawsze czegoś szukali.

Sykes zaniósł obrączkę Marcii Schmidt do lombardu. Dostał za nią czterdzieści dolarów. Resztę popołudnia spędził na popijaniu piwa w Anchorage po drugiej stronie ulicy. Potem zawiózł Marcii czekoladki oraz aspirynę. Nie chciał, żeby się tam w autobusie nabawiła gorączki. Jeszcze tylko jeden dzień, myślał. Wytrzymaj jeszcze jeden dzień. Potem będzie już po wszystkim.

Kiedy dotarł na deptak, było już ciemno. Pary młodych ludzi spacerowały, trzymając się za ręce. Po ulicach snuła się gęsta mroźna mgła, jednak pomimo to w miasteczku panował ruch.

Wchodząc po rampie na deptak, Sykes przyglądał się demonowi, który przewracał oczami, zaciskając długie czarne szpony na bramie Strayer's Pier. Ktoś puszczał rap na cały regulator. Za dachami zabudowań pojawił się i wkrótce zniknął wielki wirujący dysk. Po chwili rozległ się krzyk pasażerów, który najpierw się wznosił, a zaraz potem zaczął opadać.

Ludzie mijali Sykesa falami — starzy i młodzi, bogaci i biedni. Pochodzili ze wszystkich środowisk i w tamtym miejscu zlewali się w jedną masę: chirurg i pacjent, nauczyciel i student.

Nikt nie zwracał uwagi na stojącego w cieniu Sykesa. Ciężkie powieki demona podniosły się, stwór otworzył oczy, groźnie kręcąc

głową i ruszając językiem. Na dole stała młoda dziewczynka, trzymając ojca za rękę. Różowe gumki ściągały jej długie blond włosy w kucyki. Różowa bluzeczka kończyła się tuż nad pępkiem. Prowokowała go. Chciała, żeby jej pragnął. Czy miała piętnaście lat, czy tylko trzynaście?

Sykesa minęła gromada odzianych w skóry motocyklistów, przesłaniając mu widok ojca z córką. Za nimi podążał tłumek prowincjonalnych sprzedawców w towarzystwie swych pulchnych żon. Sykes wstał i dołączył do nich, pozwalając, by morze ludzi poniosło go przed siebie. Dotarłszy w okolice toalet, wymknął się z tłumu i schował w cieniu. Splunął na siedzącego na chodniku gołębia, a potem wyjął papierosa i postukał jednym końcem o tarczę zegarka, z zadowoleniem przyglądając się krągłym kształtom nagiej kobiety na swym ramieniu.

Mijały go pary, trzymając się za tyłki. Wycieczki maszerowały czwórkami, wyraźnie czując się bezpieczniej w grupie.

Dwoje młodych ludzi zatrzymało się przed budką z lodami. Sykes poczuł ból w kroczu, kiedy chłopak wsuwał rękę pod koszulkę dziewczyny, kładąc dłoń na jej plecach. Podrapał się mocno w potylicę. Kiedy ponownie uniósł papierosa do ust, na paznokciach spostrzegł krew.

Dziewczyna nie miała stanika, a znad dzinsów biodrówek wystawały czarne stringi. Musi mieć szesnaście lat, pomyślał Sykes. Tak jak ta, która tamtej nocy udusiła się pod deptakiem własnymi rzygowinami. A taka by z niej była dobra dupa.

Morze ludzi przelewało się przez drzwi sklepów, krążyło wokół punktów z jedzeniem — z kiełbaskami, z frytkami, z pizzą. Intensywne zapachy pożywienia roznosiły się w gęstym, wieczornym powietrzu.

Przez tłum przeciskało się dwóch umundurowanych policjantów, spoglądając w stronę grupki nastolatków zgromadzonych wokół jednej z ławek. Sykes dojrzał wśród nich cwaniaczka, który był wtedy z tamtą dziewczyną. Tego, który zostawił ją pod deptakiem.

W tej samej chwili, gdy ubrana na różowo dziewczyna z kucykami

odeszła od ojca, przez deptak przemaszerował sznurek spasionych mężczyzn w koszulkach z logo banku z Pittsburga. Policjanci szli dalej przed siebie — rozmawiali, swobodnie gestykułując.

Sykes zszedł z deptaka w ulicę Rio Grande i wrócił do jeepa. Przejechał kilkadziesiąt metrów, dotarł do Third Street, tam skręcił w prawo i zaparkował. Z kieszeni kurtki wyjął zmięty wycinek z gazety. Rozwinął go i przebiegł palcami po twarzy O'Shaughnessy na fotografii. Miał mokry kołnierzyk — z rany na karku sączyła się krew. Samochód pani porucznik stał na podjeździe. W domu paliło się światło.

# 24

## **Piątek, 3 czerwca Filadelfia w stanie Pensylwania**

Zaproszenie, które Sherry otrzymała od Payne'a, budziło w niej mieszane uczucia. Nigdy wcześniej nie robili niczego podobnego ani nigdzie razem nie wyjeżdżali. Wiedziała, że mężczyzna niewiele mówi w pracy na temat ich przyjaźni, jednak przed Angie szczegółów wyjazdu na pewno nie ukrywał. Payne mówił żonie wszystko.

Mogło mu się to wydawać zupełnie niewinne, ale kobiety podchodzą do przyjaźni inaczej niż mężczyźni. Angie prawdopodobnie nic nie powiedziała, jednak z pewnością nie pochwałała tego pomysłu.

Poza tym uczucia, jakie Sherry żywiła wobec Payne'a, sprawiały, że czuła się winna — a może także bała się własnej słabości. Łatwo przecież powściągać emocje, kiedy co wieczór trzeba się pożegnać. Ale czy nie okaże się to ponad jej siły, kiedy John będzie nocował w tym samym pokoju?

Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że zgodzi się jechać. Tak naprawdę decyzja zapadła już w momencie, gdy w domu pogrzebowym Sherry chwyciła dłoń Susan Paxton. Od tej chwili była całkowicie i nieodwołalnie zaangażowana w tę sprawę. Niepokoiło ją to, czego może się dowiedzieć, lecz musiała poznać koniec tej historii. Za wszelką cenę.

Czekała, aż Payne skończy pracę. Miała na sobie czarne spodnie,

czarną bluzkę bez rękawów, czarną bransoletkę i czarne kolczyki. Uśmiechnęła się, gdy wszedł do pomieszczenia.

— Wyglądasz jak June Carter Cash — rzekł na powitanie.

— Kto?

— Mniejsza z tym — machnął ręką i sięgnął po jej niewielką walizkę. Sherry wciąż wyglądała nieco blado, ale postanowił nic na ten temat nie mówić.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził na kolisty podjazd. Schował walizkę do samochodu.

— Słyszałem, że ma być brzydko — powiedział.

— Im gorzej, tym lepiej — odparła. — Nie ma jak porządna burza.

Ponieważ na miasto zdążyły wylec zastępy weekendowiczów, przebiecie się przez Filadelfię w godzinach szczytu stanowiło piekielnie trudne zadanie. Kiedy więc wreszcie opuścili przedmieścia, było już grubo po ósmej. Payne nie mógł się zdecydować, czy już teraz powiedzieć Sherry o swojej rozmowie z żoną, czy też poczekać, aż wróci do domu. Za nic w świecie nie chciał, by pomyślała, że proponując jej ten wyjazd, kierował się czymkolwiek poza czysto zawodowymi powodami. Wahanie detektywa miało również inną przyczynę. Jeśli Sherry rzeczywiście odwzajemniała jego uczucia, chciał zapewnić im start bez jakichkolwiek obciążeń. Pragnął, by to przeżycie było czymś wyjątkowym, wolnym od wszelkich dotychczasowych doświadczeń. Wolnym od policjantów i trupów.

Postanowił zatem poczekać do powrotu z New Jersey, chociaż wiedział, że nie będzie to łatwe.

W miarę jak zbliżali się do wybrzeża, ruch na drodze stawał się coraz mniejszy — a przy tym większość samochodów podążała w przeciwnym kierunku. Do granic Wildwood dotarli dopiero przed jedenastą. Payne wyjął komórkę i skontaktował się z O'Shaughnessy.

Otynkowany na biało, trzypiętrowy budynek wciśnięty był między dwa wysokie hotele. Błękitne reflektory na podjeździe w



kształcie muszli oświetlały drewnianą tablicę z napisem „Driftwood”. Parking znajdował się na poziomie gruntu bezpośrednio pod osiemnastoma mieszkaniami, do których prowadziły schody oraz winda.

Kiedy przyjechali, O’Shaughnessy siedziała na schodkach przed domem. Nie do końca wiedziała, kogo się spodziewać — jednak na pewno nie kobiety, którą zobaczyła na siedzeniu pasażera.

Widząc samochód na numerach z Pensylwanii, podniosła się i podeszła do drzwi kierowcy. Payne wyciągnął do niej przez okno rękę.

— Miło panią poznać, poruczniku. To moja przyjaciółka, Sherry Moore. Sherry, przedstawiam ci porucznik O’Shaughnessy.

— Mów mi Kelly — powiedziała policjantka, kucając przy oknie. Kobieta w kabinie obróciła głowę w jej stronę, jednak właściwie nie nawiązała z nią kontaktu wzrokowego. O’Shaughnessy wyczuła, że coś jest nie tak, jeszcze zanim dostrzegła białą laskę.

O mój Boże, pomyślała. Czym prędzej obiegła samochód i otworzyła drzwi od strony pasażera.

— Chodź, pomogę ci — rzekła. Chwyciła kobietę za ramię, by łatwiej jej było wysiąść.

— Pójdę za wami — powiedział Payne z uśmiechem. Wiedział, że Sherry nie cierpi, kiedy ktoś się z nią cacka. Wyjął z bagażnika dwie małe walizki. — Jest tu winda?

— Tak — odparła O’Shaughnessy. — I mamy szczęście: nawet działa.

Front burzowy niósł silną woń oceanu. Drzwi windy otworzyły się i zamknęły, kabina ruszyła, a po chwili gwałtownie się zatrzymała. Policjantka poprowadziła ich w głąb betonowego korytarza i otworzyła drzwi.

— Zapraszam — powiedziała, wślizgując się przed nimi do mieszkania. — Łazienka jest tu, z tyłu. — Zgarniała z przejścia wszystko, o co Sherry mogłaby się potknąć. — Niestety nie ma wanny. Jest tylko prysznic.

W pośpiechu zbierała rzeczy, dosuwała meble do ścian: otomanę, stelaż z gazetami, mały żelazny stojak na doniczki. Ale ze mnie idiotka, myślała. Nie zadała sobie nawet odrobiny trudu, żeby się dowiedzieć czegoś o swoim gościu, choć przecież nie wymagałoby to specjalnego zachodu. Oczywiście Payne również mógł ją ostrzec. Ale może przesadzała. Może oni wcale nie zachowywali się tak, jakby Sherry była niewidoma. Może powinna się rozluźnić.

— Nad zlewem jest kawa w puszcze, a na blacie stoi ekspres. Taki zwykły, stary. Obok leżą filtry. Pościel, koce, mydło i papier toaletowy znajdziecie w szafie w przedpokoju. Poszwy zmieniałam dzisiaj.

— Bardzo tu ładnie — powiedział Payne. — Nie wiedziałem, że będziemy mieli lokum nad samym morzem. Mam nadzieję, że wynajęcie tego mieszkania nie sprawiło ci zbyt dużo trudności.

— To moje mieszkanie. Należało do mojej zmarłej matki. Wciąż nie mogę się zmusić, żeby je wynająć, więc ciągle tylko stoi i się marnuje.

— Ojej, na pewno się nie narzucamy? — spytała Sherry. — Nie chciałam, żeby...

— Ciii! — przerwała jej O'Shaughnessy. — Cieszę się, że mogę was gościć. Dzięki wam do tego domu wraca życie. Przykro mi, że zamiast słońca wita was burza, ale burze bywają nawet przyjemne, jeśli tylko najgorsze zostaje na morzu. Czytałam o tobie kiedyś w „Boston Globe”. Musisz mieć bardzo ciekawe życie.

W „Boston Globe”. To znaczy, że wiedziała o Norwich.

— Owszem, czasami — więcej Sherry nie była w stanie powiedzieć.

O'Shaughnessy rozejrzała się po mieszkaniu.

— No dobrze, więc tutaj jest kanapa. Do spania się ją wysuwa. — Spojrzała na Payne'a. Na palcu miał obrączkę. — Aneks kuchenny jest tam. Zmywarka pod blatem. Tutaj jest stół, a zaraz obok rozsuwane drzwi na balkon. Nie jest zbyt wielki, ale dwie osoby

mogą tam spokojnie usiąść. No, ale nie wiem, czy zaraz się nie rozpada — powiedziała, krzywiąc się i wzruszając ramionami. — Chcecie, żebym wyniosła stąd stolik?

— Chcemy ci zapłacić — odparła Sherry.

— Nawet nie chcę o tym słyszeć — zaproponowała O'Shaughnessy. — Mówię poważnie.

— Ależ to zbyt wiele...

— Porozmawiamy o tym później. Teraz pomyślmy o jutrze — rzekła, zwracając się do Payne'a. — Proponuję upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. O pierwszej mam spotkanie w Vineland, godzinę drogi stąd. Wrócę dopiero po trzeciej. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, przyślę do was sierżanta, który zaprowadzi was w miejsca, gdzie będziecie mogli pokazać portret pamięciowy waszego podejrzanego. Po powrocie zabiorę Sherry na obiad, a kiedy wszyscy już sobie pójda, zawiozę ją do prosektorium.

— Brzmi rozsądnie — odparł Payne.

— To dobrze. Na pewno jesteście zmęczeni — rzekła O'Shaughnessy, ruszając w stronę drzwi. Nie umiała ocenić, czy między policjantem a Sherry Moore było coś więcej, czy też po prostu przesadzała z podejrzliwością. Od czasu numeru, który Tim wykręcił w Saint Paul, analizowała każdą napotkaną parę.

— Na komodzie stoi telefon. Drugi jest na stojaku przy fotelu. Mój numer łatwo zapamiętać: dwa, dwa, osiem, dwa, osiem, zero, zero. Ale gdybyście zapomnieli, to znajdziecie go w książce telefonicznej.

— Dzięki — odrzekł Payne.

Sherry wróciła z balkonu do pokoju.

— Tak, dzięki — powiedziała, machając do policjantki.

■ ■ ■

Chociaż od przyjazdu Payne'a i Sherry minęło tylko czterydzieci minut, O'Shaughnessy była kompletnie wyczerpana.

Przeszła na drugą stronę Atlantic Avenue i ruszyła w kierunku swojego domu. Po chwili obróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na budynek. Niewidoma! Co za szok. Między nimi na pewno coś jest, powtórzyła sama do siebie.

Powiodła wzrokiem na północ, w kierunku żółtych i różowych świateł Strayer's Pier, w kierunku diabelskiego młyna. To tam poznała Tima.

Miała na sobie szorty i koszulkę bez rękawów. Powietrze było lekkie od soli i na tyle chłodne, że szybko dostała gęziej skórki. W świetle latarni widać było morską mgiełkę.

Jeszcze niedawno nie sądziła, że mogłaby wybaczyć Timowi. Dwa miesiące temu wiedziała tylko tyle, że nie chce go widzieć w swoim domu. Teraz nie miała już pewności, czy podjęła słuszną decyzję.

Kobieta, z którą się przespał, była szefową jednej z filii jego firmy. Wraz z grupą współpracowników pojechał do Saint Paul świętować rewelacyjne wyniki finansowe po pierwszym roku działalności tamtejszego oddziału. Zarząd życzył sobie wspólnych zdjęć obu zespołów — miały przekonująco wyglądać przy pozytywnym kolejnych partnerów. Kobieta z Saint Paul zabrała przyjezdnych na kolację i drinki. Była rozwódką. Tim przyznał, że tamtego wieczoru odwiedzili zbyt wiele barów i wypili zbyt wiele koktajli, i zupełnie nie pamiętał, jak to się wszystko skończyło. Wiedział tylko tyle, że następnego ranka zamiast w pokoju hotelowym, do którego O'Shaughnessy wydzwaniiała przez całą noc, obudził się w sypialni tamtej kobiety.

Powinien był sobie darować tę spowiedź. Gdyby trochę odczekał, O'Shaughnessy wybaczyłaby mu jeszcze tej samej nocy. Miesiąc, dwa miesiące później to wszystko nie bolałoby aż tak bardzo. Wtedy jednak bolało — a ból sprawia, że podejmuje się niewłaściwe decyzje. Mój Boże, pomyślała. Czy to właśnie cały czas robiła? Jeremy Smyles, Sandy Lyons, Clarke Hamilton — czy oni wszyscy byli tylko wynikami niewłaściwych decyzji?

Na ulicy panował spokój. Większość turystów wróciła już na noc do hoteli. Nad placem zabaw po drugiej stronie wirowały świetliki. Córeczki O'Shaughnessy tego dnia znów nocowały u ojca.

Weszła na podjazd. Postukała palcem w niesforną latarnię, aż światło wreszcie przestało migotać. Potem weszła przez niezamknięte drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Z kuchni dobiegł jej uszu głuchy łoskot — to kot zeskakiwał z lady i przemykał się do jadalni, najwyraźniej niezainteresowany jej powrotem.

Nastawiła wodę na herbatę, otworzyła lodówkę i wzięła z maseczki łydę selera.

Rozmyślała o Sherry Moore. Była zupełnie inna, niż spodziewała się policjantka. Nic dziwnego, że media tak się nią zachwyciły. Ta kobieta była po prostu piękna.

O'Shaughnessy włączyła zmywarkę, nastawiła pranie, a potem przeleciała się po domu z odkurzaczem. Wszędzie rozrzucone były rzeczy dziewczynek — wszystko to dlatego, że tak naprawdę nie miały już domu. Miały tylko przystanki, gdzie czasem jadły i nocowały.

Zadzwoiła do Tima — nikt nie odpowiadał. Wybrała więc numer do swojej teściowej. Okazało się, że Tim zostawił dziewczynki i wyszedł gdzieś na noc. A to gnój!

Była jedenasta. O'Shaughnessy nalała sobie herbaty i włączyła wiadomości. Clarke nagrał się jej na sekretarkę — ale to głos Tima chciała usłyszeć. Na ekranie telewizora prezenter prognozy pogody wskazywał właśnie na huragan wciąż wiszący nad Karolinami.

Tim, dziewczynki, Yolandowie — wszystko to doprowadzało O'Shaughnessy do rozpaczki. Zastanawiała się, czy nie zrobić sobie drinka, uznała jednak, że to zły pomysł. Lepiej nie ryzykować, szczególnie biorąc pod uwagę, jak kiepsko radziła sobie ostatnio z papierosami.

Podniosła telefon i zaczęła wystukiwać numer. Z bocznej ulicy wyłoniły się reflektory samochodu. Snop światła przemknął po

suficie salonu i zniknął. Weisnęła ostatnią cyfrę — Clarke odebrał po kilku sygnałach.

— Spóźniłam się na kolację? — spytała.

— W istocie schowałem już fartuch — odrzekł ze śmiechem. — Ale mam spisane numery wszystkich najlepszych restauracji z dostawą do domu.

— Szczerze mówiąc, to nie główne danie mnie interesuje. Jak u ciebie z deserami?

— Oferuję bogaty wybór doskonałych deserów. Jeden moment. — Usłyszała kroki na posadzce z płytek, następnie odgłos otwieranego i zamykanego zamrażalnika. — Jak twoim zdaniem brzmi perspektywa lodów na patyku?

— Seksownie.

Kiedy O'Shaughnessy opuściła Clarke'a i ruszyła z powrotem do domu, była już prawie druga w nocy. Co ją skłoniło, żeby tak nagle zadzwonić do prokuratora — nie wiedziała. Złość? Frustracja? To, że nie mogła porozmawiać z mężem wtedy, kiedy chciała?

No tak, jasne, powiedziała sobie w myślach. Zwal to na Tima. Niech to on ponosi winę za to, że rzucasz się Clarke'owi w ramiona. Ciekawe, jak długo jeszcze można to sobie wmawiać.

Skręciła w swoją ulicę. Zobaczyła, że wychodząc, zapomniała zgasić światło w pokoju na górze.

Naprawdę chciała, żeby Tim się dowiedział, że mimo wszystko nie potrafiła pójść z Hamiltonem na całość. Zdjęła ubranie tylko po to, żeby leżąc w ramionach Clarke'a, z płaczem opowiadać mu, jak bardzo tęskni za mężem.

Skąd brało się to przemożne pragnienie, żeby przyznać się przed Timem? Czy tak właśnie dzieje się wtedy, gdy bardzo się kogoś kocha? Czy to dlatego Tim przybiegł do niej, kiedy tylko wrócił z Saint Paul? Czy potrzeba odbudowania więzi przeważała u niego nad obawą przed odrzuceniem? Czy jego uczucie było tak

silne, że świadomość występku ciążyła mu bardziej niż konsekwencja przyznania się przed żoną?

Boże, pomyślała. Gdyby tylko nie przestała z nim rozmawiać. I tak natychmiast by mu nie przebaczyła, ale przecież nie musiała zrywać kontaktu. Gdyby tylko dalej ze sobą rozmawiali, sprawy nie zaszłyby aż tak daleko.

Zamknęła drzwi wejściowe, a wtedy od strony kuchni poczuła podmuch powietrza. Ruszyła w tamtym kierunku, wetknęła głowę przez framugę, i zobaczyła, że drzwi kuchenne stoją otworem.

Cofnęła się, spoglądając ku schodom na pierwsze piętro. Ostrożnym krokiem przeszła przez jadalnię i dotarła do przedpokoju. Otworzyła drzwi wejściowe i pobiegła do samochodu, by wziąć ze schowka swojego glocka. Następnie zadzwoniła na policję.

■ ■ ■

Na podjeździe przed domem O'Shaughnessy stały dwa radiowozy, trzeci krążył zaś w pobliżu, oświetlając szperaczem ogródki sąsiadów oraz ciemny park po przeciwległej stronie ulicy.

Tak się akurat złożyło, że nocną zmianą kierował Dillon — i to on powitał kobietę przy drzwiach.

O'Shaughnessy dotarła na górny podest w asyście dwóch umundurowanych policjantów. Cała trójka miała broń gotową do strzału. Jeden z funkcjonariuszy skreślił w korytarz w kierunku pokoju dziewczynek. Drugi podążył za kobietą.

Wszystkie okna były otwarte. W oddali fale uderzały o brzeg.

O'Shaughnessy sprawdziła po kolei garderobę, pustą łazienkę, drugą garderobę, główną łazienkę, wreszcie główną sypialnię — i wtedy wydała stłumiony okrzyk.

Na łóżku rozciągnięta była amerykańska flaga. Kobieta zbliżyła się ostrożnie, złapała flagę za róg i powoli ściągnęła.

— O Boże — szepnęła.

Pod spodem leżał jeden z jej galowych mundurów. Granatowe

spodnie, biała bluzka włożona w granatową marynarkę, krawat zawiązany pod kołnierzykiem, na ramionach pagony porucznika. Rękawy złożone były na piersiach — zupełnie jak u zmarłego. O'Shaughnessy podniosła spodnie, odkrywając białe stringi, wyjęte z szuflady komody, oraz rajstopy rozciągnięte aż do krawędzi nogawek.

Opuściła flagę, zszokowana i zawstydzona.

— Wygląda na to, że ktoś tu sobie wyobrażał martwą panią porucznik ubraną w stringi. Pewnie jeden z tych desperatów, co to ich tak pani porucznik straszy. Oczywiście, może to wcale nie ma związku z pracą. Zaskakujące, jak wiele sytuacji rodzinnych może się łatwo wymknąć spod kontroli. Wystarczy, że kobieta zaczyna dzielić uwagę pomiędzy dwóch mężczyzn i bum! Nagle ktoś komuś życzy śmierci. Z takimi rzeczami zawsze trzeba się liczyć, jeśli pani porucznik wie, co mam na myśli.

Dillon stał za nią, oparty o framugę. W ustach miał wykałaczkę, jedną rękę trzymał w kieszeni.

— Sierżancie, czy mógłby pan poczekać na zewnątrz?

— Ależ pani porucznik, oczywiście, że bym mógł. Szczerze mówiąc, zobaczyłem już wszystko, co chciałem. Miłej nocy życzę. Bardzo miłej nocy.

Dillon gwizdnął głośno i pozostali policjanci pojawili się na podeście schodów.

— Mike, Vinnie, chodźcie. Zjeżdżamy stąd.



# 25

## Sobota rano, 4 czerwca Wildwood w stanie New Jersey

Kiedy następnego poranka O'Shaughnessy pojawiła się w pracy, Dillon właśnie odprawiał nocną zmianę. Patrzył, jak kobieta wchodzi do gabinetu i zamyka za sobą drzwi, cały czas unikając jego wzroku.

—Zasrana pani porucznik — odezwał się do jednego z żółtodziobów. — Widzisz, synek, baby w policji wszystkie są takie same. Sto razy już to widziałem. Dać im jakieś zadanie, to tylko narobią dramatu. Jak się chce rezultatów, to trzeba do tego chłopa wziąć. W policji zawsze tak było. W ogóle zrobiliśmy błąd, żeśmy kiedykolwiek zatrudnili jakąś babę. A już za cholere nie powinniśmy takich awansować tylko dlatego, że tatulo był tu kiedyś zasranym komendantem.

Skończył odprawiać ostatniego z funkcjonariuszy i zaniknął rejestr.

— Ej, co powiesz, żebyśmy skoczyli na browarek? Opowiem ci, jak się spaliła wypożyczalnia wideo i jak żeśmy znaleźli tych zwęglonych ludków. — Dillon z uśmiechem uniósł głowę. — I jeszcze ci powiem, co porucznik O'Shaughnessy nosi pod tymi portasami.

— Jasne — odparł z entuzjazmem młody.

Policjanci zdjęli koszule od munduru i do portu pojechali w T-shirtach, z pistoletami przy pasie. Kiedy dotarli na miejsce, Jeremy

Smyles właśnie wychodził z Bocianiego Gniazda ze styropianowym kubkiem w dłoni

— Znalazłeś jeszcze jakieś pierścionki pod deptakiem, gnojku?

— Dillon dźgnął mężczyznę palcem w tors, gdy ten schylał się po swój kij do zbierania śmieci. — Wiesz, co myślę? Myślę, że wcale nie jesteś taki głupi, jakiego zgrywasz. I myślę, że jeszcze wylądujesz na krześle, jak tylko Jason Carlino znajdzie na ciebie gliniarza z prawdziwego zdarzenia. Możesz sobie nabierać bandę tępych detektywów, ale mnie, koleżko, nie nabierzesz. Już ja widziałem u ciebie w pokoju te kolczyki i majteczki. Już ja wiem, jaki z ciebie jebany zbok. Masz szczęście, że od razu cię nie wezmę za łeb do Pine Barrens i nie zastrzelę. Słyszysz, co do ciebie mówię, pojebańcu?

Jeremy zachybotał się na nogach. Wyglądał na zakłopotanego. Nie wiedział, czy powinien odejść, czy zostać i wysłuchać policjanta do końca.

Na szczęście nie musiał podejmować decyzji, ponieważ w tej samej chwili Janet otworzyła szeroko drzwi.

— Chyba kogoś słyszałam — powiedziała.

Dillon uśmiechnął się bezczelnie i wszedł do środka, odpychając kobietę na bok.

— Chodź no, młody. Odsuńmy się od tego dupka, bo cali zaśmierdniemy.

■ ■ ■

O'Shaughnessy wyszła z pracy przed dziesiątą. Wróciwszy do domu, usiadła samotnie w ciemnym salonie. Teraz czuła się tutaj inaczej niż jeszcze niedawno. Dom przestał być bezpiecznym schronieniem. Nie był już miejscem Tima, nie był jej miejscem, nie był miejscem dziewczynek. Stał się małym, zimnym pudłem pełnym pokoi. Oraz wspomnień.

Minionej nocy O'Shaughnessy nie zmrużyła oka. Trzęsła się z zimna przesywającego do szpiku kości.

Tego dnia najpierw przemaglował ją komendant, a potem nekali dziennikarze, którzy na policyjnej częstotliwości podsłuchali wezwanie

do włamania w jej domu. Później zaczęły nadchodzić złe wieści. Najpierw z laboratorium kryminalistycznego, a następnie z urzędu burmistrza. To wszystko — a także uporczywe wspomnienie poprzedniej nocy, kiedy rozebrała się przed Clarkiem i weszła do jego łóżka — zmieniło jej poranek w istne piekło.

Spojrzała na swoje zdjęcie w gazecie. Gwiazda pełną gębą, pomyślała z politowaniem. Artykuł najwięcej miejsca poświęcał kompromitacji w spalarni. Ekipa Gusa przeszukiwała piec godzinami, ale nie znalazła żadnych kości, zębów, pistoletów czy noży — niczego poza zimnym, białym popiołem oraz niewielkimi grudkami metalu, które kiedyś były numerkami psów. Wstrzymanie pracy spalarni kosztowało podatników jedenaście tysięcy dolarów. Radna zaprzyjaźniona z Jasonem Carlino zasugerowała, że rachunek powinna pokryć policja, jeśli nie wręcz sama O'Shaughnessy.

Krew z ciężarówki była grupy A Rh-. Zarówno Carlino, jak i Yoland miały czynnik Rh+. Jedna z nich grupę A, druga zaś - 0. Włos znaleziony w oknie wozu nie odpowiadał ani próbkom pobranym z rezydencji państwa Carlino, ani tym, które znaleziono na miejscu porwania Tracy Yoland.

Z laboratorium FBI nie przyszedł jeszcze raport dotyczący próbki lakieru, ale biorąc pod uwagę dotychczasowy rozwój wydarzeń, O'Shaughnessy wcale by się nie zdziwiła, gdyby wynik okazał się negatywny. Przestała już liczyć na cokolwiek.

W myślach wciąż analizowała całą sytuację. Lyons był idealnym podejrzanym. Spełniał wszystkie warunki. Miał okazję — był kierowcą na nocnej zmianie. Miał środek — jeździł śmieciarką. Miał też motyw — w przeszłości był notowany za przestępstwa na tle seksualnym. Na dodatek O'Shaughnessy znalazła w jego pojeździe wyraźne ślady: kobiecy włos oraz krew. Co więcej, ciężarówka była pomarańczowa, tak jak samochód, o który otarła się Anne Carlino w dniu, kiedy zniknęła. Czy można żądać czegoś jeszcze? — zastanawiała się. Lyons był Prawdopodobnym Podejrzanym przez duże P.

Władze miasta nie podzielały jednak tej opinii. Nie miały również pewności, czy wstrzymanie pracy spalarni było mądrą decyzją. Na pewno nie wtedy, gdy jedyny argument to pojedynczy ludzki włos, który — jak zauważył Jason Carlino w wywiadzie dla „Patriota” — jest przecież niczym w porównaniu z pierścionkiem ofiary, znalezionym w mieszkaniu osoby notowanej w przeszłości za wykroczenia na tle seksualnym.

Burmistrz uważał, że nikomu nie zaszkodziłoby postawienie Jeremy'ego Smylesa w stan oskarżenia i osadzenie go w areszcie. Na pewno Jason Carlino oraz Yolandowie byliby tym usatysfakcjonowani. Gdyby zaś zebrane później dowody świadczyły o jego niewinności lub gdyby pojawił się inny podejrzany, Smylesa zawsze można było zwolnić. Przecież u Jeremy'ego znaleziono dowód, co więcej, mężczyzna sam się przyznał do jego posiadania. Był również notowany za wykroczenie na tle seksualnym — nawet jeśli tylko za zagładanie komuś do okna — a na dodatek nie potrafił powiedzieć, gdzie przebywał wówczas, gdy popełniono oba przestępstwa. Jego miejsce było w areszcie! „No i na litość boską, Kelly, to niedorozwój. On się nikomu nie poskarży. Niczym byś nie ryzykowała, nawet gdyby się okazało, że jest niewinny”.

O'Shaughnessy nie potrafiła skontrolować tego argumentu.

Poczuli, jak łzy napływają jej do oczu. Nawet gdyby badanie potwierdziło, że próbka lakieru z samochodu Lyonsa odpowiada pobranej z pierścionka Anne Carlino, w tej chwili i tak na niewiele by się to zdało. Badanie lakieru wskazywało przecież na grupę pojazdów, a nie na jeden konkretny. Żeby dorwać Lyonsa, potrzebowała bezpośredniego powiązania z ofiarami. Potrzebowała bezpośredniego dowodu rzeczowego. Musiała zidentyfikować włos i krew znalezione w ciężarówce jako należące do kogoś innego. Ale do kogo?

Postawiła kubek z kawą obok fotela. Teraz na dodatek ktoś zaczął nachodzić ją samą. Albo próbował z niej zrobić wariata. Zastanawiała się, czy Dillon odważyłby się na coś takiego — czy miał w sobie dość nienawiści. Stwierdziła, że tak. W skrzynce, do

której nie zaglądała od dwóch dni, była jakaś pocztą, a migająca lampka automatycznej sekretarki oznaczała oczekującą wiadomość. Ani chybi — Clarke.

O'Shaughnessy rozejrzała się po domu, myśląc o wszystkich łzach, które wypłakali tutaj jej najbliżsi. Łzach szczęścia i łzach smutku. O życiu i radościach rodziny. Tego jej właśnie brakowało: bycia częścią rodziny. Wyglądało na to, że nic im nie wychodziło. Teraz na domiar złego nie miała pewności, czy powinna pozwolić dziewczynkom wrócić do domu, czy też kazać im zostać u ojca. Czy przebywanie z nią było bezpieczne?

Wreszcie łez nie dało się już powstrzymać i O'Shaughnessy zaniosła się płaczem. Łkała głośno, myśląc o tym, jak gwałtownie może się zmienić całe życie. Chciała, żeby Tim do niej wrócił. Chciała, żeby ją przytulił. Wiedziała, że Clarke przyjechałby do niej w mgnieniu oka, ale on nie znał jej tak dobrze jak Tim. Clarke nie dzielił z nią wzlotów i upadków, które ją ukształtowały. Nie był częścią jej rodziny, a właśnie za tym tęskniła najbardziej. Za rodziną.

Zacisnęła powieki, usiłując stłumić łzy. Na zewnątrz krzyczały mewy. Słyszała jednostajny dźwięk samochodów, przesuwających się jej ulicą centymetr po centymetrze. Korek do Rio musi sięgać aż po most, pomyślała. Wszyscy próbowali się wydostać z miasta przed początkiem burzy. Wszyscy żyli sobie dalej, podczas gdy jej życie stanęło w miejscu.

Postawiła kubek na stoliku. Wytarła twarz papierową chusteczką i wyrzuciła ją do kosza w kuchni. Wsunęła na nogi tenisówki, które stały przy drzwiach ogrodowych, głównym wejściem wyszła przed dom i przysiadła na schodkach, żeby zawiązać sznurówki. Wilgoć w powietrzu była nie do zniesienia.

Podbiegła do chodnika i ruszyła na wschód, ku Atlantic Avenue, gdzie pięćdziesiąt samochodów czekało na zmianę świateł.

Biegąc obok nich, przyglądała się ludziom w środku, dzieciom, zabawkom, psom, bagażom, wszystkiemu, co piętrzyło się za szybami. Rodziny...

Przebiegła Atlantic w cieniu wysokiego hotelu Dunes, przebiegła

obok Driftwood, gdzie Sherry Moore pewnie właśnie wstawiała z łóżka, by zrobić sobie kawę. Matka O'Shaughnessy mieszkała tam aż do zeszłej jesieni, do zawału. Teraz ten dom był tylko śladem po kolejnej utraconej osobie.

Sprzedawcy wciągali wózki z napojami i papierosami przez boczne drzwi hotelu. Policjantka poczuła zapach pozostałego po śniadaniu bekonu i to także nie wiedzieć czemu przypomniało jej Tima.

Grzęznąąc w głębokim piasku, biegła plażą, aż wreszcie dotarła na skraj morza. Wówczas skręciła na północ i ruszyła w stronę Strayer's Pier.

Fale były tego dnia wysokie. Z dużą siłą uderzały o brzeg, wdzierając się głęboko w plażę.

Spieprzyła sprawę — nie było o czym mówić. Chciała, żeby w jej życiu wreszcie zdarzyło się coś pozytywnego, kiedy więc Lyons okazał się jej jedyną szansą, wyskoczyła przed orkiestrę. Z Clarkiem też się pewnie pośpieszyła.

Biegła wzdłuż linii utworzonej przez śmierdzące wodorosty. Pośród nich bawiła się jakaś niezwykle zdeterminowana rodzinka, która za wszelką cenę chciała wykorzystać ostatnie godziny wakacji. O'Shaughnessy przebiegła wśród ludzi slalomem i podążyła dalej, płosząc trzy ptaki szukające pożywienia w cofającej się fali. Znowu poczuła napływające do oczu łzy, ze skroni zaś zaczynał ciec pot. Po kolejnych dwóch kilometrach zawróciła w stronę domu.

Boże, jak ona chciała móc zadzwonić do Tima. Po prostu z nim pogadać. Po prostu się przytulić. Wbiegła na swoją ulicę, na podjazd, na schodki prowadzące do drzwi. Może i na to było już za późno. Może to też schrzaniła.

■ ■ ■

Wzięła prysznic, a potem pojechała do schroniska w porcie, w którym miasto tymczasowo umieściło Jeremy'ego Smylesa. Zawiozła go do kliniki psychiatrycznej w Vineland, gdzie poddał się dobrowolnemu badaniu. Siedziała w poczekalni, bijąc się z myślami,

czy powinna zatelefonować do Tima. Wtedy zadzwonił McGuire.

— Podrzuciłem Payne'a do twojego mieszkania na lunch. Z portretem pamięciowym na razie się nie poszczęściło. Gadałem za to z facetem odpowiedzialnym za flotę taksówek w Ocean City. Nie mają żadnych pomarańczowych wozów starszych niż trzy lata. Wymieniają samochody po stu czterdziestu tysiącach kilometrów, czyli co jakieś dwadzieścia miesięcy. Podobno wszystkie duże floty tak robią. Pojazd, którego szukamy, może już teraz należeć do osoby prywatnej. Z tym też trzeba się liczyć.

W tym momencie za drzwiami jego gabinetu rozległ się jakiś hałas.

— Poczekaj chwilę. — Zastłoniwszy słuchawkę dłonią, McGuire zawołał: — Słucham? — ale nikt nie odpowiedział. — Przepraszam, wydawało mi się, że ktoś chciał do mnie wejść. No więc, co myślisz o tej kobiecie medium? Jaka jest ta Sherry Moore? Naprawdę umie rozmawiać ze zmarłymi?

— Jest niewidoma — odrzekła O'Shaughnessy. — I nie rozmawia ze zmarłymi. Ona widzi ich wspomnienia. — Nagle przyszło jej do głowy, że może wcale nie powinna była mieszać w to McGuire'a. Dla jego własnego dobra.

— Żartujesz.

— Nie. A do tego to piękna kobieta. Nie spodziewałbyś się tego po medium, co? Aha, gdybyś mnie dziś wieczorem szukał, to zabieram ją do Kiskocka. Telefon zostawię w samochodzie.

— No to baw się dobrze, poruczniku. O tej porze powinniśmy ruszać z kolegą z Filadelfii na deptak.

— Jak chcesz, to też go zabierz na kolację. Pokryję koszty.

— Na pewno? — spytał, myśląc o porażce ze spalarnią.

— Na pewno.

— Wiesz co? Ten facet ze szkicu wygląda na nieźle pokręconego. Ktokolwiek zobaczył taką twarz, na pewno jej nie zapomniał.

— To samo pomyślałam.

— A może to nawet nie jest prawdziwa osoba?

— Nie mówisz nic, co by mi już wcześniej nie przeszło przez głowę — westchnęła. — A tak na marginesie to dzięki, że się zajmujesz Payne'em. Jakoś ci to wynagrodzę.

— Nie ma sprawy. Facet jest w porządku. Teraz pojedziemy do Jennie Woo, a potem do chłopaka Anne Carlino. Wieczorem poszukamy bandy, która kręci się w pobliżu Strayer's Pier.

— Nie zapomnij o Newsym.

— Zahaczymy o niego w drodze do Jennie.

McGuire znów usłyszał jakiś hałas za drzwiami swego gabinetu.

— Przepraszam, poruczniku, muszę lecieć. W sali ogólnej ktoś jest.

■ ■ ■

McGuire podniósł plik poczty i otworzył drzwi gabinetu. Nie wiele brakowało, by skręcając zza rogu, potknął się o nogi Dillona. Otyły policjant siedział rozwalony przy biurku jednego z detektywów, z nogami opartymi o blat. Na koszulce miał plamy po musztardzie. Śmierdział alkoholem.

— Życzysz sobie czegoś? — zapytał McGuire.

— Życzę sobie, żeby mi ktoś zrobił laskę — wymamrotał Dillon, łapiąc się za krocze. — No, ale widzę, że pani porucznik sobie wyszła. — Spojrzał w sufit. — Czyżbyś to z nią właśnie gadał? Dzwoniła od pedikiurzystki?

Dillon odsunął się od biurka i z wysiłkiem stanął na nogi, strącając z blatu ceramiczny kubek z napisem „Supertata”. Naczynie roztrzaskało się o podłogę.

— Wiesz, dlaczego mi się chce rzygać, jak patrzę na was, garniturowych? — mruknął, chwiejąc się na nogach. — Każdy jeden z was myśli, żeście tacy od nas mądrzejsi. Chichoczenie sobie przez telefon jak banda dziewczynek i wszystkim wam jaj brakuje, żeby poznać, co to prawdziwa robota gliniarza. Detektywi od siedmiu boleści — wymamrotał, zataczając się w stronę drzwi.



McGuire zamknął oczy i pomodlił się w myślach. Pomodlił się, żeby Dillon nie usłyszał, jak mówił o Sherry Moore.

■ ■ ■

Kiedy przyszła O'Shaughnessy, Sherry siedziała na balkonie owinięta w ręcznik.

— Delektujesz się burzą? — spytała policjantka.

Sherry skinęła głową.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze spałam. Całą noc nie opuszczaliśmy rolet — odparła.

Rzeczywiście, od czasu wydarzenia w domu pogrzebowym nigdy nie spała tak długo jak tej nocy.

— Robi się ciemno. Burza nadejdzie najwcześniej o północy, ale fale już są wysokie i plaża jest cała w wodorostach.

— Czuję ich zapach — odrzekła Sherry. — Kelly, napij się kawy?

— Bardzo chętnie, ale pozwól, że ja naleję. Biała czy czarna?

— Czarna.

O'Shaughnessy wzięła kubek Sherry i podeszła do szafki, by znaleźć jakiś dla siebie.

— Mówiłaś, że mieszkała tutaj twoja mama?

— Tak — odparła policjantka. Zniosła pełne kubki na balkon i usiadła obok Sherry. — Miała straszną słabość do bieli. Wszystko tutaj jest w tym kolorze. Biały dywan, białe meble, białe ściany. Białe, białe, białe.

— Na pewno wygląda pięknie.

— W sumie nie najgorzej. Co roku na Gwiazdkę kupowałam jej obrazy, żeby wprowadzić tu trochę koloru — powiedziała O'Shaughnessy, sącząc kawę. — Sierżant McGuire mówi, że z waszym portretem pamięciowym na razie się nie udało.

Sherry pokręciła głową.

— John wpadł na lunch i też o tym wspominał. Wiesz, Kelly, ja nie zawsze jestem pewna, czy dobrze interpretuję to, co zobaczyłam. Miałam już bardzo złe doświadczenia.

— Domyślałam się, że w czymś takim trudno od ciebie oczekiwać perfekcji.

Sherry skuliła się na krześle.

— Czasami trudno sobie pozwolić na jej brak — odrzekła.

— Ty się denerwujesz tą wizytą w prosektorium, prawda?

Sherry przytaknęła.

— I to nie jest w twoim stylu.

Niewidoma pokręciła głową.

O'Shaughnessy wyczuwała, że wizyta u Andrew Markeya znaczty dla kobiety dużo więcej, niż gotowa jest przyznać.

— Mam nadzieję, że zanim pojedziemy zobaczyć ciało, wybierzesz się ze mną na kolację. Powiedziałam sierżantowi, żeby detektywa Payne'a też gdzieś zabrał. Zresztą przypuszczam, że i tak będą pracować do późna.

Sherry uniosła dłoń.

— Proszę, nie przewracaj sobie przeze mnie życia do góry nogami. Nicnierobienie całkiem mi odpowiada. A jeśli zgłodnieję, to John kupił mi kilka kanapek.

— Cóż, moje dzieci nocują u ojca i szczerze mówiąc, nie mam ochoty spędzić tego wieczoru sama. To co powiesz?

— Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że to ja płacę — odparła Sherry.

— Payne nie uprzedził mnie, że jesteś taka uparta.

# 26

## **Sobota, 4 czerwca Wildwood w stanie New Jersey**

Marcia zdołała uwolnić jeden z nadgarstków, wsuwając pod palce wywichnięty kciuk. Wykonanie takiej sztuczki zawdzięczała temu, że któreś nocy Nicky wyrzucił ją z okna na pierwszym piętrze.

W autobusie roiło się od szczurów. Nie były to jednak zwykłe szczury, jakie Marcia spotykała na farmie, ale ospałe stworzenia o jasnym futrze i żółtych oczach. Wyglądały jak małe oposy. Tym, co pomagało jej odróżnić dzień od nocy, był zmieniający się kolor rys na zamalowanych czarną farbą szybach oraz światło słońca na schodkach autobusu. Sykes pokazał jej już wszystkie atrakcje — widziała jamę i nie musiała oglądać niczego więcej, żeby zrozumieć, co tu się działo.

Nie dobiegały do niej żadne odgłosy z autostrady. Nie było klaksonów ani syren. Nad wysypiskiem regularnie przelatywały natomiast samoloty, Marcia często słyszała też łopot śmigieł helikoptera. Na początku myślała, że jej szukają, jednak z czasem rozumiała, że przeloty układają się w cykl. To był tylko helikopter turystyczny, który kursował nad morze i wkrótce zawracał.

Sykes zdjął z niej ubranie i na jej oczach wrzucił do jamy. Łał jej do ust wodę z plastikowej butelki po coli i karmił batonikami, które kroił na małe kawałki. Używał do tego brudnego noża do

jarzyn, leżącego teraz tuż przy lampie. Oświadczył, że kiedy kobieta będzie już zbyt słaba, żeby go zadowolić, wrzuci ją do dziury. Potem odszedł, zostawiając ją tam nagą, przykrytą jedynie płachtą brezentu.

Oswoodziwszy rękę z kajdanek, mogła się obrócić na bok, zerwać taśmę z ust i krzyżeć. Mogła także sięgnąć po stojącą obok lampę oraz nóż, który leżał tuż przy niej.

Gdy zrobiła to po raz pierwszy, na materacu zobaczyła ślady szminki, a na pręcie, do którego przymocowane były kajdanki, rysy świadczące o tym, że ktoś próbował się z nich wyrwać. Marcia nie była pierwszą kobietą, która leżała tam i czekała na śmierć.

Sykes zgwałcił ją w noc po porwaniu, jednak wczoraj wyglądał na chorego. Miał wypieki, takie jak przy grypie, i niemal nie zwracał na Marcie uwagi. Siostra Nicky'ego wyglądała podobnie, kiedy nie dostała działki. Kobieta pomyślała, że mężczyzna być może bierze leki.

Tak czy inaczej, na pewno coś planował. Przyniósł ze sobą policyjną czapkę oraz parę lakierków, które postawił pod ścianą. Buty były niewielkie — damskie, jak od munduru. Powiedział, że wkrótce zapewni Marcii rozrywkę. I że dziewczyna weźmie udział w jego show.

Pozwalał jej się załatwiać do wiadra, a następnie opróżniał je do dziury. Smród, jaki stamtąd buchał, był taki, jakby otworzyła się przed nimi gardziel piekieł — pełna gazów jama kryjąca odpadki całej ludzkości. Sama myśl, że Sykes mógłby ją tam wrzucić żywą, była ponad jej siły. Ile kobiet przed nią spotkał już ten los? Ile kobiet, wierzgających i krzyczących wniebogłosy, ciągnął już po tej podłodze?

Uśmiechnęła się opętańczo, obracając się, wyciągając rękę i dotykając noża leżącego przy lampie. Wysunąć dłoń, obrócić się, wyciągnąć rękę, złapać nóż. Udawało się za każdym razem. To dziwne, ale leżąc w samotności, bardzo dużo rozmyślała o Nickym. Nickym, który zdominował jej życie, Nickym, który ją gwałcił i bił, Nickym, który upokarzał ją przed rodziną i znajomymi.

Nagle wszystko stało się niezwykle jasne i zrozumiałe. Zupełnie jakby opuściła własne ciało i spojrzała na siebie z wysoka. Wreszcie nie miała już wątpliwości, co było dobre, a co złe. Co mogła zaakceptować, a czego nie.

W ciągu ostatnich dwóch dni rozumiała coś jeszcze. Nie będzie tam leżeć i krzyczeć, jak zrobiłaby to prawdziwa żona Schmidta. Nie miała zamiaru zmarnować swojej jedynej szansy. Była na niego gotowa. Była gotowa na wszystko, co chciał z nią zrobić. Nicky ją do tego przygotował.

Do tej pory musieli już znaleźć samochód Connie, która na pewno zgłosiła zaginięcie przyjaciółki wszystkim możliwym służbom. Pewnie postawiła na nogi cały stan i nikomu nie da spokoju, póki Marcia się nie znajdzie.

Wiedziała, że do szosy nie jest wcale tak daleko. Orientowała się, że Sykes wniósł ją na złomowisko. Ktoś będzie tędy niedługo przechodził, jakiś pracownik czy właściciel, albo po prostu dzieciaki będą się gdzieś tu bawić. I kiedy zobaczy, że ktoś tam jest i że nic jej nie grozi, zerwie taśmę z ust i zacznie wołać o pomoc. A jeśli nikt nie przyjdzie, będzie dalej ćwiczyć ciosy nożem, czekając, aż Sykes znowu na nią wpełźnie. Jeśli tylko jeszcze raz tego spróbuje, czeka go takie rżnięcie, o jakim mu się nawet nie śniło.

## Sobota wieczór, 4 czerwca Wildwood w stanie New Jersey

— Wszystkie te zapachy są cudowne — powiedziała Sherry, upajając się wonią z kuchni U Kissocka.

Siedziały z O'Shaughnessy w sali restauracyjnej, w połowie drogi między ścianą a barem, przy którym — jak wspominała policjantka — nie tak dawno spotkała się z Clarkiem na drinka. Tamtego wieczoru bardzo się denerwowała, że natknie się na kogoś znajomego. Teraz z kolei bała się, że spotka Tima z inną kobietą.

Próbowała wyciągnąć od córeczek jakieś informacje dotyczące tego, kiedy tata wychodzi z domu i kiedy wraca — ale żadna z dziewczynek nic nie wiedziała. Może po prostu nie zdawały sobie sprawy z tego, że ojciec mógłby spotykać się z kimś innym niż z mamą.

O'Shaughnessy wiedziała, że na szafce przy łóżku trzymał jej zdjęcie — o tym dziewczynki wyraźnie jej zakomunikowały. Wciąż także nosił obrączkę — a przynajmniej miał ją na palcu za każdym razem, kiedy widziała go od czasu separacji.

— Co tu mają dobrego?

— Wszystko, ale homar jest wręcz wyborny.

— Więcej nie musisz mówić. — Sherry złożyła dłonie. — Nie wiem, ile miesięcy minęło, odkąd ostatnio jadłam homara. Zamykamy koktajle czy jesteś na służbie?

— Zamawiamy — odparła O'Shaughnessy. — I to dużo.

Tego wieczoru była w trochę lepszym nastroju. Lekarze z kliniki psychiatrycznej zgodnie stwierdzili, że Smyles nie był ani fizycznie, ani emocjonalnie zdolny do popełnienia zarzucanych mu przestępstw. „Nie potrafiłby nikogo oszukać, nawet gdyby chciał — powiedział lekarz. — Nie umiałby zachować tajemnicy”.

Sherry siedziała przy stoliku cicho, spokojnie, a płomień świecy odbijał się w jej okularach. O'Shaughnessy widziała, jak ta kobieta przyciąga ludzi — najpierw swoją urodą, potem tym, że jest niewidoma, i wreszcie tym, że w ogóle nie sprawia takiego wrażenia. Twarz miała swobodną i ożywioną, kierowała ją w stronę rozmówcy, sporo gestykułowała. Była w świetnej formie. Świadczyły o tym jej ruchy, napięcie mięśni. Opowiedziała policjantce, co robi, żeby zabić czas: ćwiczyła w domowej siłowni, dwa razy w tygodniu trenowała z senseiem sztuki walki, zimą opalała się we własnym solarium, a latem — w ogródku za domem.

O'Shaughnessy pomyślała, że Sherry wieździe bardzo samotne życie.

Kelner przyjął zamówienie na drinki i odszedł, żeby mogły się zastanowić nad daniami. Obie zamówiły sałatkę z kurczakiem i bekonem, Sherry zdecydowała się na gotowanego homara, a O'Shaughnessy — na płastugę nadziewaną mięsem z kraba.

— Wygląda na to, że jesteście blisko związani. To znaczy ty i John.

— To najmiłszy facet na świecie — odrzekła Sherry. — Wiesz, Kelly, on się naprawdę przejmuję. To dla niego więcej niż praca.

— Długo się znacie?

Kobieta skinęła głową.

— Już prawie piętnaście lat. Spotkaliśmy się przy okazji mojego pierwszego kontaktu z policją. Ujął mnie tym, jak mnie potraktował. Był delikatny i taktowny, podczas gdy ktoś inny pewnie by mnie wyśmiał.

O'Shaughnessy usłyszała to w tonie jej głosu. Sherry na moment straciła czujność. Bez cienia wątpliwości łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Policjantka chciała o to zapytać, ale bała się usłyszeć, że na Payne'a gdzieś tam czeka żona.

— Bardzo poważnie podchodzi do tej ofiary, Susan Paxton — powiedziała w zamian.

— On czuje odpowiedzialność wobec wszystkich ofiar — odparła Sherry. — O sprawach, których nie zdołał zamknąć, wciąż mówi w taki sposób, jakby nie zrobił dla tych ludzi tyle, ile powinien. Wiem, że go to doprowadza do szału. Powtarza mi, że jestem darem od Boga dla jego ofiar — zaśmiała się. — Jesteś mężatką, tak?

— Mhm — O'Shaughnessy skinęła głową.

— Od dawna?

— Od siedmiu lat.

— Macie dzieci?

O'Shaughnessy przełknęła ślinę. Nie miała wyboru — musiała odpowiedzieć na to pytanie.

— Tak, dwie dziewczynki.

Sherry opuściła głowę. Na jej twarzy malował się smutek.

— Szcześciara z ciebie, wiesz? — powiedziała. — Prawdziwa szcześciara.

— Wiem. — O'Shaughnessy odłożyła widelec. W tej jednej chwili Sherry wyglądała na straszliwie samotną i kompletnie bezbronną. Zaraz potem wrażenie minęło.

— John mi mówił, że zaginęły jakieś kobiety. Tutaj, u was, tego lata, na deptaku.

Nadszedł kelner z drinkami. O'Shaughnessy dostała szklanekę margarity, a Sherry — kufel india pale ale.

— Na koszt komendanta Loudona — powiedział, wskazując dłonią bar. — Życzy smacznego. Nie chciał przeszkadzać, ale jeśli pani porucznik znalazłaby chwilę, chętnie by z panią zamienił dwa słowa przy barze.

O'Shaughnessy wychyliła się w kierunku baru, uniosła szklanekę



i posłała komendantowi uśmiech. W odpowiedzi Loudon pomachał ręką.

— Mój szef — wyjaśniła. — Podskoczę do niego, zanim przyniosą jedzenie. Potrzebujesz do toalety? Mogę cię zaprowadzić.

— Nie trzeba. Ale dzięki za troskę.

■ ■ ■

— Próbowałem cię złapać przez radio — mruknął Loudon. — McGuire powiedział mi, że tu jesteś. — Komendant nie miał wesołej miny. — Po tym, jak mi powiedziałaś o wynikach badań Smylesa, już myślałem, że dziś jest dobry dzień. A za miast tego dzwoni do mnie Jason Carlino.

O'Shaughnessy głucho jęknęła.

— I dowiaduję się od niego, że miał telefon od mocno spitego sierżanta Dillona, który mu doniósł, że w związku ze sprawą jego córki spotykasz się z wrózkami. Oczywiście Carlino nie omieszkął mnie poinformować, że uważa nas wszystkich za skończonych idiotów.

Znowu jęknęła, tym razem głośniejsz, ale komendant jeszcze nie skończył.

— Wyciągnąłem Dillona z łóżka i zapytałem, skąd w jego ptasim mózdzku zrodził się pomysł, żeby wydzwaniać do obywateli i opowiadać im o naszych śledztwach. On mi na to, że jest z Carlino w bardzo przyjaznych stosunkach i słyszał, jak Mac rozmawiał z tobą na temat podejrzanego w sprawie porwania Anne. Uznał, że Carlino na pewno się ucieszy, bo wreszcie coś mamy. Dillon doniósł mu, że jakiś detektyw z wydziału zabójstw z Filadelfii chodzi po mieście i pokazuje ludziom portret pamięciowy podejrzanego oraz że przywiózł ze sobą kobietę medium nazwiskiem Sherry Moore, z którą ty się konsultujesz. — Komendant powędrował wzrokiem w kierunku ich stolika i z powrotem. — Kelly, może Dillon nie jest najmądrzejszym facetem na ziemi, ale potrafi korzystać z Internetu. Zgadnij, czego się dowiedział.

O'Shaughnessy osunęła się na bar.

— Przepraszam, komendancie. Powinna była pana uprzedzić.

— Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć, poruczniku?

— Loudon spojrział na niewidomą kobietę przy stoliku i tym razem nie odwrócił wzroku.

— Pamięta pan sprawę Lisy Penn z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, o której rozmawialiśmy? Tę, w której użyto tej samej broni, co teraz w Filadelfii? Detektyw, który się nią zajmuje, jest jej przyjacielem — powiedziała, robiąc ruch głową w stronę Sherry. — Ofiara urodziła się tu, w Wildwood. I to tyle, daję słowo. Przecież cały czas pomagamy wydziałom policji z innych miast.

— Ale to nie tłumaczy obecności Sherry Moore — odparł komendant z grymasem niezadowolenia na twarzy.

O'Shaughnessy oparła dłoń na barze i wbiła wzrok w podłogę. Nie śmiała wspomnieć o wyprawie do Andrew Markeya w pro-sektorium.

— No dobrze: to ona podyktowała ten portret — powiedziała w końcu.

— Ach tak. — Komendant uśmiechnął się, oparł na krześle i wziął głęboki oddech. — Skoro tak, to nie ma problemu. Przecież to tylko portret pobrany z pamięci zmarłej, który teraz pokazujecie na prawo i lewo. Z łatwością wytłumaczę to burmistrzowi, kiedy znów do mnie zadzwoni. Na pewno zrozumie. — Grzmotnął pięścią o bar i nachylił się ku twarzy O'Shaughnessy. — Kelly, czy ty sądziłaś, że to nie wyjdzie na jaw? Nie pomyślałaś, że wykorzystają to przeciwko tobie? Jason Carlino całe popołudnie wisi na telefonie. Ja rozumiem, że w twoim pojęciu postępujesz słusznie, i wiem, że to wszystko wydaje ci się całkiem niewinne, ale dostarczasz Carlino amunicji, na jaką on tylko czekał. Właśnie za takie rzeczy cię powieszają, kiedy to trafi do ludzi.

— Do ludzi?

— Och, czyżbym nie wspomniał, że miałem zaszczyt być drugą

osobą, do której dziś zadzwonił Carlino? Pierwsza była redakcja gazety „Patriot”.

— Jasna cholera — jęknęła O’Shaughnessy. — Jeszcze dzisiaj pojedę do Carlino i wszystko mu wyjaśnię. Powinien się cieszyć, że ktoś próbuje coś zrobić w sprawie jego córki.

— Kelly, jego zdaniem już coś zrobiłaś. A potem schrzaniłaś sprawę, kiedy wypuściłaś Smylesa na wolność. O tym właśnie trąbi, odkąd tylko zaczęłaś śledztwo. Właśnie dlatego żąda twojej głowy. Trzymaj się z dala od niego. A jeśli masz trochę oleju w głowie, to ze swoimi kolegami z Filadelfii też się nie będziesz bardzo spoufalać. Kelly, może uważasz, że to brzmi bardzo surowo, ale tutaj zaczyna chodzić o twoją posadę. Rozumiesz to?

O’Shaughnessy kiwnęła głową.

Loudon położył banknot pięciodolarowy obok kufla niedopitego piwa i wstał.

— Burmistrz domaga się, żebym cię zawiesił. Dillon złożył na ciebie formalne oskarżenie do związku zawodowego. Twierdzi, że zaaranżowałaś włamanie do własnego domu, żeby odwrócić uwagę od wpadki z przeszukaniem w centrali przedsiębiorstwa robót miejskich. Prosił związek o poparcie petycji Jasona Carlino do prokuratora generalnego o dokonanie kontroli, ponieważ, jak się wyraził, prokurator okręgowy z Wildwood raczej nie przedstawi dowodów z pożaru w domu Jeremy’ego Smylesa przed wielką ławą przysięgłych.

O’Shaughnessy pokręciła głową.

— Chyba nie nadażam — powiedziała.

Loudon odkaslnął.

— Kelly, on mówi, że masz romans z Clarkiem Hamiltonem.

— O Boże — jęknęła. Teraz nie będzie już mogła oszczędzić Tima i dziewczynek. O jej znajomości z Clarkiem będą pisać w gazetach. Dillon musiał dobrze wiedzieć, że to dla niej sytuacja bez wyjścia. Jak mogła udowodnić, że mundur ułożył na jej łóżku intruz? Jak odeprzeć zarzut, że spotyka się z Clarkiem Hamiltonem? Przecież na mieście już ich widziano razem.

Odbierała od niego bukiety kwiatów na oczach całego komisarjatu.

I nie chodziło wcale o to, czyjej decyzje były dobre, czy złe. Najważniejsza była sugestia, że O'Shaughnessy jest niekompetentna. Prokurator generalny nie mógł długo lekceważyć żądań Carlino, który domagał się przeprowadzenia kontroli.

O'Shaughnessy nie miała wątpliwości — gdyby odkryto, że trzymała Andrew Markeya w lodzice tylko po to, żeby mogła go zobaczyć Sherry Moore, to jeszcze przed końcem lata znów chodziłaby w mundurze sierżanta i jeździła z Dillonem po mieście na nocnej zmianie.

— A co pan myśli? — zapytała. — O mnie.

— Pod twoim domem po drugiej stronie ulicy dwadzieścia cztery godziny na dobę trzymam umundurowanego funkcjonariusza. Jak sądzisz, co myślę? — odparł, machając palcem przed jej twarzą. — Ale ciebie nie powinno interesować moje zdanie na twój temat. Kelly, jeśli to się powtórzy, nie będę mógł odmówić burmistrzowi. Już cię wtedy nie uratuję.

Odsunął palec sprzed jej twarzy.

— Nie wiem, co planujecie z panią Moore. I szczerze mówiąc, wolę nie wiedzieć. Musisz tylko mieć świadomość, że całe miasto czeka na twój następny ruch. A teraz życzę wam miłej kolacji.

O'Shaughnessy wróciła do stolika dokładnie w momencie, gdy przyniesiono główne danie. Podniosła widelec, głośno pobrzękiwała sztućcami o talerz, nieco zbyt szybko wypija drinka i nie odpowiedziała na jakieś pytanie Sherry.

— Coś nie tak? — spytała niewidoma kobieta.

— Wszystko w porządku — odparła policjantka, podnosząc wzrok.

— Akurat.

O'Shaughnessy westchnęła, rozejrzała się po innych stolikach i uśmiechnęła słabo.

— Nic nie umknie twojej uwadze.

— Czy to ja stanowią dla ciebie problem? Zdarza mi się to częściej, niż przypuszczasz.

— Poniekąd — przyznała policjantka. — Ale to tylko pretekst. Problem istniał na długo przed twoim przyjazdem.

— Czy mogę jakoś pomóc?

O'Shaughnessy pokręciła głową.

— Ojciec jednej z ofiar dowiedział się, że jesteście w Wildwood. Robi mi koło pióra, odkąd tylko zniknęła jego córka. Teraz gazety napiszą o tobie, a on wykorzysta to dla swoich celów.

— Ja i John powinniśmy wyjechać.

— Mowy nie ma. Sherry, wy przyjechaliście tu po to, żeby pomóc. Gdyby to moja córka zaginęła, chciałabym, żeby w poszukiwaniach wykorzystywano wszystkie możliwe metody. Dla niego to ja stanowię problem. Facet jest żądny władzy. Chce, żeby sprawę przejęła policja stanowa. To, że cię tu zaprosiłam, posłuży mu jako argument. — Odłożyła widelec. — Zeszłej nocy ktoś włamał się do mojego domu.

O'Shaughnessy opowiedziała Sherry o tym, jak znalazła na łóżku mundur. Przemilczała jedynie fakt, że kiedy do tego doszło, przebywała w domu prokuratora okręgowego.

— Teraz próbują dowieść, że to było wyreżyserowane. Że to niby ja zaaranżowałam włamanie, żeby odwrócić uwagę od porwań.

— Kelly, to jest bardzo poważne oskarżenie. Jeśli nie będą szukać sprawcy, może ci grozić niebezpieczeństwo.

— Nie — odparła O'Shaughnessy w zamyśleniu. — Komentant umieścił pod moim domem policjanta. Ale ja podejrzewam kogoś, kogo znam. Pewnego gliniarza, któremu się wydaje, że może na tym wszystkim zbić kapitał polityczny.

Podniosła dłoń, sygnalizując kelnerowi, że jest gotowa przyjąć rachunek, po czym odchyliła się na oparcie krzesła. Chwilę później znów pochyliła się ku swej rozmówczyni.

— Czy zanim pojedziemy do kostnicy, chciałabyś wybrać się ze mną pod deptak? — spytała. — Żeby poczuć, jak tam jest. Zobaczyć, skąd porwano te ofiary.

— Oczywiście, że bym chciała. Oczywiście. Chcę tylko, żebyś była pewna.

— Tam jest... ciemno — zaczęła O'Shaughnessy, po czym zasłoniła dłonią usta i zachichotała. — O kurwa.

— Nie wątpię — odparła Sherry, także nie mogąc się powstrzymać od śmiechu.

O'Shaughnessy wstała. Powiodła wzrokiem w stronę baru, gdzie wcześniej siedział komendant Loudon.

— Skoro tak — powiedziała — to po drodze zahaczmy o mieszkanie i weźmiemy butelkę wina. Co ty na to?

— Jestem za.

## Godzina 21.15

Deszcz ustał. Morze było nienaturalnie spokojne. O'Shaughnessy zatrzymała samochód na tym samym parkingu, na którym miesiąc wcześniej znaleziono explorera Anne Carlino. Otworzyła schowek, by wyjąć z niego latarkę.

— Buty zostawiam w samochodzie — powiedziała. Sherry kiwnęła głową i zsunęła obuwie.

— Będiesz musiała uważać na głowę. Miejscami jest nisko.

— Rozumiem.

Na parkingu stało tylko kilka samochodów. Większość turystów uciekła przed burzą. O'Shaughnessy poprowadziła Sherry w miejsce, gdzie rura ściekowa znikwała pod deptakiem.

— No dobra, teraz złap mnie za pasek i pamiętaj, żeby uważać na głowę.

Sherry wykonała polecenie i wyciągnęła dłoń, by namacać ścianę u wylotu tunelu.

Gdy wchodziły pod strop z drewnianych desek, czuła odór moczu, a kiedy zaszły nieco głębiej — woń czegoś rozkładającego się, jakiejś mewy albo szczura. Pod stopami miała zimny, gąbczasty piach. Weszły w kałużę, po czym gęsty piasek zaczął się przyklejać do jej kostek.

O'Shaughnessy chwyciła dłoń Sherry i przyłożyła ją do rury.

— Będziemy iść wzdłuż niej przez jakieś pięć metrów.

— Dobrze.

Nad głową usłyszały kroki — ktoś szedł deptakiem. Im dalej kobiety odchodziły od parkingu, tym bardziej głucho stawały się dźwięki w tunelu. Inne zapachy ustąpiły woni wodorostów, skorupiaków i stuletniego drewna.

O'Shaughnessy uniosła latarkę, oświetlając tworzące strop deski.

— Dzieciaki wymalowują tu graffiti. Wokół leży masa petów i puszek po piwie. Wzdłuż rury ciągnęła się strużka krwi, znaleźliśmy też odciski palców i włosy należące do ofiary. O tutaj — postukała w rurę — jeszcze tylko parę kroków. Po drugiej stronie, zakopany w piasku, leżał jej zegarek. Pierścioneł był wciśnięty między deski, tam gdzie musiała się znajdować jej głowa. Ślady krwi na wierzchu rury pozwoliły nam stwierdzić, że napastnik złapał dziewczynę i przeciągnął na swoją stronę.

— Jak wyglądała?

— Miała siedemnaście lat, długie włosy. Ładna. Koledzy mówili o niej „ta konserwatywna”: prosta biżuteria, żadnych tatuaży, żadnych kolczyków z pępku czy w nosie. Z tego co zdołaliśmy ustalić, prawdopodobnie została zaatakowana na parkingu, z którego teraz przyszyliśmy. To tam znaleziono jej samochód. Miał przebitą oponę. Strużka krwi kończyła się tutaj, po drugiej stronie rury.

O'Shaughnessy uniosła latarkę pionowo. Kobiety otoczył krąg światła, który zamykał się pierścieniem na ciemnym piasku.

— Mówiłaś, że jest tu graffiti.

— Aha. — O'Shaughnessy wzięła Sherry pod ramię i poprowadziła ją kilka kroków w kierunku, z którego przyszły. — Usiądźmy tutaj. Tu jest sucho.

Sherry usiadła po turecku, a policjantka naprzeciw niej, tak że ich kolana się stykały. Już w samochodzie wyciągnęły korek z butelki, więc teraz nie miały kłopotów z jej otwarciem. O'Shaughnessy uniosła latarkę, a Sherry — wino. Pociągnęła łyk z butelki, po czym podała ją towarzysze.

— „Beatles, Kurt Cocaine, EP kocha FS, Green Day Dookie, Bay Side jest do dupy, Allison kocha Christy'ego, Przerwać Wojnę, Wishbone, Beejuns do dupy, SSM 96, Psycho Sue, Peace”. — Zmieniła pozycję, wypła łyk wina i czytała dalej. — „LCMR High — Mistrzowie '94, Surferzy Błądzą, Jebać Geralda, Pat kocha Rocky'ego, BH to pizda, Curly i Moe” i tak dalej, i tak dalej. Jeszcze niedawno nie miałam pojęcia, że zbierali się tutaj ludzie. — O'Shaughnessy opuściła latarkę i odwróciła się do swej towarzyszki. — Mieszkam tu od urodzenia i... Sherry? Sherry, wszystko w porządku?

Mimo słabego światła O'Shaughnessy dostrzegła zaniepokojenie na twarzy kobiety.

— Sherry?

— Ja to już widziałam — wyszeptała niewidoma. — Psycho Sue, tyle że wyraz „psycho” był napisany z błędem. Widziałam to w Filadelfii oczami Susan Paxton.

O'Shaughnessy skierowała promień latarki na twarz Sherry. Przypomniła sobie rozmowę z Gusem Meyersem: „Mówili na nią Dzika Sue”...

— Przeliteruj.

— P-S-Y-K-0 — wyszeptała Sherry.

Policjantka spojrzała na nią i otarła czoło szorstką dłonią.

— Czyli ona tu była? Siedziała właśnie tu, gdzie my teraz?

— Pisownia się zgadza, prawda?

— Zgadza się — szepnęła O'Shaughnessy. — Wszystko się zgadza.

## **Godzina 22.00**

O'Shaughnessy z radością przyjęła fakt, że w prosektorium było ciemno, a na parkingu — pusto. Swój prywatny samochód postawiła za ceglany murem obrośniętym bluszczem, na miejscu zarezerwowanym dla lekarza sądowego. Zaprowadziła Sherry do wejścia do piwnicy. Wyjęła pęk kluczy, wypróbowała kilka z nich,



aż wreszcie drzwi się otwały. Kobiety zeszły po kilku schodkach i znalazły się na korytarzu wyłożonym nieskazitelnie czystym linoleum. Ich kroki niosły się po holu głośnym echem. W końcu zatrzymały się przed zimnymi podwójnymi drzwiami. O'Shaughnessy znów wypróbowała kilka kluczy i po chwili wrota stanęły otworem.

■ ■ ■

Ktokolwiek widział Sherry przy pracy, prawdopodobnie nie zapomni tej chwili do końca życia. Głowa Andrew Markeya okryta była płachtą materiału. O'Shaughnessy przeglądała raport z sekcji zwłok — wiedziała, że uderzenie o krawędź schodka niemalże rozłupało twarz mężczyzny. Nie było potrzeby jej teraz oglądać, toteż materiał pozostał na miejscu. Sherry chwyciła dłoń Markeya i przechyliła głowę na bok.

...starsza kobieta siedziała w bujanym fotelu, wyciągała dłonie, jak gdyby chciała kogoś uścisnąć... na rusztowaniu za stodołą wisiała zarżnięta świnia, z uszu spływała krew... młoda kobieta, piękna kobieta jechała na rowerze, ta sama kobieta leżała na plaży, ta sama kobieta naga w łóżku... scena, a na niej dzieci w jasełkowych kostiumach... mężczyzna myjący podłogę, Sherry widziała jego twarz, kiedy odwrócił się do niej, wyszczerzył zęby w uśmiechu... napis na rufie łodzi: coś tam szczęście... młoda kobieta, to Susan! Więzienie... znowu mężczyzna z mopem, kiwa do niego palcem, woła go z drugiego końca korytarza.

O Boże! To ten starszy mężczyzna ze wspomnień Susan Paxton, ten w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu z opadającym rondem — ten, który podawał jej swetry.

— Sherry?

— Ja go już widziałam — wyszeptwała chropawym głosem. — On był w tym sklepie, gdzie zginęła Susan Paxton. Widziała go tam tego dnia po raz drugi.

— To mężczyzna, którego portret pamięciowy ma Payne?  
Sherry zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, ten był starszy. Podnosił swetry i podawał je Susan. Myślałam, że to klient. Wybrałam tego młodszego, bo w rękę miał pistolet. I widziałam go jako ostatniego.

O'Shaughnessy na moment zamknęła oczy, następnie znów je otworzyła.

— Opisz go.

— Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, krótkie siwe włosy, na szyi długa, biała blizna, nie dałoby się jej przeoczyć.

— Wiem, kto to jest — powiedziała cicho O'Shaughnessy. Chwyciła Sherry za ramię. — Musimy wracać.

Myśli jedna za drugą przemykały przez głowę policjantki. To był mężczyzna, który tamtej nocy, gdy przeszukiwała wóz z mięsem, na parkingu przedsiębiorstwa oczyszczania miasta zajrzał do jej samochodu. Od początku miała rację z tą ciężarówką — tyle że myliła się co do Lyonsa. To nie Sandy Lyons jeździł wtedy wywrotką, ale mężczyzna z blizną — jeden z pozostałych kierowców. A ona to przeoczyła!

## **Sobota, 4 czerwca, godzina 22.45**

### **Wildwood w stanie New Jersey**

— Randall? Mówi porucznik O'Shaughnessy. Czy ktoś rozmawiał z McGuire'em? Nie mogę się do niego dodzwonić.

Musiała złapać McGuire'a, by mu powiedzieć, że pokazują ludziom rysunek niewłaściwego człowieka.

Ulicami płynęła woda. W świetle reflektorów jej samochodu pojawiały się i znikaly połamane gałęzie drzew.

— Nie odzywał się, poruczniku, ale za to cały czas wydzwania do pani posterunkowy McCallis ze stanowej drogówki w Cape May w sprawie jakiejś zaginionej. — Randall zaczął grzebać w papierach na biurku w poszukiwaniu kartki z notatką. — Czy nazwisko Marcia Schmidt coś pani mówi?

O'Shaughnessy westchnęła. Nie miała teraz na to czasu.

— Tak, to przyjaciółka kobiety, która wczoraj kontaktowała się z Celią Davis i próbowała zgłosić zaginięcie. Ta Schmidt miała do niej przyjechać z drugiego końca stanu i się nie pojawiła. Sprawdziliśmy numer rejestracyjny samochodu w bazie i nic nie znaleźliśmy. Tamta kobieta podejrzewała, że Marcie Schmidt mógł zatrzymać w domu agresywny mąż.

— No właśnie. Drogówka odstawiła jej samochód na parking policyjny i rozmawiała z właścicielką w Glassboro. Od dwóch godzin kobieta, która go prowadziła, ma status zaginionej i jest poszukiwana.

O'Shaughnessy zamarła.

— Mają jej samochód?

— Znalezli go wczoraj przy szosie. Gliniarz, który dzwonił, zachowywał się tak, jakby wiedziała pani, o co mu chodzi.

— Randall, natychmiast znajdź McGuire'a. Oddzwonię do ciebie. — Rozłączyła się i wybrała numer wydziału do spraw nieletnich.

— Jest Davis?

Poinformowano ją, że policjantka ma wolne. O'Shaughnessy dostała jej numer domowy. Minutę później już z nią rozmawiała.

— Celia? Wybacz, jeśli cię obudziłam. Pamiętasz tę kobietę, która wczoraj zgłaszała zaginięcie przyjaciółki? Connie coś tam.

— Connie Riker. Jasne, pamiętam. O co chodzi? — spytała Davis, ziewając.

— Co się okazało, kiedy sprawdziłaś jej samochód w KOK?

— Nic. Był czysty. Dałam jej telefon do opieki społecznej, tak jak kazałaś, a potem wzięłam wolne. A co?

O'Shaughnessy westchnęła.

— Zadzwoń później — powiedziała i się rozłączyła.

Czy wszystko, czego się dotknęła, musiało się zaraz spieprzyć? Wybrała numer dyspozytora.

— Poproszę z bazą policji stanowej w Cape May.

Kiedy ją połączono, przedstawiła się i poprosiła o rozmowę z posterunkowym McCallisem.

— Jedną minutkę — odparła sekretarka.

W chwilę później policjant był już przy telefonie.

— Mówi porucznik O'Shaughnessy z Wildwood. Detektyw Randall poinformował mnie, że dzwoniście w sprawie Marcii Schmidt.

■ ■ ■

Okazało się, że patrol stanowej drogówki po raz pierwszy widział forda escorta należącego do Connie Riker przy Garden State Parkway w piątek wczesnym rankiem. Gdy do południa samochód nie zniknął, odholowano go na parking policyjny.

Dopiero wtedy wprowadzono jego dane do rejestru — co wyjaśniało, dlaczego nie figurowały w KCIK dzień wcześniej, kiedy samochodu szukała Connie Riker. Również następnego ranka nie mogła tam nic znaleźć Celia Davis, ponieważ dane trafiły do systemu dopiero około południa.

McCallis powiedział O'Shaughnessy, że patrol pojechał wczoraj na drugi koniec stanu do domu Connie Riker w Glassboro, żeby zostawić właścicielce wiadomość, że jej samochód stoi w bazie policji stanowej, która znajdowała się najbliżej Wildwood — czyli w Cape May. Gdy tego popołudnia Riker wraz z matką wróciły znad morza, nie zastały samochodu, a jedynie kartkę z numerem telefonu posterunkowego McCallisa. Marcii Schmidt również nie było w domu.

— Podobno z panią rozmawiała — powiedział policjant. Czyli to prawda — zaginęła kolejna kobieta.

Po plecach O'Shaughnessy przebiegł dreszcz. W czwartek nocą przeszukiwała ciężarówkę w bazie przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Włos i krew, które znalazła w wozie z mięsem, musiały należeć do Marcii Schmidt!

Wykonała ostry skręt i wjechała w ulicę prowadzącą na wschód, w kierunku Atlantic Avenue.

— Czy ktoś z bazy w Glassboro może natychmiast pojechać do domu Schmidtów? Potrzebna mi próbka włosów, i to zaraz.

O'Shaughnessy zajechała do garażu apartamentów Driftwood.

— Sherry — zaczęła, wyskakując z samochodu i obchodząc go, by otworzyć drzwi pasażera — zaprowadzę cię do mieszkania, a potemjadę szukać Maca.

■ ■ ■

Przed upływem godziny do domu Schmidtów w Glassboro wysłano dwóch funkcjonariuszy policji stanowej z poleceniem zabrania szczotek i grzebieni. Gdy zajechali na miejsce, Nicky ze starszym

bratem ładowali właśnie niewielki traktor z koparką na oświetloną ciężarówkę z lawetą na rejestracji z Delaware. Traktor wyglądał dokładnie tak jak na fotografii przypiętej do deski rozdzielczej w radiowozie. Numery seryjne odpowiadały maszynie skradzionej z gospodarstwa w pobliskim Tylertown. Policjanci aresztowali braci Schmidtów oraz kierowcę ciężarówki, a następnie weszli do domu, żeby zabrać grzebień z obu łazienek.

## **Sobota, 4 czerwca, godzina 22.00** **Wildwood w stanie New Jersey**

Sykes pamiętał, jak przy okazji ataków snajpera w okolicach Waszyngtonu agent FBI mówił w telewizji, że organy ochrony porządku publicznego znajdują tylko 47 procent osób winnych wszystkich morderstw popełnianych każdego roku w Stanach Zjednoczonych. Oznaczało to, że jeśli kogoś zabiłeś, nawet gliniarza, to była większa szansa, że ci to ujdzie na sucho, niż że cię kiedykolwiek złapią.

Jeśli na dodatek byłeś w stanie raz na zawsze pozbyć się ciała, twoje szanse dalej rosły — tego Sykes także był świadom. Nie ma ciała, nie ma dowodów. A wtedy bardzo trudno wnieść oskarżenie. Zanim zorientują się, co się stało, miesiącami będą dreptać w miejscu. I nawet jeśli by go zaczęli podejrzewać — te miesiące to było bardzo dużo czasu. Przynajmniej dla niego. Sykes zamierzał pozbyć się pani porucznik — raz na zawsze.

Burza niespodziewanie przeniosła się nad ląd. Po ulicach latały śmiecie, a porzucone meble zmieniły się w niebezpieczne pociski. Służby miejskie oraz ekipy pogotowia technicznego przetrzymano na nocną zmianę. Sykes — który zgłosił się z powrotem do pracy — dostał polecenie zbierania na wóz z mięsem śmieci zalegających na drogach wzdłuż Cottage Town. Naładował na platformę

parkany i rowery — choć zdecydowanie zbyt mało, żeby była pełna. Wystarczająco za to, by na taką wyglądała.

■ ■ ■

Sherry dziękowała Bogu, że O'Shaughnessy rozpoznała mężczyznę z jej wizji. Wiedziała nawet, gdzie pracuje.

Napiła się wina z butelki, którą otworzyła po przyjeździe do mieszkania, postawiła ją na toalecie i poszła powiesić mokre ubranie na drzwiach łazienki. Tego wieczoru była już na lekkim rauszu, ale pobyt pod deptakiem i w prosektorium wytrącił ją z równowagi. Pomyliła się. Kazała Payne'owi szukać nie tego mężczyzny.

Ale jutro ten człowiek znajdzie się już w areszcie i Payne w końcu będzie miał podejrzanego w sprawie Susan Paxton. A więc owszem, pomyliła się, ale wszystko dobrze się skończyło. Nie była przecież nieomylna. Była tylko człowiekiem i czekało ją jeszcze wiele błędów.

O dziwo poczuła ulgę. Podniosła butelkę i znów upiła łyk wina. Zawsze traktowała życie strasznie serio. Wciąż paraliżował ją strach, że zrobi lub powie coś niewłaściwego. Teraz, dzisiaj — pomyślała, niepewnie odstawiając butelkę — raz w życiu zrobi coś egoistycznego.

Będzie szczerza wobec Johna.

Weszła pod gorący prysznic. Zastanawiała się, co powie mężczyźnie, kiedy ten wejdzie do mieszkania.

Uniosła włosy, myśląc o młodych ludziach, których życie ktoś przerwał przedwcześnie, o niespełnionych marzeniach. To ją zmieniło.

Zakręciła wodę i owinęła się ręcznikiem. Umyła zęby i rozczesła mokre włosy, pozwalając im opaść luźno na ramiona.

Może tym, co wywołało w niej to uczucie, był dotyk Payne'a poprzedniego wieczoru. To, jak wziął ją pod rękę, jak objął w pasie. John nigdy wcześniej nie dotykał jej w ten sposób.

Pozwoliła, by ręcznik opadł na ziemię, po czym założyła jedną



z koszul Payne'a, które wzięła sobie z jego walizki. Zapięła dwa środkowe guziki.

Zmienił się także sposób, w jaki mężczyzna z nią rozmawiał. Jakby cały czas o czymś myślał, ale nie mógł się zdecydować, by to powiedzieć. Pozwalał, by wisiało to między nimi niczym wielki znak zapytania.

W niewielkim mieszkanku napięcie było niemal namacalne. Czuła je nawet wówczas, kiedy powiedzieli już sobie „dobranoc” i poszli spać. Leżąc w łóżku, słyszała, jak w salonie John przewraca się z boku na bok — i choć czuła się z tego powodu winna, to każdy hałas budził w niej myśl, że być może to on przez otwarte drzwi wchodzi właśnie do sypialni. Ale nie wszedł — i kiedy nastał ranek, Sherry bała się, że czar prysł. Że oboje wrócą do rzeczywistości, w której Payne jest żonaty, nawet jeśli jego małżeństwo — jak przypuszczała — nie należy do szczęśliwych.

Jednak czar nie prysł. Rankiem znaleźli się razem w maleńkiej kuchni, bez wyraźnej przyczyny ocierając się o siebie, splatając palcami, gdy podawała mu kubek z kawą. Byli jak przyłapani razem nieznanymi. Napięcie było nie do zniesienia — a potem zadzwonił McGuire, by powiedzieć, że czeka na dole. I nagle Johna już nie było w mieszkaniu.

Sherry wsunęła koronkowe majteczki oraz szorty, nałożyła błyszczak na usta.

Usłyszała pukanie do drzwi. Wzięła głęboki wdech.

Nie mogła już dłużej marnować czasu. Niech się dzieje, co chce — pragnęła, by wreszcie się dowiedział, co czuła przez te wszystkie lata.

— Już idę! — zawołała. — Boże, żebym się tylko nie myliła — dodała szeptem, przechodząc przez salon. Zatrzymała się, żeby raz jeszcze głęboko odetchnąć. Rozpięła jeden z dwóch guzików, które łączyły poły koszuli.

I otworzyła drzwi.

Sykes kopnął Sherry w klatkę piersiową, przewracając kobietę na spakowaną walizkę stojącą przy stoliku. Uderzając głową o podłogę, słyszała trzask łamanego stojaka na telefon oraz stukot słuchawki spadającej z bazy. Mężczyzna wszedł do środka, rzucił na podłogę brezentową płachtę i zamknął drzwi. Usłyszała, jak zamyka zasuwę. Włączył światło i pobiegł do łazienki, żeby się upewnić, że są sami. W korytarzu czekała przecież jeszcze jedna spakowana walizka.

Sherry zdążyła podnieść się z podłogi i ciągnęła telefon za kabel, gdy Sykes kopnął ją w żebra i wyrwał wtyczkę ze ściany. Przykucnął i zasłonił jej usta dłonią. Oczy miała otwarte — wyglądały normalnie, ale się nie poruszały. Nawet odrobinę.

— Proszę, proszę — powiedział, jeszcze raz rozglądając się po pokoju. — Ty nie jesteś porucznik O'Shaughnessy. — Spojrzał w dół na jej rozchyloną koszulę i nagie uda. — Taka ładniutka, a na dodatek ślepa jak kret.

W jednej chwili ramię Sherry wystrzeliło w kierunku twarzy Sykesa, kobieta wykonała ledwie dostrzegalny ruch nadgarstka i trzy złączone palce wbiły się w krtań mężczyzny. Japończycy nazywają ten cios nukite — ręka-włócznia. Sykes runął w tył, do aneksu kuchennego, i grzmotnął głową o drzwiczki szafki. Złapał się za gardło, usiłując złapać powietrze. Sherry uniosła jedną nogę, przygotowując się do bocznego kopnięcia. Pięścią tłukła w podłogę.

— Ratunku! — krzyczała. — Pomocy!

Sykes miał przy pasie paralizator, bał się jednak zbliżyć do kobiety na tyle, by móc go użyć. Nie za bardzo wiedział, co mu właśnie zrobiła z gardłem, ale na pewno nie było z nią żartów. Jakieś judo czy inna cholera. Nie mógł pozwolić, by go ogłuszyła i zdążyła wezwać pomoc albo zdobyć nad nim przewagę.

Wiatr i deszcz łomotały o rozsuwane drzwi balkonowe, zagłuszając krzyki kobiety. Sykes zaczął rozglądać się za szczotką, rondlem albo jakimkolwiek innym przedmiotem, którym mógłby się bronić. Wtedy zauważył otwartą szafkę pod zlewozmywakiem —

drzwiczki odskoczyły, kiedy uderzył w nie głową. Złapał puszką spreju na mrówki i karaluchy, która stała pośród środków czyszczących. Skierował strumień w stronę twarzy Sherry. Kobieta opuściła ramię, a on zbliżał się coraz bardziej. Po chwili trucizna pieniała się wokół jej nosa i ust. Kiedy zaczęła się krztusić, mężczyzna trzasnął ją pięścią w twarz.

Wykonała kopnięcie, ale tym razem Sykes był przygotowany. Złapał nogą i runął na kobietę całym swym ciężarem. Jej dłoń poszybowała w kierunku jego oczu; paznokcie zdrapywały skórę z twarzy mężczyzny, podczas gdy kolana Sherry wbijały mu się w żebra. Ruch potrzebny na wykonanie tych ciosów był tak nieznaczny, że siła ataków go zaskoczyła.

Wiedział, że na dłuższą metę nie ma z tą kobietą żadnych szans. Złapał odłamaną nogą stolika na telefon i grzmotnął Sherry w twarz — na tyle mocno, by złamać podstawą nosa. Wtedy sięgnął po wiszący przy pasie paralizator. Zanim zdążyła dojść do siebie, wystrzelił ładunek w jej bok. Opadła bezwładnie na podłogę.

Wyciągnął z kurtki rolką taśmy izolacyjnej, urwał kawałek i zakleił nim pokryte pianą usta kobiety. Gdyby teraz nawet i zdechła od tej trucizny, dostałaby to, na co zasłużyła. Po tym, co mu zrobiła? Jebać ją.

— Myślisz, żeś taka twarda, co? — wydyszał. Serce łomotało mu jak oszalałe, a koszulą miał mokną od potu. Owinął taśmą wokół kostek Sherry, a potem złączył jej nadgarstki na wysokości miednicy i mocno zakleił.

Uklęknął i pociągnął Sherry w stronę drzwi. Odepchnął przewrócony stolik, rozłożył brezentową płachtą, po czym przetoczył na nią bezwładne ciało. Nie wiedział, kim była ta kobieta, ale obecność walizek jednoznacznie wskazywała na to, że tylko odwiedzała O'Shaughnessy. Już wiedział, jak ściągnie tu panią porucznik.

Otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz, a następnie wywłócił

Sherry z mieszkania. Ruszył przed siebie, ciągnąc ciało kobiety po szorstkiej, betonowej posadzce. Niebo było ciemne, a okna wielu mieszkań — zaklejone lub zabite sklejką przez uciekających z wybrzeża lokatorów.

Winda czekała na końcu korytarza. W chwilę później Sykes włókł Sherry przez parking. Wciągnął ją na hydrauliczny podnośnik z tyłu ciężarówki, a kiedy znalazła się już na platformie, wepchnął za ogrodzenie, które ustawił wzdłuż tylnej klapy. Następnie wsiadł za kierownicę, włączył żółtego koguta na dachu, wyjechał z parkingu i skręcił w boczną ulicę.

Całe służby miejskie pracowały tej nocy w godzinach nadliczbowych. Jak długo brał udział w akcji porządkowej, Sykes nie musiał zwracać ciężarówki. Wiedział, że do czasu jego powrotu Sandy'emu Lyonsowi przydzielą po prostu inny wóz.

Kiedy pierwszy raz zaparkował pod apartamentami, był przekonany, że w mieszkaniu jest O'Shaughnessy. W jej domu przy Third Avenue nie paliło się żadne światło, a na podjeździe brakowało samochodu. W parku po drugiej stronie ulicy wciąż stał radiowóz wyznaczony do pilnowania budynku. Był tam, odkąd Sykes ułożył jej mundur na łóżku.

Potem zobaczył światło w mieszkanku przy Atlantic Avenue i doszedł do wniosku, że pewnie się przeniosła, czując się tam bezpieczniej.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na tył ciężarówki — ciało było niewidoczne, podobnie jak niewidoczny był jego wóz od strony Atlantic Avenue, skąd miała nadjechać O'Shaughnessy. Wrócił do garażu, odkręcił cztery żarówki bez kloszy i ruszył w stronę windy, ciągnąc za sobą brezentową płachtę.

■ ■ ■

Payne'owi i McGuire'owi szczęście nie dopisało do końca wieczoru. Wiatr dął z prędkością czterdziestu węzłów. Deptak oraz większość hoteli i mieszkań nad brzegiem morza były kompletnie

puste. O 22.30 dali sobie spokój. McGuire ruszył na posterunek, a Payne — po Sherry do mieszkania, uznając, że mogą już wracać do Filadelfii.

Może Sherry pomyliła twarz. Może Susan Paxton nie wiedziała, kim był zabójca. Może rzeczywiście zastrzelił ją rabuś, który przyszedł okraść sklep, ale spanikował, zanim dostał pieniądze.

Może, pomyślał Payne, tego wieczoru powie Sherry, co do niej czuje.

### **Godzina 22.35**

Sykes wepchnął do ust papierowy ręcznik i podniósł słuchawkę.

— Słucham, posterunek policji — odezwała się kobieta.

— Z dochodzeniowym — powiedział, wkładając lateksowe rękawiczki.

— Dochodzeniowy. — Telefon odebrał Randall.

— Poproszę z porucznik O'Shaughnessy.

— Jedną chwilę.

Randall spojrział na policjantkę, która — cała przemoczona — właśnie wchodziła do sali. Uniósł trzy palce.

— Telefon — powiedział bezgłośnie.

O'Shaughnessy przyjęła wiadomość skinieniem głowy i sięgnęła po najbliższy aparat.

— Halo? — powiedziała, patrząc na kałużę rozlewającą się wokół jej stóp.

— Witam — odezwał się zachrypnięty głos. — Tutaj techniczny z Driftwood. Mam tu niewidomą kobietę, która mówi, że zatrzasnęła drzwi, a nie ma kluczy. Ale ja tu tylko przepycham rury, mnie kluczy nie dają.

O'Shaughnessy zdusiła głucho westchnienie.

— Proszę jej powiedzieć, że zaraz przyjadę. I jeśli pan może, to niech pan przy niej zostanie.

Rozłączyła się i rozejrzała po komisariacie w poszukiwaniu McGuire'a.

— Jakies wieści od Maca? — spytała.

Randall pokręcił głową.

— Zostawiłem mu wiadomość na poczcie głosowej — odparł.

Policjantka ruszyła w stronę drzwi. Cholera, zakłęła w myślach.

— Jeśli wróci przede mną, powiedz mu, żeby na mnie zaczekał.

# 30

## **Sobota, 4 czerwca, godzina 22.50 Wildwood w stanie New Jersey**

Mewy machały skrzydłami, unosząc się w podmuchach nocnego wiatru, niestrudzone w poszukiwaniu pokarmu. Znaki drogowe chwiały się na słupkach. Biała jak lód ściana deszczu zalewała szyby domów i samochodów.

O'Shaughnessy wjeżdżała właśnie na parking Driftwood, kiedy niebo nad oceanem przecięła pionowa błyskawica. Latarnie uliczne zamigotały. Ziemią zatrzęsł grzmot pioruna.

Policjantka uruchomiła odmrażacz i pochyliła się w stronę kierownicy, usiłując dojrzeć coś przez przednią szybę. Wyłączyła wycieraczki i rozejrzała się po garażu. Nie paliło się ani jedno światło — pewnie zabrakło prądu.

Personel techniczny miał w garażu mały pokoik, ale tam także było ciemno.

Nieco wcześniej na policyjnej częstotliwości poinformowano o zerwaniu linii wysokiego napięcia na Thirteenth Avenue niecały kilometr stąd. Jeszcze jeden błysk rozświetlił niebo, poprzedzając kolejny trzask pioruna. O'Shaughnessy czuła, jak wibracje przebiegają przez jej kolana i przenoszą się na deskę podłogową samochodu.

Wysiadła przy windzie i wbiegła po schodach na pierwsze piętro. Korytarzem ruszyła w stronę mieszkania numer cztery.

Na zewnątrz nikt na nią nie czekał. W holu, podobnie jak

w podziemiu, panowała ciemność. Kobieta podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

— Sherry?! — zawołała. Huk kolejnego pioruna zagłuszył jej głos. Otworzyła drzwi i przed oczami wszystko się zamazało. Grad drobnych igiełek ściał ją z nóg.

Czyjeś silne ręce złapały ją za ramiona i wciągnęły do środka. Drzwi się zamknęły. Każdy centymetr jej skóry trawił żywy ogień. Piekl niczym miliard podrażnionych nerwów. Nie mogła się poruszyć, nie mogła oddychać. Nie widziała, co się dzieje za jej plecami. Czy trafił ją piorun?

Pod skórą narastał piekielny żar. Pałący ból wypełniał pustkę pod powiekami. O'Shaughnessy zaczynała tracić przytomność.

Nagle została przerzucona na plecy. Ktoś nad nią stał, w rękę trzymał coś ciemnego. Z wysiłkiem starała się skupić osłabiony wzrok na twarzy napastnika.

Powoli zaczynała dostrzegać postać mężczyzny — mężczyzny o złym spojrzeniu, ze szpetną białą blizną biegnącą od brody poprzez jabłko Adama i znikającą pod kołnierzykiem. Zza jego prawego ucha wyłaniało się coś ciemnego. To on, człowiek z parkingu przedsiębiorstwa robót publicznych — ten, który zaglądał do jej samochodu! Człowiek z wizji Sherry. Ostatnia osoba, którą Susan i Andrew Markey widzieli przed śmiercią.

Kolejny błysk za oknem oświetlił taras. Talerze w szafkach zabręczały od uderzenia pioruna. Przez ułamek sekundy O'Shaughnessy widziała postać mężczyzny niczym jakiś upiorny negatyw — jako czarną sylwetkę na oślepiająco jasnym tle. Zaraz potem poczuła mdłości. Do ust napływała jej żółć.

Twarz napastnika zbliżała się ku niej jak zjawą. Jego ręce dotknęły jej ciała, zabrały pistolet, schowały go za pas. Nic nie czuła. Mężczyzna odszedł, krążył po pokoju, wrócił, usiadł na niej okrakiem, w dłoni trzymał coś szarego — rolkę taśmy izolacyjnej. Tracy Yoland została przyklejona taśmą izolacyjną do słupa! Dlaczego O'Shaughnessy nie mogła się ruszać? Dlaczego nie mogła mówić? Co powodowało ten potworny ból?



Twarz mężczyzny zawisła o centymetry od niej.

— No proszę, pani porucznik — powiedział. — Wreszcie się spotykamy.

Blizna na szyi przesunęła się na bok.

— Spokojnie, pani porucznik. To tylko niewielki łądunek, niedługo przejdzie.

Usłyszała, jak oddziera taśmę.

— Twoją ślepą przyjaciółeczkę też już mam — powiedział i oderwał zębami kawałek taśmy. — Już niedługo ją zobaczysz — dodał, zaklejając jej usta. — Sporo o tobie myślałem, moja pani porucznik. — Odłożył rolkę na podłogę, rozpiął dwa guziki jej bluzki i wsunął dłoń pod stanik. — Wiesz dlaczego?

Patrzyła na niego sparaliżowana.

— No jasne, że nie wiesz. Powiedzmy, że możesz za to podziękować tatusiowi. Twój tatuś i ja znaleźliśmy się z dawnych czasów.

Mocno ścisnął jej pierś, po czym cofnął dłoń i wstał. Rozłożył na podłodze brezentową płachtę. Podniósł rolkę taśmy, by spętać kostki i nadgarstki policjantki.

— Byłem rozczarowany, jak usłyszałem, że twój tatuś miał zawał. Miałem nadzieję jeszcze się z nim zobaczyć. No, ale wygląda na to, że i tak wyszło nie najgorzej, co?

Skołatany umysł O'Shaughnessy wypełniały myśli o Timie, o dziewczynkach. Chciała, żeby wiedzieli, jak bardzo ich kocha. Chciała, by Tim wiedział, że nigdy nie przestała go kochać.

— Musiałem zaparkować w bocznej ulicy, żebyś nie zobaczyła ciężarówki, bo ty to byś ją rozpoznała. No więc teraz poczekasz tu sobie jak grzeczna dziewczynka, a ja zaraz wrócę.

Drzwi się zamknęły. O'Shaughnessy spróbowała się ruszyć — ani drgnęła.

O Boże! Z olbrzymim wysiłkiem nabrała powietrza — po raz pierwszy, odkąd przestąpiła próg mieszkania, świadomie odetchnęła. Próbowała ruszyć prawą ręką, potem nogami. Nic. Jej ośrodkowy układ nerwowy był zablokowany. Mięśnie — uśpione. Mężczyzna poraził ją paralizatorem.

Zdawało jej się, że leży tam godzinę, choć faktycznie minęło tylko kilka minut. Nagle otworzyły się drzwi. O'Shaughnessy spróbowała poruszyć palcami lewej ręki, potem ramieniem — i tym razem się udało. Działanie paralizatora stopniowo ustawało, chociaż zdecydowanie zbyt wolno, by jej to pomogło. A teraz wrócił. Zgięła i rozgięła palce, wzięła powolny, głęboki oddech, Odkryła, że piekący ból pod powiekami również wygasał.

Poczuła coś przy biodrze — kolano? Pochylił się nad nią mężczyzna. Detektyw Payne!

# 31

## **Sobota, 4 czerwca, godzina 22.50 Wildwood w stanie New Jersey**

McGuire wszedł do pokoju detektywów, otrząsając parasol. Randall odkładał właśnie słuchawkę. Zapaliło się światełko oznaczające kolejną rozmowę. Policjant wcisnął przycisk.

— Sierżancie! — zawołał chwilę później. — Porucznik kazała ci powiedzieć, że wraca za dziesięć minut. A teraz dzwoni jakaś kobieta i chce rozmawiać z kimś, kto tu do wodzi.

McGuire odwrócił się i ruszył przed siebie.

— Odbiorę w gabinecie.

■ ■ ■

Chance Haverly odchyliła głowę na oparcie krzesła. Na podłodze przed nią stało kartonowe pudło pełne zdjęć i pamiątkowych tabliczek. W przyszłym miesiącu kończy czterdzieści osiem lat, pomyślała. Czterdzieści osiem lat — i wciąż nie ma dzieci. Jej mąż zarabiał więcej, niż kiedykolwiek byliby w stanie wydać. Ona zresztą też radziła sobie całkiem nieźle.

Obróciła się na krześle i wbiła wzrok w leżącą na biurku teczkę. Potem spojrzała na zegar ścienny. Na wschodnim wybrzeżu dochodziła jedenasta.

W aparacie głośno mówiącym ktoś się odezwał:  
— Mówi sierżant McGuire, w czym mogę pomóc?  
— Sierżancie, czytałam wasze raporty kryminalne z hrabstwa Cape May. W Wildwood zaginęły dwie młode kobiety.  
— Czy mogę spytać, z kim rozmawiam?  
— Moje nazwisko nie jest ważne, sierżancie. Ważne jest tylko to, co mam panu do powiedzenia.

■ ■ ■

McGuire siedział nieruchomo za biurkiem, wciąż usiłując ułożyć w całość wszystko, co przed chwilą usłyszał. Nazwisko Earl Sykes faktycznie pojawiło się na liście kierowców przedsiębiorstwa robót publicznych, ale gdzie, do cholery, było to Blackswamp?

Wcisnął guzik telefonu, by połączyć się z biurkiem Randalla.

— Randall, zdobądź listę wszystkich złomowisk w promieniu trzydziestu kilometrów od Wildwood. I dowiedz się, gdzie jest miejsce, o którym ktoś kiedyś mógł mówić „Blackswamp”. Masz godzinę.

■ ■ ■

McGuire właśnie wpisywał do bazy nazwisko Sykesa, gdy drzwi gabinetu otwarły się z hukiem.

— Wiesz, gdzie ona jest?

Sierżant podniósł wzrok na komendanta Loudona, który wymachiwał kartką papieru.

— Randall mówi, że wróci za dziesięć minut — odparł, wzruszając ramionami.

— Czy to jest jakiś żart? — Komendant cisnął kartkę na blat biurka. Była to kopia portretu, który McGuire z Payne'em pokazywali na mieście.

— Co proszę?

— Wiesz, kto to jest?

McGuire spojrzał na portret chłopaka o dzikim spojrzeniu, potem

znów na komendanta. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— To znaczy, że pan wie?

## **Godzina 23.00**

Oczy O'Shaughnessy krzyczały do Payne'a, kobieta nie potrafiła jednak wymówić ani słowa. Detektyw odklejał taśmę z jej nadgarstków.

— Jesteś sama? — szepnął. Przyglądał się jej, klęcząc obok z twarzą zwróconą ku drzwiom.

Oczy kobiety biegały to w górę, to w dół.

— Gdzie jest Sherry? Poruczniku, Sherry, gdzie ona jest?

Jej oczy znieruchomiały.

Drzwi stały otworem, padły strzały. Payne rzucił się przed siebie, by nakryć O'Shaughnessy. Kobieta zobaczyła, jak z tyłu jego kurtki wystrzeliwują kawałki materiału. Detektyw upadł twarzą tuż obok jej klatki piersiowej. Poczula, jak przesuwają rękę wzdłuż jej tułowia, chcąc się podnieść. Jego łokieć odbił się od jej prawego biodra — Payne wystrzelił z pistoletu. Broń Sykesa upadła na ziemię, gdy w jej uchwyt trafił pocisk kalibru 40 milimetrów, wbijając w dłoń mężczyzny odłamki metalu.

Ciało Payne'a opadło bezwładnie na ziemię. Sykes wlepił wzrok w krwawą miazgę, która jeszcze przed chwilą była jego ręką, po czym zatrzasnął nogą drzwi i zataczając się, ruszył w stronę O'Shaughnessy i detektywa. Na białej koszuli Payne'a zbierała się różowa piana. Mężczyzna patrzył na Sykesa, ale broń w jego dłoni leżała nieruchomo. Sykes ukląkł, wziął poduszkę z kanapy, przykrył nią twarz detektywa, lewą ręką chwycił pistolet i nacisnął spust. Przerażona O'Shaughnessy zamknęła oczy.

Ty sukinsynu! Ty pieprzony sukinsynu!

Sykes klęczał chwilę nieruchomo, przyciskając rękę do klatki

piersiowej. Potem zdołał się podnieść i przejść do kuchni, gdzie owinął krwawiącą dłoń ręcznikiem. Nie był w stanie całkowicie zacisnąć pięści. Fragment pocisku naruszył biegnący wzdłuż kciuka nerw.

Jednak to wszystko musiało poczekać. Sykes schował glocka O'Shaughnessy z powrotem za pas, po czym przetoczył kobietę na płachtę. Musiał się stamtąd zwijać, i to szybko. Nie mógł mieć pewności, czy jakiś sąsiad nie usłyszał strzałów. Poza tym nie chciał, żeby ktoś zobaczył w pobliżu miejsca zajścia ciężarówkę służb miejskich. Ale najpierw musiał pozmywać własną krew.

## **Sobota, 4 czerwca, godzina 23.00** **Wildwood w stanie New Jersey**

Tego ranka Janet znów pochwaliła fryzurę Jeremiego. Dobrze, że teraz go nie widziała. Wiatr zwał mu czapkę, więc mokre włosy kleiły się mężczyźnie do twarzy. Cały ranek gonił za puszkami i papierkami, ale wtedy tylko padało, błyskawic nie było. Kiedy zobaczył, jak w ocean uderzają pierwsze gromy, wpełzł pod deptak tak głęboko, jak się tylko dało.

Wiatr wciąż zmieniał kierunek, ciskając mu piaskiem w twarz. Papiery, puszki i kartony unosiły się i wirowały w powietrzu. Jeremi zobaczył, jak pod pobliski garaż zajeżdża pomarańczowa ciężarówka służb miejskich z żółtym kogutem na dachu. Wybiegł na ulicę i popędził w kierunku budynku, chcąc zdążyć, zanim samochód odjedzie, ale kiedy tam dotarł, w kabinie już nikogo nie było. Ciężarówka była wywrotką z plandeką na tylnej platformie, taką jak samochód pana Johnsona, tylko że większą.

Jeremi złapał swój worek oraz kij do nabijania śmieci, po czym wciągnął się na tył wozu, przeczołgał obok sterty zabawek i płotków — i wpełzł pod plandekę, tak samo jak wówczas, gdy po pracy zabierał go pan Johnson. W tej samej chwili, gdy usłyszał windę, zdał sobie sprawę z tego, że nie jest sam. Obok niego na platformie coś leżało — i właśnie się poruszyło!

Już chciał z powrotem zejść z ciężarówki, kiedy usłyszał kolejne dźwięki. Może wcale nie powinien był tutaj wchodzić. Może kierowca będzie na niego zły i poskarży się panu Johnsonowi. Jeremy przyciągnął kolana do piersi, objął je rękoma i zwinął się w pozycji embrionalnej. Może jeśli wystarczająco długo będzie tam leżał bez ruchu, nikt go nie zauważy. Poczeka, aż samochód dotrze tam, dokąd jedzie, a wtedy ukradkiem się wymknie. Potem, kiedy już przestanie padać, wróci na plażę i dokończy sprzątać, tak jak powinien.

Hydrauliczna kłapa z tyłu platformy zaczęła się opuszczać z metalicznym jękiem. Coś wtoczyło się pod plandekę, dotykając podeszwy buta Jeremy'ego. Hydrauliczny napęd ponownie zaczął skrzypieć, kłapa unosiła się, aż wreszcie ogłuszające szczęknięcie oznajmiło, że została zamknięta. Gdy kierowca wsiadał do kabiny, ciężarówka drgnęła. Po chwili ożył silnik i wóz ruszył przed siebie.



## **Sobota, 4 czerwca, godzina 23.25 Blackswamp**

Sykes zapalił lampę i spojrzął na leżącą na materacu Marcie Schmidt. Wciąż spoczywała pod płachtą brezentu, spod której wystawały tylko dłoń i łokieć — właśnie tak, jak ją zostawił. Zrzucił ciało Sherry Moore na ziemię tuż obok. Kostki miała spętane i wygięte do tyłu pod nienaturalnym kątem, nadgarstki — związane na brzuchu. Potem mężczyzna wyszedł na deszcz, by jako ostatnią przynieść O'Shaughnessy.

Autobus oświetlony był jedynie nikłym płomieniem lampy nafkowej. O'Shaughnessy dostrzegła Sherry — siedzącą z tyłu, obok jakiegoś ciemnego, płaskiego kształtu. Sykes lewą ręką zaciągnął ją mniej więcej do połowy autobusu, po czym opuścił na ziemię w pobliżu ułożonego na podłodze kawałka sklejki. Wydobywające się spod niego opary paliły w gardle i piekły w oczy.

Pękło niebo, krople deszczu bębniły w dach niczym miliony spadających koralików. Sykes spojrzął z góry na policjantkę i przeklął ślinę. Gdy przy niej klękał, wykrzywił twarz w grymasie — przeszła go nagła fala bólu. Jedną ręką ścisnął kobietę za twarz i zmusił, by na niego popatrzyła.

— Wtedy byłaś tylko małą pizdą, całą dumną z tatusia w mundurze.

Podniósł sklejkę i oparł ją o ścianę. Złapał kobietę za włosy

i zaciągnął nad krawędź jamy. Gryzący odór, który wydobywał się z głębin, sprawił, że o mało nie zwymiotowała.

— Oto twój los, wśród kości i całego tego gówna. Tam na dole, ze wszystkimi moimi pizdami. — Chwycił jej głowę i wepchnął w otwór. — Tam spędzisz wieczność, razem ze swoją ślepą koleżanką. Oto twój koniec.

Spojrzał w czarną otchłań, świadom, że jemu również przyniosła zgubę. Że śmierć wyszła z czeluści i wkradła się w jego organizm. W nagłym przypływie rozpaczyny zdrową ręką szarpnął policjantkę w tył. Kobieta grzmotnęła głową o ścianę autobusu.

Wiedział, że teraz na trochę zrobi się gorąco. Policjanci znowu przeszukają ciężarówkę, a pewnego dnia w końcu wezmą go na przesłuchanie. Kiedy powiążą wóz z dziewczyną przy drodze, Sykes nie obejdzie się bez prawnika — jednak bez świadków i bez ciała będą mieli tylko poszlaki. Nikt nie widział ciężarówki na szosie. Nikt nie potrafił stwierdzić, że to właśnie on ją prowadził, kiedy za szybą znalazł się włos tej kobiety. Przecież każdy, kto ma dostęp do kluczyków, mógł zabrać wóz, kiedy Sykes skończył swoją zmianę. Któż mógł udowodnić, że tak nie było? Na pewno nie nocny nadzorca, który cały czas siedział w biurze z nosem w ekranie komputera.

A dzisiaj? Dzisiaj Sykes wykonywał tylko swoją pracę. Widziano go, jak zbierał śmiecie. Kontaktował się z bazą przez radio. Musiał tylko coś zrobić ze zranioną dłonią. Ale to mogło trochę poczekać. Codziennie nosił przecież rękawice, podobnie jak wszyscy inni pracownicy. Nikt nie musiał się o niczym dowiedzieć.

O nie, on miał zamiar przeżyć swój rok życia i miał zamiar się zemścić. Rano, kiedy gliny będą szukać po całym stanie człowieka, który zamordował gliniarza i porwał policjantkę, on będzie tu sobie siedział, popijał piwo i patrzył, jak O'Shaughnessy dla niego tańczy. Kilka krótkich kilometrów od Wildwood. Kilka krótkich kroków do wieczności.

Pomyślał o czapce policyjnej i butach, które zabrał z jej domu. Na początku policjantka będzie się opierać, ale jak już wrzuci tę

dziwkę z materaca do dziury, dwie pozostałe zrobią, co tylko im rozkaże, byle tylko uratować tyłek. Wszystkie tak robiły.

Wstał i przeszedł na przód autobusu. Zatrzymał się, raz jeszcze obejrzał za siebie, po czym wyszedł. Teraz musiał zadbać o to, by widziano go w bazie przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, jak wyrzuca zebrane podczas burzy śmiecie i dezynfekuje platformę. Już za godzinę będzie tu z powrotem.

Pod fotelem znalazł parę rękawic, wrzucił bieg i wycofał wóz na drogę. Nie dostrzegł drżącego mężczyzny w brudnym płaszczu, skulonego pod drzewem.

■ ■ ■

O'Shaughnessy dała radę uklęknąć przed Sherry i częściowo zerwać jej taśmę z ust. Twarz niewidomej pokryta była zaschniętą krwią i zniekształcona przez złamany nos. Kobieta zakrztusiła się i splunęła.

— Wszystko w porządku?

Sherry kiwnęła głową, łapczywie chwytając powietrze.

— Co teraz? — spytała.

— Jesteś w stanie się ruszać?

— Tak. — Niewidoma na próbę zacisnęła dłonie w pięści.

O'Shaughnessy pomyślała, że Sherry wygląda fatalnie. Zupełnie zawałiła sprawę. Postawiła wszystkie karty na Sandy'ego Lyonsa i się pomyliła. Powinna była zwrócić więcej uwagi na pozostałych kierowców. Kiedy ten człowiek zajrzał do jej samochodu, powinna była wiedzieć, że coś jest nie tak.

— Pomogę wam się uwolnić — usłyszały głos dochodzący z materaca w kącie autobusu.

Obie obróciły się w kierunku nieokreślonego kształtu.

— Dajcie tu ręce — szepnęła Marcia. — Mam nóż.

O'Shaughnessy patrzyła, jak drobna dłoń odsuwa płachtę, spod której wyłoniła się następnie twarz młodej kobiety. Policjantka dostrzegła teraz, że jeden z nadgarstków i obie kostki nieznanjomej

przywiązane są do ramy materaca. Wolna ręka rzeczywiście trzymała nóż.

— Szybciej — ponaglała kobieta. — Dajcie ręce.

Sherry zaczęła się czołgać w jej kierunku.

— Nie. Czekajcie! — zawołała O'Shaughnessy. Znała te grube syntetyczne kajdanki, którymi kobieta przykuta była do łóżka. Bez nożyc do cięcia drutu jej nie uwolnią. Gdyby przecięły swoje pęta, i tak musiałyby zostać i jej bronić. Nie miała pewności, czy w obecnym stanie potrafiłyby tego dokonać. Nie, dopóki Sykes miał broń.

— Jak masz na imię?

— Marcia.

— Posłuchaj mnie, Marcia. Jak tylko wróci, będzie chciał sprawdzić twoje nadgarstki. Sherry, czy masz siłę w nogach? Jesteś w stanie nimi poruszać?

— Tak — odparła Sherry niepewnie.

— Dobrze. Mam pomysł. O'Shaughnessy zrobiła wdech. Długi wdech. — Ale musisz być gotowa. Jeśli coś mi się stanie, musisz wrócić do Marcii i jej noża. Rozumiesz?

Niewidoma z wahaniem kiwnęła głową.

— Marcia? — policjantka zwróciła się do drugiej kobiety.

— Tak. Rozumiem.

— Dobrze. Powiem wam, co mu się stało w rękę.

# 34

## Niedziela, 5 czerwca Wildwood w stanie New Jersey

Komendant Loudon został poinformowany, że o godzinie 23.10 pogotowie policji przyjęło zgłoszenie dotyczące strzałów w apartamentach Driftwood. Funkcjonariusze patrolujący okolice Atlantic i Third odnaleźli w garażu budynku samochód porucznik O'Shaughnessy. Wszyscy wiedzieli, że policjantka ma tam mieszkanie, jednak na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał. Funkcjonariusz pilnujący jej domu przy Third Avenue potwierdził, że tam również nie wróciła. W końcu zdecydowano się wyważyć drzwi.

■ ■ ■

Kiedy na miejsce przyjechali komendant Loudon i McGuire, w garażu stały już karetka oraz kilka innych samochodów. Panującą wokół ciemność rozświetlały jedynie niebieskie koguty radiowozów oraz latarki policjantów i sanitariuszy.

Woda w kałużach marszczyła się na wietrze. Odbijała światła coraz większej liczby zjeżdżających tam jednostek. Zewsząd dochodził szmer krótkofalówek. Pierwsi funkcjonariusze, którzy przybyli na miejsce, odkryli w mieszkaniu O'Shaughnessy zwłoki. Znaleźli przy nich odznakę detektywa wydziału dochodzeniowego policji w Filadelfii.

— Sierzancie! — zawołał umundurowany policjant, podnosząc

krótkofalówkę. — To Randall. Mówi, że coś dla pana ma.

McGuire wziął od niego radio i odwrócił się tyłem do ludzi. W chwilę później oddał je funkcjonariuszowi i puścił się biegiem w stronę samochodu.

— Komendancie, znaleźli Blackswamp.

■ ■ ■

O'Shaughnessy pokierowała Sherry w stronę środka autobusu i usadziła ją plecami do ściany, nogami w kierunku dziury. Sama usiadła pomiędzy niewidomą kobietą a jamą. Kazała jej zwracać uwagę na dwie rzeczy: na lokalizację głosu Sykesa oraz na jej sygnał. Marcia Schmidt odłożyła nóż na miejsce, wywichnęła kciuk i na powrót wsunęła dłoń w pętlę kajdanek.

Po półgodzinie usłyszały zbliżające się kroki. Na schodkach autobusu zachrzęściły buty. W słabym świetle pojawił się ociekający wodą Sykes, drapiąc się w potylicę jak szalony.

Ruszył w stronę stojącej obok materaca lampy, zachwiał się, a potem przykleknął. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Gdzie się podział nóż? Spojrzał na Marcie Schmidt, wciąż przykutą do pręta. W życiu by go nie dosięgnęła. Obejrzał się przez ramię na policjantkę — to na pewno ona. Ta druga była przecież ślepa.

Wyciągnął pistolet zza pasa, podszedł do O'Shaughnessy i przycisnął jej lufę do brody. Wolną ręką złapał jej ramię i uniósł wysoko do góry, by przy świetle przyjrzeć się taśmie. Kobieta wciąż miała skrępowane nadgarstki.

Odepchnął ją i odwrócił się do Sherry. Chwycił ją za rękę, sprawdził taśmę, a potem odciągnął kobietę od ściany, by spojrzeć jej za plecy.

Nic.

Odepchnął ją z powrotem.

Nie spuszczać O'Shaughnessy z muszki, ostrożnie wrócił do lampy. Pomacał podłogę wokół niej — uśmiechnął się, gdy jego dłoń wreszcie natrafiła na ostrze.

Kurwa, nerwy zaczynały go zżerać. Nóż leżał tam cały czas.

— Uklęknij przed nią. — Powrócił do O'Shaughnessy i kopnął ją w zębra. — Rusz się, suko.

Odwróciła się do niego plecami.

— Rozbierz ją. Palcami. Pośpiesz się. — Zaniósł się głębokim, przejmującym kaszlem, który oderwał wydzielinę z płuc.

Zawahała się.

— Jeszcze pięć minut i ta kurwa z materaca wyląduje w dziurze. — Machnął pistoletem w stronę Marcii.

O'Shaughnessy pochyliła się ku Sherry, rozpięta ostatni guzik jej koszuli i zsunęła ją z ramion kobiety. Materiał opadł, owijając się wokół talii.

— A teraz szorty. Rozepnij jej szorty. — Zbliżył się, pochylił nad ramieniem O'Shaughnessy i przyłożył jej usta do ucha. — Podobna ci się, co? Też byś tak chciała, co, pani porucznik?

Jego śmiech odbijał się od metalowych ścian autobusu. Kolana policjantki szorowały po nagiej metalowej podłodze. Opierał uda o jej plecy, czuła jego cuchnący oddech na karku.

— Jeszcze będziesz miała szansę. Obie będziecie miały szansę, i to niedługo.

O'Shaughnessy zwlekała, ociągając się z rozpinaniem szortów Sherry. Sykes ścisnął ją za ramiona, pochylił się i polizał jej kark. Czuła chorobę w jego oddechu.

— Wiesz co? Poszło z tobą łatwiej, niż myślałem — zaśmiał się cicho.

— Teraz!

O'Shaughnessy schyliła głowę, by Sherry mogła wykonać błyskawiczne kopnięcie. Zafurkotała taśmą wokół nieskrępowanej łydki. Niewidoma kobieta piętą roztrzaskała Sykesowi nos. O'Shaughnessy obróciła się w miejscu, taranując go łokciem. Wiedziała, że jeśli on teraz nie spadnie, będzie musiała zaprzeć się piętami o podłogę i wepchnąć go do dziury plecami, prawdopodobnie wpadając tam razem z nim. Jednak Sykes stracił równowagę. Sherry skoczyła naprzód i ciosem obydwu pięści przepchnęła go przez krawędź.

Jego waga działała przeciw niemu. Chociaż usiłował temu zapobiec, zachwiał się w tył, stracił równowagę, pięty ześlizgnęły się z krawędzi i mężczyzna runął w dół. Rozpaczliwie szukając oparcia w tej ostatniej sekundzie, złapał końcówkę taśmy, która oplatała nadgarstki Sherry. I pociągnął ją za sobą.

O'Shaughnessy zdołała chwycić Sherry za kostki, na moment zanim ta zniknęła w czeluści. Ludzki łańcuch zatrzymał się z szarpnięciem, a cała trójka zastygła w bezruchu. Wstrzymali oddech w oczekiwaniu, czy się nie przerwie.

Wtedy Sykes zaczął kołysać nogami, usiłując oprzeć się o ścianę szybu.

— Jeśli ja zdechnę, to ty razem ze mną— wysapał do Sherry.

Uderzył piorun i autobus cały się zatrzęsł. Ogłuszającemu hukowi towarzyszył błysk ostrego światła. Wokół nich zatańczyły cienie. Sylwetki pojawiły się i znikły niczym upiorne zjawy.

O'Shaughnessy spojrzała w dół. Widziała czubek głowy Sykesa, oświetlony światłem z lampy odbijającym się od sufitu.

■ ■ ■

Jeremy właściwie nie zdawał sobie sprawy, że nogi niosą go naprzód i że chaotyczne kroki nabierają jednostajnego rytmu. Mijając fotele, nie wiedział, że biegnie ani że jego ręka ocenia ciężar, ani że ramię się napina, ani że tułów obraca się dla zwiększenia impetu, kiedy rzucił się w stronę jamy i cisnął kijem w mężczyznę, który robił krzywdę tym kobietom.

Sykes usłyszał kroki ledwie na sekundę, zanim Jeremy pojawił się tuż nad nim. Próbował zablokować uderzenie — machnął prawą ręką, usiłując złapać drzewce. Nie mógł jednak użyć kciuka, toteż kij z łatwością prześlizgnął się po rękawicy, a stalowy szpi-kulec utkwiał w bliźnie przecinającej jego szyję.

Sykes patrzył na zaniechanego mężczyznę w osłupieniu. Potem z otworu wokół ostrza zaczęła tryskać krew. Wisiał tak jeszcze przez



chwilę, a ciemne plamy rozplýwały się po ramionach jego koszulki. Potem jego ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje.

Głowa Sykesa opadła, a Sherry poczuła, że uścisk słabnie. W ostatnich sekundach pomiędzy momentem, gdy dłoń mężczyzny zwiotczała, a chwilą, gdy runął w czarną otchłań, przed oczami niewidomej eksplodował koraż krzyczących twarzy.

Patrzyła, jak spadają jego ofiary.

# 35

## **Niedziela, 5 czerwca, godzina 1.00 Blackswamp**

Blackswamp zmieniło się w miasteczko migających świateł. Na miejsce zjechały wszystkie dostępne wozy ratunkowe z całego hrabstwa. Gus Meyers wraz ze swą ekipą kryminologów rozstawił w pobliżu autobusu stanowisko dowodzenia. Policjanci powiadomili FBI, policję stanową oraz Centrum Nadzoru Epidemiologicznego w Atlancie. Zastępy ludzi w kombinezonach ochronnych znosiły do wnętrza autobusu kamery na linach oraz całe skrzynie aparatury wykrywającej.

W jasnych światłach oddziału pomocy doraźnej wargi O'Shaughnessy były rażąco ciemne. Brakowało jej jednego buta. Na bluzce miała gęstą, brunatną plamę, a we włosach — zaschniętą krew. Spody ramion były czarne i krwawiły. Miała pękniętą wargę, a opuchniętą twarz pokrywały granatowe i zielone sińce.

— Tim — szepnęła.

— Nie, poruczniku, to ja, Mac.

— Mac, zadzwoń do niego. Niech do mnie przyjedzie — powiedziała tak cicho, że sierżant musiał przyłożyć ucho do jej ust, by w ogóle coś usłyszeć.

— Już się robi. Wyjdiesz z tego cała i zdrowa.

McGuire chwycił krótkofalówkę i odszedł od noszy. Połączył się z posterunkiem i polecił jednemu z detektywów, żeby znalazł męża O'Shaughnessy i przywiózł go do szpitala.

■ ■ ■

Marcia Schmidt była bardzo odwodniona. Odniosła liczne obrażenia wewnętrzne. Owinięto ją w koc i przetransportowano do szpitala uniwersyteckiego w Vineland.

Sherry Moore leżała obok O'Shaughnessy, za parawanem. Oczy miała podbite, a nos — obwiązany bandażem.

Jeremy Smyles siedział w radiowozie, wpatrując się w zbierające się na bagnach kałuże. Jego twarz była dziwnie pogodna, a ramiona — wyjątkowo spokojne.

Komendant Loudon stał przy bramie wjazdowej do Blackswamp. W powietrzu unosił się obrzydliwy odór rozkładu. Policjant wyjął z kieszeni kartkę ze szkicem i rozłożył ją. Sherry Moore opisała go bezbłędnie. Earl Oberlein Sykes. Dokładnie taki, jak wyglądał trzydzieści lat wcześniej.

Zmiał kartkę i cisnął ją na ziemię.

# Epilog

Tego roku życie toczyło się dalej. Sykesowi jeszcze ten jeden raz udało się trafić do gazet. Jego nazwisko gościło na pierwszych stronach przez kilka tygodni, aż wreszcie ludzie mieli już dość czytania o nim.

Jama wyrzuciła z siebie wszystkie tragedie, których była świadkiem, przypominając o czasach, kiedy ludzie wiedzieli o tym, co zakopują w ziemi, równie mało, jak o samych sobie. O epoce niewinności, kiedy słowa takie jak „rakotwórczość” i „seryjny morderca” nie były jeszcze znane.

Z grzęzawiska czarnego jak jego nazwa wydobywano kolejne klamry pasków, kluczyki, kości i zęby, krok po kroku przemieniając je w nazwiska: Venable, Ashley, Sharp, Able, Sanderson, Rutledge...

O'Shaughnessy wróciła na stanowisko szefa wydziału dochodzeniowego policji w Wildwood. Nocami uczyła się do egzaminu na stopień kapitana. Tim zaskoczył ją kolejną wycieczką na Martha's Vineyard, by uczcić ich nowy początek.

Dillon co prawda nie stracił pracy — pożegnał się jednak ze stopniem sierżanta. Był teraz kapralem Dillonem i najchętniej pracował na nocnej zmianie, bo wtedy mniej osób mogło mu rozkazywać.

Nicky Schmidt został skazany za kradzież. Dostał wyrok siedmiu

lat więzienia w zakładzie karnym w Lewisburgu — tym samym, w którym trzydzieści lat wcześniej osadzono Sykesa.

Marcia Lamb — która zrezygnowała z nazwiska Schmidt — wniosła pozew rozwodowy i przeniósła się do Wildwood, gdzie prowadzi niewielki hotel.

John Payne otrzymał pośmiertne odznaczenie. Oddając na moment przed śmiercią strzał, który uszkodził dłoń Sykesa, uratował życie trzem kobietom.

A Jeremy Smyles otrzymał od burmistrza medal, który wisi teraz nad jego nową komodą. To pierwsza rzecz, którą Jeremy widzi każdego ranka, kiedy wstaje, by iść do pracy.

■ ■ ■

Mój najdroższy Johnie. Cóż byś pomyślał, gdybym ci powiedziała, że tamtej nocy w domu pogrzebowym zobaczyłam, jak młoda Susan Paxton ubiera w zbyt duży, czerwony rybacki sweter dziewczynkę taką jak ja? Albo że Susan patrzy, jak ta dziewczynka wspina się po oblodzonych schodkach w kierunku figury anioła? Nie wiedziałam, że na podest, na którym mnie znaleziono, spoglądał z góry anioł.

Susan była ze mną tamtego dnia. Dnia, który znałam z koszmarów. Dnia, kiedy zobaczyłam, jak twarz mojej matki uderza o przednią szybę samochodu. Susan miała mnie wtedy pilnować aż do powrotu Sykesa.

Zidentyfikowali ją, wiesz, moją matkę — nazywała się Melissa Rutledge. Wciąż o niej śnię, ale teraz są to już inne sny. Obecność mamy jest w nich dużo pełniejsza. O wiele wyraźniej widzę jej twarz. Nie jest już przerażoną kobietą na szybie samochodu. Pod pachą trzyma torbę z zakupami, a drugą ręką mnie obejmuje. Patrzy z góry, jest piękna i uśmiechnięta, a kiedy na horyzoncie pojawia się furgonetka, matka unosi brwi i robi śmieszny minę, a potem wyciąga kciuk w stronę drogi.

Sherry westchnęła. Sięgnęła po przedmiot leżący na kanapie i wzięła go do ręki.

I co byś sobie pomyślał, gdybym zdążyła ci powiedzieć, że cię kocham? Że zawsze cię kochałam.

Od rynny oderwał się sopel lodu i z głuchym dźwiękiem uderzył o ziemię za oknem. Sherry ścisnęła w palcach złotą odznakę, którą Angie Payne włożyła jej w dłoń na cmentarzu po pogrzebie. Tamtego dnia Angie wszystko jej powiedziała.

Najtrudniejsze w moim życiu było ukrywanie przed tobą uczuć, nawet wtedy, gdy podejrzewałam już, co myślisz.

Pociągnęła nosem, sięgnęła po chusteczkę i zakryła nią usta.

To moja wina, John. Gdybym się nie pomyliła co do Sykesa, wciąż byś tu był. Bylibyśmy teraz razem.

Łzy płynęły po jej policzkach.

Najtrudniej mi bez ciebie właśnie o tej porze roku. Wiesz przecież, jak nie cierpię zimy. John, jak ja sobie bez ciebie poradzę? Jak mogę sobie wybaczyć?

Sherry ścisnęła odznakę między kciukiem a palcem wskazującym. Położyła się na kanapie i oparła głowę na poduszce. Nie ruszała się z tego miejsca w salonie od wielu tygodni.

Mój drogi Johnnie, Brigham mówi, że nie mogę dalej tak żyć. Że ty byś tego nie pochwalał. Powiedział, że jeśli się poddam, zaprzeczę wszystko, o co walczyłeś. Że odwrócę się od tych wszystkich, których życie przerwał Sykes. Nawet od Susan Paxton, której świat odmienił się tamtego dnia, gdy mnie spotkała. Nawet od mojej matki.

Powiedział, że mam obowiązek wobec tych wszystkich, którzy sami już nie mogą się bronić.

— Powiedział — ledwie potrafiła wymówić te słowa, łkając głośno, z drzeniem warg i grymasem na twarzy — że to ci się we mnie podobało.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Przycisnęła odznakę do ust.

Kiedy na pogrzebie brałam cię za rękę, tak bardzo bałam się tego, co zobaczę. Tego, jak zareaguję przy wszystkich. Tego, że być może myliłam się co do nas.

Zaśmiała się, otarła oczy i położyła odznakę na stoliku.

Czy wiedziałeś, że to będzie twój ostatni prezent dla mnie? Czy wiedziałeś, że po raz pierwszy w życiu zobaczę wtedy swoją dorosłą twarz?

■ ■ ■

Garland Brigham przyglądał się Sherry w słabym świetle kominika. Odstawił kieliszek porto i zabrał się do rozcinania kolejnej koperty.

List dotyczył gwałciciela, który swoje wiekowe ofiary dusił sznurem elektrycznym w ich własnych łóżkach. To był już trzeci taki przypadek w tym niewielkim miasteczku w Arkansas. Tamtejsza policja pytała, czy Sherry nie pomogłaby im w zidentyfikowaniu mordercy.

Była to chwila wielkiej wagi. Od zeszłej jesieni kobieta nie pozwalała Brighamowi czytać poczty, a przez całą zimę unikała jego telefonów, bez wątplenia zastanawiając się, czy nad rzekę Delaware kiedykolwiek powróci słońce.

— Jak myślisz, Garlandzie? Chyba powinniśmy odpisać na ten list. Może będę w stanie pomóc.

## Podziękowania

Przez lata w moich literackich zmaganiach wspierało mnie wielu ludzi. Nigdy nie zapomną waszej cierpliwości i waszej pomocy. Szczególną wdzięczność pragnę wyrazić mojemu agentowi, Paulowi Fedorko z Trident Media Corp., za to, że potrafi spełniać marzeniu Nie tylko praca z tobą, ale nawet sama znajomość jest dla mnie zaszczytem.

Dziękuję Shannon Firth, która pierwsza lekko mnie popchnęła ku pisarstwu.

Dziękuję Robowi Weisbachowi, który podał mi rękę i do reszty mnie wciągnął. Nie zawiodę cię.

Podziękowania dla nieustrudzonej Terry Chalberg z Simon & Schuster, która zawsze starała się wydobyć ze mnie wszystko, co najlepsze. Terra, rządzisz!

Dziękuję wszystkim wspomniałym, utalentowanym ludziom z Simon & Schusterza łaskawość i entuzjazm, z jakimi przyjęli mnie oraz moją pracę.

Pragnę też przeprosić mieszkańców oraz policjantów z Wildwood oraz Cape May w stanie New Jersey za moją bardzo swobodną interpretację ich miast i zawodów — które bliskie są mojemu sercu.